GWIAZDA

KSIĄŻKA SKŁADKOWA.

Czasop. 54.

WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

TOM TRZECI.

WILNO.

Nakład i druk T. Glücksberga.

1855.

GWIAZDA.

GWIAZDA

XIĄŻKA SKŁADKOWA.

№ 4.

Nie ów człowiek, który wyłazi z jamy, jak zwierzątko z nory, gryzący korę, uzbrojony gałęzią, z wejrzeniem dzikiém, jest wykończonem dziełem zamiarów Boga i ścisłym wykonywaczem Jego przykazań; ale takim będzie człowiek w przyszłości, gdy pracą dochodząc wynalazków, umiejętności i prawdy, z pokolenia w pokoleniu coraz się kształcąc i udoskonalając, złoży nakoniec w ofierze Bogu pokonane i zdeptane przez siebie pychę, fałsz i ciemnotę, z któremi w tém życiu walczy.

F. B.

Le lecteur ne confondra pas les serpens empoisonnés de la Meduse avec la face radieuse de la Minerve protectrice — Les beliers qui battent les murailles, les mortiers qui lancent les boulets rouges. sont renvoyés dans un coin obscur des arsenaux après qu'ils ont accompli leur besogne destructive; jamais personne n'a songé à s'en servir pour reconstruire les cités, pour reparer les désastres.

M. T.

WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

KIJÓW.

1849.

Печатать позволяется

съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ 1849 года Мая 6 дня.

Цензоръ, Статскій Совѣтникъ,

Орестъ Новицкій.

Czcionkami T. Glücksberga.

Druk ukończony d. 28. Września 1849 roku.

Już to wiadomo wszystkim czytającym u nas po polsku, że Kijów od niejakiego czasu począł być ważném ogniskiem literackiém. Umysły trapione zbyt długą bezczynnością, dzięki biernemu stanowisku jedynego u nas czasowego pisma, na pierwsze hasło do szlachetnych trudów w imie Postępu ocknęły się i jęły korzystać z pierwszego środka, który sumiennym ich produkcyom pewny obieg i współczucie ogółu zaręczał. Ale oto starsi nabytą powagą pismienni sąsiedzi nasi, patrząc na fakt z ukosa, raczyli zawyrokować o wszystkich wychodzących w Kijowie dziełach, że są jednej jakoby barwy i dążności, i że szczególniejszą mają własność nietrafiania do zamierzonego celu. Przyczyną zaś takiego zawodu ma być nie co innego, jak lenistwo, brak rozwagi i należytego usposobienia, pomimo odrobiny talentu (sic).

Pilniejszemu badaczowi trudnoby może było dopatrzeć się tej jedności barwy i dążenia w dziełach tu wydanych; sama stosunkowo literacka ich wartość dostateczną być się zdaje do ustanowienia pewnej pomiędzy niemi różnicy. Jestto więc sobie ogólnik, dający się podejrzywać o lekceważenie wszystkiego — co się dzieje bez nas i nie w imie nasze. *Gdybyż jeszcze tę jednobarwność odniesiono do zewnętrznej stro-*

ny dzieł wydanych w Kijowie, czyli po prostu, do czcionek drukarskich. — Wszakże z drukarni Wileńskich wychodziły także współcześnie pisma krytyczne i niekrytyczne p. Grabowskiego, powieści i nie-powieści p. Kraszewskiego, wiersze i nie-wiersze p. Kefalińskiego, wychodziły nowe wydania X. Baki, wychodziły kalendarze, xiążki kuchenne etc. etc. Maż być dla tego przyznana tym wszystkim publikacyom jedna wartość i dążność jedna? — My rozumiemy inaczej.

Podobnie dałaby się może rozwiązać i owa fatalna kwestya o rozmijaniu się z celem. Niewchodząc w dyalektyczne wywody powiemy tylko, że jesli niektóre z dzieł w Kijowie wydanych nieodpowiedziały umysłowym potrzebom dzisiejszego czytelnika przez to, że im brakowało żywotnej siły; to natomiast inne mogły samą nowością kierunku swego obudzić wstręt i stać się niejako zagadką dla tych, co postępowaniem swojém dowodzą gruntownej znajomości natury amfibjów, to jest, dla literatów całkiem przeciwnych naszym pojęć i intencyj. Wszakże to Kapłani Jowisza uważali za czcze, za bezcelowe apostolstwo uczniów Chrystusowych, zarzucali im brak wszelkiej nauki, to jest tego, co sami za naukę poczytywali:— i było to bardzo naturalném. — Ale, zapyta kto, do czego to porównanie w tém miejscu? — Ot my sami niewiemy — tak jakoś napisało się, niechaj sobie będzie.

Powtarzany tylekroć zarzut niedołęztwa, próżniactwa i braku potrzebnych pisarskich przy-

gotowań, zarzut dotykający ogólnie wszystkich, co drukują swe pisma w Kijowie, zostawiamy bez odpowiedzi. Od czasu, jak pojedynki prawem pisaném i publiczną opinją potępione zostały, wszelkie podobnego rodzaju osobiste napaście zwykły zbywać się milczeniem. A milczenie wymowniejsze czasem bywa, niż lwa ryczenie!..— Czego żądalibyśmy od uczonych naszych mistrzów, to bardziej szczegółowych wskazówek na nasze wady, błędy i uchybienia względnie do przedmiotów przez nas traktowanych; bo dotąd nikt jeszcze nikogo nieprzekonał ogólnikami nietylko o słuszności swoich zarzutów, ale i o swoim autorytecie, alias *prawie do występowania w roli Arystarchy. Do oddania zaś nam tej duchowej posługi nową nadarzamy zręczność przedsiębiorąc nową niejako publikacyę, znowu w Kijowie i bez poprzedniczej sankcyi Tygodnika pana Przecławskiego, a tylko zwyczajnie za wiedzą i upoważnieniem Cenzury Rządowej.*

Pomimo złowrogich powitań stojących a raczej spoczywających gdzieś na brzegu pp. Estetyków, Gwiazda nasza, żywiona jedynie uczuciem istotnych potrzeb swego czasu i silną wiarą w dobroczynne światło swoich promieni, coraz się rozprzestrzenia i wzrasta. Zwiększona gromadka pracowników daje jej możność ukazywać się coraz częściej i w szerszych rozmiarach. Niechcąc atoli odbierać jej pierwotnego skromnego kształtu, aby niezrodzić mniemania, że się zabiera do emulacyi z takiemi publika-

cyami, jak Athenaeum, Pamiętnik nauko-literacki *i t. p., umyśliliśmy odtąd do każdego jej Numeru, poczynając od N. 5, dodawać —*

Czytelnię przy Gwiazdzie.

Do tego zbioru wchodzić będą obszerniejsze prace sympatyzujących z nami pisarzy, prace zawsze interessu miejscowego, swojskiego i najwierniej odpowiadające objawionemu a priori *charakterowi naszej redakcyi. O ile skutek wykaże dobroć i użyteczność tego przedsięwzięcia, światła Publiczność, na której współczucie rachujemy, oceni to sama w swoim czasie.*

W pierwszych dwóch tomach Czytelni *umieszczona będzie: Kronika we 2 xięgach spisana przez J. J. P. pod tytułem* Faktorstwo Sądowe.

Za każdy tom Czytelni większej czy mniejszej objętości ustanawia się stale cena prenumeracyjna 75 kop. srebr.

Zapowiedzieliśmy, że Gwiazda, poczynając od N. 5, wychódzić będzie w półrocznym zakresie, a więc szanowni Korrespondenci nasi, biorący czynny udział w sprawie przez nas podejmowanej, otrzymają dwa pierwsze tomy Czytelni przy Gwiazdzie, *obejmujące w sobie całe dzieło pana J. J. P. pod tyt.* Faktorstwo Sądowe, *w następnym 1850 roku, mianowicie, jeden na wiosnę przy 5, a drugi w porze jesiennej przy 6 Nrze Gwiazdy.*

Benedykt Dołęga.

Kijów d. 14 Września 1849 roku.

FRAGMENT ESTETYKI NARODOWEJ

WINCENTEGO DAWIDA.

Z ROZDZIAŁU: O TWÓRCZOŚCI —

§ *III. Rozwoje Twórczości w dziejach* (*).

Jako poznanie zdobywa sobie Mysł w dwóch przeciwległych półsferzach — realnem i idealnem, tak równie najczęściej swą Twórczość rozwija w dwóch odmiennych rozłogach bytu. Tak, chociaż Twórczość zależy na zjednoczeniu żywém obu połów życia, prze-

(*) Użyte w Estetyce Pana Dawida nowe filozoficzne wyrazy, jakoto: *mysł*, *rozłoga*, *jaźń i różnojednia*, znajdzie czytelnik objaśnione na końcu tego Fragmentu. Uznałem to objaśnienie za potrzebne, bo nasi tuzinkowi estetycy nietylko że niepomyśleli dotąd o przygotowaniu polskiego czytelnika do nowej a tak niezbędnej dla niego nauki filozofji, ale owszem radzi są zawsze drwinkować całą gębą z każdego, kto się odważa na tę poczciwą pracę. Oni *in verba Sniadecii* brzydzą się otwarcie wszelkiemi w nauce *nowinkami*: — i naturalnie, bo chiński mur przeszłości odgrodził ich całkiem od elementów dzisiejszego życia.

(Wyd.)

cież dwoma oddzielnémi wylewa się korytami w praktycznym swym objawie. Są to dwa wielkie znowu półsferza dzieł człowieczej twórczości: półsferze zimnej materyi, formy, rozumowości i półsferze ducha, zapału, umowości. Tam realność i proza, tu idealność i poezya. Bo patrzmy — już przy samym swym wypływie, to jest w utworach najbliższych stoku, w najprzezroczystszém zwierciadle Twórczości, w tworach pióra, już mysł widocznie rozbija się na te dwa działy. A linja graniczna zbyt wyraźna, aby im dozwalała swobodnie się łączyć bez wzajemnego się ukrzywdzenia. Co do czasu jednak rzecz się ma przeciwnie. A tak w owych siwych wiekach Homerycznej Grecyi, za różanego zarania romantycznej poezyi, albo też za mglisto-miesięcznego wieku Ossyana, mysł twórczy wschodzi w pięknej swej pełni. Niemasz tu rozpadnięcia na prozę i poezyę. Homer w tém samém dziele poetyczném, jest zarówno geografem, statystykiem, historykiem najdokładniejszym, a razem wielkim filozofem i teologiem. Alboż w Nibelungach co innego? Dumający Ossyan więcej już przechylił się na stronę marzenia i zadumy, przecież objął wiele względów, które poźniejsi poeci kronikarzom, lub teologom by zostawili. Toż widzimy we wszystkich tworach owych czasów pierwotnych. Xięgi starych prawodawstw i religijne np. Alkoran, a szczególniej skandynawska Edda, jaśnieją niby pełnie wschodzących w pomroku xiężyców. One i historyę i teologję i prawodawstwo i moralności prawidła, a w całości, jako twory poetyczne, wszystko to obejmują.

Przecież podobna pełnia miesięczna dzieł z owych poczciwych wieków, nie jest dowodem ich *nec plus ultra* doskonałości. Albowiem twórcy ich, co tak je

poczęli i wydali w tej boskiej jedni idealności z realnością, dokonali tego w niewinnej prostocie swojej idąc jedynie za natchnieniem swego mysłu, za zwiastowaniem anioła twórczości. Tak tworzyli, bo inaczej nie umieli. Jeszcze nie było poźniejszego rozczłonkowania wiedzy — nie rozdzielono na stopnie i działy i umiejętności. Podanie i historya, religja i prawodawstwo, wszystko tam zmieszane, splątane. Czy to wyższych zdolności człowiek, czy Bóg prawdziwy, obaj na jednym stopniu, cześć i jednakie odbierają ofiary. Później dopiero grzebieniem zimnej rozwagi rozczesano ten pełny warkocz, jakby dla rozpatrzenia osobno każdego kosmyka. Tu się rozsypały pęki rozlicznych nauk i umiejętności, — ścisłych, rozumowych, experymentalnych lub umysłowych; wzniosła się chłodną ścianą proza — osobno znowu poezya. A i ta się rozpadła na mnóstwo podrzędnych kształtów. Osobno wykrygowała się sielanka, osobno komedja, oda i satyra. Więc stanęli osobno Platon, jako filozof uczucia, i Arystoteles, pisarz rozumu i empirycznych szczegółów badacz; Sofokles i Arystofan. W Rzymie, obok Cezara i Salustiusza, Wirgili i Nazo.

To było w starożytności. Ale gdy po starożytnych następne pokolenia chrześcjańskie, lubo pełne twórczego ducha, odziedziczyły stosy szpargałów, mieszczących w sobie cywilizacyą, właśnie w stanie jej rozszczegółowania, odtąd został wieczny prawie rozdwój, przedmiotowego rozwicia twórczości. A tém więcej, że wiele przechodziło światła do chrześcjańskiego świata od Arabów, u których ów rozbrat dwóch połowic w utworach był najwyraźniejszy, umyślny i świadom siebie. Bo to było wypływem i koniecznością ich wewnątrz polityczno-martwego, nie tak jak

wolnych narodów — państwa arabskiego. Roteck powiada o tej oświacie Arabów, że zbyt była jednokierunkową. Dla tego tam nie zakwitnęły ani historya, ani filozofja, ani poezja. Naturalnie wszystko, co mogło zajaśnieć pełnią życia, musiało się rozpaść na martwe sztuki. Tak ich twórczość rozprysnęła się albo w twory najprozaiczniejsze, matematyki, medycyny, astrologji, które materyalnemu ich sprzyjały bytowi; albo w fikcye na pozor poetyczne, podobne do skazek umieszczanych w Athenaeum, tylko umowi schlebiające i drażniące go, które wcale się nie kleiły z życiem rzeczywistém, dzielném, dla tego równie martwe, jak tamte nauki, zadowolenie cieleśne mające na celu.

Ten fakt, co w Grecyi za cesarskiego Rzymu, a najwięcej za kalifów arabskich odmalował się, zaczął się odtąd wszędzie powtarzać, w czasach powolnego rozwijania się chrześcjańskiego społeczeństwa, jako odziedziczony razem z oświatą po starożytnych. Dwoma murami rzadko wiążącymi się w jedną budowę stanęły formalność i duchowość. Tam scholastyka martwa, drobiazgowa, ubiegająca się za słowami, dąsająca się o litery i nazwiska; tu czysty zapał do przesady, gardzący wszelką zewnętrznością i cieleśnością. Pomyślmy, co wydawano wówczas. Z jednej strony kroniki, albo pamiętniki zapisywane przez mnichów po klasztorach, złamki teologii albo arystotelesowskiej loiki i filozofii; roztrząsano prawidła jego poetyki do najdrobniejszych wyrażeń się przywiązując i literalnie się ich trzymając. A wszystko to razem było nakształt cegiełek, gruzów i drobnych kamyków, bez formy kształtnej i ożywionej, gdzieby się odbiła myśl, jakiś duchowy promień, jedném słowem, były to szczegóły, jakie zmysł przy rozpoczęciu badania spotyka, nim je zdąży

uporządkować w systematyczną całość. — Z drugiej strony, kwitnęły fantastyczne powieści rycerskie, jakie najbujniejszy um był w stanie wysnuć, podobne wiele do powieści arabskich i zapewne od Maurów przeszczepione do Europy. Nazwano je *romantycznemi*, równie jak cały peryod tej poezyi, na której one swój charakter wycisnęły. Lecz jak tam rozłamki zmysłowości, tak równie tu mętne żywioły ducha i uczuć wydawano. Tam dopiero, gdzie twórczość z całą potęgą rozpoczęła się rozwijać, owe rozbite szczegóły, tak formy jako i ducha, myśl niby budowniczy układał w całokształty, w czarowne żywe gmachy i świątynie. Z kronikarskich dat i imion układał *dzieje*; z bujnych fantastycznych romansów — poezyę, cechującą się już nieco piętnem większej rozwagi. Tu dopiero wschód twórczości. Tu musiał zajaśnieć światu jakiś Dante, lub Tasso i Calderon; Bossuet, lub Vico.

Takowe rozpadnięcie dosięgło dalej, bo na życiu czynném i na obyczajach powtórzyło się. Z jednej strony owo surowe przestrzeganie form, owe średniowieczne podziały społeczności na stany, drobiazgowa, niewolnicza etykieta na zamkach rycerskich. Z drugiej strony owo fantastyczne życie rycerzy, puszczających się za lotem wyobraźni na kraj świata dla szukania przygod, przedsięwzięcia i podróże, zaledwie pojęte dla zimnego rozumu.

Dobrze to z resztą, że myśl dwóm tym poddawał się rozczłoniom, lubo wtedy przestawał być twórczym w ścisłém znaczeniu. Bo tu i tam wyłącznie się wylawszy, nad formalną, to nad umysłową stroną pracując, długo, to przygotowywał sobie materyał do przyszłej budowy, lub obciosywał granitu massy, to znów idealne, śmiałe łuki i strzeliste wieżyce kreślił,

by z tego wielkie w przyszłości wznieść świątynie. Cobyśmy tu mogli okazać na historyi, która w średniowiecznych zawiązkach z kronik, rycerskich romansów i ballad składała się, a dzisiaj pieśnią homeryczną zaczyna się wyśpiewywać, kojarząc dwa swoje zaczątki: realny-kronikarski, i idealny — podaniowo-romansowy— to o wszystkich innych pióra płodach da się powiedzieć. Najprozaiczniejsze z przedmiotu dzieło, w którém tylko twórczy mysł w pełności swej przejawiać się zaczyna, jako jednoczące obiedwie jaźni połowy, staje się zawsze sztuki dziełem. Dla tego prawie współcześnie z tworami sztuki, jawią się takie dzieła. Bo też wtedy mysł narodu wszędzie twórczym się przejawia. W pierwszym razie był fabrykujący, tworzący, lecz mechanicznie tylko, tu tworzy żywo, jednocząc ducha z ciałem. Peryod Tassa, Ariosta, jest razem peryodem Rafaela i całej owczesnej szkoły włoskich malarzy. Toż i wszędzie. Dzieło sztuki jest wprawdzie najrzeczywistszym twórczości objawem, lecz współczesne dzieła pióra na równi z nim stają, jako tejże samej pełnej twórczości objawy. W tymże wieku, kiedy budowano kopułę szpitalu inwalidów, współcześnie gotuje się dzieło z pomysłów jasnych, przezroczystych, z przedmiotu najsuchsze, z architektonicznej formy, niby pałac królewski zachwycające — *Esprit des Lois.* Tam kolumny z porfiru, posadzka z mozaiki, złote balustrady, obrazy, statuy, freski, cały przepych sztuki obok największej prostoty; w duchu praw taka sama wytworność w przedmiotach, mozaika w ciągłych historycznych okazach, poważna prostota w układzie. Przeciwnie, gdzie twórczość mysłu zwija się niby chorągiew po jakiej uroczystości, współcześnie gasną, niby gwiazdy po czarownej, pełnej natchnienia nocy, za nastą-

pieniem prozaicznego dnia, natchnieni kunstmistrze; nie ukaże się tam już jaśniejące wielkimi pomysły żadne dzieło pisarskie. Owoż tu powinowactwo płodów umysłu ludzkiego, na pozor tak różnych, dalekich, przedmiotem i formą, które przecież jeden twórczy mysł mają swym wspólnym rodzicem, i w jednej epoce, wszystkie charakteryzując ją, pojawiają się.

Cośmy tu powiedzieli, zbieramy w zarysy ogólniejsze, które jako wynikłość tego przedstawiamy:

1.) Starożytność, jako w płodach, tak i w dziejach rzeczywistych, pod względem twórczości, zajaśniała całą pełnią, zaokrągliwszy się w piękną całość, ukończoną w sobie. Grecya mianowicie, zrównoważywszy najprzeciwniejsze od wschodnich ludów odziedziczone połowice opromieniła się twórczości ogniem. Rzym bowiem, ku końcowi zwłaszcza swych dziejów, swój mysł na dwie składowe począł rozszczepiać połowy. Póki do ostatniej iskry nie zamarła w nim twórczość, zwolna się rozkładał na ciałowe i duchowe połowy. Jednakże starożytność — to całość wykończona, sama w sobie, pełna. W niej dokonało się, co się miało dokonać. Pocóżby jej dłużej istnieć? Rozwinęła się jak centyfolia w pełnią — potem opadła z żywych listków i zamarła. Oto świat umarły, martwy pokład granitowy, skały pierwotne, podstawa dla przyszłych formacyj ludzkości globu — co się ciągle i dotąd wykształca.

2) Dalsze formacye z istot organicznych żyjących — to świat chrześcjański. Tu naprzód ciągłe kipienie i war, zamieszanie pełnych siły życia żywiołów. Uczucia-to epoka i umu rozwicie z jednej, zmysłowości i siły materyalnej rozrośnięcie się z drugiej strony. Później rozumowości i zmysłowości panowanie dwóch żywiołów wprost przeciwległych sobie, a onych pier-

wszych dalszym rozwojem będących. Jeśli tedy jaźń ludzkości w średnich wiekach zakwitła stroną zmysłowo-uczuciową, w nowych zaś wiekach rozumowo-umysłową, to ostatnia jej epoka, dla zupełnego jej rozwinięcia się i zaokrąglenia w pełnią, pozostaje — rozwinięcie twórcze, jako zjednoczenie w żywém ognisku rozpromienionych rozwinięć poprzednich. Być może, już się to rozwinięcie rozpoczęło, lub jest w zaczątku: czego dowodem tyle dzieł nowożytnego ducha, jednoczących najrozleglejsze widoki, najprzeciwniejsze poglądy — w żywotne całokształty.

3.) Jestto wielkość i boskość chrześcjanizmu, że tak rozległy wytknął zakres dla następnego rozwinięcia społeczności. Ileż potrzeba jeszcze wieków, nim się to chrześcjańskie społeczeństwo zaokrągli i pełnią rozwicia zajaśnieje! Ani można przewidywać, kiedy się to dokona. Lecz gdy już to nastąpi, dokona się drugie, wszechmocne *stań się*. Bo Starożytność byłto niby pierwszy dzień stworzenia człowieczego świata. Chrześcianizm — to drugi dzień podobny. Lecz jeśli Stwórca dla zbudowania świata fizycznego, sześć wielkich dni potrzebował, to można przypuścić, że po zupełném dokonaniu się tego drugiego *stań się* — nastąpi trzecie. Będzie to wielki *dzień trzeci* stworzenia. Może to będzie zjednoczenie świata starożytnego, jako zmysłowego, z duchownym chrześciańskim w piękną całość twórczością jaśniejącą. Niemniej można się domyślać, że po upływie takich dni sześciu w świecie ludzkości ukończonym, stworzony zostanie *człowiek* i zajaśnieje całej godności Boskiej promieńmi.

Lecz po co nam zapędzać się w tę nie przejrzaną otchłań wieków, gdzie z najśmielszych hypotez, ledwie kilka niepewnych możem skreślić rysów. Bo gdy

tu Bóg *żywy* nieustannie działa, czy można co wnosić o prawdzie, jak z krążenia planet wnioskujem o podobnem krążeniu następném wszystkich nieprzeliczonych światów wokoło coraz główniejszego świata? Oto wejrzyjmy lepiej na fakta dotykalniejsze, bo realne, lub obecne.

§ IV. Rozwoje Twórczości w plemionach.

Jaźń człowiecza nie tylko w ciągu wieków, w snującem się pasmie dziejów, ale nawet jednocześnie, w różnych plemionach, dąży ku rozwinięciu wszystkich swych połów w okrągłą pełnią życia. To zarówna w starożytnym, jak chrześcjańskim, widoczne świecie. Patrzmy oto na Grecyą. Ona to była, jak z jeograficznego położenia swego, leżąc w środku znanego świata, tak ze stanowiska duchowego, jednocząc w sobie rozmaite cywilizacye, *Mysłem twórczym* w jaźni starożytnej ludzkości. Ona jako mysł kojarzyła ożywiając w sobie dwie jej połowy przeciwległe. Tu leżał wschód, zamknięty w sobie, metafizyczny; tam zachód, zmysłowo i rozumowo, jako Kartagina i Rzymianie, się kształcący. Rozwijam to.

Cały wschód, zamknięty sam w sobie, zupełnie jak dzisiejsze Niemcy; cofający się od brzegów morskich i handlowego ruchu, tak jak Niemcy; leniwy w zawodzie rzeczywistego życia, karmił, również jak Niemcy, metafizyczno-fantastycznego ducha w swém łonie. Oto Egypt, pełen jakichś grobowych tajemnic, które na wieki w podziemnych jego pałacach, razem z mumjami zasnąwszy, zostaną nieodgadnione, — z tymi dziwnymi

obrzędy, jakie nam *Moor* opisuje w swym Epikurejczyku, z tém kapłaństwem, z symbolicznemi naukami, jak ich hieroglify niezrozumiałémi dzisiaj; — ten Egypt cały jest dotąd zimnym grobowcem umarłego ich ducha, medytującego, tajemniczego. — Dalej znów Persya. Dziwnym sposobem historyk Altmeyer szczególne upatruje podobieństwo Persów i ich dziejów ze szczepem germańskim i jego dziejami. Aż do języka i obyczajów posuwa to podobieństwo. Lecz pod względem pojęć metafizycznych, podobieństwo to jeszcze wyraźniejsze. Cała Zoroastra nauka — co to za ogrom pod symbolami zebranych metafizycznych systematów! Oromazd i Aryman walczą z sobą. Nie jestże to idealizm i materyalizm, dwie potęgi, nad wytłómaczeniem których Niemcy do zawrotu głowy przychodzą? Dalej — Zkąd wypłynęły wszelkie podania o Bogu, przyszłem życiu? Ze wschodu. Gdzie rozwiązano najzawilsze zadania metafizyczne? Na wschodzie!

Teraz oto starożytny zachód. Kartagińska rzeczpospolita, równie jak Rzym, mniej się troszczyła o to, kto spuszcza światło i deszcze; czy żyje, lub nie żyje ludzki duch po za grobem — ale o to, gdzie spieniężyć swe towary lub jak podbić jaką ładną krainę? Ruch, życie czynne, praktyczność, zajmowała ich i ściągała na zgromadzenia. Kartagina — to starożytna Anglja. Co kruszec, to grunt, o resztę mniejsza. Francya sama dzisiaj porównywa się z Rzymem, a to z okazyi podbicia siedzib dawnych Kartagów — Algeru. Przecież z naszego punktu widzenia, ma ona z nim jeszcze więcej podobieństwa. Jak Francuzi dzisiaj, tak Rzymianie, niezbyt byli szczęśliwi pod względem sztuki, jako mało pierwiastku duchowego zdolni wlać w utwory. Jak tamci, tak ci, odsunąwszy na stronę teore-

tyczne rozwinięcie, praktykę w całej świetności na tronie jej panowania posadzili. Ztąd to jedynie, co im bezpośrednio do ulepszenia bytu dopomagało, chętnie rozwijali i kształcili. Ztąd rozumie się prawodawstwo rzymskie zajęło prawników wszystkich wieków i dziś zaprząta ich głowy. Niemniej prawodawstwo francuzkie dziś obowiązuje w znacznej części Europy.

Owoż tu widzim. Wschód, to teoretyczny *umysł*; zachód, to praktyczny *rozum*. — Grecya tu stanęła w pośrodku, zlała w sobie jedno i drugie, ożywiając w swych dziejach i nieśmiertelnych utworach dwa przeciwne pierwiastki. Mysł grecki — był to mysł twórczy żywy. Ztąd nic dziwnego, że najśmielsze, najcudniejsze pomysły tam wzięły życie. Tam żył Plato i Arystoteles; tam Fidjasz i Praxyteles; — tam Homer i Herodot; Eurypides i Sofokl — nieśmiertelne imiona, gwiazdy ludzkości.

W chrześcijańskiej Europie—dwa szczepy w swych dziejach i cywilizacyi, dwa przeciwne przedstawiają kierunki — szczep Celtycki i Germański. Przez nie to twórczy mysł ludzkości dwoma wylał się rzekami. Po jednej stronie Renu ziemia czynów i praktyki, po tej ziemia teoryi, ojczyzna filozoficznego ducha. Tu to powoli myślą, sądzą, roztrząsają; tam działają żywo, bystro. W Niemczech więcej xiążek, niż czynów, w xiążkach więcej teoryj, niż praktyki; we Francyi więcej czynów żywych niż xiążek, w xiążkach mniej teoryi, więcej praktycznego ducha, faktów, spostrzeżeń. Niemiec dużo myśli; Francuz dużo prawi. Gdzie tamten zaczyna rozprawiać, ten dokonywa czynem. Gdzie więcej dzieł stosowanych, niż we Francyi? — Gdzie znowu więcej rozumowanych, jeśli nie w Niemczech? Tam xiążki dla praktyki; tu praktyka dla xiążek. Tam

wszelkie nauki służą jakimś celom doczesnym, korzyściom rzeczywistym, — tu korzyść realną poświęcają dla idealnych pomysłów. Jeśli chcesz poznać naukę dla samej siebie istniejącą, sztukę pokochać dla sztuki, czytaj dzieła Niemców. Tu sztuka i nauka — boginie wolne, bezinteresowne, czyste dziewice unoszące się w krajach idealności. Oto weźmy który z systematów filozoficznych. Czy ten Hegel, Kant, Leibnitz, czy którykolwiek z nich, okazał choć cień ducha zależności od widoków ziemskich materyalnych? Są to słońca samodzielne, czyste. Świecą, aby wyświecać pola prawdy, dla samej prawdy. Albo ta fantazya Hofmana powieści, nie jestże to najczystszej idealności rozkwit, bez względu na wiek, osoby, obyczaje?

Nie tak we Francyi. Tu rzeczywistość przeważyła nad idealnością. Tu nauki wiecznie się plączą w kółku doświadczalności i zastosowań. Sztuka wiecznie upatruje sobie cel ziemski, służąc albo stronnictwu, albo widokom upatrzonym w życiu towarzyskiém. Wolter, przy całém bogactwie dowcipu i rozumu, nie był w stanie wystąpić w idealnej szacie bezwzględności. On filozofią poświęcił duchowi czasu. Dzisiejsi poeci i powieścio-pisarze Francyi cały dowcip kierują ku temu, by dzieło zrobić interesowniejszém dla większej massy a zatem i pokupniejszem. Autor *Tajemnic Paryża i Żyda Tułacza* wykrzywia estetyczność i zabija sztukę na ofiarę socyalnym pomysłom i poprawkom społecznym. Najcudniejszą fantazyę pląta w tortury boleśne rzeczywistych szkaradzieństw i najbrudniejszych intryg. Nie miał tu wcale na celu — sprawienie przez to dzielniejszego effektu; ale wysnucie swych uwag względem niedokładności w urządzeniach społecznych. Całe ustępy podobnym uwagom poświęca. —

Owoż tu *realne powody* kierują ruchem życia. Ztąd czynność nieustająca, nieprzerwana w praktycznym zawodzie. Jak w Niemczech obmyslanie, ważenie, systematyzowanie; tak we Francyi, czyny, praktyka. Niemcy — to ziemia mysli, teoryi; Francya — to pole czynów, praktyki. W Niemczech idee bez czynów, bez rzeczywistych sprawdzeń; we Francyi czyny rzeczywiste bez idei i filozoficznego ujęcia. A to wszystko tak w życiu społeczném, w świecie rzeczywistości, jako i w świecie Sztuki.

Inaczej się rzecz ma ze szczepem słowiańskim. Jeżeli albowiem w owych dwóch szczepach celtyckim i germańskim *Myśl* społeczności rozszczepił się na dwie swoje połowy, wzajem się wprawdzie dopełniające, lecz z osobna martwe; to w plemieniu słowiańskiem, mianowicie w tej gałęzi jego, co samodzielnymi pomysły dostatecznie rodowe swe wykryła rysy, ów Mysł w całej zeszedł pełni. Tu czyn zlewa się z myślą, niby piorun z błyskawicą. Tu w żywej jedni słowo z ciałem. *Verbum*, to samo, co czyn. Co pomyślano, to i zrobiono. *Słowo się rzekło, kobyła u płotu.* U nas najoderwańsze idee, zaraz szukają swego urzeczywistnienia; — i przeciwnie, doświadczalne fakta układają się w porządne, pełne żywotności całokształty. U nas dwie onych plemion ostateczności zlewają się w ożywioną całość. Teorya z praktyką równoważą się i wspierają nawzajem. Najbujniejszego *umu* pomysły wcielają ją w praktyczną formę rzeczywistości. Jestto najpiękniejsze zrównoważenie idealności z realnością. Jestto pełna ducha, ożywiona rzeczywistość. Taka tylko rzeczywistość jest u nas zrozumiałą od mass, ona tylko lgnie do ducha słowiańskiego. Czyż były u nas kiedy dostatecznie zrozumiane bujne zaciekania niemie-

ckiego *umysłu*? Ztądto Jakób *Sobieski* wyprawiając synów na akademią krakowską, wszystkiego im zaleca się uczyć, oprócz *tańca* i *Metafizyki*. Niemniej osobliwe zjawisko — Jan *Sniadecki*, co mimo takiej wielostronności naukowego stanowiska, na jakiém postawił go jego genjusz, do otwartej wystąpił walki z całą niemiecką szkołą filozoficzną. Bo gdy u nas nauka zlewała się nieustannie z życiem praktyczném, wszystko zatem, co miało postać zbyt abstrakcyjnego badania i daleko stało za granicami stosowalności, traciło koniecznie dla narodowego charakteru tę ważność, jaką na rodzinnym miało gruncie. Nasi uczeni byli to ludzie czynu, jak *Zamojski* i *Staszic*, badający i myślący dla tego, by w czynach, w sprawach publicznych dali życie idealnym pomysłom. Albo znów odwrotnie — działali dla tego rzucając się w wir spraw społecznych, by ztąd wynieść zasób spostrzeżeń i żywotnych uwag nad sprawami tego świata, jak król *Leszczyński* i *Kołłątaj*. U nas nieznana ta zimna uczoność niemieckich pedantów, co to otoczeni martwym światem xiążkowym nie raczą zwrócić uczonych oczu ku obszarom zielonej rzeczywistości; co to zjedli mądrość umarłych Greków i Rzymian i kilkotomowe komentarze nad każdą pieśnią Homera drukują; a przecież o żywym postępie ludzkości, o obecnej walce społecznych żywiołów, tych Tytanów nowożytności, nie mają pojęcia. Dla nich, to życie rzeczywiste — martwe, bo nie zrozumiałe. I u nas wprawdzie znali dzieje Greków i Rzymian, badali starożytność; ale to wszystko dla tego, by spożyć, co w nich żywotnego było i ową starych wieków nacechowało się ogromnością. Przecież nie tak, jak Frank lekkomyślnie i płocho, działał Polak. Ważono, deliberowano; a co rzeczono, było gruntowne i głę-

boko obmyślane. — Owoż tu czyn był *myśli* wcieleniem. *Myśl* w czyn się oblekała i żyła rzeczywistością. Tu myśl nie zamierała martwa w xięgach, jak w grobie mumja. Żyła na mównicy, wcielała się w konstytucyą i stawała się czynem w dziejach krajowych. Myśl u nas nie pada, jak ziarno na nie urodzajną ziemię. Nurtuje w piersiach, świta nadzieją, zapala się słońcem. Słowo staje się ciałem; ciało ożywia się duchem. Tak w polskiej jaźni działa duch w swej pełni. Na zachodzie jak widzieliśmy ten *Mysł* rozgałęziony dwiema wylewa się ogromnemi korytami. Tam *rozum*, lub *uczucie* naprzemian staczają walkę Tytanów. Tu słońcem jednej prawdy żywej wschodzi *Mysł*.

Twórczość jest Mysłu potęgą. Niby słońce promieniami, tak mysł twórczością jaśnieje naokoło. Jak umysł z uczuciem roztaczają niebo idei, jak rozum doświadczalności rozlewa morze; tak tworzenie żywe jest mysłu dziełem. Mysł pełnej prawdzie daje życie.

Najpierwszym, najjaśniejszym, najprzezroczystszym twórczości Mysłu przejawem, jest poezya. W poezyi-to jaśnieje całém słońcem Mysł twórczy; siłą Twórczości najoderwańsze idee, metafizyczności niebo z zmysłowymi kojarząc kształtami, niebo żeniąc z zieloną życia ziemskiego rozłogą; on tu koniecznie jest twórczy. Tu się te dwie połowy równoważą. Gdzie się rozwiązują z tej równowagi, w martwych leżą gruzach. Gdzie się rozpada poezya, albo zaczyna się zbiór drobiazgów doświadczalnych, bez szyku, bez ładu i składu albo badania systematyczne strony idealnej, umysłowej — metafizyczność. W poezyi, niby w boskim Apolinie, jednoczy się piękność dziewicza z męzką siłą Herkulesa. Z oblicza poezyi rozpromieniają się, niby od Apolina ognistej lutni, wszystkie promienie umysło-

wości i zmysłowości. Grono wszystkich dziewięciu Muz w poezyi ma swój zjednoczenia węzeł czarowny, boski. Poezya jest pełnią wszelkiego życia.

Jak Grecy w starożytności, tak Słowianin między współczesnemi plemiony poezyą najokazalej, najpiękniej rozkwita. Jeśli Grecy tak mocno wierzyli w poetyczne swe myty, w piosnkach swych i rapsodach zamykali wszelką naukę objawienia, tak, że całe dogmata religijne w tych piosnkach spoczywają; to u nas, gdzie już religja i objawienie wyleciało nad poezyę, nie mniej przecież poezya jest przedmiotem wiary, lubo już nie w religijnej materyi. Ziemskie już niebo, a nie Olimp, przedmiotem swym mają nasze piosnki i cała poezya.— Co tylko stanowi świętość rzeczy ziemskich, społecznego szczęścia, stosunków ludowych i narodowych, wszystko jak w Arce przymierza złożono u nas w piosnkach. Jeśli Homer, według domniemania uczonych, z rapsodów krążących w ustach Greków ułożył cudowną Iliadę i Odysseę, a Sturlezon skandynawskie Sagi w dziwną zebrał Eddę, to z tej obfitości piosnek krążących u nas w ustach ludu, jakiżby boski powstał utwor! Tu, jak z świętego źródła Gangesu Indjanin, potomność z tych pieśni, nacechowanych głębokiem doświadczeniem, boleści i niedoli kryjących w sobie owoce, będzie długo czerpać rady dla życia, z wiarą pełną, jak w religijne objawienia.

Jeśli przeto jesteśmy dziećmi poezyi, jak pan Bronisław powiada, toż istotnie *Twórczość* najdzielniej w nas przemówiła. *Twórczy Myśl* — to polski Bóg domowy.

Oprócz poezyi, polska o tem daje znać filozofja.— Jak u Greków, tak u nas, nie tej martwej, niby Sfinx grobowy, z gabinetu uczonego pedanta wychylającej

się, żądają filozofji, lecz tej żywej do głębi wzruszającej naturę człowieczą i gwiazdą zbawienia jaśniejącej w pielgrzymce życia — dziś szukają pragną i łakną filozofji u nas, u Słowian. Nie ten u Greków był filozofem, kto wielkie i niezrozumiałe tomy napisał; lecz ten, kto sercem ukochał mądrość, by ją w czynach publicznych, w sprawach narodowych objawiać. Tak i u nas »*niedość wiedzieć dobre, ale je wypełnić i potwierdzić czynem należy* — woła Alex. K. (w Przeglądzie nauk. z powodu odezwy Gołuchowskiego) — *tak jako Chrystus nie tylko słowem, ale czynem i śmiercią dowiódł tych prawd, jakie objawiał ludzkości* « — Wiedza bez uczynków martwa jest i niezbawi nas. Oto nasza filozofja, słowiańska mądrość.

I rzeczywiście, ta filozofja jest zupełnie nową, prawdziwie naszą, narodową polską. Nic dziwnego, że dotąd sobie nie wyrobiła nazwiska. Trentowski nazywa ją *filozofją różnojedni*, obejmując najróżnorodniejsze systemata w jedno pełne ujęcie, lubo niekiedy niezbyt żywotne, nawet dość mechaniczne. Cieszkowski znów woła: *Czyn*, oto polska filozofja! — i nazywa ją *filozofją czynu*: lubo czyny mogą się nieustannie dokonywać, najrozmaiciej i najfantastyczniej, jak *np.* całe dzieje wojen krzyżowych, bynajmniej żadnej nie objawiając filozofji, ani będąc jakąkolwiek zpowodowane zasadą. Edward D., jako porywczszy od tamtych, odrazu woła: to jest *stanowisko Twórczości*, na którém stanęła filozofja w swem rozwinięciu, bo nietylko na martwej wiedzy, ani na samotnym czynie zależy, lecz w wiedzy i czynie, w wierze i uczynku razem się rozwija. Słowo i ciało, jej dwa skrzydła Cherubinowe, na których wzlata ku niebiosom. Tak, to nazwisko dla niej zdaje się być naj-

odpowiedniejszém. Czém jest naród, tém jego filozofja. Skoro rzeczywiście jest twórczy, jak dowodzi tego już filozofją różnojednoczenia, już filozofją czynu, to niezawodnie jego filozofja, filozofją stanowiska twórczości być musi.

To przynajmniej widoczna, że w poezyi i filozofji stanęliśmy samodzielnie. W poezyi i filozofji własną mamy szkołę, odrębną, polską i żywych rysów pełną. Tu Mysł nasz zakwitł w pełni i, jak niegdyś w błogiej Grecyi, rozpromienia ognie Twórczości na szerokich obszarach życia.

Przecież dużo braknie nam, byśmy nasz Mysł z greckim w zupełności obok stawić mogli. Bo Grecya swą Twórczość w najrozliczniejszych roztoczyła kształtach, w milionowych wdziękach czarodziejskich Muz. Nie jeno tam poezya zabłysła. W około poezyi słońca, niby w około rydwanu Apollina wzięły się za ręce do uroczego chorowodu dziewięć dziewic, każda z inném godłem sztuki swej. Gdzież u nas te dziewięć Muz? Sam u nas Apollo toczy z rydwanem poezyi, lecz samotny, bez Muz siostrzyc, coby mu towarzyszyły po błękitach górnych. Oprócz niektórych, ani można przepowiedzieć czasu, kiedy zdążą do nas; a może i nienależy ich wcale wyglądać. Architektura, rzeźba, malarstwo, nigdy niezabłysły u nas samodzielnym blaskiem. Więcej zakwita u nas muzyka, gdyż tej najbliższe z poezyą powinowactwo. Przecież może i te boginie założą kiedyś swe siedziby nad brzegami Wisły. Nie obiecujmy jednak sobie rychło wyrobić osobne szkoły dla architektury, rzeźby i malarstwa, a to z powodów, jakie, mówiąc o *pięknu*, wyłuszczym. Teraz wspomnijmy lepiej powody, dla czego u nas Twór-

czość rozkwitła więcej, niż w germańskim i celtyckim szczepie.

§ V. *Podstawa różnic narodowej Twórczości.*

Jaźń narodowa przybiera w rozwiciu swém rysy, jakie miejscowość sama zakreśla. — Inne są siedziby słowiańskiego, a inne celtyckiego szczepu. Spójrzyjmy na kartę.

Gdzie się usadowił szczep celtycki, dokoła całej ziemicy, odnogi, przystanie i rzek ujścia. A wszystkie roztwierają drogę na otwarty ocean. A ocean właśnie wywołuje mieszkańców na zewnątrz; z głębi lądu na otwarte pole działalności, do przedsięwzięć i żeglugi, do nieustannego ruchu zachęca. Takowe właśnie ukształtowanie siedzib celtyckiego szczepu wyrobiło jego rysy. Ztąd ta żywość charakteru i działalność nieuchronna. Ztąd ta zmienność opinij. Na zewnątrz wytężone oko narodu. Zewnątrz szuka pokarmu dla ducha. Z zewnątrz czerpie natchnienie Mysł twórczy tego szczepu. Nieskończona rozmaitość świata zewnętrznego, nieustanna zmienność form zmysłowych, nieustanną budzi ruchliwość ducha. Ciągle go drażniąc nie daje mu na chwilę zajrzeć w siebie i w dzielném ujęciu szczegółów nieskończonej rozmaitości stanąć samodzielną stopą i twórczości sztandar rozwinąć.

Gdzie się usadowił szczep germański, mało brzegów morskich, a i te jakie są, płaskie i mieliste. Odnóg i przystani tu niema takich, jak na brzegach Francyi lub Włoch. Zamknięte wyjście na morze, natury rogatkami. Siedziby zaś mnogich odnóg tego szczepu

kryją się w rozgałęzieniach licznych ojczystych ich Alp. Mieszkaniec między gorami zamknięty, prócz nieba i ziemi, żadnego naokoło niema krajobrazu. Jestto więzień w głębokiej turmie. Cała też działalność tego mieszkańca cofa się wewnątrz. Duch jego na zewnątrz nic nie znajdując, prócz jednostajności, wewnątrz siebie się zwija. Wewnątrz szuka natchnienia. A świat wewnętrzny jednostajny, nudny, niby błękit, lubo zarazem czarowny i zajmujący, monotonny jak organ żałobny, lecz głęboko wzruszający. Przy wielkiej powolności i ociężałości, rozwiło się więc u tego szczepu — głębokie uczucie. U tego tylko ludu rozmierzono głębie ducha, skreślono jego dzieje, i umysłowości napisano statystykę. Mnogie systemata ich filozofów, są właśnie historyą i statystyką duchowego państwa. Ująwszy się w swej jedni, naród germański miał porę stanąć samodzielnie, swą narodowością rozwidnić się i w stałym ukazać się charakterze. Zbyt odrębne rysy urobiło miejscowe ukształtowanie siedzib germańskich na tym szczepie. Żaden z narodów niebyłby w stanie tak rozkryć krain ducha, jak Niemcy, tylu dziełami filozoficznémi. Żadenby nie miał tyle energji w sobie, co Niemcy, czysto-duchowémi pojęciami, abstrakcyjnemi protestantyzmu ideami zwalić sredniowieczną budowę zbyt uzmysłowiającego się katolicyzmu. Tylko w Niemczech mógł się urodzić głębokoliryczny *Szyller;* tylko Niemiec mógł napisać *Fausta*.

Widne, rozległe pola, kwieciste równiny, przepasane spławnémi rzekami, mającémi ujścia w Baltyckie i Czarne morza, wydzielone zostały przez Opatrznosć na siedzibę słowiańskiemu szczepowi. — Przed okiem mieszkańca, niby przed skowrónkiem zawieszonym nad polami u błękitu, rozwijające się łany, rozkładające

się wzgórza za wzgórzami, musiały obudzić jakąś radość i tęsknotę zarazem za jakiémś życiem swobody i poezyi. Tu człowiek oddycha pełną piersią. *Leci, buja, jak skowrónek*. Nie ścieśniają wzroku jego posępne góry; ani też zbytni ruch, łoskot warstatowych toporów, jaki napełniać zwykł przystanie, ani wark maszyn niepłoszy jego myśli od spokojnego zadumania i zamyślenia się o tém życiu pełniejszem, swobodniejszem. Tu on *wie, co to być ptakiem*. Już swą czynność na zewnątrz, już wewnątrz kieruje. Natchnienie na obie połowy Jaźni jego uderza, już od zewnętrznych i wesołych idąc obrazów, już z głębi tęsknego ducha. Tylko Słowianin ma tę dziwną ozdobę retoryczną, jakiej tysiące mamy przykładów w naszych *krakowiakach*, gdzie obrazy przyrodzenia żywo zlewają się z duchowémi pojęciami. A podobnych krakowiaków, co zabawa wiejska, co wesele, tysiące się rodzi. A kwoli temu i lekka, łatwa ich forma posługuje; bo nic prostszego i naiwniejszego, jak w dwuwierszu myśl swą dwoma, zmysłowym i umysłowym ożywić pierwiastkami. — Owoż na takiej ziemi tylko, nie gdzieindziej, musiała urodzić się poezya, ale poezya żywo z ducha płynąca i do żywa dojmująca. Ten poetyczny żywioł przeniknął nawet w życie rzeczywiste; w dziejowości, w pięknych charakterach, w obyczajach, musiał się uwydatnić. Dość spójrzeć na tę poetyczną przeszłość, miłą, lubą, niby dzionek majowy na wsi, niby swobodna, wesoła uczniów majówka. *Genlis*, która na czczej towarzyskości skreślenie, na wpojenie wzrastającemu pokoleniu towarzyskiej ogłady, cały wysilała dowcip, jest nieodrodną córką swej ziemi. Francya tylko mogła wydać Genlis. *Bettyna* i *Rahel*, sentymentalne kochanki Getego — to istne Niemki z całą ich

przesadą. Tylko Niemka na podobne w stanie zdobyć się uniesienia. Lecz kobieta, co cichém, skromném, w prostocie wzniosłém piórem przemówiła do sióstr swoich, co swémi wdzięcznemi pismami wychowała całe nowe pokolenie, do czynów zadziwiających, do wielkiej usposobiła je przyszłości, na słowiańskiej tylko ziemi zrodzić się musiała. Polka tylko być mogła autorką nieocenionych *Rozrywek*.

Owoż tu ma zasadę wewnętrzny zaród słowiańskiego szczepu, którego najpierwszym przejawem, dziejowo, wystąpiła poezya, poezya dziwna, zachwycająca swą barwnością życia, jako i wielostronnością żywiołów i dążeń.

Lecz niemniej tu działają i wpływy od zewnątrz uderzające na Jaźń narodową. Owe dwa ostateczne, różne bieguny germańskiego i celtyckiego szczepu, Słowianin jednoczy w jednią, dając gościnny u siebie przytułek obu wprost nieprzyjaznym u siebie żywiołom. Tu początek sławnej u pana Bronisława *różnojedni*. Jest to równie twórczość — przecież nie ta z żywego źródła wnętrzna wylewająca się, ale twórczość na kunsztowym oparta mechanizmie; jest to artystyczne zeszczepienie rozdartych połów, sklejenie włókna z włóknem, tkanki z tkanką i miazgi z miazgą w świadomości drzewie, ale nie Twórczość żywa, przenikająca swym płomieniem. Ztąd może więcej narodową jest filozofja stanowiska Twórczości, niż różnojedni. Boć owe narody, które w części są zlepkiem obu zarazem tych szczepów przeciwległych, jako Anglicy, jednocząc się z tak różnych zaczątków, podobnej filozofji różnojedni posiadają w sobie zaród.

Wpływ podobny od zewnątrz często nawet przyrodnią, rodzimą tłumiąc działalność, znajdował odgłos

u nas, dopóki duch narodowy nie wystąpił samodzielnie i własnej nie okrył się jutrznią twórczości. Wszakże nieraz się słowiańszczyzna to pod francuzkiej, to pod niemieckiej filozofji zaciągała szkołę. Zdawało się, że koniecznie ma jednej z tych rozdwojonych chwycić się połów życia. Lecz oto dziś z siebie pełną, rzeczywistą wykrywa twórczość. Z siebie prawdę wyradza taką, jaką jest — żywą, okrągłą, jako słońce i jako słońce jasną.

§ VI. Różna jej potęga.

Tém dzielniej opiera się twórczy duch narodu obcym na niego wpływom, im wyższą posiada potęgę Twórczości.

Najpierwszy Twórczości objaw, pierwsza jej potęga, jaką miljony całe przejawiają, z pomocą której każdy członek społeczności przędzie pasemko swoich zatrudnień domowych, lecz tak szczupłe i skąpe, że tylko w nie siebie samego, z jedną swoją domowością osnuwa, nazywa się *zdolnością*; bo ona udolną jest jedynie pojedynczości osobne i martwe dokonywać, jakowych mnogość nastręcza się na drodze ciągłych potrzeb. Mówimy więc *zdolny pisarz* o tym, kto zdołał wypracować biegle jedno, lub dwa dziełka elementarne, kto wziąwszy najlepszego historyka jednego, drugiego, ułoży z nich porządną kompilacyą i poda do czytania publiczności, zaspakajając jej głód w przedmiocie historyi. Professor, który zdoła uczniom rozwinąć dokładnie i jasno przedmiot swój, jest także zdolny. Zdolność to obdarza nas dobrymi tłumaczami, niezmordowanymi badaczami w przedmiocie filologji i gramaty-

ki. Ona, skrzętna gospodyni, otrząsa z pyłu stare rękopisma, wyjaśnia, porządkuje daty; pisze obrazy bibliograficzne, zbiera podania, piosnki. Ona znajomi nas z arcydziełami robiąc ich wierne kopje. Nieśmiała, czując w sobie brak tej potęgi czarnoxięzkiej, wszechwładnej, i tej niemylności, która jest udziałem genjuszu, posługuje się we wszystkiem, co buduje, węgielnicą Loiki. Nie lata wysoko, nie spada też w przepaść. Grunt jej pewny, niezdradliwy; praca ciężka i niewdzięczna. Ona orze pługiem, ciągnie taczkę. Cieszy się, gdy kopiąc natrafi na bryłę złota, którém nie ona, lecz genjusz kiedyś utka sobie szatę. Umiera spokojnie, patrząc z podziwieniem na te granitowe opoki, które z pokładów podziemnych wydźwignęła na powierzchnią ziemi, nie Twórczości potęgą, ale wytrwałością jedynie i pracą.

Druga potęga Twórczości nazywa się *Talentem*. Ten zdolny więcej niż jedne oddzielnie brane pojedynczości dokonywać, bo on nadto wszystkie, ilekolwiek ich tworzy, wiąże w jeden rodzaj. Przestają więc to być szczegóły martwe, lecz one tu zostają ożywione wspólnej rodzajowości duszą. Ztąd w każdej z tych pojedynczości dysze całego rodzaju myśl, dusza. Jestto Twórczość owego malarza, który dobrze malował cyprysy. Jestto Twórczość każdego pejzażysty, portrecisty, każdego kompozytora walców, aryj. Jej panowanie już w tej potędze nie ogranicza się szczupłą domowością, ale rozszerza się na całe koło wielbicieli jednego i tegoż rodzaju, którzy mu hołdują. Możnaby ją nazwać Twórczością rodzajową, bo jeden ciągle rozwija rodzaj doskonaląc pojedynczości jego. Talent za nadto dumny aby miał tłumaczyć, zdejmować kopje, wygrzebywać z gruzów daty i imiona, usługując

publice zaspokajać jej codzienne pierwsze potrzeby. Sądzi to niegodném siebie. On ma pretensye do tworzenia samodzielnego, jako sam genjusz. Przecież nie posiadając w sobie zasobu wielkiej Twórczości potęgi, nie osięga oryginalności i stoi, mimo wywyższania się nad zdolność, w rzędzie jego naśladowców. Tak talenta to, przybierając barwę jakiego genjuszu i w tworzeniu, nibyto samodzielném, jego żyjąc pomysły dają początek szkole. Talent pogardza loiką, jako narzędziem zdolności. Chce jako genjusz władać i urzekać tłumy ducha potęgą. Ztąd wpada często w przesadę, w śmieszne wynoszenie się z tego, czego nie posiada; powiada, że go tłumy niepojmują, gdy mu prawdę kto w oczy stawi. Zresztą sam zadowolony jest sobą, upodobniając się w charakterze jakiemu mistrzowi. W tej potędze Twórczość jestto śmieszna *bourgeoisie*, koniecznie wciskająca się między możnych. Cała massa talentów nie wiodąc ludzkości po nowych torach, ale usługując choć niewyraźnie ogółowi tak jak i zdolność, stanowi świetny orszak genjuszu, zwiększa blask warkocza komety. — Zdolność w całém mnóstwie szczegółów, które tworzy, nie w stanie wyosobnić swej indywidualności. Zawsze obumiera w ogólności morzu, nigdy nie pała rumieńcem czerstwym pełnego życia i własnej nie ma barwy. — Talent już ma instynkta jednego rodzaju, jednej szkoły nosi barwę. Talent żyje tylko rodzaju życiem, albo szkoły duchem; przeto jest jednostronny. Zostaje wielostronnym, gdy samodzielnie, z pełną swobodą, indywidualnie wystąpić zdoła; przestaje wtedy być rodzajem, a staje się ludzką jaźnią — twórczą. — Naówczas przybiera nazwisko genjuszu.

Genjusz jest trzecią potęgą Twórczości. Tu już Twórczość występuje, jako wolna, samodzielna poje-

dyńczość — osoba z charakterem, rysami i barwą indywidualną, sobie tylko właściwą, która nie niknie i nie rozprasza się w ogólnej wszystkości, ani się owija jednego rodzaju, albo jednej szkoły płaszczem. Przeciwnie unosząc się po nad wszelkie szczegóły, tak oderwane i martwe, jako i ożywione duchem jednej rodzajowości lub szkoły, genjusz tworzy zjawiska pełne rozmaitości i wielostronnego życia, układając je z całych rodzajów, które tak wiąże w jednę całość doskonałą i ożywioną, jak to zrobił sam Stwórca z dziełem swej ręki — światem, gdzie tyle najróżnorodniejszych połączył szczegółów, związał je i ożywił wielką jedną duszą, co niby płomień od wieków, przelewa się po tych szczegółach, żarzy się, gaśnie i znów bucha. W tém wielkiem dziele każdy szczegół jakże ściśle i żywo łączy się z ogółem! Nic tu zbytecznego, ani całości na niczem nie zbywa. Jestto pełna doskonałość. Bo to dzieło ręki Stwórcy. — Nie tak jest wszechmocny i wszechstronny genjusz śmiertelnego twórcy. Unosząc się nad ogółem swego dzieła, traci często z uwagi drobne szczegóły, czy może nie sądzi ich godnymi swego zajęcia, jako ów malarz malujący Alfresco. Czasem znów odwrotnie: zaprzątnięty wykończeniem szczegółów w całkowitym ich układzie, ileż często dysproporcyi i nieodpowiedności się dopuszcza i grzeszy przeciw ogółowi! Przecież to cecha genjuszu, iż zawsze ku ogółowi więcej przechyla się w swym polocie; gdy tymczasem prosta zdolność gubi się w szczegółach. Genjusz z wysokości niebios spogląda na pole swych czynów i całości przepisuje rozmiary, stwarza dziwne kształty dla panteonu i dla bazyliki Ś-go Piotra. Zdolność przysposabia cegły i marmuru ogromne bryły. Talenta pracują nad wykuciem z tego marmuru kapitelów, sztukateryj,

z cegieł formują gzemsy, wygładzają części. Ale genjusz tylko buduje całość.

Ztąd dzielność genjuszu niezmierna i potężna. Genjusz swe panowanie rozciąga często po nad całą ludzkością; w swoje pomysły, niby w sieć złocistą, otoczy półświata i pociągnie z sobą do szczęścia lub zguby. Co tworzy, ma cechę bozkości, jako wielostronne, pełne, ożywione potężnym jego duchem. Genjusz-to w tym świecie stworzonym, niby Bóg ziemski, tworzy drugi osobny świat, w dziejach, urządzeniach społecznych, lub też w krainach umysłowości. Rychło w zapomnienie idą dzieła zdolności, często równocześnie zstępując z nią do grobu. Trwalsze są płody talentu, bo żyją przynajmniej tak długo, jak długo żyje owo kółko społeczeństwa, które czerpie z nich soki pożywne. Lecz dzieła genjuszu, jak sama ludzkość, na której własność przechodzą, nie umierają. I zaiste, *jeden genjusz z rzeczy ziemskich ma prawo do nieśmiertelności!*

NOWE WYRAZY W POLSKIEJ FILOZOFJI.

Mysł (*Wahrnehmung*) jest szczytem wszelkich władz naszego poznania. W nim stapiają się zmysł, wyobraźnia, pamięć i rozum, um, rozsądek i umysł, uwaga i rozwaga; właściwie przeto nazwać go można źrzódłem wszystkich nauk ścisłych i ojcem filozofji.

Rozłoga, znaczy to, co u Niemców *die Substanz*. Wyraz ten powstał ztąd, że materya jest bez końca podzielna, daje się bowiem w najcienszém nerwowém włóknie rozłożyć.

Jaźń (*das Ich. Egoitas.*) oznacza istotę człowieka w jego realno-cieleśnej i idealno-duchowej naturze. Człowiek jest jaźnią, czyli obrazem i podobieństwem Boga, w doskonałém połączeniu ciała i duszy. Jaźń człowieka w filozoficzném znaczeniu czuje się bóztwem, bo idzie jedynie po drodze prawdy.

Różnojednia — jestto oryginalne prawo systemu Trentowskiego, za pomocą którego przyprowadza on do zgody wiecznie z sobą walczące w filozofji i teologji stronnictwa i które uważa za *criterium* wszystkich rezultatów empirycznej i spekulacyjnej filozofji.

M Y Ś L I

O WALNYCH PRZEDMIOTACH NOWOŻYTNEJ LITERATURY,

wyjęte z przedmowy do 2-ej części *Jordana*, fantazyi dramatycznej przez Antoniego Sowę (1).

Voila la grande difficulté: elever le bruit confus de la foule jusqu'à la dignité de l'art, s'inspirer librement du spectacle des choses presentes, et donner en de serieux symboles une consécration idéalę de la pensée populaire!

S. R. Taillandier.

....—Pisarze i Krytycy (do tych ostatnich liczę całą massę wykształconą czytających) winni w stosunku do siebie bezwarunkową miłość prawdy, odrzucając wszystkie względności indywidualne. Stara to za nadto prawda, lecz nigdy za nadto święta. Oby tak było, jak

---

(1) Dając miejsce tym Myślom w naszym zbiorze, chcemy, aby autor *Jordana* widział w tém dowód, jak wysoko cenimy zaufanie, którém nas zaszczycił, powierzając prywatnej naszej recenzyi swój wielki, wielkiego znaczenia utwor poetyczny — utwor, który bez przesady nazwać można brylantem dzisiejszej polskiej Minerwy. (Wyd.)

być powinno! Czemuż niestety tak nie jest? dla czego dzisiaj jeszcze mówić o tém potrzeba? — Koterye literackie, podobnie jak sektarstwa religijne i partye w życiu publiczném, szukają dla siebie podpory w sztucznych jedynie, konwencyonalnych środkach: — to brak wewnętrznej siły, brak ducha. Wszyscy tą rutyną postępujący *quasi* — estetycy dwojakiej trzymają się zasady, bo raz dla podniecenia talentów obstawać zdają się za krytyczną tolerancyą, zachowując sobie nieograniczoną wolność chwalenia swojej koteryi wyznawców; drugi raz w zupełnie przeciwną wpadają ostateczność, rzucając zażarte (prawie jeszcze przed wyjściem xiążki gotowe) recenzye na zwolenników drugiej partyi. Obie te zasady i środki jak są nieszlachetne tak i bezowocne. Przegląd historyczny krytyki europejskiej przekonał nas wszystkich, co czytamy, że krytyka taka przedzierzgając się w kunsztowne *quolibet*, jest niejako abecadłem wzajemnych pochwał lub przeciwnie. Tak było w przedostatniej epoce naszej literatury. Jak jest dzisiaj? — niech na to krytyków sumienie i czytająca Publiczność odpowie. — Jeżeli kto niewierzy, że wybuchów Wezuwiuszu tysiące niezasypie grabarzy, że biegu Missisipi tysiące niezatamuje grobli, to niech przejrzy najzłośliwsze recenzye pierwszych a wielkich utworów Schillera, Byrona, Jean Paul'a, Adama i t. p; — bo z drugiej strony mało to ludzkość obchodzi, co ma jakąś wartość pod względem tylko konwencyonalnym i wszystko dla niej jedno, czy kto przy sztucznym ogniku jedną lub dwie dla siebie pochwały upiecze, czy przy sztucznie napełnionym kanale jeden wór lub cały spichlerz plewy zmiele. Krytyka prawdziwa ze stanowiska swojego kapłaństwa i sądzić i rozgrzeszać, i nauczać i błogosławić lub potępiać powinna, a zawsze po-

dług stałych, uświęconych artykułów estetycznej swojej wiary. Jej przepisy są jak konfessyonału przepisy. Żadne kapłaństwo konwencyonalne być niemoże, a krytyka bez tej godności krytyką nie jest. Im bardziej sąd publiczny dojrzewa, tém krytyka wyżej wznosić się musi. Smutny jest bardzo stan umysłowości, gdzie krytyka nie jest organem społecznego głosu, ale tylko narzędziem xięgarskiej spekulacyi albo szermierstwa. Niebędę wypisywał imion jawnogrzeszników krajowej literatury, radbym ich raczej ujrzeć jutro uświęconymi kapłanami. Są grzechy społeczne, które wczora jeszcze były powszednimi, a dzisiaj już śmiertelnymi się stały. Niemamy prawa dzisiaj być tém, czém byliśmy wczora, ani jutro, czém dzisiaj, bo niedarmo dla nas wschodzi i zachodzi słońce. Uważałem za dług mój dorzucić tych parę myśli, jako grosz wdowi, do karbony przejawiających się u nas w teoryi i czynie wyższych i piękniejszych pojęć o krytyki kapłaństwie.

Autor *Jordana*, może fałszywie, lecz z dobrą wiarą, pragnie wypowiedzieć swoje pojęcie o czynie. Nieraz się nam zdarzało słyszeć, czytać i boleć nad jednostronném pojęciem znaczenia czynu, który staje się hasłem naszej epoki. Nie każda przecie robota, nie każda czynność jest już czynem. Czyn w swojém prawdziwém znaczeniu i na swojej wysokości pewnej normy jest zawsze albo bezpośrednim objawem genjuszu w widomej szacie słowa, niby jego krwią i ciałem, jego przedstawicielem, albo dzieckiem ducha czasu. Wielkie naprzykład słowo poskramiające zawziętość pychy i niesprawiedliwości jest czynem takim, jak zwycięztwo licznego wojska. Wielkie słowo ducha, co zapłodni i ożywi piersi tysięców, co tysiące piersi podniesie, uszlachetni, nakarmi moralnie, jest czynem równie jak ofia-

ra ze spichlerzów zboża, co tysiące żołądków nasyci i od śmierci zachowa. Im bardziej życie umysłowe, pojęcia kraju są wykształcone, im bardziej duch podniesiony, tém wyższe i szlachetniejsze tam czyny; tam nawet każdy uczynek, każda czynność w ukryciu domowém podnosi się na wysokość czynu, bo jest promieniem ze słońca idei, która dążnościom i szczęściu ogółu przyświeca. Nie można wyrość w znakomity czyn bez znakomitego ducha wzrostu i ten ostatni warunek zawsze pierwszemu przewodzi. Tylko słowo staje się ciałem. Każde młode pokolenie, to bogactwo i pełność życia, ten skarb i ozdoba swojej epoki i społeczności, jest urną, w którą duch czasu i potrzeb społecznych składa swoje słowo. Przyjąć to słowo z gotowością ofiary, z uczuciem poświęcenia się, przyjąć je ze czcią, w niém się wykształcić, uczuć siebie, zrozumieć i oddać życie swoje, to znaczy — kochać Boga, kraj i ludzkość, znaczy — być dobrym chrześcjaninem, prawym synem epoki. Młode pokolenie, to siła i władza! nienadużyć, niezkompromittować tej siły, to jedno, co być wszechstronnie silnym, niezwyciężonym! Każda epoka, każdy czas innego po nas wymagają czynu. Inny rodzaj czynu jest Cyncynata, inny Piotra Wielkiego, inny Sokratesa, inny Wilhelma Tella i t. d.

Pomysł 2-ej Części *Jordana* oparty jest na wypadkach domowych historycznych ostatnich lat kilkudziesięciu, o rzeczywistości których współcześni, świadomi naszego domowego życia, sumiennie zaświadczyć mogą, uwalniając autora od zarzutu zfałszowania prawdy. O ile przedstawione typy są charakterystyczne i prawdopodobne, niech światli rozstrzygną czytelnicy. Daleki jestem od wyobrażenia, abym myślącej i szlachetnie czującej u nas liczbie współobywateli powiedział tutaj

co nowego. Wiedzę dzisiejszych rzeczy i przeczucie jutra tu tylko po swojemu, swojemi słowy oddałem. A jeżeli spożywanie Eucharystji jest spożywaniem Samego Boga, wszelki więc podział moralno-uczuciowy u ołtarza wspólnych życzeń dla dobra ludzkości nazwać można spożywaniem Ducha S. Jedną tylko i to najmniejszą zostawiłbym sobie zasługę w dobrej intencyi, która przewodniczyła mojej xiążce, ale i tej wyrzec się muszę, pomnąc sprawiedliwe poniekąd przysłowie portugalskie; »*dobremi intencyami piekło jest brukowane*« — bo z prawdziwie dobrej i gorącą chęcią uświęconej intencyi musi wyrość uczynek intencyę reprezentujący. Mimo to wszakże dobra intencya zawsze ma pewną moralną wagę, chociażby ztąd, że jest jawném zaprzeczeniem faktów rodzących się z demoralizacyi. Jeżeli rozwiodłem się w tém dziele nad złym stosunkiem jednego do drugiego stanu, nad złémi a często zbyt nieszlachetnémi nadużyciami klassy społecznie przeważającej; to w imieniu podzielających moje myśli i uczucia współobywateli wyraziłem także powody znaglające do takiej manifestacji. Pan Bóg raz jeden wszystkich oświeci, odkupi i zbawi, a kto myśli, że prawdę zchowa, oszuka się jak ów zły duch, który sądził, że zagrzebawszy do ziemi garść zboża głodem umorzy cały rodzaj ludzki. Najmocniej jednak pragnąłbym powstać przeciw jednej a bardzo u nas tolerowanej zasadzie, która tym da się wyrazić cudzysłowem: »*na coto swoich dotykać wad, na co dawać powód nieżyczliwym swoim do tryumfów — wszak wszyscy wiemy, że to jest złe?*« — Ale zkąd rękojmia, że wiemy!? I zwyczajna ta tirada kończy się sofistycznym argumentem: *zły to ptak, co swoje gniazdo brudzi.* Ależ dotykać wad, jestto przecie oczyszczać gniazdo, nie brudzić! jestto w imie-

niu swoich współbraci uderzyć się w piersi! — każdy bowiem pisarz, acz najniższych zdolności, acz najmniej obudzający sympatyi, jest organem pewnej liczby podzielających jego myśli i uczucia, jak najniedorzeczniejszy wśród sejmu deputowany jest przecie reprezentantem pewnej massy niedorzeczności! Za cóżby więc przyjęta i uświęcona zasada w Religji i Etyce, że przyznanie się do winy jest już krokiem postępu na dobrej drodze, miała w znaczeniu rozleglejszém tracić swoją moralną wartość? Każdy przecież, kto się do winy niepoczuwa, obrażonym być niemoże; a kto będąc winnym przyznać się do tego niechce, ten jest nieszlachetny! Przecież są winy całych pokoleń, jak indywiduów, do całych więc pokoleń należy zmyć historyczne winy. Drażliwość zaś na tryumf nieprzyjaciół z wad naszych wyda się dziwactwem każdemu, kto ją postosować zechce z fatalnymi skutkami obojętności naszej na te wady. Zaprawdę śmieszną to jest rzeczą zajmować się jakimiś ubocznymi względami wtenczas, kiedy cała nasza uwaga powinna być zwrócona na przedmiot głównie nas obchodzący. To mi przypomina jednego z dworaków francuzkich, który, już prawie umierający, prosił obecnego króla, aby nieraczył mieć o nim złej opinji, kiedy konając będzie robił nieprzyjemne miny (!). Przystałoż myśleć o sobie i o opinji choćby królewskiej wtenczas, kiedy o Panu Bogu myśleć potrzeba było?.. Ale nieraz czułość zciera się z sumienia indywiduów, jak żywe srebro ze zwierciadła, bywa nawet, że ten fakt okropny spełnia się na całych warstwach społeczności; — wtenczasto umrzeć jest jedyną zasługą i tu jest wielkość prawdziwa śmierci! Cześć umarłych jest też obowiązkiem chrześcjańskim, jak chrzcić nowonarodzonych...

Czasy panegiryków przeminęły; powtórzym wielkie słowo Schillera: *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht.*

Jordan w 2-ej części jestto ten sam Jordan, co i w części 1-ej. Tam był on w stanie przejścia z życia kontemplacyjnego do życia czynnego, to jest, na dzisiaj człowiekiem czynu. Może moralna jego fizyonomia zdziwi niejednego czytelnika? — Ten umysł poetyczny, marzący, *l'ésprit romanesque*, zchodzi do sfery życia rzeczywistego. Może lepsze miano o nim nadzieje, o przyszłości jego ognistej duszy? może się spodziewano widzieć go bardziej excentrycznym, z innémi troskami na czole? — to nie jego wina. Autor chciał go mieć dzieckiem dzisiejszej epoki, w sferze domowego życia, które jak na dzisiaj zupełnie mu przystało. W dzisiejszej świtającej epoce podług pojęć autora każda wielkość excentryczna bardzo maleje. Imiona wielkich bohaterów i wodzów, ich rozgłośność była najczęściej stygmatem nagromadzonej siły materyalnej a reprezentowanej tylko w jednostce, co ją tak zadziwiająco wielką czyniło. Istotnie byłato wielkość swojego czasu. Ażeby być wielkim, potrzeba było być silnym; na dzisiaj aby być wielkim, potrzeba być cnotliwym. Cnota a wielkość, to jedno.

To, co się nazywa w historyi periodem, epoką, jest niczém innem, jak zwrotem historycznego koryta, zwrotem, w najogólniejszém znaczeniu wyrazu, wiedzy dążącej do zrealizowania się, do przejścia w życie. Próżno rozum ludzki kusił się od wieków odległych starożytności aż do dzisiejszych czasów utworzyć pewne socyalne formuły, wymodelować stosunki społeczne ludów, zlać w jedną harmonję różnorodność indywidualnych interessów i usposobień, wynaleźć, że tak powiem, humanitarny diapazon, według którego wszystkie tony lu-

dowych stosunków nastroićby się dały. Ani utopje Platona, Morusa, Campanelli, Haryngtona, ani potworne Muncera zasady, ani Owena antiobyczajowe postulaty, ani złotego wieku Towersa sielanki, ani żadnego z najnowszych socyalistów marzenia nieznalazły powszechnego odgłosu, niemogły wejść w życie. Żadna albowiem teorya nietworzy życia, lecz jest życia wypadkiem; żadne społeczeństwo niedaje się uorganizować w sposób konwencyonalny, a tak uorganizowane rozprządz się musi. Jedna jest tylko, że tak sobie w stosunku do życia ludów nazwać pozwolę, utopja — Ewangelja, obejmująca wszystkie warunki doskonałego zpowinowacenia najsprzeczniejszych elementów; ale najpierwsza, najżywotniejsza jej zasada dotąd wcieloną nie była w życie ludów. Że udoskonalenie się duchowe podług zasad chrystyanizmu jest rzeczą dla ludzi dostępną, przekonywają nas żywoty świętych i tych ludzi nadzwyczajnych, dobroczyńców ludzkości, którzy swoją zdumiewali cnotą i którym hołdy czci współczesne i następne oddały pokolenia. Ale żadnego jeszcze świętego, żadnego nawet prawdziwie chrześcjańskiego narodu historya dotąd nam nieprzekazała! Göthe w jednem z dzieł swoich serio wyznał, że idea chrześcjańska dla swojej wysokości jest moralną własnością niektórych tylko indywiduów i że ona nigdy wcielić się nieda w massy.— Więc miałaby być moralną utopją!!? I na podobne sądy dość często w powszedniém naszém życiu natrafiamy, niemówiąc już o zaprzeczeniach stosowanych do indywidualnej świętości człowieka, do naśladowania Chrystusa i t. d. Nasza wiara w tym względzie zupełnie jest inna. Ja wierzę ze Ś. Janem w nową Jeruzalem i wierzę, że Chrystus nie przyszedł zbawić, podnieść i uświęcić pojedyńczych tylko ludzi, ale świat cały. Pro-

stą konsekwencyą myślenia zbija się owe antiracyonalne twierdzenie. Co dzisiaj niezmiernie jest pocieszającém i dowodzi pewnego już wdrożenia się w kolej czysto duchowego postępu, to upowszechniająca się wiara, że religja i narodowość są nierozdzielne jakby jedno ciało i że uczucie narodowości czyli głębokie przejęcie się bratnią miłością jest niczém innem jak tylko tym świętym uczynkiem, bez którego wiara, jak powiedziano, jest martwą. Gdyby, pomijając wszystkie inne dowody moralnego wzniesienia się ludów, ten jeden tylko fakt był przed naszémi oczyma, już mielibyśmy dostateczne przekonanie, że w massach poczęła się już ocykać myśl zbiorowej narodowej świętości, bo myśl zawsze przed uczynkiem iść musi. Zważmy, jakieto było przed laty życie wielu europejskich narodów na zewnątrz, zważmy ich negocyacye, ich wojny, ich wszystkie przesądy, a zaledwie niewidzimy tam sankcyonowanych narodowością rozbojów! A w domowém ich życiu widzimy małą liczbę wybraną, odznaczającą się polorem i powagą, widzimy kastę wielmożną, która dzierżąc w swym ręku talizman światła broni doń przystępu biedniejszym swoim braciom, prostaczkom, chcąc ich mieć ślepém narzędziem, niby surrogatem swego życia, które zezwierzęciało w próżniactwie i zmysłowych roskoszach. To, co historya powiada o śmierci jakiegokolwiek narodu, jest w ścisłém znaczeniu niczém innem, jak upadkiem egotycznej, zniewieściałej kasty. Narody, jak ludzkość, są nieśmiertelne, nieumierają aż do samego końca świata!

Lud nasz ma bardzo wiele wad obyczajowych, które tłumaczyć się dają nieoświeceniem, nędzą, złą opieką a częstokroć wpływem zgorszenia z góry; lecz jest w nim pierwotne, święte moralności ziarno, którego

najsmutniejsze nawet położenie jego wyplenić niezdołało : — to stanowi typową własność jego ducha. W czém zachodziła niezwyczajna trudność tego dzieła, mającego pójść na sąd światłej Publiczności, to w moralnej charakterystyce naszego ludu, w obrazach ze sfery jego uczucia — uczucia, któremu się niezwykło przypatrywać, a stokroć wygodniej było zaprzeczać go zawsze. A przecież doprawdy możeby było grzechem pomyśleć, że ten lud nasz, który codziennie kładzie na piersi swojej znak krzyża świętego; który dwa razy przynajmniej w życiu swojém, u chrztu i pogrzebu obrzędów, z królewskiemi równa się dziećmi; któremu niewzbroniono kochać Boga i bliźnich swoich, pozwolono płakać i cierpieć w skrytości — doprawdy mówię, możeby było grzéchem i ciężkim grzéchem pomyśleć, że ten lud niema serca zdolnego do uczuć szlachetnych!

Na krzyżu gołąb siądzie i krzyża ramiona
Skrzydłem Ducha świętego w jeden promień złączy.
Nie pycha, lecz pokora złość wytoczy z łona, —
I co miłość poczęła, to miłość dokończy.

PANICZ Z WIEKU XVIII.

Ballada Wołyńska.

»Mój Henrysiu, moje życie, jedynaczku drogi!
Czy pojmiesz ty należycie matczyne przestrogi?
Ty sierota; ojciec w grobie; ojczym tu praw niema.
Ja więc, matka, wskażę tobie zbawienne systema.
Tyś pan wielki! tego stanu trzeba godnym zostać;
Znać swą wartość i jak panu przybrać pańską postać.
Precz zdaleka szlachta prosta! Niech się tobie korzy
I grodowy pan Starosta i pan Podkomorzy.
Twój cel wyżej! — czém się szczycą xiążęta, hrabiowie —
Świetność, wojaż za granicą; sam ci król to powie.
Wszak on z dziada szlachcic szczery; w Paryżu, w Londonie
Nabył pięknej manijery i osiadł na tronie.
Kto wie, może los cię nada przeznaczeniem takiem?
Lecz zapomnieć wprzód wypada, żeś synu Polakiem.
Mowa nasza nas poniża, strój hańbi widocznie;
Metr i danser wprost z Paryża — to twoje wyrocznie!
Kontuszową wzgardź ojczyzną; trzymaj się ich zdania:
Menuetem, francuzczyzną sięgniesz panowania.

Mój Henrysiu, moje życie, jedynaczku drogi!
Czyś ty pojął należycie matczyne przestrogi?« —
O! pojął je, pojął szczerze! Piekło radę zbiera,
By mu szeptać za pacierze katechizm Woltera.

Zaledwie maj da liść młody, już jesień go zmiata:
Zegar bije, płyną wody, upływają lata.
Wśród stolicy, na ulicy jakiż tłum służalczy? —
O biesiadę, o paradę pan z królem tu walczy!
Uczta w zamku — tam uczeni co czwartku łeb suszą;
Tam rok cały szampan pieni; stu jedną tchnie duszą —
Duszą miękką, zniewieściałą, bez hartu i woli,
Jakoby już zmierzać miało ku służebnej doli!
Gmin poczciwy ztąd ma wzory, gość ma kraj otwarty;
Na czele też nie Batory, ale August IV!
Lecz po roku, zkąd ta w okü ponurość złowroga,
Co tłumaczy, że w rospaczy serce niezna Boga?
Gdzież dostatki, wróżba matki, i stu związek bratni? —
Z pod Owrucza, dziedzic klucza strwonił grosz ostatni!
Strwonił swój kwiat, co nam z krótkiem tchnieniem wiosny gości!
Zwiądł, i niema płatnych smutkiem owoców mądrości!
Z nieszczęśliwych szydzi dumnie, gdy w niebo się garną;
Świat mu bogiem; widzi w trumnie samą nicość czarną.
I z tych zasad dąży po to w urojeń obszary,
Aby zachwiać biedną cnotą, chwiać przyszłością wiary!
Świętokradztwo pomsty woła i wieńczy te wojny.
Umknął z kraju. Żal kościoła wszedł na sąd dostojny.
Oto świadki, a przy prawie Dygnitarz Korony,
Instygator w świętej sprawie, piorun Bożej strony!
Jękła matka, zadrżał możny; wpływu świat unika;
A sąd karze czyn bezbożny ucięciem języka!

Uszedł kary. Może tylko uszedł jej przed światem?
Może w ciszy, z każdą chwilką dusza mu jest katem?
Nie! zacięta trwa w nim pycha! Zbladły tam jak płatek,
Nie nad ciężką winą wzdycha, lecz na niedostatek.
Z lat on młodszych niemiał pewnie wrażeń o łzach skruchy,
By wygnaniec uczuł rzewnie balsam jej otuchy.
Zmiana rządu, ludzka praca i wdania się czynne
Dźwignęły go. Starzec, wraca w ustronia rodzinne;
By własnym tu czuł się wrogiem, lubo tulił krewny;
By dobił się tu nałogiem, swej nicości pewny!

Wy xiążątka, wy hrabiątka, chodźcie malcy do mnie!
Spada na was dar, pamiątka! Stać i słuchać skromnie!
Henryk kończy strasznym skonem; zdjęła wszystkich trwoga;
Ryczy, wściekłość miota łonem, bo nie wierzy w Boga!
Dziś bezbożność nam uwłacza i już się niezdarzy:
O budowie bez działacza ciemny tylko marzy.
Ale dziatki! wy niewiecie, czemu z woli nieba
Tylu panów jest na świecie, a biednym brak chleba? —
Oto, Bóg chciał spoić ludy bratnim obyczajem;
Dał im serce, złoto, trudy, by kochać się wzajem.
Obfitością darząc jednych, dał stosunkom zręczność;
By miał litość pan dla biednych, by biedny czuł wdzięczność;
By spojeni jak potrzebą, tak uczuć łańcuchem,
Ze słodyczą patrząc w niebo boskim tchnęli duchem.

Przedmiot tej Ballady jest rzeczywistym a najściślej opisanym tu wypadkiem. Świętokradztwo tak wielkiej było wagi, tak okropnie przejmujące zgrozą głębokiej wiary katolika, że poprzestać musiałem na samém

wspomnieniu o niém, nie śmiejąc dotykać jego szczegółów. Zdarzyło mi się dawniej czytać, z czasów Rzeczypospolitej, drukowane tej obrazy religijnej oskarżenie przez Podczaszego Koronnego Michała Czackiego pod tytułem: *Zbrodnia Henryka N.* — Późniéj słyszałem toż samo z ust obywatela guberni Wołyńskiej, który Henryka, po otrzymaném przebaczeniu najwyższej władzy, przybyłego z Francyi do rodzimej ziemi, przyjął w dóm swój ze czcią familijną, jako rodzonego wuja i nieszczęśliwego człowieka, co w dojmującej niedoli tém większą wzbudzał litość nad sobą, że pociecha religijna przystępu do jego duszy niemiała. Unikał wszelkiego towarzystwa, a w samotności, pomimo życzliwych uwag siostrzeńca, oddał się nałogowi pijaństwa. Gdy nadmiar trunku ciężką nań sciągnął chorobę a doktorowie nierobili nadziei wyzdrowienia, po chrześcjańsku sprowadzono xiędza. Lecz chory, niezachwiany w bezbożności swojej, zelżył go i wypędził. Wszakże w krótce potem, czując się blizkim już śmierci, zlawał się skłaniać na wejście kapłana; lecz nim ten powrócił, już chory miał zamkniętą mowę. Zakończył zbrzydzone sobie życie w najokropniejszych mękach 1815 roku. Pochowany w Tajkurach z pomnikiem złamanej kolumny.

Szymon Konopacki.

KILKA SŁOW O NEKROLOGACH,

z powodu artykułu pana M. Grabowskiego, umieszczonego w Tygodniku Petersburskim (obacz N. 65 r. 1848).

1.

Peu de gens sont assez sages, pour préférer le blâme qui leur est utile à la louange qui les trahit.

Piękne to prawidło: *de mortuis aut bene aut nihil :* ogólnie stosowaném być niemoże i nikogo obowiązywać niepowinno, bo przyszłoby się wyrzec wszelkich sprawiedliwych sądów o przeszłości, wyrzec się historyi, a z nią nauki tak potrzebnej dla żyjących i dla potomności. Prawidłem dla piszących Historyę jest; *de mortuis et bene et male sed vero*. Ale Nekrologi niechcą mieć żadnej styczności z Historyą.

Nekrolog, w rozumieniu naszych pseudo-estetyków, jestto poezya życia nieboszczyka, a więc, jako poezya, żyje pod ich piórem samą prawie fikcyą, zmyśleniem. Przychylny, albo zapłacony pisarz mozolił

się kiedyś nad brakowaniem faktów żywota nieboszczyka, poetyzował według możności ich prozę, każdą cokolwiek świecącą muszkę do ogromu słonia podnieść usiłował; z dobranych przeto takim trybem formułek i wyrażeń utworzył się pewien rodzaj nekrologowego języka. I tak, danie np. przytułku w swoim domu podróżnemu, który się w drodze rozchorował, ma oznaczać w języku nekrologowym, że *w okolicznościach nadzwyczajnych dóm nieboszczyka bywał szpitalem dla chorych.* Ogrzanie, nakarmienie i przenoclegowanie w piekarni wędrującego dziada, w języku nekrologowym zowie się *Hospitium dla pielgrzymów*, jakby owe na górze S. Bernarda. A jeżeli jeszcze opatrzono tego dziada, jak zwykle się praktykuje, pieniężnym zasiłkiem czyli jałmużną, nekrologista nazwie to *per excellentiam: Bankiem zasiłku dla potrzebnych*! — »A pfe! zawoła nie jeden z oburzonych takim skandalem czytelników, a godziż się tak złośliwie nicować wyrażenia o człowieku, który, jak powszechnie wiadomo, cnotę miłości bliźniego najgorliwiej praktykował?« — Znaliśmy go osobiście i byliśmy jego sąsiadami, możemy więc z pewnością powiedzieć, że ani autor Nekrologu, ani oburzony na nas czytelnik więcej od nas nad jego smutnym zgonem nieubolewał i rzeczywistszego, niż nasz, hołdu pamiątce cnót jego nieoddał. Pomimo to wszakże według naszego sposobu widzenia rzeczy: —

Rien n'est beau que le vrai, le vrai seul est aimable,
Il doit regner partout et même dans la fable. —

et même — a nawet i w Nekrologach. Jużto przed laty i *Swistek krytyczny* dobre dał cięgi Nekrologiście za to, że jednego kamerjunkra przetworzył na Koryolana.

Bo zgodzi się każdy na to: jeżeli naprzykład umarł człowiek, o którym nic więcej powiedzieć niemożna, jak — *talis vita et mors ita*, albo *Colas vivait*, *Colas est mort*, więc najlepiej żadnego niepisać Nekrologu (1); jeżeli zaś w życiu nieboszczyka były pewne, chlubnie go od tłumu odróżniające, czyny i postępki, to je po prostu dla publicznej wiadomości opisać w Nekrologu, bez żadnej amplifikacyi i poetyzowania, bo tymi dodatkami chybia się zupełnie celu rozrzewnienia, zbudowania, albo wzbudzenia admiracyi czytelnika. Czytelnik dobrze świadomy rzeczy uśmiechnie się tylko i wzruszy ramionami na te dodatki, i może zgorszyć innych nieświadomych wyjawieniem fałszu i podejścia wiary publicznej, że stracą ufność we wszystkie Nekrologi i potém najprawdziwszym dowierzać niebędą; — podobnie jak my oto, gniewamy się *serio* na Nekrolog, o którym mowa, bo on nam zepsuł zupełnie effekt, na jaki z wielu względów rachować można było w Nekrologu ś. p. Antoniego Berezowskiego. — Nie przeczymy bynajmniej, że Motyżyn był miejscem *uchronném i litościwém*, ale *ani mniej ani więcej* jak otaczające go sąsiednie obywatelskie domy: — bo, dzięki Bogu, jeszczeż to właściwa charakterowi naszemu cnota gościnności i miłosierdzia powszechnie prawie u nas jest praktykowaną. Przy takiém usposobieniu naszych pisarzy do poetyzowania Nekrologów, gdyby kto dziś istotnie z istotnego powołania oddał się całą swą duszą filantropji i zamienił rzeczywiście dóm swój w szpital, w *hospi-*

---

(1) Szanowny dziedzic Taszlika za złe nam niepoczyta, że jego Perora nekrologiczna datowana 25 Listopada 1847 r, z uwagi właśnie dopiero przywiedzionej niemogła znaleźć miejsca w naszym zbiorze. (Wyd.)

tium, w bank zasiłku dla potrzebnych, to cóżby już pozostało o nim powiedzieć? godziłożby się tak niepospolitą, wzniosłą, świętą abnegacyę kłaść na równi z enotą zwyczajnego miłosierdzia? — Niebyliśmy wprawdzie ze ś. p. Dziedzicem Motyżyna ani *nawyknieniami pożycia* ani *pokrewieństwem* zbliżeni; świadomszy rzeczy autor Nekrologu, chcąc zapewne wyraziściej swój obraz odcieniować, czyni, przynoszący poniekąd chlubę, nieboszczykowi zarzut *wykraczania zbytnią delikatnością, powierzaniem się drugim i zbytnią skwapliwością dobrzeczynienia*. Ale dla nauki i przestrogi powszechnej wypadało także autorowi powiedzieć coś o zbytniém jego zanurzeniu się w pietyzmie i przebraniu miary w żarliwości religijnej, bo to, o ile nam wiadomo, niemało przyczyniło się do zajątrzenia łagodnego z natury charakteru nieboszczyka, a następnie do okropnej moralnoumysłowej jego katastrofy. Równie nam, jak i autorowi Nekrologu, znaną jest dokładnie *historya niewdzięczności i zawodów współdziałania*, *na które nieboszczyk miał prawo rachować*; — teto właśnie *niewdzięczności i zawody*, pochodząc od osób nawyknieniami pożycia, pokrewieństwem i tożsamością opinji z nim połączonych, tak okropnie wstrząsnęły jego duszą, że przed zgonem jeszcze moralnie go umorzyły i były główną przyczyną fizycznej jego śmierci. Starożytni holokausty swoje, czyli ofiary całopalenia kwieciem wieńczyli, Jego Świętobliwość Alexander VI nieodmawiał absolucyi *in articulo mortis* Kardynałom, których sam się pozbywał; nam zaś niepozostało ku uczczeniu dobrych naszych współobywateli nic więcej, jak pisać Nekrologi. —

Porywczość do przedsiębierstwa w języku nekrologowym oznacza filantropję i jest otwarciem dla bie-

dniejszych pola do uczciwej a korzystnej pracy, ba nawet najlepszym środkiem ku podniesieniu przemysłu i bogactwa swojej okolicy, swojej prowincyi, swojego kraju. Ale po takiej definicyi słusznie i wcale na swojém miejscu powiada Nekrologista, że *Bogu to najlepiej wiadomo*; bo też nam, dotykalnie każdą rzecz uważającym, niebardzo chce się wierzyć w filantropijne uczucia przedsiębierczego właściciela miernej fortuny: prędzejby już pozyskał wiarę naszą w tym względzie przedsiębierczy pan obszernych włości, i niedalekobyśmy szukali takiego, o którym najmocniej przekonani jesteśmy, że rzeczywiście w przedsiębierstwach swoich rządzi się filantropją, czyli szlachetnémi pobudkami wspierania ubóstwa i nędzy. *Niemożesz po koniach, to po hołoblach*, mówi gminne lecz trafne przysłowie. Podjął się Pindar chwalić Hierona, a że niebyło za co, dalejże chwalić cały Olymp; tak i tu nasz Nekrologista, niemogąc wycisnąć nic odznaczającego z życja nieboszczyka, prócz zakładu cukrowarni, dalejże chwalić cukrowarnie! Znowu czytelnik, zamiast przejęcia się poważném uczuciem żalu, czci i t. p., musi mimowolnie uśmiechnąć się i ścisnąć ramionami, kiedy w szumnym a czczym Nekrologu doczyta się, że nieboszczyk i jego (n. b.) Nekrologista z pomiędzy posiadaczy małych majątków pierwsi w gubernji swojej postawili cukrowarnie! — a cukrowarnie!? myślałby kto, że to sobie proste tylko warzonki cukru i środek materyalnego zarobku? Gdzietam! to talizmaniczne *Abraka*, w którém utajone są ogromnie, niezmiernie filantropijne własności! Cukrowarnia — to *dźwignia postępu*! to *jedyna wielka i najzbawienniejsza reforma stosunków włościańskich*!! Ergo, Cukrowarnik - to czoło progressystów! to Archimedes postępu i Reformator stosunków włościańskich! —

»Co, co! jakie znów *ergo*!? (huknie zapewne zdumiony i przerażony tym wnioskiem autor) »ja pokorny bra-»ciszek konserwatystów i retrogradystów, ja niegodny »czciciel instytucyi Ś. Lojoli, ja, co tak przekonywa-»jącą, pełną argumentów apologją trybunału Ś. In-»kwizycyi i Zakonu *societatis Jesu* sprostowałem ska-»żone dzisiejszą filozofją pojęcia, ja miałbym być po-»sądzonym o sprzyjanie postępowi, reformie!? Ja nie »to chciałem powiedzieć; ja inaczej to rozumiem! *Abre-»nuntio! nego consequentiam*!« — A więc i ty Saulu między prorokami? — Takto niegdyś Balaam, zamiast przeklinać Izraela, mimowolnie mu błogosławił!

Poetyzowanie Nekrologu do uśmiechu i ściśnienia ramion pobudza, ale o jakież rodzi się w duszy oburzenie, kiedy Nekrologista (jak tego mieliśmy niedawno przykład) publicznego jawnogrzesznika, celnika, faryzeusza przeistacza w nowożytnego Arystydesa i Katona; kiedy ciemiężyciela i wydzierce jedynego zasobu wdowy i sieroty ogłasza ojcem wdów i sierot; kiedy wreszcie nieszczęśliwym, zrujnowanym i do ostatniej nędzy przez niego przyprowadzonym śmie miotać w oczy, że *ten szanowny mąż w ciągu długiego swego publicznego zawodu nikogo nieskrzywdził i z niczyich oczu łez niewycisnął*!! Hańba, wieczna hańba i potępienie nietylko tym faryzeuszom, ciemiężycielom wdowy i sieroty, ale i bezczelnym ich chwalcom!!...

2.

Skrzypi grabek, lecz wciąż śpiewa:
Michasiu, Bozia się gniewa!
(*zė starej Legendy.*)

Zaczęliśmy od końca, kończmyż początkiem. Właśnie, w całym tym nekrologowym artykule, który nam pióro do ręki podsunął, celuje pod względem pocieszności mistyczne jego *exordium*. To warte tysiąca! Jestto niby poważna tragedya przez nędzną wałęsającą się truppę komedyantów odgrywana: assystujący temu widowisku niemogą rzeczywiście wstrzymać się od łez, nie ze smutku wszakże i boleści, ale ze zbytecznego śmiechu! Autor, jakeśmy to już napomknęli, głośny retrogradysta, konserwatysta, apologista S. Inkwizycyi, żarliwy pietysta, jednėm słowem, główny Zeid Bejły, a do tego głęboki mistyk, nakręcając zwykłą metodą wszystko ku swojej wyłącznej idei, w szumnym retoryczno-mistycznym, ale nie koniecznie logicznym (bo też mistycyzm i logika, to antypody) wstępie do swoich Nekrologów opublikował rok niniejszy, jako naznaczony piętnem *straszliwém i osobnem*. — Straszliwém? to się samo z siebie rozumie, bo cholera, susza, nieurodzaj i t. d.; ale *osobnem*? to właśnie sęk! w tém mistycyzm! Fizycy i lekarze, powiada autor, niechaj tam sobie węszą i gmyrzą w gazach i miazmach szukając w nich przyczyny cholery, ale on prostaczek widzi jak na dłoni, że to Pan Bóg nas bezpośrednio chłoszcze, widzi, iżeśmy tyle już nabroili, że nadeszły wreszcie rzadkie w czasie, ale przeraźliwe dni Jego sprawiedliwości. Słońce? — to niejest słońce, to kometa zwia-

stujący z nieba klęski dla ziemi! sam pozór natury wyobraża zagniewane oblicze Pana! i t. p. — Nie przeczymy bynajmniej, że każda ogólna ludzkości klęska jest chłostą Bożą; tego nas uczy Religja i poleca, abyśmy codziennie błagali Boga o zachowanie nas od powietrza, głodu, ognia i wojny. I Religja i Filozofija przekonywa nas, że wszystko pochodzi od Boga, i naturalnie w doznawaném dobrém widzimy Jego łaskę, a w złém sprawiedliwy gniew i karę. To stara, odwieczna i powszechnie wiadoma prawda. Daremne przeto było silenie się autora na retorykę i deklamacyę; chodziło mu wyraźnie o wrażenie czytelnikowi swojego w téj mierze całkiem biernego, mistycznego pojęcia. Cóż w rzeczy samej ma oznaczać to *osobne piętno*, położone ręką autora na czole niniejszego roku, kiedy, jak wiadomo, i w wielu innych upłynionych już latach trapiony był rodzaj ludzki takiemiż samemi klęskami suszy, nieurodzaju i epidemji? Cóż, pytamy, widzi w tém prostaczek bardzo osobliwego, że w niniejszym roku, jak zwykle pod panowaniem gorącego planety, były dnie duszne i nocy nierzeźwiące, kiedy to i kalendarze przepowiedziały?... Jużto powiedzieć trzeba, że ci Fizycy i Lekarze, to może gorsza jeszcze od cholery zaraza i zguba świata; bo to niedomacasz się w nich najmniejszej pietestycznej żyłki, igrają sobie śmiało i bezbożnie z tém, na widok czego świętym przyjętemu strachem prostaczkowi aż w oczach pozieleni̇eje! A w najmniejszą dziurkę swój suchy analityczny nos wścibić muszą, aby tylko gorszyć bogobojnych ludzi! Bogdajto święciły się owe złote, nieodżałowane przez prostaczków czasy, kiedyto bywało, jak zagrżmi, a prostaczek zapyta wielebnego ojca, co to takiego? ten mu odpowiada grożąc: *Bozia się gniewa!* — Błyśnie - *Bozia się gniewa!* Deszcz, grad,

śnieg, wiatr, burza? — *Bozia się gniewa!* — A broń Boże piorun? — to już coś *Bozia strasznie, okrutnie się gniewa!* — Dzisiaj zaś, o zgrozo! bezbożne Fizyki małemu nawet dziecku pokazują jasno jak na dłoni to, o czém niegdyś nietylko wielebny ale i najprzewielebniejszy ojciec żadnego niemiał wyobrażenia; pokazują, że Bozia piorunu prosto z ręki swojej jak ów pogański Jowisz nie rzuca, ale że piorun jestto sobie jakiś płyn powietrzny i że go jakaś tam siła elektryczna wypycha z nieba na ziemię; na dowód zaś ośmielają się bezbożniki bawić z piorunem jak z piłką i jakąś tam żelazną tyczką sprowadzają go z nieba na ziemię bez swego i niczyjego szwanku, twierdząc, o niesłychane zuchwalstwo! że ta tylko żelazna tyczka, a nie święcona woda i sól Ś. Agaty, zbezwładnić i nieszkodliwym uczynić go mogą (1). Otoż i w niniejszym roku pro-

(1) Gdyby owi prostaczkowie, których zapewne niemało było lat temu 97 w Filadelfji, posiadali tę żarliwość religijną i ten dar pisarski, co nasz Grabowski, nigdyby może zuchwała myśl zrobienia nieszkodliwym piorunu nieurzeczywistniła się w tych tak dzisiaj upowszechnionych konduktorach. Oniby dowiedli najgruntowniej Królewskiemu Towarzystwu uczonych w Londynie, że traktat Franklina, nibyto o elektryczności a w rzeczy samej o jednym z attrybutów wszechmocności Pana Boga, jest dziełem najbezbożniejszém; że doświadczeń jego zapomocą czarnoxięzkich aparatów dokonywanych nietylko religja ale i prosty rozsądek approbować niemoże; że ten jego niby kunsztowny latawiec z jedwabno-konopianym ogonem byłto prawdziwy kusiciel z piekła, odwieczny wróg rodzaju ludzkiego; że nauka ludzka niepowinna mieć nic wspólnego z piorunem, i t. d. i t. d. — I skończyłoby się zapewne na tém, że owa żelazna tyczka Franklina, co miała zabezpieczać ludzi od fatalnych skutków *gniewu Boga* (sic), zciągnęłaby na niego samego nierównie straszniejszy piorun ludzkiego gniewu. Prawdziwie pobożni ludzie, ludzie bogobojni, czysto-jezuickiego wychowania,

staczkowie przerażeni cholerą, zapytują, co to? A prostaczek Nekrologista, pełen ducha wielebnych ojców, odpowiada im grożąc: *Bozia się gniewa*! Dostają więc nieboracy z wielkiego strachu djarji, womitów i kurczów, a uciekają od Lekarzy, bo to są bezbożniki, co ważą się twierdzić, że gniewu Bozi nie samymi tylko pacierzami, dzwonieniem i kropieniem święconą wodą uchronić się można; a tymczasem prostaczkowie wierzą najmocniej i niczem sobie tego wyperswadować niedadzą, że się niegodzi, że byłoby to największą bezbożnością ratować się, bronić i zasłaniać czémkolwiek od gniewu Bozi. Padają więc i giną jak muchy. A bezbożniki Fizycy i Lekarze śledzą jakieś tam zabójcze gazy i miazmata i śmią bluźnić, że cholera jest sobie takim naturalnym fenomenem, jak i ów piorun, który podobnież i jeszcze prędzej jak cholera zabija, a który przecież Fizycy umieją zbezwładnić i naturalnym środkiem bez niczyjego szwanku sprowadzić z nieba; że przyczyną cholery są zgęszczone a napędzone powietrzem z niezdrowych miejsc gazy i że odkrywszy tę przyczynę można odkryć i środki ratowania się od zgubnych jej skutków. I używają doprawdy odkrytych przez siebie środków, i ratują i uzdrawiają nimi dotkniętych

---

patrząc dzisiaj na te wszystkie konwulsyine ruchy zwolenników postępu, nie mogą naubolewać się do syta, że władza duchowna pozwoliła Nauce wyjść z ryzy pierwiastkowej jej symbolistyki i tradycyjnej prostoty, skutkiem czego (o zgrozo!) nawet Franklin, ten lichy plebejusz, rzemieślnik jakiś, spekulant, człowiek bez wiary i sumienia, godny całej surowości trybunału Ś. Inkwizycyi, stał się przedmiotem czci powszechnej, jakby jaki fundator pobożnego zgromadzenia i dobroczyńca ludzkości! *Eheu! gens humana horride decipiatur.*

(*Wydawca.*)

cholerą. A na dobitkę bezbożności dowodzą i ostrzegają, że najskuteczniejszą prezerwatywą od tej chłosty gniewem Bozi światu szafowanej jest, niebać się jej i żartować z niej, jak znowu najpewniejszym środkiem ściągnienia jej na siebie, bać się jej i drżeć przed nią. I figielto zapewne szatański, że te bezbożne ich przestrogi prawdzą się i na dobre wychodzą. Przyznaj szanowny apologisto Ś. Inkwizycyi, że wartoby tych Fizyków i Lekarzy wyexorcyzmować, lub wziąść na tortury dla wypędzenia z nich szatana! — Prawda, że mówić żartobliwie o tak smutnym przedmiocie i drażnić niezagojone jeszcze rany, jest poniekąd grzechem; ale niechajże sobie ucina gorszący członek, kto dał okazyę do lekkich żartów. Przyznajemy wreszcie, że straszyć gniewem Bozi dzieci i prostaczków, to rzecz bardzo naturalna, i te czysto-materyalne istoty materyalnym tylko sposobem, strachem i groźbą powściągnąć można. Ależ przecie dzieci i prostaczki (wyjąwszy podobnych do naszego Nekrologisty) nieczytają Tygodnika Petersburskiego; — charakter zaś gminny, babski i kapucyński, jaki to Pismo czasowe (*notabene* redagowane dzisiaj przez znakomitego Literata w jednej z pierwszych i najoświeceńszych stolic w Europie) przybrało, jest naszém zdaniem niemniej dziwnym, smutnym i przerażającym jak cholera fenomenem.

L. L. herbu Przyjaciel.

Pisałem w Żytomierzu d. 20 Października 1848 r.

Te kilka słów potrzebują jeszcze dopełnienia. Pan L. L., po wykazaniu celniejszych *estetycznych passaży* w Nekrologach p. Grabowskiego, zająwszy się ze szczególną weną humorystyczną początkiem tego artykułu, wypuścił całkiem ze swojej uwagi koniec jego, wtenczas, kiedy najobojętniejszy czytelnik widzi, że w tym właśnie końcu skupiły się zdania najmocniej irrytujące zmysł krytyczny. Celem artykułu pana Gr. było okazanie, że owi, zmarli pod wpływem grassującej epidemji, trzej obywatele byli, *jako obywatele-possessyonaci* (Помѣщики), *jako panowie*, zaszczytem i ozdobą Kijowskiej gubernji: — z czego nauka dla ogółu, że pańska sytuacya i przywiązana do niej wielmożność są warunkiem *sine qua non* wszelkiej moralnej i umysłowej zacności. Z usnutych przeto z takiego wątku Nekrologów swoich, równie jak i innych podóbnych, w tejże samej gazecie wprzédy ogłoszonych, przyszedłszy najprostszą logiką do wniosku, że *tylko obywatele*, *tylko panowie piętnują nasze społeczeństwo cechą religijności i niepospolitej nadobności moralnej*, wyrzekł poważnie: »*Otóż chciałbym ażeby mi kto odpowiedział: czy u nas, albo i w całej Europie, w miarę ludzi bogatych dobroczynnych, nietylko niesamolubnych i niepogardliwych, ale miłujących i wylanych dla ubogiego, w miarę panów ufających i wyrozumiałych, w miarę ludzi wyższych skromnych — jest odpowiednia liczba biednych cierpliwych, niższych uległych i niezazdrośnych, sług uczciwych i gorliwych*?« I zwątpiwszy snać, aby tak głęboką kwestyę roztrzygnąć kto potrafił, sam siebie zaspokoił témi słowy: »*To przynajmniej pewna, że pierwszych ukazać łatwo; szczęśliwy, kto widział drugich!*« — Niechże się dowie pan Grabowski, że tym szczęśliwym, czyli daleko lepiej widzącym od niego,

jest właśnie jeden z jego sąsiadów, zamieszkały od kilku lat przy chorym stryju swoim w okolicy Czehryna, poczciwy Żmudzin (nie estetyk wprawdzie ani literat, ale najzacniejszy człowiek,) p. Barnaba Pstrykajło. Korresponduję z nim oddawna i ta korrespondencya stała się nałogową moją żądzą, bo prawdziwą korzyść odnoszę z listów pana Barnaby, który każdą myśl, każde postrzeżenie, każdy sąd swój o ludziach i rzeczach zwykł cechować wdziękiem szlachetnej duszy, taktem gruntownego pojęcia i surowością prawego sumienia. List jego, pod wrażeniem w mowie będącego artykułu pisany dnia 20 Listopada, może posłużyć za dostateczną odpowiedź na powyższe pytanie znakomitego korrespondenta Tygodnika Petersburskiego; dla tego daję tu z niego stosowny wyjątek.

»Czy zwróciłeś Pan uwagę na Nekrologi Grabow»skiego? — Trzeci-to już bąk jego przechodzi niedoj»rzany (to przymówka nam, Wydawcy *Gwiazdy*, ale »czy sprawiedliwa?). Zkompromittował on siebie tą »razą najmocniej, że użył Nekrologów za środek do »rozpowszechnienia swoich pseudo-arystokrackich opinji, »widząc cnoty w samych tylko obywatelach, w maję»tniejszych właścicielach, a przeciwnie odmawiając »cierpliwości, wdzięczności i wszelkich dobrych przy»miotów ludziom ubogim, w stanie zależnym z obo»wiązków, z pracy żyjącym, którzy, jako nieliteraci, »albo nieznający drogi do Tygodnika, nie mogą piórem »zadać fałszu. Żeby pisać o takich rzeczach sprawie»dliwie, można nie być obywatelem, to jest panem, »ale potrzeba być koniecznie *człowiekiem*. *Łatwo »w rozkoszach żyjąc drugiemu o cierpliwości w głodzie, »pogardzie i ucisku mówić, ale nie łatwo to cierpieć* »(Birkowski). Między tymi, którym Gr. cnót odma-

»wia, ja pokażę ekonoma, który obywatelowi temu, co »później z rozpaczy nikczemnie się utopił, dawał »1,000 r. sr. i cztery konie za to tylko, że kiedyś był »dla niego dobrym panem. Pokażę officyalistów, któ»rzy położyli po 100 r. sr. na ołtarzu ubogiego, opu»szczonego wśród modlącej się w pysznej szacie hipo»kryzyi, parafjalnego kościołka. Pokażę między ubo»gimi właścicielami ludzi, którzy z nieznajomym i zu»pełnie obcym przybyszem podzielą się chlebem i ser»cem, którzy, niepytając, kto on? — posadzą go i ucz»czą na pierwszém miejscu. Niechże mi pan Michał »w tej swojej pseudo-arystokrackiej sferze pokaże co po»dobnego. Któryż z tych panów obywateli dał na »pomieniony kościół choć 10 r. sr.? Jeden wprawdzie »obiecał 15, drugi aż 25, trzeci nawet dawał bilet na »200 r. aby tylko Proboszcz wywindykował je od de»bitora, który niemając już ani szeląga własnego, osta»tek swego pragnienia zaspokajał gorzałką siedząc na »oskubanym żoninym fartuszku. — Zaiste, co za ofia»ry! Ktoż z tych zawołanych filantropów, z tych tak »gorliwych a krasomownych apostołów religijnej i mo»ralnej *nadobności*, podał życzliwą rękę zostającemu »w ostatniej potrzebie, w nędzy? Kto niebacząc na »własny interes wydźwignął nieszczęśliwego z prochu »poniżenia i upadku? Kto chętnie przyjął ubogiego »w dóm i niepowiedział nakarmiwszy — *służ*? — Mają »może chęci, ale niepojmują, nie są zdolni pojmować »ducha ofiary, która nie z rozumu, nie z jakiejkolwiek »rachuby, ale z czystego serca wypływa. I jeszcze »rościć chcą prawo do jakichś hołdów, do wdzięczno»ści!! — Wracając do samych Nekrologów: jeden tyl»ko Szymanowski zasłużył rzeczywiście na wzmiankę, »bo prócz tego, że nie jednemu w odległej stronie zna-

»ną jest jego szczéra w domu uprzejmość i uczynność, »że niezapominał nigdy o podtrzymywaniu chwały Bożej »i świętego przybytku, był on przez całe życie cier- »pliwym męczennikiem fanatycznej swojej połowicy, »owocem czego ta olbrzymia a bezskuteczna praca tłu- »maczenia z francuzkiego *Rozmyślań Ewangelji*. Czło- »wiek ten, przy dobrej swej duszy będąc optymistą i »patrząc na wszystko przez pryzmat tęczowych kolorów, »brał przypuszczenia za spełnione fakta a spekulacyjne »rachuby na papierze za gotówkę w kieszeni, przez »co ugrzązł naostatek po uszy w długi i upadł na du- »chu. Krewni w pierwszym popędzie szlachetności ję- »li się go byli ratować, wprędce atoli ochłonąwszy o- »puścili drogę zaparcia się własnego interesu, drogę, na »której przecie zawarować sobie mogli na zawsze pa- »miątkę pięknego czynu. I otoż Szymanowski po- »strzegłszy, w jakie został wplątany sieci, dostał po- »mieszania zmysłów, niewypowiedzianego wstrętu do »każdego z familji i umarł na kuracyi, jak mówią, je- »szcze *przed cholerą*. Nasi zaś trzej filantropi robiąc »na hałaj na bałaj, poplątali się z sobą, skutkiem cze- »go pierwszy i drugi został się w dudkach, zkorzystał »zaś trzeci. Najpoczciwszy w gruncie i najmniej oglę- »dny na siebie pierwszy wykupił się z dudka pracą i »poświęceniem, drugi poparł go jeszcze lepiej nekrolo- »giem, trzeci zaś, co wygrał, wątpię, żeby wystawił »grobowiec. Smutny zaiste obraz dla tego, kto umie »czytać w tajnikach serc ludzi i widzi drogi, którémi »oni chodzą; a w życiu codziennem o jakże drażliwém »i przykrém być musi położenie tego, którego oni, »*panowie*, radziby może obrócić w ślepe narzędzie głu- »piej ich prywaty! — Ludzie, jako źrzódło wszystkie- »go w świecie, mogliby przedstawić ciekawe obrazki

»ze swego życia, ale pisząc biografje ludzi tutejszego »powiatu, możnaby mimowolnie porodzić paskwile; do »zakommunikowania zaś ogólnych wiadomości miejsco- »wych o szarańczy, cholerze i t. d. bardzom się spóźnił, bo »widziałeś się z kochanym p. Zenonem, który zapewne »nieomieszkał dać dokładne o tém wszystkiém sprawo- »zdanie. Po jego odjeździe z tych stron nic zdaje się »nowego niezaszło, chyba tylko przebudzenie się na- »nowo życia tutejszych obywateli, na nieszczęście w sto- »sunku całkiem ujemnym do warunków przynależnych »temu stanowi. Wobec cholery, tego powszechnego »nieprzyjaciela, umilkły były wszelkie namiętności. każ- »dy się modlił, spowiadał, cierpiał, gotował na śmierć; »ale zato po przejściu trwogi złość ożyła w całej swo- »jej sile. Przeszłego roku za smyczkiem pani N. cały »powiat, jakby przewidując wkrótce nastąpić mające »nieszczęścia, weselił się, grał komedye, tańcował i »szalał podkasawszy się; teraz przeciwnie cała Sicz »poczęła bojować. Wszędy kłótnie, rozterki, niezgo- »dy, zrywanie stosunków familijnych, sprawy o spad- »ki, powikłanie interesów. Chwilę wzniesienia moral- »nego zastąpiła ostateczna materyalność. Uczciwość, »uczynność, serdeczność jeżeli są, to ze wstydem kry- »ją się. pod strzechą uboższych tylko familij. Zgoda »Czehryńskiego obywatelstwa, jaka wciąż trwała przez »kilka lat mojego tutaj pobytu, da się porównać naj- »lepiej do serdecznej przyjaźni dwóch psów w bajce, »dopokąd kucharz niewyrzucił im kości.«

Dosyć. Z tego fragmentu epistoły p. Pstrykajły, równie jak i z poprzedniczego artykułu pana L. L. przeświadczy się każdy, że p. Grabowski, jako obywatel-pisarz, niezawsze ma na celu *prawdę* i *ludzkość;* że owszem gotów jest zawsze użyć całego swego rozu-

mu równie na zaćmienie prawdy, gdy ta kogoś z jego konfraternji mogłaby wystawić w niekorzystném świetle, jak i na potępienie współbliźnich ubogich, gdy ci, w czystych jedynie, z pracowitego, skromnego i cichego życia wynikających roskoszach zamiłowani, niemogąc bez wstrętu patrzeć na nieskończone pretensye niecnego sybarytyzmu, odmawiają wszelkiego szacunku pseudo-arystokratom, czyli gorszym od żydów obywatelom. Konkludujemy. Tym panom, którzy bałwana egoizmu za jakieś bóztwo, a żydowskie zaprzątnienia i zabiegi za rzecz chwalebną wystawić usiłują, tyle przystało mówić o *wychowaniu religijném*, ile Kacykowi indyjskiemu o filozofji niemieckiej, albo papudze amerykańskiej o życiu i obyczajach ukraińskich orłów.

SZLACHECKIE SĄDY

O DZISIEJSZÉM NASZÉM PIŚMIENNICTWIE.

Gawędka podsłuchana.

(Szanowny nasz Korrespondent z pod Bielska przesyłając nam niniejszy Dyalog w dowód, jak się wyraża, powziętej ku naszemu *światełku* predilekcyi, upewnił nas najuroczyściej, że osoby tego Dyalogu, szacując zwykle ludzi jako ludzi, pisarzy jako pisarzy i oddając każdemu w szczególności najsurowszą według swojego pojęcia i przekonania sprawiedliwość, niezdolne są do żadnych wybryków prywaty i osobistości; prosił też, abyśmy dla użytku pp. autorów, których się w tym Dyalogu dotyka, przypomnieli jedno ze zdań Monteskiego zawartych w jego *Esprit des Lois*. To zdanie zamiast epigrafu umieszczamy na czele Dyalogu.)

> Si le critique et l'auteur cherchent la verité, ils ont le même intérêt, car la verité est le bien de tous les hommes; ils seront des confédérés et non pas des ennemis. — *Montesquieu.*

P. Tomasz. — Otoż panie Bartłomieju oczekuję zasiłku od Zawadzkiego, o on widać i niemyśli o tém, że żyję w literackim głodzie. Jakkolwiek bądź, bez xiążek dzisiaj nudno, a przytem, potrzebaż wiedzieć, o

czém ludzie myślą i jak myślą, co robią i jak robią?— choć-to z naszych czasowych feljetonów, Mości Dobrodzieju, nie tak łatwo o tém dowiedzieć się można.

P. Bartłomiej. — Jakto? coś tego nierozumiem sąsiedzie.

P. Tomasz. — Objaśniam więc, że dzisiejszej naszej oświaty niewidzę prawie w naszej literaturze, albo raczej w żurnalistyce, która dziś zastępuje miejsce niemal całej literatury. U nas też niema dobrych encyklopedycznych żurnałów. Kiedy przepatrujesz dziś *Pamiętnik naukowy* z r. 1837, jeszcze widać, że to był żurnał literacko-uczony jak należy, bo była w nim i wcale niezła literacka krytyka, i miała stałą rubrykę w każdym numerze; były wiadomości xięgarsko-literackie, i sama treść wszystkich artykułów żywotna, zajmująca.

P. Bartłomiej. — Za pozwoleniem. A język, ten język ultrapurystowski, nibyto polski? czy i to pochwalasz sąsiedzie?

P. Tomasz.— To jeszcze podlega kwestyi. Wszakże niejestem ja bynajmniej Mości Dobrodzieju za przyjmowaniem bez braku wszystkich narzutków cudzoziemskich, wszystkich gallizmów, germanizmów, russyzmów.

P. Bartłomiej. — Zgoda. Ależ i te nibyto czysto polskie, szczególnie lekarskie wyrazy! Prawdziwie, kiedy czytasz traktat jaki nimi naszpikowany, to tak samo, jak gdybyś był na niemieckiém kazaniu. Chciało mi się w tej mierze wybadać zacnego naszego Doktora pana Sebastyana, ale i on, rodowity Litwin, niemógł mi wytłumaczyć, co to są *dna*, *zimnice*, *samokosty* i t. p. Osobliwie *samokost*, jeszcze nawet pochwalony wyraz, jako szczęśliwie stworzony, wydał się dziwacznym p. Sebastyanowi, naprzód dla tego, że przy-

pomina mu zaraz podobnie brzmiące wyrazy *pokost*, *żywokost*, a potem, że niedaje wcale tego wyobrażenia, jakie autor (zapomniałem, kto go stworzył) chciał do niego przywiązać, bo prędzej *samokost* przywodzi na myśl jakąkolwiek kupę kości, a niżeli porządny skielet, to jest ciało martwe z jednych kości złożone, mające jednak formę żywego organizmu. Już wyraz utarty *kościotrup* daleko lepiej rzecz oddaje. Owoż ten szał neologizmu nader dotykalny w *Pamiętniku naukowym*, równie jak i we wszystkich Krakowskich pismach, był powodem nieboszczykowi Maurycemu, że je nazwał *bękartami*. Drugą niemniej dotykalną wadą *Pamiętnika*— brak rolniczo-przemysłowej rubryki i dobrej powieści; a byłby żurnał dobry. Prawda, że on miał pretensyę być przeglądem na wielką skalę, chciał być dla nas tém, czém dla Francuzów *Révue des deux mondes;* dla tego i powieści w nim nie było.

P. Tomasz. Zatoż Mości Dobrodzieju industryalizm potężnie góruje w *Bibliotece Warszawskiej*, a góruje, jak wiadomo, z widoczną szkodą belletrystyki i krytyki. Warszawska Biblioteka, co miała być, jak mi się zdaje, żurnałem specyalnych nauk, rzeczywiście jest sobie tylko magazynem równie plewy jak i ziarna. Nawet pod względem czysto materyalnym niegodziwej trzyma się maniery, bo oto na okładce każdego Nru (r. 1847.) zapowiada redakcya, że każdy zeszyt miesięczny składa się najmniej ze 14 arkuszy, a w rzeczy samej daje nam wiele zeszytów złożonych tylko ze 12, a nigdy więcej jak ze 14 arkuszy. Niejestto przecież pomyłka druku, kiedy przez cały rok to się powtarza bez przerwy.

P. Bartłomiej. Zaczekajno panie Tomaszu. Ot jak odbierzemy od Zawadzkiego zwyczajny nasz obrok

duchowny, zobaczysz, że Biblioteka w tym roku się poprawiła.

P. Tomasz. — Dałby to Bóg! I śledząc za kierunkiem naszych intellektualnych trudów, nieraz musisz zapytać siebie: czy jest u nas krytyka literacka? — Uczona - historyczna, nawet nauk przyrodzonych jeszcze pokazuje się, ale estetyczna należy do fenomenów bardzo rzadkich. Gdybym naprzykład nie czytał sam *Kollokacyi* Korzeniowskiego, ani *krytycznego jej rozbioru* w Tygodniku Petersburskim przez M. Grabowskiego, to zaiste z przeglądu w Bibliotece Warszawskiej (r. 1847. Czerwiec. Tyszyński.) niemógłbym powziąść sprawiedliwego zdania o tej powieści; — a tymczasem jestto powieść w swoim rodzaju obyczajowym, rzec można, najlepsza u nas, jedyna (1). I ztąd niewiara moja w po-

---

(1) Za pozwoleniem twojém Czytelniku zatrzymamy się nieco w tém miejscu, bo sąsiad p Bartłomieja widocznie bałamuci, dając do zrozumienia, że p Grabowski sprawiedliwie krytyką swoją ocenił *Kollokacyę* Korzeniowskiego. Ta krytyka zanadto nam utkwiła w pamięci złą swoją wiarą i jednostronnością, abyśmy mogli niekorzystać ze zręczności powiedzenia o niej słów kilku Niemamy nawet potrzeby zdobywać się na nową dyskussję, kiedy ta krytyka była już nieraz w ciągu roku przedmiotem naszej korrespondencyi Jeden z Ukraińskich naszych Korrespondentów powiedział nieżartem w liście swoim z d. 8 Lutego ter. r., że p. Grabowski chce być na Zaporożu takim hersztem, jak Prudhon we Francyi (!?). *A propos*. Tym Korrespondentem jest dobry nasz przyjaciel pan Rafał Ciemierzyca, a oto jego szlachecki sąd o rzeczy w mowie będącej. — »Zdanie pana Michała Grabowskiego o Kollokacyi i o drobnych posiadłościach mocno mię ubodło, bo jestto jedno z tych, które czasami rzuca czytelnikom swoim, niezastanowiwszy się, azali rozum powszechny może je przyjąć bez oburzenia. Nie koteryjne pretensye, nie cząstkowe jakieś widzimi się, ale sumienność i ścisła rozwaga powinny przewodniczyć naszym my-

ważne zdania naszych krytyków. A zdawałoby się, że szanowny autor *Amerykanki* powinien każde swe krytyczne zdanie ważyć na szali ścisłej bezstronności. Bo komuż w rzeczy samej wierzyć, jeżeli nie literatowi z powołania, *ex professo*? Tyszyński zaleca dzisiejszej kry-

---

ślom, gdy je na korzyść ogółu obrócić zamierzamy; tymczasem zasada, z której nasz krytyk zwykł wychodzić w swoim poglądzie na rzeczy, cuchnie prawdziwie jakąś mandaryńską ambicyą, chcącą, aby kilkakroć sto tysięcy próżniaków wypasało się kosztem trudu, znojów i poniżenia miljonowych jednostek, naszych przecież braci w Chrystusie. Widocznie ten pan wielką ma odrazę do średniej klassy, która wszakże najskrupulatniej w sobie przechowuje żywioły narodowe, a radby widzieć pyszną arystokracyę wspartą na spoconych barkach upodlonego służalstwa. Zasada ta zupełnie antisocyalna sprzeciwia się równie nauce religji, jak i najprostszym pojęciom o moralnej społeczności Dzisiaj ucywilizowana Europa ani pomyśleć może o pozbawieniu kogo bądź własności, przeciwnie, chce ona, stara się, usiłuje, jak widzimy, podźwignąć z nicości najnędzniejszą klassę poddańską. Własność acz najmniejsza nie poniża człowieka, ale go owszem podnosi; nie szkodzi, jak utrzymuje krytyk, ale pomaga. I tato właśnie kwestya zajmuje obecnie wszystkich myślących, jest tematem do rozwiązania. Wyrokując podług swojego widzimi się nasz krytyk ani się spostrzegł, jak zabrnął w absurda Ojca Enfantin'a, bo nawet sam ten straszliwy kommunizm, krwawo domagający się niebieskich migdałów, jest dzieckiem w grzechu tych samych zasad poczętém, dzieckiem, targającém się zuchwale na piersi, które go wykarmiły. Zasady takie w upowszechnieniu namnożyłyby proletaryuszów i bardziej jeszcze zwiększyły liczbę nieszczęśliwych ofiar dumy, chymer i tysiącznych fantazyj pseudo-arystokracyi. Jeżeli w dotychczasowym stanie bogaci właściciele mogą z łatwością zmieniać ekonomów, pisarków i lokajów co miesiąc, co tydzień, to wówczas progiby się niezamykały przed natłokiem wyciągającej ręce nędzy. Tak właśnie w stagnacyjnej Anglji. Powiada krytyk, że drobna własność wyradza lenistwo umysłowe, kazi obyczaje, rozprzestrzenia spory i kłótnie i tamuje wszelki postęp w przemyśle i handlu. Czy tak jest w istocie?—łatwo

tyce przestrzegać szczególniej praktyczność życia. Bardzo sprawiedliwie, i ten wzgląd właśnie, w połączeniu z uczuciem czysto estetycznej, czyli, jak się wyrażają modni nasi filozofowie, bezwzględnej prawdy, powinien być głównym celem krytyki. Ale zdanie Tyszyńskiego

---

widzieć. A gdyby nawet i tak było, przystoiż nam krzyczeć na to po desperacku? Zostawmy cokolwiek ze swojego pierwiastku narodowego, nieprzeobrażajmy się gwałtem w egotycznych kupców, a tém bardziej w złych polityków czyhających na cudze mienie i swobody. Anglików, rozciągających łańcuchy na miljony ludów, stawić nam za przykład!?.. Zamiast łudzić się pozorem najbardziej imponującym, pielęgnujmy raczej w sobie uczucie dane nam z wyższych wyroków, uczucie, z którego wysnuły się całe nasze dzieje, a dosyć będzie dla dobra naszego, dla poczciwej naszej sławy. Gdyby nawet przypuścić możność zniszczenia charakterystycznej cechy narodowej, to samo geograficzne położenie naszego kraju byłoby w sprzeczności z podobnymi zabiegami. Jakaby niebyła cyfra i wartość naszych produkcyj, niemielibyśmy nigdy odbytu; rolnictwo, to nasz fundusz, to jedyne nasze rękodzieło. Co zaś do lenistwa, nędzy, sporów sąsiedzkich i t. d, obejrzyjmy się jeno dokoła i zapytajmy, kto do nich najczęściej powodem? — Na każdym prawie kroku spotkać się można z *Prezydentem lubiącym system zaokrąglenia*. Pan Korzeniowski bardzo dobrze pomyślał o tém, co napisał. Kogoż to wreszcie widzimy na małej własności? Starych sług, co wiek swój styrali w pracy, wysłużonych żołnierzy, ubogie z sierotami wdowy, nędzne kaleki. Gdzież ich dzieci? Niewidać, bo służą i pracują w świecie, jak pracowali ich ojcowie, dopokąd siły starczyły. Kiedy o tych, co wiek swój w ciężkiej przepędzają pracy, pozwalacie sobie mówić, że rozprzestrzeniają lenistwo, cóż już przyjdzie się powiedzieć o sybarytach, o ludziach żyjących jedynie dla tego, aby nic nierobić? Nieodmawiajcie więc ubogim kawałka własnego chleba; nieżałujcie im ku schyłkowi życia spokojnego kątka, bo panując od kolebki, nieznając co służba i nędza, niewiecie jego wartości. Niech was to wreszcie nieboli, jeśli jakiej licznej, miotanej różnémi przygodami rodzinie, los wszystko odebrawszy zostawia przynajmniej na starość własny *szpital!*—

(podobno w rozbiorze Majorkiewicza *Historyi Literatury i Krytyki*), że doskonały praktyczny krytyk, to rzecz (czemuż nie istota ?) jeszcze przyszła, należy według mnie do niebezpiecznych u nas sofizmów; mniemam bowiem, że samże Tyszyński, lubo nasiąkł bar-

---

Wracając do rozbioru *Kollokacyi* przez p. Gr. znajduję tam jeszcze zdanie o ubogich kawalerach żeniących się z bogatémi pannami, zdanie nawet z pewnego względu słuszne, bo to dążenie do ręki bogatszej panny widocznie poniża, upośledza mężczyznę. Mężczyzna ubogi, prawdziwie szlachetny i bezinteressowny, nadto jest dumny, jak wiadomo, gdy zakochany, gdy mu idzie o jedyny przedmiot, o osobę tylko, która potrafiła wzniecić w sercu jego płomień najczystszej miłości; taki, w razie najmniejszej przeciwności z rachuby czysto materyalnej, gotów jest zawsze zrobić ofiarę z siebie, z najtkliwszych uczuć swoich, i prędzej życiem przypłaci swoją miłość, niż się dopuści czynu, któryby go mógł upodlić w opinji powszechnej. Owoż to zdanie, wychodząc zawsze z jednej zasady, okazuje się nadto jednostronném, jakby przedwstępném, niedomówionem, bo czytając je domyślasz się z łatwością, że krytyk chciał tu powiedzieć: »*Dla nas biednych na tym padole jest i być powinno udziałem cierpienie i poniżenie; dla nas zaś delikatnych panów wszystkie wygody, słodycze i rozkosze doczesne, bo* PAN BOG *nas kocha i bawić się nam pozwala*.« Zdanie wcale niewinne i dotykalnie sprawiedliwe, któremu zaprzeczyć niepodobna, bo rzeczywiście pod tą osłoną Bozkiej predylekcyi bawią się oni naiwnie przez całe życie, delektują wszystkie swe zamysły, rozpierają się w wygodnych fotelach, usposobiają największym kosztem błaznów i bajaderek dla swojej uciechy, przenoszą się w kołyskach z balu na bal, z widowiska na widowisko, grają w karteczki, miękko usypiają, i za te wszystkie dobrodziejstwa chwalą BOGA, chwalą najwytworniejszą mową i akcentem paryzkich salonów, szydząc sobie w duchu z tego Kaznodziei, który prawi: »*Panowie bez frasunku i pracy niebędą w niebie, trudno albowiem z godów na gody*.« Tę samą myśl wyraziłem już w poprzedzających uwagach, i sądzę, że jako charakterystyczny rys moralnego usposobienia znakomitego pisarza, zajmie ona kiedyś

dzo niemiecką jakąś i wcale niepraktyczną doktryneryą, mogłby być, gdyby chciał, dobrym i sprawiedliwym krytykiem naszych intellektualnych tworów. Muszę też wyznać, że bardzo wątpię, aby recenzya Tyszyńskiego o *Historyi Literatury i Krytyki* Majorkiewicza,

---

poważną stronicę w jego biografji. Stawiąc za cel śmiechu i szyderstwa ubogich kandydatów do bogatych dziedziczek, należało się dla świętej sprawiedliwości powiedzieć coś także i o bogatych a zniewieściałych sybarytach, albo goniących ostatkami utracjuszach, żeniących się z bogatémi jedynie dla interressu, czy też z pobudek czysto zmysłowych. Serce ich pospolicie zmarniałe i wygorzałe w młodości spędzonej na próżniactwie i nierządzie, rzadko zdolne jest zapalić się tym czystym płomieniem, któremu przewodniczy zupełna bezinteressowność. Przeciwnie, młody człowiek ubogi, wchodzący w stosunki z osobami wyższego koła i sięgający po rękę bogatej dziedziczki, musi naturalnie połamać wielkie zapory stojące mu na drodze, musi okazać wiele wytrwałości, zapału i energji, musi wreszcie zdobyć się na przymioty, któreby rażące wady ubóstwa albo urodzenia jakkolwiek zatrzeć zdołały. Ale pan Grabowski zostawiwszy to wszystko na stronie, wolał podkpiwać sobie z drażliwych uczuć ludzi biednych, już i tak dość często wyprowadzanych na scenę. Otoż uzupełniając moje w tym względzie zdanie powiem naostatek, a to według własnej mojej logiki, że słuszniejsza jest, kiedy biedny staje się małżonkiem bogatej, choćby nawet miał przy niej pozostać z miną, jak powiada krytyk, *lokajską*, niżeli kiedy bogaty, przy całej swojej gracyi *pańskiej*, żeni się z bogatą. Może to i nie tak ładnie w oczach świata, ale w oczach rozumu i sumienia zdaje się bardzo stosownie, sprawiedliwie. Bo pierwszy w najgorszym nawet razie, to jest, gdyby się żenił wyłącznie *dla interessu*, miałby jeszcze na celu: zabezpieczenie swojej przyszłości, wydobycie się z upokarzającej nicości, łatwiejszą sposobność służenia krajowi, albo w ostatku samo wyzwolenie się z jarzma biernej exystencyi — cel zaiste rozsądny i godziwy. Drugi zaś, to jest bogaty, pragnący połączyć się nie z inną jak tylko z bogatą, ma na celu — co? Samą niczém nie usprawiedliwioną *chciwość*. Dziś, powiada, mam dwie wsie, a jak się ożenię, będę miał trzy.

której jeszcze nieczytałem, była ściśle sprawiedliwém ocenieniem tego dzieła. Tyszyński przyznaje *Kollokacyi* cel dobry, równie jak i drugiej powieści Korzeniowskiego pod tytułem: *Panna postępowa*. — Zgoda. Chciałbym jednak, aby mi ten promotor praktyczno-

---

Tam miejsce bardzo dobre na fabrykę, więc ją postawię za żonine pieniądze, a jak ta się powiedzie, to kupię przyległy majątek, który bardzo dobry i jak raz zaokrągli kartę moich posiadłości; będę żył coraz wystawniej, będę coraz *szczęśliwszy* i t. d. Takto sumienny krytyk powinien rozważać rzecz, nim o niej zawyrokuje, tak należy mu oglądać się zawsze na prawa logiki, która nigdy niejest w sprzeczności z prawdą. Och! niedąsajcie się na nas, nieodwracajcie od nas jasnego swego oblicza wielmożni panowie! Wszakże my powstajemy nie na panów, nie na bogaczów, ale na tych tylko ulubieńców fortuny, którzy patrząc z wysoka na ten świat Boży, najfałszywsze o sobie i o swojém powołaniu mają wyobrażenie. Niech każdy używa, co mu Pan Bóg przeznaczył, tylko godziwie, sumiennie, tylko niech pamięta, że nie to, co nam tak bardzo zalecają, nie mamona, przemysł i handel są podstawą szczęścia narodów. One wiodą za sobą chłód serca, egoizm, zbytek i ostateczną demoralizacyę, a to wszystko kosztem poniżenia i nędzy wielu miljonów. W sądzeniu naszém miejmy na celu nie kasty i przywileje, ale człowieka i serce jego. Może też my dla tego takie dajemy nauczki, że nic niemamy? — Może. Odjął Bóg majątek, ale zostawił słowo prawdy. Ubóstwo, ciężka praca, nędza, poniżenie, precz zdejmują to bielmo, które sybaryctwo i wygody materyalne zawlekają na oczy rozumu i serca. Szczęśliwiśmy i z tego, co nam dano.« — Jeżeli kto z was szanowni czytelnicy nakichał się dowoli z łaski naszego przyjaciela, nie uważajcie tego za złe, bo to wam *na zdrowie*. Jużto taka natura ciemierzycy, że musi niewidomie wkraść się do nosa, a im nos delikatniejszy, tém mocniej go łechce, tém srożej kręci i świdruje. Na zdrowie! na zdrowie! Niemożemy lepiej zakończyć tej antikrytyki, jak przytoczeniem apostrofy nieboszczyka Massalskiego, autora *Pana Podstolica*, którą niedawno czytaliśmy w jednym rękopiśmie. Recytujemy.

ści w krytycyzmie objaśnić raczył, czy mystycyzm, użyty jako główna sprężyna w powiastce *Panna postępowa*, prowadzi do czego bądź praktycznego, realnie użytecznego? Niechby mi przytem powiedział, czy ten rzekomy artyzm własnych jego *Bladych powieści* został pojęty i oceniony przez tych wszystkich, co je czytali? Co do mnie Mości Dobrodzieju, ja sądzę, że niemasz jednej Salomei pod słońcem, któraby się z mystycyzmu *Panny postępowej* nierozśmiała. Nie dziwotworny Pinetti, to jest ten zagadkowy p. Władysław, nie cudowności i czarodziejstwa jakieś uczą nas i prostują nasze błędy, na to jest Ewangelja Mości Dobrodzieju; a oprócz tego Opatrzność zwykle dla ukrócenia naszej pychy najprostszych sposobów używa. Po co więc tutaj mystycyzm? — Aby wywrócić wszystko, co jest naturalne, a natomiast wprowadzić jakąś nadobłokową ckliwą i razem śmieszną sentymentalność? Od cza-

---

Pokłon wam harde panięta! Ach, któż nie widzi, nieczuje, że mina wzniosła, nadęta, wyższość moralną zwiastuje?

Uwięzła w odwiecznym błędzie, ztąd zowąd woła hołota: »Czemużto nie są na względzie zasługi, rozum i cnota? Czyż za to czołem bić komu, że w pysznym gnuśnieje domu? że ma poddańskich dusz wiele, a niema duszy w swém ciele? że lśniącym powozem leci? że co noc sypie na kartę złoto ludzkości wydarte? Łzy i krew pije swych kmieci?«

Lecz to są zazdrości głosy. Panięta, jako świat światem, są w prawie zadzierać nosy, uboższym pomiatać bratem.

Wy też, okrasy narodu! umiecie siebie za młodu uczuciem własnej godności i heraldyjnych zaszczytów przejąć od skóry do kości, od czubów aż do kopytów.

Lecz dbajcież, dbajcie wciąż o to, by zewsząd zgartywać złoto, bogdajby z djabłem być w spółce! Bo biada, gdy się świat dowie, że u którego w szkatułce już jest tak pusto, jak w głowie!—NA ZDROWIE!

(*Wydawca.*)

su, jak powiedziano nam: »*Miej serce i patrzaj w serce*.« nikogo u nas przekonać niemożna o potrzebie wiary czystej i pokory, jak tylko baśniami i strachami dziecinnémi. Gdyby był Korzeniowski upokorzył zarozumiałość mędrkującej Salomei zwyczajnym jakim prostym faktem, byłaby prawda i byłby dopięty dobry cel tej powiastki; a tak po przeczytaniu jej zostaje całkowite — *nic*. Można tolerować w poezyi wszelki przesąd, wszelką nadzwyczajność, można mówię niedanić mystycyzmu w Sztuce, ale go chwalić i chwalić, gdy jest użytym dla przekonania w czémkolwiek praktyczném, to zaiste do śmiechu tylko pobudza. Dla tegoto na zapytanie: czy jest u nas krytyka literacka? musisz mimowolnie w dół spuścić oczy i milczeć. — *Biblioteka* niema ani ducha ani barwy. Dla celu zapewne, aby nieodmieniać wiary wstępując w stan małżeński, umieściła powiastkę: *Bertha z Dusseldorfu*, która zwietrzałą swoją sentymentalnością i dziecińctwem bynajmniej na to niezasługiwała i dla której zaledwie w najlichszym Tygodniku Wileńskim drukowanym onego czasu u Pijarów mogło znaleźć się stosowne miejsce. Bo napisać dziecińctwo, wolno każdemu, ale niedrukować go, redakcyi obowiązek. Podobnejże naganie ulega znajdująca się w *Przeglądzie naukowym* (tom 24 ogólnego zbioru) powiastka: *Gorączka*, której druku nie tylko zażyłość koleżeńska, ale i największy brak materyałów wymówić nie może. Albo jeszcze ta nowa gorączka w *Lewiatanie* pod tytułem: *Entuzyasta*!? Dziwna prawdziwie, że Edward Maryan, ten człowiek pracowity i zdolny, nie dotąd niemoże napisać, coby nie tchnęło jakimś chorobliwym, szpitalnym artyzmem! Same marzenia kurczowej fantazyi, a nie prawdziwie dobrego, praktyczno-obyczajowego! *Tor-*

quato Tasso jednak, utwor jego młodzieńczy, zapowiadał dobrego pisarza.

P. Bartłomiej. A może też jest co dobrego w *Pamiętnikach jego przyjaciół!*

P. Tomasz. Jak znajdziem to dobre, to i powiemy, że dobre. I spodziewać się należy, że ten pisarz mając zręczność poznać ludzi i świat z praktycznej strony, pocznie z czasem opisywać ten świat zdrowy i zdrowo, a nie po studencku jak dotąd. W Bibliotece drukuje się wszystko bez wyboru i planu. Mówiłem o *Bercie z Dusseldorfu*, jest tam także wyciąg z rossyjskiego romansu Gonczarowa: *Prosta historya*, który, aczkolwiek słabe tylko daje wyobrażenie o całém dziele, w takim jest stosunku do Berty, jak rzeczywistość i prawda do najdziecinniejszego wymysłu. Błaha to estetyka, u której cel wszystko usprawiedliwia. W sztuce pono sposób oddania więcej znaczy, niż cel najlepszy; bo złe, nieumiejętne oddanie zeszpeci wszystko, co jest w jakimkolwiek względzie szczytne i piękne. Dla tegoto im wznioślejsza myśl, piękniejszy cel, tém wyższego, dojrzalszego talentu dla nich potrzeba. Wszystko to są tak stare prawdy, że wstyd już nawet mówić o nich dzisiaj i posądzać kogobądź z pisarzy, że o tém niewiedzą.

P. Bartłomiej. — Gdzietam! niewadziłoby i drukować. Choć to i nie nowe, ale cóż się dziś niepowtarza po sto razy? Naprzykład, jakby to dobrze było, gdyby każdy z naszych redaktorów powtórzył sobie codzień, że pismo czasowe może sobie zjednać najwięcej u nas czytelników nie pretensyą na uczoność, ale dobrą literacko-estetyczną krytyką, dobrém sprawozdaniem z celniejszych nowości, dobrą powieścią! — bo takie piśmidła, jak *Palec boży* (Kośińskiego Amilk.) i

t. p. niezalecą żurnalu. Redakcya *Biblioteki Warszawskiej*, głównego u nas żurnału, nieźleby nawet zrobiła przeznaczając w swoim zbiorze miejsce dla mód z obrazkami. Pewny jestem, że wówczas za tę samą cenę mogłaby drukować 24 arkuszy w każdym numerze, z których arkuszy 6 mogłoby być treści najpoważniejszej. — Niedawno był u mnie pan Anicety i rozgadadaliśmy się z nim, jak z tobą sąsiedzie. On trochę więcej znajomy z xięgarzami powiada, że nasi xięgarze mają prawdopodobną statystykę czytelników polskich i twierdzą z pewnością, że cena nic dla nich nieznaczy, bo czy to tania czy droga xiążka, jednaka ilość exemplarzy jej zawsze się rozejdzie. Jeśli to prawda, to rzecz niebardzo pochlebna dla naszej literatury. Z tejto zapewne przyczyny nasi literaci i redaktorowie niestarają się wiązać w przyjazne handlarsko-literackie kompanje na wydawanie jakiego pisma wspólnemi siły, ale każdy robi coś osobno, po swojemu. Dla tegoto i sił i jakby talentu staje u nich. rzec można, na jakie ćwierć, pół łokcia, na jakie 2 — 3 Numera, a dalej i — urwało się. A co dla mnie najzabawniejsza, to to, kiedy jakiś tam pan, albo kilku ich uzbierawszy plik gryzmołów, których nikt czytać niechce, objawiają światu, że mają wielkie zasoby prac umysłowych godnych ogłoszenia i że przeto zakładają nowe pismo zbiorowe! — pismo zwykle bez żadnego ducha i celu, które na 2-m a najdalej na 3-m zeszycie kończy swą exystencyę. Tak właśnie było z *Pismami rozmaitémi* w Wilnie, których redakcyi byłem świadkiem. Pierwszy ich zeszyt był dobry, ale za dalsze nieręczę, bo tam byłby zapewne groch z kapustą. Redaktorowie widocznie byli nielepsi od wszystkich naszych redaktorów, bo mieli w zamiarze, wydrukować tylko, co było u nich w zapasie

i *kto co może* im nadesłać, a nie obrabiać stale pewną ideę (1). U nas jeżeli pismo zbiorowe chce odbić umysłowość jakiej prowincyi, to już jest szczytem rozumu i koroną zasługi redaktora. Dla czego na przykład Gryf z Dołęgą zamiast 4-go N-ru *Gwiazdy*, która już sobie niemałą wziętość pozyskała, wydali nowe i widocznie słabsze Pismo? — tego ja zgoła nierozumiem. A jestem pewny, że zbiorek *Lewiatan*, gdyby był wydany pod nazwą *Gwiazdy*, miałby liczbę prenumeratorów niemniejszą, jak N. 3 tej publikacyi i niekosztowałby nam po złotemu arkusz, ale trzy razy mniej (2). Redaktor

(1) Dziwna rzecz, jak pan Adolf mógł niezdradzić siebie słuchając takiego *absurdum*! Ja na jego miejscu, zniecierpliwiony do reszty, odezwałbym się tutaj z za ściany: — Uderz się w piersi panie Bartłomieju! wszakżeto głównym redaktorem *Pism rozmaitych* był autor *Geniusza wieku* i *Widnokręgu naukowego*, człowiek, który dla czystej z ducha wiary wysnutej idei poświęcał się cały, starając się słowem i czynem zaszczepić w sercach współziomków swoich miłość ku pracy pożytecznej i dobrym uczynkom, a wstręt ku próżniactwu i wszelkim moralno umysłowym nierządom! I któż od niego mógł być zdolniejszym do obmyślenia i redagowania Pisma dla pożytku ogółu!? — Jeszcze i jeszcze raz uderz się w piersi panie Bartłomieju, bo ten twój passaż krytyczny — istna *kalumnja*, i przypomina mi tylko widziany ongi cudacko-śmieszny polot puszczyka, którego ktoś wypłoszył z gniazda wśród dnia jasnego!

(2) Mógłby kto ze szlachty ciągiem takich rozumowań przyjść do wniosku, że Dołęga, obwarowawszy się ściśle we względzie finansowym planem swojej redakcyi, znalazł się w konieczności zaproponować Gryfowi (obywatelowi *de titulo et proprietate*) wydawanie osobnego literackiego zbioru *na rzecz swoją*; winniśmy więc oświadczyć tutaj, że Dołęga ani w planie ani w wydaniu *Lewiatana* żadnego dotykalnego niemiał udziału, owszem, wierny wszczepionemu weń od dzieciństwa (może nawet na dumę nieco zakrawającemu) charakterowi bezinteresowności, nawet ofiarowanych sobie przez Wydawcę *Lewiatana* kilku exempl. tej xiążki *bezpłatnie* nieprzyjął. (*Wyd.*)

jeżeli mniema, że na nową nazwę Pisma więcej uzbiera prenumeraty, myli się szkaradnie. Wiadomo, że każdy kupiec nietylko drogo ceni swoją firmę, ale nawet miejsce i sklep, w którym długo handluje. I naturalnie, bo na nowém miejscu i pod drugą firmą z początku zawsze będzie miał mniej kupujących; bo straci wielu starych, a nowych nieprędko nabędzie, chociaż towar jego co do wartości takiż, jak był przedtém. Redaktorski talent, jestto talent osobny, talent literacko-handlarski, i u nas go dotąd niema. Wszyscy niemal redaktorowie nasi, mianowicie koronjasze, biorą przykład z *Cejtungów*, a te, wierutne *prosięta i kartofle*, mało widać zawierają w sobie godnego naśladowania. Bo, jeśli się niemylę, wiele ich jest w Niemczech, ale żadnego dobrego i wszystkie z niewielką liczbą prenumeratorów; żaden ten niemoże się poszczycić, że jest przedstawicielem niemieckiej cywilizacyi. U nas potrzeba w części przyznać redaktorski talent Przecławskiemu.

P. Tomasz. — A toż Mości Dobrodzieju z jakiej racyi? Że lat kilkanaście umie tak drogo przedawać swój Tygodnik!? Całą przyczyną tego przywilej redagowania jedynej gazety i brak współzawodnictwa. Onto właśnie najdostateczniej przekonywa swoim Tygodnikiem, że nasza polska publiczność nieżałuje pieniędzy na xiążki i gazety. I niechaj mi kto wbrew powie inaczej, gotów jestem nazwać go człowiekiem bez żadnego zdania. mazgajem! Bo proszę, Tygodnik Petersburski naprzykład teraźniejszego 1848 roku — cożto jest takiego? I za cożto pan redaktor tej gazety każe sobie płacić aż 15 rub. sr.!? Za extrakciki politycznych nowin z *Północnej Pszczoły*, która podtrzymuje się tylko swoim kłótliwym feljetonem, i za dwa romanse bez początku, a może i bez końca, któ-

re osobno wydrukowane osobno się płacą po pięć i sześć rub. sr.! Ja Mości Dobrodzieju nie będę już więcej takim osłem, abym prenumerował tę gazetę; już lepiej zaprenumeruję sobie dla politycznych wiadomości *Kurjer Wileński*, albo jaką ruską gazetę, co daleko taniej kosztuje, a więcej mi dostarczy materyału do gruntowania ścian, bo myślę je okleić angielskim papierem. Petersburski Tygodnik w stosunku do Orędownika i Tygodnika literackiego powinien kosztować niewięcej, jak 4 r. sr. (1). I kiedy myślisz, komuby tę ważną dla

---

(1) !!! Otożto, jakie bywają sądy szlacheckie o rzeczach! Im chodzi w peryodycznych pismach o *ilość* a nie o *jakość*, o materyał do gruntowania ścian, a nie o walor wewnętrzny! Szkoda, że mnie tam niebyło, jabym potrafił zreflektować pana Tomasza. Trzebaż wziąść dobrze na uwagę, co do Tygodnika Petersburskiego, naprzód religijno-apostolską jego missyę w oddziale literackim, a potém zastanowić się: jacyto jego kollaboratorowie! co to za głowy (że pominę dwóch z niczém nieporównanych romansopisarzy), głowy, naprzykład Autora, który najobszerniejszą dowiódł rozprawą, że ten, co pierwszy naukę Filozofji w całym jej obszarze dla użytku swoich współziomków wyłożył, jest osłem nieumiejącym odróżnić Boga od człowieka, a człowieka od bydlęcia! albo tego Estetyka, który chłoszcząc bez miłosierdzia pisarzy, chcących ukazać jakąś nadobność moralną po za obrębem wyższej klassy społeczeństwa, daje sam nauczające w tym względzie wzory w ulotnych swoich z pewnych okoliczności pisanych artykułach! albo autora *nadzwyczajnie* dowcipnej broszury pod tyt. *Wierszy moc wielka za półrubelka*, który przez *nadzwyczajne* koleje przyszedłszy do *nadzwyczajnej* powagi, począł pod przybraném *nadzwyczajném* imieniem opisywać niebieskie i ziemskie *nadzwyczajności!* albo *Micros'a*, owego niepospolitej tuszy umysłowej, brzemiennego, przeładowanego rodzajnémi nasionami naszej progressyjnej epoki *Micros'a*, *Micros'a!* który każdym dorywczym strychem genjalnego swego pióra bardziej i bardziej użyźnia afrykańskie stepy naszej umysłowości i któremu sam nawet, najsurowszy z *myślinników*, najskromniejszy z pisa-

nas gazetę poruczyć, coby ją tanio i korzystnie redagował, niewiesz prawdziwie, na kim się zatrzymać. Chyba na jednym Dołędze, który nam tak okazałą i smaczną *Gwiazdę* za rubla przysyła: — dopóki i ten się niezepsuje po przejściu pierwszego szlachetnego zapału, albo w skutek silnej reakcyi partyi ultramontańskiej. Bo Kraszewski, pisarz znakomity, wielki, na redaktora zda mi się za niezręczny, może przez to samo, że w każdém ognisku indywidualnych myśli widzi on próżnię mogącą się zapełnić jego tylko talentem? że ten talent w sprawie bieżącej literatury powołuje go zawsze do wszechobecności? On bez wątpienia może podtrzymać piórem swojém każdy żurnał, co też i robi ochotnie, szczérze, z poświęceniem się; ale co do redaktorskiej funkcyi, to oprócz innych i sam on się uskarza gdzieś tam

rzy, uprzywilejowany dzieł jego wydawca, Wydawca Tygodnika szczodre oddaje pochwały!.. Kto to wszystko porządnie, nietrzeźwym umysłem rozważy, ten przyznać musi, że cena Tygodnika Petersburskiego 15 rub. sr. jest nader, nader umiarkowaną.— Notabene; dla tych, co niesą w stanie uiścić z góry całorocznej prenumeraty, jest jeszcze ta dogodność, że mogą prenumerować na pół roku, a w takim razie dodaje się tylko 1 rubel do 15. Niektórzy panowie żurnaliści i gazeciarze, chcąc niby upopularyzować swoje feljetony, przestrzegają, aby ubogi czytelnik nieopłacał drożej całorocznego wydania dla tego, że tej opłaty niemoże uiścić z góry, jednorazowie, i starają się znieść wszelką różnicę między całkowitą i cząstkową prenumeratą; — ale to skrupuł w epoce najrozleglejszego zastosowania *idei dodatniej* godny zaiste śmiechu i szyderstwa ludzi praktycznych! I cóż ztąd proszę, że 2 | 15 | $7^1/_2$; kiedy tu nie o prostą arytmetyczną formę, ale idzie o rzecz daleko większej wagi, idzie o pierwiastek *dodatni*, który otrzymuje się tylko za pomocą wyższej polityczno-filozoficznej kombinacyi, znanej pod nazwą systematu *zaokrąglenia*? —

(*Wyd.*)

w *Orędowniku* i w *Szkicu Druskienik*, że niedzie tak, jakby się chciało jego czytelnikom i jemu samemu.— Ach, zabawnej sceny niedawno byłem świadkiem! Trzeba mi było widzieć się z panem Sebastyanem. Zachodzę doń i znajduję go, ale znajduję niepospolicie zatrudnionego — czémżebyś sądził? — ważeniem na swoich dłoniach dwóch xiążek! Na jednej był, niepamiętam który, numer tegorocznego żurnału wojskowo - medycznego, na drugiej, pamiętam dobrze, 1-szy zeszyt 2-go oddziału *Athenaeum* także z tegoż roku. Rozśmiałem się serdecznie z takiego sposobu wartowania xiążek. »Jaka, mówił do mnie serio pan Sebastyan, jaka różnica między tym lekarskim żurnałem, bogatym, zdrowym i okazałej postawy elegantem, bo nawet z rycinami, i za 5 złotych, a tém szaraczkowém, drobném *Athenaeum* za rubla srebrnego!« — Przyczyna tej różnicy, powiadam, w liczbie prenumeratorów — » Wiem o tém, wiem, odpowiedział, ja tylko porównywam. « — W *Athenaeum* duch dobry, jak powinien być u Kraszewskiego, ale brak materyałów bardzo widoczny.

P. Bartłomiej. A cóż, powiastka pani czy panny Józefy Szmigielskiej? — czy czytałeś ją?

P. Tomasz. Czytałem i nieżałuję, że dla niej oderwałem się od Morand'a *Historyi filozoficznych nauk*, bo przecież niemożna powiedzieć, jak po przeczytaniu innych — *czyż warto to druku*? — Ale i cóż? albożnieodgadłem z góry treści i ducha tej powiastki? Jużto teraz widać nasze literatki albo nieumieją albo i niechcą pisać inaczej, i nieganię im tego. Tylko nastaję zawsze na to, że im przedmiot lepszy, tém lepszego dlań pióra potrzeba. I niepodoba mi się to zbytnie napadanie na arystokracyę rodu i bogactwa. Jeszcze w towarzyskiém kółku mówić, rozprawiać, parlamentować,

z tej tezy uchodzi, ale pisać, ale występować publicznie ze swojém widzimi się, aby tylko stany pomiędzy sobą różnić, aby na jednych składać wszystkie niegodziwości, drugich w idealne ubierać cnoty, to dalibóg nie warto; to zaraz mi przypomina owe, po zaszłej w miesiącu Lutym r. b. rewolucyi francuzkiej, skassowanie wszystkich godności xiążąt, parów, hrabiów i t. p., z czego naśmieliśmy się obaj do syta, równie jak ze skassowania prawa więzienia za długi! Bo ktożto, pytam, bywa zwyczajnie głośnym, krzykliwym demokratą? — Komu nieżyczliwe losy arystokratą być dotąd niepozwoliły.

P. Bartłomiej. — Ech sąsiedzie! sofizmy prawisz.

P. Tomasz. Kiedyżbo, Mości Dobrodzieju, ja mówię, jak się praktykowało i jak zwykle praktykuje się na świecie, a nie jak jest wyjątkowo i jak mamy nadzieję, że kiedyś będzie powszechnie. — Cóż za sofizmy? Zresztą, jak kto pojmuje w jakiej chwili arystokracyę, tak o niej i sądzi. Ja dla arystokraty prawdziwego zawsze mam wielki szacunek, bo to człowiek równie przymiotami duszy jak i darami fortuny uposażony, uczciwy i pożyteczny obywatel kraju. Ale o tém tyleśmy się już nagadali i naczytali, że ta materya jest dla mnie jedną z najnudniejszych. Piszą, dysputują Mości Dobrodzieju, a żadnej z tego konsekwencyi, żadnej realnej korzyści. Podobno to jak w tém, tak i we wszystkiém *tot capita*, *tot sensus*, ja też z mojém zdaniem nienarzucam się nikomu. — Wracając do powiastki p. Szmigielskiej, sama już maniera jej dowodzi kobiecości, a o języku i stylu niema co i mówić, że są bardzo, bardzo kobiece; co tém dotykalniej widzieć się daje obok tych szpuntów, *alias* wstawek, które niegrzeczny widać redaktor w wielu miejscach

mężkiém swém piórem porobił: — ztądto ta nierówność stylu.

P. Bartłomiej (przypomniawszy). A Anatol?

P. Tomasz. A Ignacy, Mości Dobrodzieju? a ten biedny Teodor i bogata jego żona Jadwiga, czyż nieprzypominają *Żydów* Korzeniowskiego, tak samo, jak Dymitr i Marya *Maryę* Malczewskiego? hę? A tenże obrazek Jadwigi ze swoim synkiem, gdzie zdaje się i słyszysz, jak śpiewa. »*Śpij moje złotko*» —? A widać przez wrodzoną kobiecie skromność niewspomniało się ani o Kniażninie, ani...

P. Bartłomiej. Jeszcze i śmiejesz się sąsiedzie— to za okrutnie!

P. Tomasz. Bo czas już nam wymagać po sobie, żebyśmy pisali dobrze i drukowali tylko dobre. Mówię też serio, że professor lub kaznodzieja w spodnicy, to dalibóg coś anormalnego, istna karykatura! Dla tego radziłbym z duszy wszystkim kobietom, aby w ich pamięci zawsze była obecną mądra odpowiedź Napoleona na zapytanie pani Staël: »*która kobieta jest wielką*?«— bo doprawdy ta tylko kobieta może rościć prawo do powszechnego szacunku, która najwięcej urodzi i wychowa dzieci (1).

---

(1) A ileżto jest kobiet nierodzących i niemogących rodzić dzieci! Przynajmniej takim powinienby p Tomasz, pomimo absolutnego w tej kategoryi Napoleona, pozwolić zajmować się literaturą i autorstwem?. A jeżeli, usposobione ku temu staranném wychowaniem i naturalną czy też nabytą do kontemplacyi skłonnością, wydadzą one na świat takie dziatki, co wdzięcznem obliczem i kształtem ujmą sobie każdego, podobają się wszystkim — dziatki, podobne np. do *Karoliny*. *Krystyny* i dziełka *o moralności dla kobiet*; jeżeli mówię idąc za głosem uczutego silnie powołania zostaną one takiemi professorami i kaznodziejami, jak nasza w Bogu już spoczywająca ś. p Kle-

P. Bartłomiej. — Ej sąsiedzie! Po spartańsku, jak widzę, sądzisz o kobietach. Szkoda, że niema tutaj mojej Teresi, onaby tu zaraz wystąpiła z Jaślikowskim, z tym pracowitym tłumaczem Messyady, który w przedmowie swojej opiera się na zdaniach samych prawie kobiet.

P. Tomasz. — Jeszcze z twoją żoną panie Bartłomieju przyjemnie podysputować i jej czasem nawet niby ustąpić, bo ona kobiece swoje samolubstwo okupuje wielą innymi przymiotami. — (po chwili). A jakato jeszcze niewdzięczna rzecz ta kaznodziejka! I Dołęga złą formę obrał dla swoich dobrych morałów, złą, bo pewny jestem, że ona mało, najmniej zwabi czytelników. Kaznodziejka bywa organiczną niejako potrzebą każdego z nas przepełnionego enotliwą żądzą ogłaszania zdań swoich, rozumie się, zawsze najsprawiedliwszych, najzbawienniejszych; ale czyż dla tego każdy z nas powinien już pisać i drukować same kazania? Ja zawsze się śmieję, gdy który z młodszych zwłaszcza literatów bierze się serio do apostolstwa, jak śmiałem się niedawno z Kraszewskiego, co chciał w Druskienikach prawić morały z kazalnicy. Wszyscy bywamy kaznodziejami w duchu, niemogąc wygadać się na professorskiej lub deputackiej katedrze, ale kazanie w dru-

---

mentyna; to czyż i w takim razie p Tomasz niezrobiłby ze swojej napoleońskiej surowości jakiegokolwiek na rzecz kobiet ustępstwa? — Owe tak często cytowane zdanie Napoleona o tém, co najwięcej zaleca kobietę, jestto najsłabsza broń w ręku naszych malkontentów, wiadomo bowiem, że ono było wyrzeczone nieszczérze, tonem pogardy, w celu tylko upokorzenia sławnej autorki *Korynny*. —

(*Wyd.*)

ku, jeżeli nie będzie znakomitego, wielkiego mówcy, zostanie bez czytelników.

P. Bartłomiej. — Czy przeczytałeś całego *Lewiatana*? Jeżeli w nim jest co dobrego, to będę prosił.

P. Tomasz. Przeczytałem, ale wziął go u mnie X. Kapelan. Celujący w nim artykuł Ant. Nowosielskiego, który jest rodzonym bratem Gryfa, tylko, jeśli się niemylę, rokiem przynajmniej od niego młodszym. Jak tamten tak i ten — dobry jest. Nowosielski nawet bystrością poglądu i sarkazmem (szkoda jednak, że nie humoryzmem: — a to dowodzi, że Nowosielski więcej w samotności niż w towarzystwie żyje) zapowiada nieposledniego pisarza w tym rodzaju, jaki uprawia w rossyjskiém pismiennictwie *Iskander*. Ale i Gryf i Nowosielski zdradzają się zanadto w niepraktyczności swego rozumu, powstając tak żwawo na ten materyalizm, którego znamieniem jest przemysłowość i handlarstwo. U nas właśnie tego i nima. A uczciwe handlarstwo i przemysłowość mogą się tylko niepodobać człowiekowi jeszcze z szafirowym kołnierzem, to jest, studentowi. Wszakże sam Gryf, człowiek z pewnym funduszem, nieporozdawał czytelnikom darmo swego *Lewiatana*, a sprzedał go i sprzedał nawet dobrą ceną, po złotemu arkusz? Nikt mu tego za złe niema, a przecież z tych tak surowych jego i Nowosielskiego napadań na empiryzm i markantylizm można było wnosić, że oni w publicznêm swojêm życiu dadzą nam jedyny wzór materyalnej bezinteressowności i, jako wierni naśladowcy Platona, zasilać nas będą talentem i nauką swoją bez żadnej nagrody. Tak jak słyszałem, że był onego czasu jakiś doktor i podobno teraz są tacy, co nietylko ubogim ale i bogaczom ofiarują swoje usługi z lekar-

stwami *pro commodo*, bezpłatnie; lecz że wszelka oryginalność w rzeczywistym bycie bardziej odstręcza niż przywabia, niewielu przeto znajdują chcących korzystać z tej filantropji.

P. Bartłomiej. A ja na to patrzę inaczej. Dzisiaj zaiste na zasadzie praktyczności wszystko się najściślej, najsubtelniej wyrachowuje; bardzo mało, a może i nic z czystych pobudek serca, z prawdziwej chrześcjańskiej cnoty, z poświęcenia się, a wszystko za pieniądze się robi. Pamiętam, że Kraszewski, zdaje się w Tygodniku, wyrzucał Anglikom utilitarność i benthamizm, jako największe grzechy, i miał racyę. Otóż i proces oddziaływania wszczęty z tych zagadnień musi także wpadać w przesadę, a osobliwie pod piórem ludzi jeszcze młodych, nie wytrawnych, jakimi mówisz są Gryf i Nowosielski. Wszakże w dobrym celu, w cnocie przesada niewielki grzech.

P. Tomasz. Z tego punktu patrząc — zgoda. Chciałbym jednakże w tej materyi podysputować nieco z Gryfem. On człowiek z głową, musi mieć na to inną jeszcze odpowiedź, prócz tej łacińskiej: »*gravior est animi quam pecuniae obligatio*.« A jeżeli i Nowosielski podziela całkiem zdanie Gryfa, to najlepiejby zrobił, gdyby nam dowiódł tego plastycznie, to jest, gdyby nam z żywych jakich wzorów napisał ostrém swojem piórem powieść, w którejby idee industrializmu i wszystkich warunków praktycznego życia zcierały się z ideami Platońskiej rzeczypospolitej, albo po dzisiejszemu, Prudhonowskiej socyalistyki. To nawet konieczne, bo inaczej te tak piękne jego filozoficzno-moralne twierdzenia podobne będą do bąblów mydlanych, któ-

re od silniejszego podmuchu wnet przepadają (1). Z przypisków Redaktora Dołęgi zauważyłem, że on ma osobliwy affekt do niektórych swoich kollaboratorów, jak np. do Bąkopisa. A ten Bąkopis (właściwiejby Bąkochwyt albo Bąkołap, bo rad poluje na cudze bąki) po-

---

(1) Czego p. Tomasz chce? w czém, na co i jakich objaśnień czy dowodów potrzebuje od Gryfa? tego my dobrze nierozumiemy. Tak samo prawie (tajemniczo dla nas) czepia się jeszcze do niego jeden z najpracowitszych naszych korrespodentów p. Maciej, lekarz z professyi. Nie od rzeczy może będzie dać tutaj czytelnikom naszym jakąś próbkę tej zaczepnej logiki p. Macieja? — Oto, co on pisał do nas w m. Marcu z. r. po przeczytaniu N 2. *Gwiazdy.* — »Twierdzi p. Albert Gryf w artykule o dziełach Eug Sue, że *nagrodą cnoty jest cnota sama*, *karą występku jest sam występek*, *a nieubłaganym mścicielem*, *odwieczną miarą zła i dobra*, *sumienie;* i dalej, że *nieuznający tej prawdy i niestosujący się do niej czynami*, *są prosto hypokryci*. Przyznam się panu otwarcie, że te zdania dawniej, przed 10 laty, uznawałem całą mą duszą jako najsprawiedliwsze i najmocniej obowiązujące, ale dzisiaj widzę w nich zanadto idealizacyi, widzę wiele czegoś, co się niedaje zastosować w życiu powszedniém, rzeczywistém i nawet niemoże być praktykowaném przez zwyczajnych prozaicznych ludzi. *Kochaj bliźniego*, *jak samego siebie*. powiedziano nam; *jak samego siebie*. nie więcej, — bo to nie w naturze człowieka i nawet do jego szczęścia niepotrzebne. Kochać więcej, można tylko niedługo, i nazywa się *zakochać;* kochać więcej można tylko abstrakcyjnie ojczyznę, ludzkość i to wtenczas, kiedy jest prawdopodieństwo, że ofiara z nas samych przyniesie szczęście wielu braciom - ludziom; kochać wreszcie więcej, powinniśmy Bogu. Ale robić dobrze nad zakres powinności naszej, robić więcej, niż obowiązani jesteśmy, dla tego koła ludzi, gdzie nas Opatrzność pomieściła, i robić tylko z miłości dla tej roboty, z powołania, bez chęci otrzymania za to wzajemnej usługi, nagrody; tego zaiste od nas plebejuszów ducha, od ludzi powszednich, stworzonych do jakichś szczególnych obowiązków, wymagać niemożna I gdyby ten arcymoralny postulat p. Gryfa przyjęty był w dzisiejszém

pisał się i sam dobrze, dając za przykład gminnej ruskiej mowy jedną z powieści Dostojewskiego! Gdyby był Mości Dobrodzieju wskazał utwory tego rodzaju Dala, Weltmana albo młodego D. Grygorowicza, byłby tém dowiódł jakiegokolwiek znawstwa ruskiej litera-

---

życiu indywiduów za prawidło, możnaby śmiało zaręczyć, że porządek społeczny całkiemby się wywrócił, a wywrócił nie na lepsze, lecz na gorsze. Bo przecież źli ludzie niedarmo są stworzeni; oni są i wiecznie będą potrzebni, oniby więc i wymagali, jak wymagają, ażeby dla nich druga połowa ludzi pracowała i niosła ofiary z poczciwych trudów całego swego życia, zostawując im jedyną nagrodę — duchową przyjemność, wewnętrzne przeświadczenie, że się zrobiło dobrze darmojadom, próżniakom, za co oni gotowi są jeszcze ukrzywdzić swoich dobroczyńców dla powiększenia ich zasługi przed własném ich sumieniem. Weźmy przykład z siebie. Ja mam obowiązek, zabierający mi niemało czasu każdego dnia, i obowiązek niezawsze przyjemny, choć prawda robiący mię w stosunku do innych mniej zależnym. Za sumienne spełnienie tego obowiązku ja mam wynagrodzenie. Podjąłem się sam tego; powinienem pełnić; pełnię — i jeszcze ztąd na żadną zasługę rachować niemogę. A byłaby niezasługa i niecnota, gdybym jak należy niepełnił: — bo cnotą nazywam ja to, co z osobnych pobudek szlachetnych, *extra* właściwego obowiązku dokonywamy. Teraz np. po całodziennném zajęciu się *ex officio* mam przyjemność rozmawiać z kochanym p. Dołęgą, potém wezmę Gwiazdę, albo Therapję Canstatta i zaczytam się, zaczytam przyjemnie do późnej nocy, co tém gorzej dla mnie, bo długo zasnąć niebędę mógł. Ale oto zasypiam. Stuka się ktoś. Kto tam? — » Pan N. prosi najpokorniej przybyć do niego natychmiast, bo bardzo zasłabł. « — Dla czegoż nie w dzień, a teraz przysłał? — » W dzień jeszcze było nieźle, teraz bardzo słaby. « — Izba moja jako tako ciepła, a pod kołdrą nawet spotniałem; na dworze zaś mróz tęgi, albo zawieja. » Czy niemożna prędzej? « — Zaczekaj panie chwilkę, niech się trochę ochłodzę. Następnie uwinąwszy się w futro pojechałem i znajduję mego pacyenta istotnie czy tylko z przywidzenia chorego. — Zrób to i to, albo nic nierób, bo niepotrzeba — powiadam i nazad do domu. Nie upłynęło pół godzi-

tury i zkonwinkowałby kapitalnie autora *Kalejdoskopu*. Powieść *Arystokracya z warjacyami* dobra jest, szkoda tylko, że xiążkowym, to jest nie rozmownym stylem napisana. Widać, że autor więcej przywykł pisać rozprawy, jak powieści. A są tam Mości Dobrodzie-

---

ny, znowu mój pies mię budzi. Kto? — Znowu tenże sam przysłał, że tego niemoże zrobić, bo się boi albo niechce, a prosi o co innego, szczególnie o to. — To zgoła niepotrzebne: niech robi to, co radziłem, a niechce, to niechaj da mi pokój! — »Kiedyż bardzo chory.« — I odwiązać się niemożesz, i musisz wstać aby znowu jechać i pomódz w jego istotnej czy tylko urojonej chorobie, czy aby po prostu wyłajać lub choć napisać co podobnego. Usnąłem nareszcie. Znowu pies warczy. Kto? — Przysłali z lazaretu, albo z tego domu, gdziem się obowiązał stawić na każde zawołanie. Wstaję więc i jadę albo idę; a powróciwszy, rozumie się, spać już niemożna albo i nie pora. Bo może być i taki chory, co głowę twoją zaprzątnie myślą kłopotliwą na dni kilka, a taka myśl i taki jeden, drugi, trzeci chory spokoju ci niedadzą. Cały następny dzień, niemając nawet nowych z obowiązku zatrudnień, będziesz zajęty rozmyślaniem lub kopaniem się w xięgach. Przyszedł nareszcie wieczór, chwila szczęśliwego spokoju, chwila herbaty i jakiejś xiążki przyjemnej. Chcesz z niej korzystać, ale czytanie idzie piąte przez dziesiąte i spać się niechce, bo myśl o chorych już cię nieopuści, musisz sam z nimi chorować. Ale oto natura przemogła; poszedłeś do łóżka; zasnąłeś. Mój Cerber zaszczekał. Kto tam? — Ten i ten zarznął się, albo, temu choremu gorzej się zrobiło. Niema co robić. Powiedzieć, jakby ko hany nasz Kraszewski swoim Ekonomom i Wójtom powiedział: *idź z Panem Bogiem!* — nam niemożna. Tu zawsze prawie potrzeba jest potrzebą gwałtowną, bez odwłoki; tu zamknąć się i niepuszczać nikogo do siebie, niepodobna. I dajmy, że tak pójdzie codzień, a bywa tak częstokroć cały tydzień z rzędu: — i przez cały tydzień nic zrobić dla siebie niejesteś w stanie! Bo powtarzam, że często jeden człowiek chory ze swojém rodzeństwem zatrudni twój umysł i serce za wielu innych. Otoż mój kochany Panie, to zakłopotanie się duchem z jakichkolwiek bądź pobudek, czy z prawdziwej miłości bli-

ju, niepamiętam tylko gdzie mianowicie, są wyrazy i wyrażenia obrażające smak dobry.

P. Bartłomiej. Jak sobie chcesz kochany sąsiedzie, a wszystko niema pióra, jak Rzewuskiego. I cobyto był za złoty pisarz, gdyby niewdawał się w mędr-

---

żniego, aby prędzej ulżyć cierpieniom ludzi, czy z troskliwości o swoją wziętość, aby cię nienazwali niegodziwcem lub osłem w razie niepomyślnej twojej pomocy, czy, że własne twe sumienie może cię oskarzyć przed tobą, żeś tego zaniedbał, owego niezrobił w swoim czasie, to mówię zakłopotanie się, prócz przyczyn narażania się na zarazy, i prócz zaniedbywania własnych swoich a do czasu tylko znośnych dolegliwości i cierpień, jest główną przyczyną, że mnisi i świeccy duchowni i reszta braci ludzi tak cywilnych jak i wojskowych dłużej żyją od swoich lekarzy. A ci lekarze są przecież ludźmi, z właściwemi wszystkim innym ludziom potrzebami, skłonnościami i życzeniami! Ich honorarium za umówione obowiązki zwykle bywa wyrachowane. Niechby oni robili zawsze dobrze, cnotliwie dla samej cnoty, to zapewne niemieliby przyjemności czytać nawet milej dla nich *Gwiazdy*, niebyliby nawet w możności mieć to i owo dzieło konieczne dla ich nauki, niemówiąc już o przyjemności udzielania się ubogim krewnym, przyjaciołom i znajomym, przyjemności doznawanej z odbierania czułych, serdecznych podziękowań. Bo ludzie tylko za uczynność, za odbierane datki dziękują; a gdy od nagrody za zrobioną już usługę sam się uchylisz, ci ludzie zawsze myślą, że pewno to i niewarte żadnej nagrody, że onoby i samo, to jest to niezdrowie zamieniło się w zdrowie bez pomocy lekarskiej. Jużto taka jest wspólna wszystkim ludziom słabość czy natura, niewiem jak ją nazwać, ale tak jest i tak się powszechnie praktykuje. I jakże nam, tak namiętnym niegdyś idealistom, jakich zapewne nie wielu jest na świecie, nam, pokładającym tak wielką ufność w swoje siły i zamiary najlepsze, że zdołamy świat niegodziwy, przekupny, samolubny rychło zamienić w rajskie dziedziny — jak mówię nam, tak srogo dzisiaj rozczarowanym, zgodzić się na zdanie absolutne: *cnota dla cnoty*, *prawda dla prawdy*, *sztuka dla sztuki* (zdanie prawdziwe, ale za ogólne, bo niewszędzie i niezawsze praktyczne:) i uwierzyć, że

kowanie a opisywał tylko jak poeta stare nasze szlacheckie czasy! Bo to sto razy powtórzyć musisz czytając jego romans historyczny: »*to zaiste żywe konterfekty naszych ojców! to nasza we wszystkiém rodzima polska maniera!*« Już co w tém obrazowaniu, niech wybaczą nasi panowie romansopisarze, Rzewuski trzyma czoło przed wszystkimi.

P. Tomasz. — Przeciw temu ani słowa Mości Dobrodzieju, to tylko bieda nasza, że nic niema bez *ale*. I niechajbyto kto inny, a nie autor *Listopada* i *Zamku Krakowskiego*, co wszystkich nazywa głupcami, pisał banialuki, pochodzące jeno z niepewności jego arystokrato-jezuickich zasad i arbitralności w rozumowaniach, żadnejby na to niezwracano uwagi. Gdyby mi się kiedy zdarzyło zajrzeć w oczy p. Rzewuskiemu, winszowałbym sobie tego z całej duszy, bobym go przecie serio przeświadczył, że wszystkie jego sztuczno-logiczne warjanty na tema hrabioskiej albo innej jakiej jaśnie wielmożnej godności więcej czytelnika śmieszą,

---

kto niepostępuje według tego zdania, ten jest *hypokryta*!? Powtarzam więc kochanemu Panu, że dzisiaj pojąć tego co do joty niemogę, jak niemogę, pomimo wytężenia mojej źrenicy, dopatrzeć się poezyi w tej sztuce i nauce, gdzie wielki *Karem* był Homerem. Tak samo mój plebejuszowski gust ani w truflach, ani w bażantach, ani w Sojach, ani w Bordoskich i t. p. łakotliwych rzeczach nieznajduje prawdziwej poezyi, choć nawet przekonany jestem, że poezya wszędzie być powinna i t. d« — PP. Doktorowie, którymby ta protestacya p. Macieja wydała się uwłaczającą moralnym principiom ich powołania, mogą przez nasze pośrednictwo najotwarciej wypowiedzieć swoje w tym względzie myśli i uczucia; podejmujemy się tego pośrednictwa tém chętniej, że właśnie i my sami ostrością zaczepek p. Macieja zostaliśmy zmuszeni do ujęcia odpornej broni.

(*Wyd.*)

niżeli gniewają. Bo jak on sobie tam chce, a my obaj Mości Dobrodzieju, chociaż prosta tylko szlachta, pojmujemy go z gruntu i często śmiejemy się całą gębą z jego logiki. A cożto robią, kiedy go czytają ludzie rozumniejsi i wyżsi od nas we wszystkiém? — toto musi być kompletna teatralna sztuczka! Niezawsze on przecież tak filozofuje, aby nas zabawić tylko, rozśmieszyć. Zajrzyjno proszę Mości Dobrodzieju do 2 go tomu *Zamku Krakowskiego:* tam on jednym przypiskiem ustanawia, żeśmy w jego oczach wszyscy, to jest, kto wierzy i kto niewierzy w zabobony, głupcy, a to na fundamencie bejłowskiego axiomatu, że *nigdy głupiec niebędzie miał wstrętu do rzeczy zupełnie głupiej!* Ja w gronie moich znajomych liczę niemało arystokratów rodu, ludzi imponujących pozorem i wystawą, ale ci, chociaż niezdejmują gwiazd z nieba i niepiszą xiążek, zalecają się prawdziwą pańską grzecznością, która u nich nieraz wszystkie cnoty zastępuje, i nigdy się niedurniają. Gdyby p. Rzewuski w chwili opadnienia jego głowy podobnymi dziwolągami miał przynajmniej przed sobą lustro, kiedy niepamięta na przyzwoitość, to zapewne mniejby się narażał na nieukontentowanie i niechęć swoich czytelników, boby go własna jego fizyonomja ostrzegała, co jest wbrew przeciwne zdrowemu rozumowi. Dalej on w tymże swoim romansie, niewiedząc czego się trzymać, przyznaje się już otwarcie do wiary w fatalizm, a potém jeszcze zamiast meteorologji chce wierzyć w astrologję nazywając ją duszą astronomji! Poecie wszystko uchodzi, mianowicie romantycznemu, ale mówić o tej *Bhagawad-gita* (sekta mistyczna w Indyach), mówić pedagogicznie, twierdzącym sposobem, to już według mnie jest wyraźnym znakiem osłabienia organizmu.

P. Bartłomiej. A cóż sąsiedzie — fatalizm niejestło przecie czczy wyraz? Wierzą weń ludy, musi więc być w nim jakaś prawda?

P. Tomasz. A w co ludy niewierzą? Wszak dzisiaj wielu jest takich ludzi, co sami wierzą i drugich w tém chcą przekonać, że co cudze to i moje?

P. Bartłomiej. Nie, dzisiaj już nikt w nic niewierzy. Kiedyś była wiara w rozum i sławę, kiedyś ludzie poświęcający się naukom mieli pewne religijno-moralne zasady, od których niczém odwieść się niedali; a teraz — teraz, ja sądzę tam, na Zachodzie i sami opowiadacze tak zwanego kommunizmu niewierzą w swoją doktrynę. Choć-to z nich i drwić niewypada, bowiem ich błędy są dla drugich przestrogą i nauką.

P. Tomasz. Niech sobie tam kto chce wierzy w fatalizm; co do mnie Mości Dobrodzieju, ja wierzę w Bozką Opatrzność, co dała nam wolę i rozum, dwie władze, za pomocą których możemy wyszukiwać dla się dobro a unikać złego. Jabym chciał wiedzieć, zkąd u Rzewuskiego wzięła się wiara w fatalizm, bo ani hr. *De Maistre*, ani żaden jezuita nie był jego wyznawcą? — Bogdajby tylko niesprawdziła się na nim bajka Krasickiego o tym filozofie, który z początku będąc zapamiętałym ateuszem, w końcu już we wszystko, nawet i w upiory wierzył. I uważasz Mości Dobrodzieju, że ten pisarz, nazwawszy nieraz czytelników i przeciwników swoich głupcami, uwinął się z całą kompanją *Tygodnika* Petersburskiego w płaszcz pogardy i nieraczy odpowiadać na zarzuty *Gwiazdy* Kijowskiej...

P. Bartłomiej. — (śmiejąc się) I bardzo słusznie: bo naprzód, niema na co odpowiadać, a potém, wszak to są wszystko *młokosy*, niewarci objaśniać świécy, kiedy kto z tej kompanji pisze! I dziwna dopra-

wdy, zkąd im przyszło brać się do autorstwa, kiedy, według opinji ferowanej przez autora *Zamku Krakowskiego*, oni i pisać nieumieją, to jest, niemają dobrego stylu, a niemają dla tego, że jeszcze im daleko do lat sześćdziesięciu!.. cha! cha! *verba volant, scripta manent*. Ciekawa też rzecz, jak tę prawdziwie bejłowską sentencyę przyjął, niemówię już Kraszewski, ale serdeczny jego przyjaciel i admirator Michał Grabowski, który przed 18 laty pisząc swoją *Literaturę i Krytykę* nie mógł mieć więcej nad lat 25?..

P. Tomasz. — Powiadają Mości Dobrodzieju, że gniew usposabia do cholery, więc i milczenie musi być ochroną od tej djablicy. Niechże tylko djabeł weźmie cholerę jak swoją własność, to wówczas i Bejła wystąpi *de noviter* z czemś w guście swoich *Mieszanin obyczajowych*; może z nowym *Wieczorem literackim*, który znowu kongregacya tygodnikowa rozchwali — a za co? ja prawdziwie niewiem, bo ani tam rzetelnego wzorku naszego towarzystwa, ani tego, co się zowie attycką solą, nieznajduję. Są tam oryginały, które mogły istnieć w bujnej wyobraźni poety, ale nie w rzeczywistym świecie. I doprawdy, utwor ten jest bez porównania słabszy od początkowych szkiców Kraszewskiego, niższy od Dajkalpa *Obrazków życia miasteczkowego*, ba nawet (na co tu daleko szukać), nawet nielepszy od tej naszej dzisiejszej gawędy, która jak uważam zaczęła już ciebie panie Bartłomieju pobudzać do ziewania. A która godzina?

P. Bartłomiej. — (ziewając). Już bez pięciu minut dwunasta.

P. Tomasz. — (biorąc czapkę i laskę). Więc basta. Po zabawie jak i po pracy odpoczywać trzeba. *Ad felix videndum* Mości Dobrodzieju (ściska kordyalnie

p. Bartłomieja, który odprowadza go na ganek). Xiężyc pełny przyświeca właśnie, jak pyzata twarz pana Pafnucego upokostowana radością, kiedy mu kucharz dorzuci kilka trufel do potrawki. Alboż nie poetyckie porównanie? — Dobrej nocy panie Bartłomieju.

Stenografował d. 29 Listopada 1848 r.

Adolf z pod Bielska.

NOWY ENCELAD, NOWY DON KICHOT, NOWY MOCARZ CIEMNOGRODU.

(Urywki z listu do Wydawcy.)

Un des plus grands adversaires des Jesuites fut l'abbé Morrelet. Voltaire écrivait toujours son nom *Mords les!* Soyons donc des Morrelets et mordons nos Pompignans et Nonottes!

Autor *Mieszanin obyczajowych* wyzywa na harc filozofję, aby mu dowodziła sofizmów, absurdów, nonsensów i tym podobnych grzechów logicznych; filozofja ukazuje mu milczkiem drabiny z nagromadzonych przez Tytanów XVIII wieku Oss i Pelionów, po których gramolili się na Olymp i szturmowali do niego. Pochwyć więc o Jowiszu-Bejło gromy swoje i zburz co prędzej te fatalne piętra, bo oto nowi Tytani gotowi są wedrzeć się do górnych przybytków światłości i w nowy zamęt pogrążyć całe universum!!...

Nasz błędny, smutnej postaci, niesyty jeszcze wieku i sławy rycerz Pietyzmu, z zapasem w scholastycznej kuźni ukutych i rdzą wsteczności pożartych rynsztunków, z puklerzem tradycyjnej mnemoniki, z obosiecznym mieczem syllogizmów, w pancerzu z najtwardszych ekwiwoków sporządzonym, dosiadłszy ostrokościstokulawego ślepowierstwa Rossynanta i pokrywszy głowę ultramontańską duchenką, którą, jak protoplasta jego balwierską miedniczkę, mianuje on także nieprzełomnym hełmem z Mambrinu, powlókł się na rozstajne wszechwiedzy drogi. Tam wydziwiając zwykłe kuglarstwa i kontorsye, wśród strzelistych westchnień, roztrębywał na wszystkie cztéry strony świata nieporównaną piękność i niepokalaność swojej Dulcynei w Jezusowej sukience, następnie zaś głośno za jej cześć wyzywał w szranki nie same już wiatraki, ale i w nich mieszkających. Stało się, że nie wystąpił żaden, więc w przekonaniu, że się go ulękli, wrzasnął na całe gardło »*victoria!*« i dalej w nogi....—

Czy przypominacie sobie *Świstek krytyczny* i *Podróż do Ciemnogrodu*? — Wtenczas, kiedy zdawało się, że obskurantyzm ostatecznie pognębiony nigdy już głowy niepodniesie, ukazały się te pisma i jakby wieszczym duchem przepowiedziały, że tej hydrze głowy, poucinane w XVIII wieku, znowu w XIX odrosną. * Czyliż niewidzimy dzisiaj rzeczywiście rozpierającego się na Ciemnogrodzkim tronie Jarosza 1-go? Nie onżeto Najciemniejszy pan, wielki mistrz orderu Smorgońskiego niedźwiadka? Nieotaczająż jego tronu ministrowie Ciemniewicze i Lizołapy?*Panującą w jego państwie i nie-

cierpiącą żadnych innych religji czyż nie religja Bonzów? — A wiecież, kto był objawicielem tajemnic najciemniejszego państwa?, Oto, członek najwyższej arystokracyi, Prezes Senatu i Minister oświecenia Stanisław Kostka Potocki! Eheu, jakto się czasy i wyobrażenia zmieniły!...

Byłto sobie jeden król, o którym, kiedy jeszcze był królewicem, opinja publiczna jednomyślnie głosiła: »*Toto dopiero będzie król nie dla kształtu*.« Ktoś z bliższych jego osoby a więc lepiej go znających odmienne nieco objawił zdanie. »Kiedy zostanie królem, powiedział ów ktoś, to naprzód okpi swój naród, potem okpi Europę, potem świat cały: a w końcu i sam siebie.« Co też po ośmnastoletnich jego rządach i sprawdziło się. Bo nieustanna okpiwancya, tak jak wszystko złe, obraca się w końcu szarlatanowi w nałóg, że wreszcie i sam własnym swoim mistyfikacyom i kłamstwom wierzyć zaczyna. Trzech groszybym za to niedał, że i najciemniejszy pan jest podobnego rodzaju mistyfikatorem. Wprawdzie świadomsi rzeczy następną o tém relacyę czynią. Przed trzydziestu laty opinje najciemniejszego pana były antypodą dzisiejszych, ale Bóg ze smrodliwych błot najczystsze źródła częstokroć wyprowadza. Przed trzydziestu laty ukazał się na Wołyniu przybyły z Włoch apostoł missyonarz *in partibus infidelium* Xiądz Kalibota. Ludzie wiarogodni, którzy go znali, zgodnie twierdzą, że to był niepospolity teolog, istny wizerunek Moljerowskiego *Tartiufa*. Nawiedzał samej arystokracyi pałace, a głos jego niebył głosem wołającego na puszczy. Ziarno nie upadło na opokę i plenne wydało zniwo. Jego pietestyczne kontorsye i kiwania się pozyskały mu pomiędzy arystokracyą Wołyńską mnóstwo zwolenników. Płeć piękna ukanonizo-

wała go za życia, nieprzestając mu przyśpiewywać »*Święty*, *święty*, *święty!*« Mianowicie zaś znakomitsze rodziny neofickiego pochodzenia (co bardzo naturalna, bo wrodzona sympatya pociągała ich do *kiwania się*:) najprzykładniejszém odznaczyły się nawróceniem i żarliwością. Otoż świadomi rzeczy twierdzą, że podówczasto i Najciemniejszy pan się nawrócił. Nowo odkryty a nigdy przedtém niewidziany spektakl najzabobonniejszych praktyk wygórowanego bigotyzmu z początku powszechny śmiech wzbudził; ale wiadomo, że arystokracya ton daje. Powoli więc, powoli, przykład panów zaczął skuteczny wpływ wywierać na panków, to jest kandydatów do arystokracyi, w końcu zaś, jak wiadomo, pietyzm wszedł w modę. A lubo wielu modnisiów czuło to i przyznawało, że w sukience pietyzmu wcale im nie do twarzy i szpetnie, przecież stroili się w nią, bo modna. Religja materyalna, cielesna pozyskała tłumy wyznawców, Religja ducha — żadnego. A ówże Wołyński Apostoł? Zapewne niebo w tém jeszcze życiu wynagrodziło mu jego apostolskie prace — może fioletem biskupim? — bo zasługa jego pielgrzymki na Wołyń jeżeli nieprzewyższyła to przynajmniej wyrównała zasłudze pielgrzymki nawet do ziemi Ś. odbytej: — może purpurą kardynalską? może... aha, kiedyśto, kiedyś. Ale tymczasem prace jego apostolskie wynagrodzone zostały werdragonem galerowym, zapewne dla wyniesienia go potém wyżej po nad ziemię; na rekwizycyę bowiem rządu Austryackiego wytransportowano Apostoła męczennika pod konwojem, jako pomówionego o hersztostwo bandytów. Przed trzystu laty herszt bandytów Sawaedra zfabrykowawszy sobie bullę papiezką upoważniającą go do zaprowadzenia trybunału Inkwizycyi w Portugalji, istotnie ten trybunał zaprowadził.

Podobnie zaś jak Papież po odkryciu fałszerstwa uznał w missyi rozbojnika palec Boga i zrządzenie Jego Opatrzności, a uznawszy utwierdził czynność Sawaedry; tak arystokracya Wołyńska i Najciemniejszy pan, acz przekonani, że żarliwość ich religijna powstała z apostolstwa jednego rozbójnika, wytrwali w niej niezachwianie do dnia dzisiejszego. Trudno wprawdzie uwierzyć, aby człowiek zostający przy zdrowych zmysłach, człowiek z wyższą znajomością rzeczy, wzniesiony ukształceniem nad pospolitą sferę, mógł pleść i gryzmolić z przekonania najdziksze brednie; prędzej już daje się przypuścić, że on z potrzeby jakiejś fizycznej, dla humoru tylko mistyfikuje Publiczność. Być może w poufném gronie Ciemniewiczów i Lizołapów aż za boki się bierze czytając swoje i ich bazgraniny; i wszyscy parskają ze śmiechu poglądając na siebie, jak owi cytowani przez Cycerona augurowie Rzymscy?..—

Z przylądka Dobrego humoru
Alfred Gryps.

d. 27 Października 1848 r.

GOŚCINNOŚĆ ŹLE ODPŁACONA

z przyczyny naszych Xięgarzy — Wydawców.

Choć przysmaczków wszyscy chciwi,
Kto czém może, tém się żywi.
Szczur kuchenny, spiżarniany, ma na wybór pełne pólki —
Jak sadełkiem oblewany — a, co mu dziennym obrokiem,
Obojętném patrzy okiem na séry, szynki i bułki.

Ale temu, co w xiążnicy los zawistny dał mieszkanie,
Czy to na wsi, czy w stolicy, gryzie xiążkę na śniadanie.
Biedny pokarm co nietuczy, biedna xiążka, co nieuczy.
Raz szczur domowy, sławny z gościnności,
Szczury biblioteczne pozapraszał w gości.
Prozojad, który dobrym apetytem słynął, tak się zawinął,
Że w jednej fasce o mało tylko co masła niestało.
Wierszogryz do zawodu godzien z Prozojadem,
Prostej, szczerej maniery, lecz na podniebieniu czuły,
Tak zasmakował obiadem,
Że wszystkie szynki i sery moc apetytu poczuły.
Gdy mu się zbyt w oko wdzięczy, padł łupem udziec zajęczy;
Biszkokciki pogruchotał, dwa skrzydełka kurze zmotał.
W takim roskoszy odmęcie, wdzięczni za dobre przyjęcie,
Ażeby się ściślej zbracić, chcą wzajemnością wypłacić.
Nazajutrz skoro dzień wstanie, zapraszają na śniadanie.
Już słońce blask rzucało na Styrowe wody,
Gdy dwa szczury domowe wstępując na schody
Na wpół poważnym krokiem, to z flegmą, to z poskokiem,
Spieszyły do xiążnicy sławnej z dzieł wzorowych starych i nowych.
Tysiące ich leżało to w pólkach, to stosem, to prosto, to ukosem.
Prozojad podał naprzód: *Ojca Upominek*. —
A szczury go powąchały i do siebie się zaśmiały,
Szepcząc — czy to dla drwinek?
Więc Prozojad na lepszy pomysł się wysila
I zręcznie ściąga z osełek katalog xiąg Teofila
Z pochwałami nowych dziełek.
Liznęły go szczury oba, lecz się obóm niepodoba.
Więc *Henryka* z *Maryą* z kąta wydobywa,
Między powieściowémi policzonych dzieły;
Apetyt gości przyzywa, lecz goście ani liznęły.
Biedny Prozojad, zawiedzion trzykrotnie,
Rachel i *Halszkę* leżącą samotnie,

Co snem wieczystym na półce spoczywa, w zęby porywa
I na stół gościom przywleka. Patrzy i czeka.
Lecz żaden niepowąchał, ni wziął się do dzieła,
Jakby stęchlizną cuchnęła.
Prozojad zawsze zręczny i w przysłudze skory,
Wyszłe niedawno z druku stawi *Dwa wieczory*: —
Oba niosąc szyderstwo najtłustszej pulardzie
Toną, jak zrazy w sosie, w Kameleopardzie.
Na odor takiej zaprawy w śniadaniu
Goście łapkami korkowali nosy —
I mówią (nie wiem, czy wierzyć bajaniu),
Że śmiech ich pusty obił się w niebiosy.
Wtém Wierszogryz postrzegłszy, że apetyt gości
Zaostrzony nabierał więcej gorącości,
By do ładu rzecz przywiódł zaczętą w nieładzie,
Wierszyki Zwierzchowskiego na miseczce kładzie: —
I gdy się odrzucenia wcale niedomyśla,
W nosy szczurom smród zaszedł z murów Radomyśla!
Marcinkowskiego, typami wybity, poszedł tomiczek jak zmyty.
Wierszogryz myśląc, że przysmak nieświeży,
Co prędzej do półki bieży,
W zęby sposzyt chwyta snadnie, jak niewinnego baranka
I na stole gościom kładnie — *Pożegnanie Cypryanka*.
Niepoznali, co za strawa: czyto rzepa, czyto trawa? —
Szczur i jeden i drugi pod nosem zamruczał,
A tymczasem głód dokuczał.
» A więc *przekład Szekspira* damy im. Niech wiedzą,
» Niech poznają, co dobre, niechaj się najedzą,
» Niech raz w życiu poczują słodycz swego losu!«
Lecz dramy były chude, bez soli, bez sosu,
Niezaprawione pieprzykiem. Liznęły szczury językiem,
Na podniebieniu niesmak poczuły,
Z pysków gorzką ślinkę spluły.

A jeden, co to niby prym nad drugim trzyma,
Rzekł: »Z tytułu to przekład, lecz Szekspira niema.«
Panie *Fauście*, daruj bracie! Teraz idzie kolej na cię.
Darmo Kostuś czas swój tracił, by cię w polski strój skabacił.
Już ochoczy Wierszogryz w swoim ostrym pysku
Niesie cię i już stawi gościom na połmisku;
Lecz im się niepodobał odor Melpomeny
I na ucztę parskli w śmiech: — bo są czasem smutne treny,
Z których śmiać się niejest grzech.
A Wierszogryza czoło smutkiem się zachmurzy,
Nieznał on jeszcze, co to wymysł szczurzy,
W rozlicznych jednak daniach nieustawał
I o apetyt najpokorniej prosił;
Jedne po drugich tomiki podawał,
Jedne po drugich nietknięte odnosił.
Były tam szkice, romanse, gawędy,
Były xiężowskie powieści, legendy.
Taki los spotkał niejedno *Wspomnienie*,
Nie jedną *Podróż*. A któżby uwierzył —
Kiedy podano *Śmierć i Odrodzenie*,
Zapach cebuli tak w nosy uderzył,
Że szczury kichać poczęły i już się do drzwi sunęły:
Coprędzej więc je sprzątniono i ładanem wykadzono.
Gospodarze się biedzili, że ich goście głodni byli.
Myślą, patrzą sobie w oczy, szepczą zwolna, to z zapałem;
Raptem Wierszogryz poskoczy, a Prozojad za nim czwałem. —
Bravo dzielne szczury! bravo! — Gruby sposzyt *in octavo*
Wloką sapiąc. Lecz cóż robić? możnaż gości głodem dobić?
»Co najlepszego kuchni naszej stanie,
»Macie przed sobą: prosim na śniadanie.
»Sprobujcie *Bejtę* — co za przysmak rzadki!
»My po was zjemy ostatki.«

Tak rzekł Prozojad. Gdy apetyt kusił,
Powąchały go oba; każdy się zakrztusił,
Ani połknąć kawałka, a jakże go strawić?...
Więc szczury, aby dłużej nieślęczyć, nie bawić,
Dla ludzkiej może nauki poszarpały go na sztuki.
Jeśli się prawość w sercach nieostudzi,
Tak mu będzie i od ludzi.

Nepomucyn Sowa.

NOTATKI,

wydobyte z myśliwskiej torby jednego wiejskiego Filozofa.

La vraie raison place toutes choses dans le rang qui leur convient. Elle fait douter de celles qui sont douteuses, rejetter celles qui sont fausses, et reconnaître de bonne foi celles qui sont évidentes.

Rollin.

Co jest zdolność i władza duszy?—Podług materyalistów jestto drganie, ruch, czynność cząstek tej lub owej dzielnicy mózgu, czyli poprostu, wyrób organiczny, jak ślina, żółć, krew (*Cabanis*). Co jest sama dusza?—Proste narzędzie dla oznaczenia stosunku materyi do sił, czyli ciała do ducha. Z takiém pojmowaniem rzeczy można prędko wszystko rozstrzygać i nic jednak nierozstrzygnąć. Tu jednej anatomji i spirytualnej ma-

teryalności mało; trzeba koniecznie przypuścić istotę niezależną od materyi, istotę nawet rządzącą materyą i przewodniczącą jej we wszystkiém. Takim sposobem nietrudno będzie uobecnić, uzmysłowić równie samą duszę, jak jej władze i zdolności, bo naznaczywszy mózg mieszkaniem duszy a każdy osobny jego organ siedzibą osobnej władzy i zdolności, łatwo można wyobrazić i pojąć, że te władze, niebędąc organicznym wyrobem mózgu ani też zależąc od niego bezpośrednio, są to rzeczywiście siły niemateryalne, duchowe, wrodzone. A dalej z tego założenia idąc pojmujemy, że niemateryalne zdolności nasiona umieszczone w materyalnych mózgu organach rosnąc i rozwijając się z czasem bądź samodzielnie, bądź wpływem wychowania, tém samém rozprzestrzeniają granice swego siedliska. Przez to, przez szczególny rozwój jakiejś władzy duszy rozszerza się siłą tejże samej władzy mieszkanie czyli organ jej w mózgu z uszczerbkiem albo bez uszczerbku innych władz duszy. Tak samo, jak człowiek mieszkając długo na jedném miejscu i działając swobodnie coraz lepiej się zagospodarowuje, rozprzestrzenia swoją sadybę. Wszakże nie ta sadyba, lecz jej mieszkaniec człowiek robi to i owo jawisko na świecie, wywiera takie i inne wpływy na okoliczne sadyby i ich mieszkańców. Przez porównanie zwykle przychodzimy do głębszego zbadania rzeczy, a zdaje się że dopiero zrobione przedstawia rzecz naszą we właściwej postaci. —

Zawsze prędzej się zgodzę na Gallizm w frenologji, nižli na zdania spirytualistów jemu przeciwnych, utrzymujących, że nasze władze intellektualne niemają właściwych swoich siedzib (organów) i zależą całkiem od wpływu wychowania; bo chociaż są ludzie, u któ-

rych rzec można z odmianą pogody odmieniają się zdania i przekonania, ale to niczego więcej niedowodzi, jak zupełnej ich niezdolności. Może wprawdzie myśl nasza o czémkolwiek z czasem, to jest z nauką i doświadczeniem odmienić swą odzież ba nawet i fizyonomję, wszakże charakter tej myśli, jej grunt i istotne jądro pozostaną wiecznie teżsame. Znam dwóch ludzi różniących się pomiędzy sobą wiekiem i zdolnościami. Pan A. przed 10 laty czytając filozoficzno-socyalne dzieło jednego Francuza zachwycał się niém do *non plus ultra*, tak ono trafiało do jego młodego przekonania; a dzisiaj ledwieby on nienazwał to dzieło pustym dzwonem, tyle w niém znajduje czczych paradoxów i pedanckiej dyalektyki. Starszy zaś od niego wiekiem Pan B. ma dzisiaj (jak się dowiaduję z nowego jego dziełka) też same zasady i przekonania, jakie miał przed laty 20. A przecież w tym przeciągu czasu niemało upłynęło wody, niemało starych idei w zetknięciu się z nowémi pozmieniało swoje oblicza lub całkiem upadło. I ten człowiek będąc naocznym świadkiem wszystkich tych przemian, pozostał jak widzę niezmiennym w swoich zasadach. Możnaby ztąd wnieść, że pan A. wzrastał i rozwijał się intellektualnie w tym periodzie, a pan B. przed 20 laty był już na stopniu dojrzałości umysłowej. Zasady atoli jednego i drugiego, ile mi wiadomo, niesympatyzowały z sobą, bo pierwszy był widocznie sceptykiem — *humistą*, drugi gorliwym orthodoxą. Otóż obaj oni niezbijają ale owszem potwierdzają tę myśl moją, że wszystkie nasze władze i zdolności intellektualne muszą mieć stałe i właściwe sobie organa w mózgu, z którym człowiek rodząc się rodzi się tém samém z pewném usposobieniem do tego i tego, do wyznawania takich a nie innych moralno-umysłowych zasad, — z usposo-

bieniem mówię, które pod wpływem sprzyjających okoliczności w całej swej pełni rozwinąć się może, ale którego i największe przeciwności całkiem zgnieść, przeistoczyć, wynaturzyć, a tém bardziej wykorzenić niezdołają.

Prawda, powiadają, jest szczęściem człowieka. Kiedyż my ją zdobędziemy i czy mamy na to dostatnią liczbę zdrowych i silnych pracowników? Mówi się pospolicie, że każdy człowiek pracuje dla prawdy, rzeczywiście zaś pracują, bo pracować powinni, dla odkrycia prawdy ludzie tylko do wyższej klassy należący. A wieleż jest tych pracowników i jacyto jeszcze ci pracownicy?— Po większej części pieszczochy-samoluby, z takichże zużytych fizycznie i moralnie ojców zrodzeni. I jakże od takich biedaków-rachityków chcieć doczekiwać się zdobyczy, wymagających siły i wytrwałości herkulesowej? Czy nie prędzejby to poszło, gdyby każdy bez wyjątku ojciec miał moc i środki choć jednego z synów swoich opatrzyć w naukę i passować na robotnika w winnicy Pańskiej?.. *Spes et desideria vanae!*

Jan Paweł Richter zaadnotował w dzienniku swoim: *złe przepada, kiedy niedbamy o nie.* Prawdziwy Niemiec, jemu wszędzie i zawsze dobrze!

Z moją organizacyą umysłu często się dziwię a nawet zazdroszczę tej silnej wierze w doskonałą szczęśliwość przyszłych wieków, którą pielęgnują inne umysły a która mnie się wydaje i niemoże wydawać się niczém więcej, jak dziecinném urojeniem. Podług wszel-

kiego podobieństwa do prawdy pan Micros (*vulgo* p. Przecławski) jestto już człowiek niemłody, nieuwodzący się fantazyą i czczémi marzeniami, a jednak w *Uwagach swoich nad Mastologją p. Belke* (ostatnie NN. Tyg. Pet. z r. 1847.) bijąc na analityczność dzisiejszych umysłów przepowiada on rychły zwrót do Syntezy, od któréj ma się niby rozpocząć prawdziwy, płodotworny postęp ducha; a co większa, a co jakoby najważniejsza, że *człowiek znowu będzie umiał nazwać każdą rzecz po imieniu*. — Prawdziwe dzieciństwo! Jak gdyby nauka na tém się jedynie powierzchownem znawstwie zasadzała, a niedążyła do zbadania pierwiastkowych przyczyn rzeczy i wyciągania ztąd pewnych dla rodzaju ludzkiego korzyści; jak gdybyto, po dzisiejszej skończonej analizie wszystkich żywotnych zadań, a potem po zorganizowaniu, po syntetyczném stworzeniu wszystkiego (rozumie się błogiego), nic już na przyszłość niepozostało, albo nieurodziło się nanowo, co znowu potrzeba będzie koniecznie zanalizować i poznać w składowych jego atomach. Prędzej my uwierzymy temu, że dopóki człowieka i świata stanie, dopóty człowiekowi roboty z tym światem we wszystkich znajomych nam dzisiaj i jeszcze nieznajomych względach starczyć będzie. Będzie on w stosunku do przeszłego złego szczęśliwszy, ale do osiągnienia zupełnego szczęścia wiecznie nadarzać się będą nowe przeszkody, na usunięcie których będzie musiał wiecznie pracować jego rozum zaradczy, bo na to on jemu dany, bo nie tu zupełne, doskonałe nasze szczęście.

Wybornie naucza głęboki nasz Pedagog: « *Natura swojskiém jest, lecz krnąbrném zwierzem; jej żądz i chuci nigdy nieuśmierzem. Walcz więc z nią ciągle, a*

po długiej wojnie, niech jak pies leży u nóg twych spokojnie! Depc po jej grzbiecie, dręcz ją rojem trzmieli i niech się nawet warknąć nieośmieli! Wniej mieszka wprawdzie silny duch olbrzyma, lecz go moc nasza na uwięzi trzyma. Choć duch ten mruczy, choć paszczę zapienia, choć staje słupem, — niewyjdzie z więzienia; bo czarodziejska władza naszej jaźni korzy olbrzymów, których biczem drażni! « — Człowiek niestworzony być szczęśliwym na ziemi; jego udział, i udział prawdziwie go uzacniający, jest — walka z przeciwnościami. Jakoż, ledwie niekażdy z nas ma dosyć rozumu i męztwa do zniesienia najsmutniejszej przygody, największego nieszczęścia; a w szczęściu któż nieutracił głowy i z prostej niezeszedł drogi? Komu przydłuższa chwila pomyślności niewyszła na złe? Gdyby się znalazł taki, jabym mu pierwszy w duszy pozazdrościł. Ta kobieta, co dawała na mszę, aby Bóg natchnął jej męża do surowszego z nią obchodzenia się, była doprawdy niegłupszą od wielu filozofów, wierzyła bowiem, że nasze bole i cierpienia ziemskie są sprawą samej miłości i że ją mąż niekocha dla tego, że bić przestał. Bieda tylko wtenczas, kiedy razem zwali się na człowieka wiele nieszczęść, bo one go bardziej jeszcze niż pomyślność demoralizują i znikczemniają, bo rozum jego niemogąc niczém usprawiedliwić koniecznej ich przyczyny, musi oddać się rozpaczy, która prowadzi do zupełnej głupoty i śmierci.

Czy ludzkość szczęśliwszą jest dzisiaj, niż była lat temu sto, tysiąc? — Ja przynajmniej lepiej siebie w tej kwestyi zaspokoić niepotrafię, jak porównywając dzisiejsze moje życie z życiem moich lat młodocianych

i dziecińs/wa: — bo ludzkość jestto człowiek w filozoficznym względzie, i o tém nikt już dzisiaj niewątpi. Kto siebie tak niezapytywał, niechaj sprobuje, a zapewne całą wyższość obecnego swego szczęścia nad przeszłém znajdzie na stopniu tej moralno-umysłowej niezawisłości, jaką zdobył przez różnostronne zbadanie natury i własności otaczających go przedmiotów, oraz przez czystsze i dokładniejsze pojęcie swoich towarzyskich obowiązków, skutkiem czego rzeczywiste swoje dobro widzi w najrozleglejszym zakresie zgody i braterskiego z ludźmi przymierza. Bo co do innych względów, to zaprawdę nasza miłość własna niemało ucierpieć musi, niewidząc nigdzie tego stopnia wyższości. Dawniej, w czasy nieuctwa i dzikości, kiedy górowała szczerość natury zwierzęcej, męczono, katowano same tylko ciało; dzisiaj, w wielu powszechnej oświaty, góruje wysubtylizowana obłuda, ochrzczona mianem *przyzwoitości*, za pomocą której męczą, katują twoją duszę na każdym prawie kroku: — a zaiste męczarnia ta moralna, stosując dzisiejszą naszą wrażliwość do dawnej, ani mniej okrutną, ani znośniejszą jest od tamtej fizycznej.

Przed laty kapelan gymnazjalny i mój nauczyciel religji Xiądz N. examinując siedmioletniego paniczyka: bez czego człowiek zbawionym być niemoże? — pomnę, zapytał go także: »*czy chłop może być zbawionym?*« i na to odebrał odpowiedź: *nie*. Teraz ja pytam siebie, jaka jest różnica między tym siedmioletnim mędrcem-teologiem, a kaznodzieją, którego zresztą bardzo szacuję, a który powiedział: »*Ród, wychowanie, historya przodków naturalnym porządkiem przekazują nasiona cnót potomstwu panów. Gmin, od samego urodzenia oddany*

skłonnościom grubjańskim, *ma w sobie jakiś ciężar i nieusposobienie do wysokich obowiązków wiary. Przyzwoitość, nieoddzielna od wysokiego stanu, ta pierwsza szkoła cnoty, niehamuje jego namiętności; nizkie wychowanie ukrzepia wady urodzenia: nikczemne przedmioty, co go otaczają, upadlają rozum i serce jego. On obojętny na to, co wyższém jest odeń, a zrodzony prawie w nikczemnym stanie, z trudnością wznosi się nad siebie. W prawidłach Ewangelji jest szczytność niedostępna nizkim duszom. Wiara tworząca bohaterów, jakby dla nich tylko i była. Potrzeba być wielkim* (to jest, z rodu i bogactwa arystokratą), *aby być Chrześcjaninem* (*Massillon*—Kazanie na 2. niedzielę Postu). « — ! ?

Gdyby broń Boże wszyscy pisali tak powabnie, jak Autor, co opisał polowanie w litewskich puszczach, to od żądzy czytania przyszłoby się zapomnieć o najpierwszych potrzebach i prosto zwarjować. Gdyby zaś każdy obowiązany był pisać tak treściwie i jasno, jak Kołłątaj i Śniadeccy, to znowu druga bieda, bo dla tej treściwości i jasności niebyłoby prawie co robić i papiernie w większej połowie upaśćby musiały. Czcza, bezsensowna, niepotrzebna gadanina ileżto zwykle miejsca zabiera! I cóż my innego robimy w rzeczy samej, jeżeli niebawimy się przelewaniem z pustego w próżne? To czysta *manja* dziecinna! I tę manję doskonale podtrzymują nasi pisarze Ekonomiści (jak ten oto, którego teraz czytam), traktujący o *postępie*, o *przedmiotowości*, o *własności*, o *jedności*, o *pożytku szczególnym i ogólnym*, słowem, o wszystkiem i o niczem; z czego najgodziwszy możnaby zrobić użytek, oklejając tém pismem

parawan albo okna kurdygardy, bo ręczyć mogę za to, że żadnego światła nieprzepuści. Bez żartu, gdyby ten pisarz znał dobrze swój język i umiał wyrażać się nim jak należy, to mógłby być użytecznym ogółowi, bo intencye ma dobre i pogląd na rzeczy dość rozległy, chociaż nienowy. Zresztą, nam teraz bardziej chodzi o zastosowanie do powszechnego użytku prawd dawno już wiadomych, niż o jakąś nowość, oryginalność. Wszakże miłość bliźniego od tysiąca z górą lat już się ogłasza, a gdzież fakta dowodzące, że człowiek tę prawdę *zrozumiał*? gdzie mędrzec-moralista, któryby się pochlubił, że jego dzieła są rzeczą samą, a nie czczą, wyuczoną teoryą? —

Niechaj dzisiaj kto odda, co się komu słusznie należy, oceni każdą pracę według jej wartości; będzie zaprawdę Salomonem. A wszystko to szacowna pani Analiza sprawiła. Gdyby jej niebyło, człowiek-*homo* do dziśdnia byłby sobie królem całego *universum*. Tak sobie żył wspaniale, bosko na tej nieruchomej płaszczyznie, w około której miljonowe światła na lazurowém sklepieniu tańcowały dla jego uciechy: — potrzebaż było zjawić się temu Kopernikowi i wywrócić wszystko do góry nogami! Dziwna zaiste, jak ten najzuchwalszy z reformatorów potrafił uniknąć Inkwizycyjnej kary, *autodafe!* Jabym mu pewno niewystawił pomnika, bo on to przecie zniszczył najdroższe nasze przywileje, on z pierwszego miejsca, które zajmowaliśmy na godach empirycznego istnienia, odprowadził nas do progu. Ale być u progu, jeszcze to pół biedy; to już ostateczność, kiedy aż za próg wyprowadzą!.. A tenże Niemiec Mädler ze swoją Alcyoną? — to znowu heretyk godny

stosa! u niego królową *universum* jest dzisiaj Alcyona, od której poczta na promieniach światła zaledwie raz do nas przychodzi w ciągu 537 lat!! Cóż my więc *homines subditi*?—Coraz, to się pogorsza sytuacya nasza. Dawniej tak łatwa i prosta była metoda na wszystko; wszędzie też człowiek był jakoś odróżniony, wywyższony. Bywało, lata coś w górze? już i wiesz, że potrzeba zanotować w Zoologji — ptak; jest *os intermaxillare*? to zwierz; niema? więc *homo*. Dzisiaj zupełnie co innego. A jak poczęto rozwozić po miastach menażerye zwierząt, to i wyrodziły się pomiędzy nami lwy, tygrysy, małpy, osły, nietoperze, sowy, tchórze, gryfy i inne, którym brakowało także kości międzyszczękowej. Wypadałoby więc ztąd, że my *homines* jedno i to samo prawie co *animalia!*? — Choć z grobu sprowadzaj Króla Macedońskiego dla rozwiązania tej zagadki! —Dawniej narymowałeś co w guście *arma virumque cano*? —jesteś *vates heroicus*, ulubieniec Muz i masz nieśmiertelną sławę. Udało ci się gładko rozmówić z sowami, z mogiłą, z xiężycem i t. d.— wnet cię bez ceremonji utytułowano romantykiem, albo nawet zrobiono fundatorem jakiej romantycznej szkoły. Niezle jeszcze było z taką pracą, jakiej oddawał się ongi Al. Tyszyński; ta naturalnie ściągała na autora sławę ustanawiając w literackiém pandemonjum jakiś *ordo grammaticus*, zkąd poznano przecie, kto Litwin, kto Ukrainiec, kto Krakowiak, kto Puławiak i t. d. Kilka lat nazad, jak cię wydrukował Tygodnik Petersburski—miałeś los w kieszeni, byłeś co się zowie *homo!* autor patentowany! Począł ktoś piorunować na postęp, samodzielność i całą filozofję niemiecką — to mistrz odradzającej się literatury! to jenjusz religijny! Niechże jeszcze Kijowska *Gwiazda* poświeci lat kilka—at! Dzisiaj rozklassyfikować naszych

pisarzy, naznaczyć każdemu właściwe miejsce, prawie niepodobna, a cóż to dalej będzie? Im dalej w las, tém więcej drew. W przyszłości któryś z potomków Grabowskiego pisząc *Literaturę i Krytykę*, nawet z podziałami na progressistów, konserwatystów, umiarkowanych, exaltowanych, mystyków, historycznych, obyczajowych, empirystów, idealistów, socyalistów i t. d. i t. d., niebędzie mógł przyjść do ładu. To czysty chaos, od którego potrzeba dostać zawrotu głowy! — My tak mówimy biorąc miarę ztego, co znamy, co się drukuje; a ileż-to nowych najrozmaitszej treści i formy pism jest już gotowych w tekach! ile ich na wpół przygotowanych, ile poczętych albo pomyślanych! Cóż będzie, gdy to się wszystko wytłoczy i w obieg puści? Co będzie tego nietylko najbujniejszej imaginacyi. Al. Dumas z kompanją, ale żaden nawet uspiony czyto chloroformem, czy nowszym od niego aldegidem, czy najnowszym benzinem niewyobrazi, niepoścignie w widzeniach swoich! Prędzej już jaki Berzelius zamalgamuje w jedną massę czysty merkuryusz z wodą, nim ktoś, chociażby w zakresie dzisiejszej naszej intellektualności, potrafi każdą pracę ocenić słusznie według jej wartości. A tu filozofujący ekonomiści chcą i wymagają tego koniecznie dla szczęścia rodzaju ludzkiego! Dopomóż im Boże, ale doprawdy warunek za ciężki.

Notuję, co mi raz Doktor, mój sąsiad i przyjaciel powiedział. Ekonomja polityczna była przygotowawczą tylko nauką do ekonomji społecznej, jakby jej anatomją i fizyologją; tymczasem tej propedeutyce, temu studentowi, kazano być całą leczącą medycyną, skończonym już lekarzem praktykiem. Otóż ona tam, gdzie się

jej dowierzono, wziąwszy się prawdziwie po Brownosku za organizm społeczny, tak wiele w nim naprodukowała wzbudzającymi środkami soków, niemyśląc nawet o porządnej ich a koniecznej dla zdrowia cyrkulacyi, że naturalnie zrodzić się musiały w jednym organie nadmiar, wiodący do apoplexyi, a w drugim wyniszczenie, pewny poprzednik gangreny. Teraz kochany panie i sam Hipokrates nieprędkoby temu złemu zaradził. Ale naszym Ekonomistom—lekarzom zdaje się, że wielkich już rzeczy dokonali, bo jeszcze tylko pozostaje któremu z nich, np. L. Blanc albo F. Vidalowi, ten i ów organ ożywić lub całkiem odciąć, uorganizować produkującą siłę (pracę) i urządzić dobrze cyrkulacyę, to jest, podzielić sprawiedliwie bogactwa — a to taka bogatela!—i zawód skończony. Bo to znaczy, że już przyszła pora Syntezy, że już my zdolni jesteśmy z drobiazgowych faktów porządną utworzyć całość. O tém wszakże kochany panie mnie, pragnącemu wprawdzie tej Syntezy ale niewidzącemu w nas należytego do jej przyjęcia usposobienia, niechaj będzie wolno czas jakiś wątpić.—

Autor *Filozofji Ekonomji materyalnej* mówiąc o pracy (Część 2.) chwali jej podział najrozleglejszy we względzie specyalnym, chwali dla samej z niej korzyści, jaka się otrzymuje w prędszém i lepszém produkowaniu przedmiotów, które stanowią bogactwa krajowe. Ani słowa, że dla przemysłu widoczna ztąd wygrana, ale dla człowieka produkującego, przeciwnie, ogromna strata. Bo wyłączność specyalnych zatrudnień musiałaby całkiem pochłonąć siły twórcze ducha, które przecie Pan Bóg na coś przeznaczył; a tak człowiek stawszy się producentem samych materyalnych bogactw żyłby tylko dla

potrzeb i wygód ciała, i dla ciała nędznym był igrzyskiem lada zmiany wiatru, lada kaprysu tych, z którymi żyje i od których zależy.

Jednego razu mój Doktor był w szczególném usposobieniu do gawędy. Pamiętam, że zacząwszy mówić o szczęściu i nieszczęściu wyprowadzał ztąd najrozmaitsze wnioski i uwagi, jako to: że tyle w rok rodzi się zboża, ile koniecznie potrzeba dla niezbyt roskosznego przeżycia ludzi: że u biednych więcej zwyczajnie rodzi się dzieci, niż u bogatych; że dla podtrzymania rodów tych ostatnich i dla samego zdrowia społeczeńskiego ciała potrzebna jest koniecznie mieszanina krwi różnych klass i stanów; że ma teraz u siebie daleką krewnę starą pannę, chorującą na żądzę hymenowych słodyczy, co mu się wydaje podobném do tego dziwactwa, kiedy człowiek przez lat 50 chowając kamedulskie milczenie pocznie potem mędrkować z piórem w ręku. Od tego poszedł do *Przeobrażeń* Nazona, do *Duncyady* Erazma, do Ariosta, do Psychologji, do ustroju mozgu; a jak zaczął rozwijać teorye frenologów, wpadł na Biufona, Okena, Karrusa i prawił, cytował, dowodził, aż wreszcie porównywając zwierzęce i niezwierzęce czaszki przyszedł do wywodu nigdy przezemnie niesłyszanego (notabene, w tém miejscu wypalił niepospolity panegiryk Rzewuskiemu za to, że wierzy w szlachetność krwi i ras ludzi, jak domowych zwierząt:) — do wywodu powiadam, że protoplasta nasz Adam mógł nieżartem umieć czytać i pisać; że on był pierwszym człowiekiem ale człowiekiem *białym* Kaukazkiego plemienia; że organizacya kobiety nieżartem sztuczniejszą jest niż mężczyzny, bo ona później została stworzoną; że nieżartem od żydowskiej chronologji dłuższą jest chińska, a

od tej Etyopska i Eskimoska; że Ameryka odkrytą została nie przez Europejczyków i Azyatów, ale przeciwnie Amerykanie musieli odkryć Azyę, Chiny a potem Europę; że dla dójścia do istoty rzeczy trzebaby wszystko zacząć od drugiego końca i historyę powszechną całkiem przewrócić, przenicować; — słowem, nietylko spisać, ale pamięcią nawet objąć niepodobna wszystkiego, co on mi w tém szczególném usposobieniu nagadał. I zdawało mi się, że to pomysł zupełnie nowy, oryginalny, aż oto Doktor, który tegoż samego był zdania, przychodzi do mnie dzisiaj z jakąś xięgą świeżo odebraną z Bruxelli i otworzywszy ją przedemną ukazał następne słowa: »*Peut-être la race des nègres, aujourd'hui sécondaire, a-t-elle été jadis la reine de la terre, avant que la race blanche eut été créée* (Nouveau Dict. d'hist. naturelle, au mot *Animal*).« Zresztą, dodał Doktor, niejest dziś żadną osobliwością ludziom myślącym zejść się w sposobie swoich obserwacyj, to właśnie dowodzi, że Synteza już świtać zaczyna. —

Poczta przywiozła mi 23 i 24 tomy *Przeglądu naukowego*. Nadszedł wkrótce Doktor i zajął się całkiem tą nowością, bo ja miałem pilną listową expedycyę, na którą oczekiwał posłaniec u progu. Cóż tam znalazłeś osobliwszego, że tak głową pokręcasz? — zapytałem Doktora po odprawieniu posłańca. Na to on mi ze zwykłą swą powagą odpowiedział: — »Świat widzę postępuje, ale postępuje nie tak, jakby należało, bo... aha, ta rzecz niemusi być obcą kochanemu Panu, kiedy widzę na jego stole 1. tom Jerzego Sanda, w którym jest *Lelja*, a tu i Przegląd traktuje obszernie o emancypacyi kobiet. Dziwi mię to nad-

zwyczajnie, że ludzie rezonują o tém, o czém wyobrażenia niemają a nawet mieć niemogą. O jakiej to emancypacyi mówią np. panie Bronisława, Delfina i inne? Jeszcześ pani Bronisława umiarkowana w swoich pretensyach, ale inne chcą zupełnie porównać kobiety z mężczyznami! Mnie doprawdy na pusty śmiech się zbiera, kiedy widzę podobne idee brane serio do roztrząsania — i przez kogoż? — przez te oto panie i podobnych im panów (najlepszych bez wątpienia chęci), co znają człowieka ani mniej ani więcej, jak siebie samych, to jest, znają z dobrej tylko, z najlepszej strony patrząc na wszystko, co się do nich odnosi, przez powiększające szkło miłości własnej i dumy — a to znaczy, że znają człowieka i siebie fałszywie, czyli, co jedno, zgoła nieznają? Kobietę postawić narówni z mężczyzną, uwolnić ją z pod jego opieki, jest to, jak gdyby ktoś powiedział, że cielęcina i galareta mają smak i pożywność wołowiny, albo, że czyjeś widzimi się i kaprys dziecinny, to samo, co rozum wsparty nauką i doświadczeniem. Kobieta równa mężczyznie! — a ktoż to powiedział? Zapytać oto potrzeba rozumu a nie fantazyi, zapytać Anatomji i Fizyologji, a nie traktatów z pajęczyny utkanych. Każdy sumienny, znający gruntownie naukę swoją, lekarz odpowie ci na to: »Przeżegnaj się krzyżem świętym i odwołaj swoje porównanie, które jest największém dziwactwem! A jeśli mi niewierzysz, to poświęć lat kilka na poznanie Teoryi, która cię przekonać potrafi najdowodniej, że kobiety słabe oddychanie, nieoczyszczając organizmu ze zbytecznego węgla i wodorodu, utucznia ją tylko, zostawując na stopniu niższej, ciastowatej organizacyi; a potem poucz się trochę praktyki na świecie, zajrzyj tam i ówdzie przez żaluzje do budoarów mężatek i nie-

mężatek, w pewnych rozumie się porach, i będziesz miał dostateczną odpowiedź na te pytania: czy Bóg utworzył kobietę równą mężczyznie? czy kobieta zdolną jest zawsze wykonać to, co mężczyzna? i czy ona może być bezpieczną bez jego czujnej straży i przewodnictwa?» — Moje wy panie ze swoją patronką emancypacyi panią *Dudevant!* wiecież wy, coby się z wami stało, gdybyście dopięły waszego chymerycznego żądania? Oto, musiałybyście się wyrzec wszystkich hołdów sentymentalnej poezyi i zstąpiwszy z wysokości tak zwanych xiężniczek, aniołów, bogiń na poziom pospolitych praczek, musiałybyście same udawać się do mężczyzn i nadskakiwać im dla pozyskania sobie mężów, zamiast tego, że dotychczasowym obyczajem oni was wszędzie śledzą i o wasze ubiegają się względy. Wtenczas, jako z równémi sobie, oniby przestali być z wami grzecznymi, zapobiegającymi, litościwymi; a to przecie coś znaczy. A na dowód, że tak musiałoby być koniecznie, udajcie się do tych biednych siόstr waszych emancypowanych, które w każdym czasie możecie znaleźć w około siebie, one wam najlepiej odpowiedzą: czy pożadanym, czy godnym jest zazdrości stan kobiety wolnej od tyraństwa (po waszemu) męża? — Bo innej emancypacyi kobieta nigdy mieć niemoże, bo jej wątła galaretowata organizacya, a ztąd naturalna niemoc ducha, nigdy się nieostoi bez pomocy męzkiego ramienia. Wierzcie mi, że znam was trochę lepiej od was samych, a życzyć wam źle niemając żadnej przyczyny, śmiem utrzymywać, że lepszym jest stan kobiety pod opieką ladajakiego męża, niżeli *wolnej od przesądów świata*, jak się zwykle mówi. Co kilka przykładów kobiet z duchem męzkim dowodzą? To samo, co ten i ów mężczyzna zbabiały; to, że przy

poczęciu tych spodniczkowych Napoleonów i Heglów natura się omyliła, albo swój kaprys tylko okazać chciała wzmacniając kilku nerwami męzkimi wątły zaród niewieści, z resztą nic więcej.« — Apostrofujesz, rzekłem, jak z mównicy. »Bo jakże się niezdumiewać, że w chwili dobrze już zrozumianego postępu na drodze obyczajowej znajdują się jeszcze głowy, choć może bardzo uczciwych ludzi, co tę śmieszną ideę wyzwolenia kobiety usiłują podtrzymywać poważnémi rozprawami? Pominąwszy dawne i powszechnie w tym względzie obowiązujące autorytety, pominąwszy Hipokratesa i innych mędrców, wszakże to w nasze już czasy filozof nasz Frejburgski dostatecznie rozróżnił i wyświecił, co może męczyzna, a co kobieta? — Ale nasze Literatki, zajęte nazbyt *Lelją*, *Lukrecją Floryani* i t. p., niemówię zdolności i usposobienia, ale czasu niemają na czytanie dzieł tego rodzaju. I słusznie, bo tam cuda ognistej wyobraźni, urok poezyi na każdej stronicy, a tu od początku do końca prawda tylko ze wszystkich wdzięków ogołocona.« — W tém miejscu nazwałem go materyalistą. »Cóż robić, mówił dalej, kiedy ducha niepodobna oddzielić od materyi? A zresztą, co nam do tych duchów bez ciała, jaki ich może być stosunek do nas i czy im na co potrzebne nasze rezonowania? my ludzie powinniśmy myśleć, działać i żyć w naszej przyrodzonej sferze, po ludzku. Materyalista?.... at.« — i machnąwszy ręką zaczął mówić o sianie, co na dżdżu leży. —

Co tam o sianie gadać, posłuchaj lepiej porządnego artykułu Szulca. »Byle niedługi.« Zdaje się, że niedłuższy od twojej gawędy na temę Zandowską. Słu-

chajże. »*A my dotąd, jak mieszkańcy Oceaniki, rozprawiamy o systemie Browna*....« Co? co? przerwał nagle Doktor, twój Szulc, kochany panie, dopuścił się szkaradnego anachronizmu; o Brownie dzisiaj już nikt nierozprawia. Widać, że Szulc to napisał bardzo dawno, przed 30 jeszcze laty, albo że dopiero ocknął się z letargu, w którym przez ten czas zostawał, bo dzisiaj Medycyna, wyższa o całe *apogeum* od systemu Browna, nie niemoże mieć z nim do czynienia.« I po tym panegiryku wyszedł, zostawiwszy mię z książką w ręku.

Bieda mi z tym moim Doktorem, — to istny nóż Anatoma, co każde ciało płata na kawałki. Uprosiłem go raz, aby przeczytał w *Przeglądzie naukowym* pismo Bronisławy pod tytułem: *Bazgraniny ex-Autorki*, — uprosiłem mówię, bo pisma kobiece zwykłe przyprawiają go o nudności, jak ciepła woda albo lukrecya. Ja zachwycony prawie tym szkicem, badałem pilnie każdy wyraz jego twarzy, kiedy czytał; z początku powlokł ją przejrzysty cień ironji, i nawet ironji złośliwej, potem chmura smutku osiadła na czole, dalej pierś jego w pewnych przerwach wydawała westchnienia, a w końcu coś nakształt łzy zaświeciło w jego oku. Przeczytał i położył. Cóż? zapytałem »Nic, odpowiedział, albo tak prawie, jak nic.« — Jakto? taki talent i duch u ciebie niczem? — » Co do talentu, to nader pospolity talent miłego szczebiotania naszych Polek; a co do ducha, zważywszy uczciwe chęci, bujną fantazyę i silną wiarę w złotodajną kurę przyszłości, obok zupełnego niedoświadczenia życia i bardzo szczupłej dozy praktycznego rozumu, to duch

wspólny prawie nam wszystkim w latach dwudziestu. Różnica jednak, że w nas mężczyznach to ognisko najpiękniejszych i tak zdaje się łatwo zrealizować się mogących nadziei rozsądek codzień z poznawaniem ludzi, świata i gorzkiej rzeczywistości życia wzrastający stopniowo przygasza i nierobi nas półwarjatami czy dziećmi wiecznie o rajskiém szczęściu marzącemi; kobiety zaś słaba organizacya umysłowa i wyłączność dziecinnych upodobań całkiem sprzeciwiają się tej amelioracyi. To też kobiety przez całe swe życie szczebiocą i będą ci wiecznie deklamować z tej dziecinnej temy, zostając w swojej wyobraźni jużto panią Rolan, Lelją, Jzel, już samą nawet Judytą, Karoliną Corday i t. d. A jeśli przytem coś jeszcze pochwycą z Encyklopedyi, to i zaczną szermować wyrazami: *astronomja*, *skrofuły*, *węgiel*, *wodoród* i t. p. i przeczytawszy Libiga umieją dosyć Chemji, aby nią wspierać ideę swojej emancypacyi. Ech kochany panie! czyż to my sami niedziecinniliśmy się tak, a nawet więcej, jak Lidje? Mnie jednak, wyznam szczerze, mnie to boleśnie trapić zaczyna, bo coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że u nas Polaków nie goły wzrok zdrowego rozsądku, ale różowe okulary popłacają, że dla tegoto wielu mamy poetów-marzycieli, a mało pojmujących rozsądnie w rzeczywistém świetle swoje powołanie i cele.« — Czy niechciałbyś Doktorze, aby wszyscy pisali tak rozsądnie, jak Bejła? — » To znowu co innego, odparł. Ten w swoim rodzaju warjat, a Lidja i jej zalotnicy w swoim; różnica, że w tamtym egoizm ściśle wyrozumowany przemaga nad sercem, a tu góruje nad rozumem młodociana nasza polska fantazya. Zaiste na wszystko, co jest szlachetne, zapału, prochu u nas bardzo wiele i każdy go jesze najchętniej udziela dru-

giemu; wiele bardzo umiemy, skąpaliśmy się po uszy w oceanie umiejętności, żadna z nauk niejest nam obcą, prócz jednej, jak się codziennie przekonywam, prócz prostej arytmetyki — zdrowego wyrachowania. Wszystko robimy na chybi-trafi, dla tegoż i owoce takie pożywamy. Dziecinne urojenia bierzemy za istotny cel życia, pacholęcą sympatyę ku czynom nadzwyczajnym za heroizm, a młodocianą energję za siłę herkulesową zdolną iść w zapasy z samą Nemezydą!« — Cóż dalej Doktorze? słucham. »No, no, powiedział z uśmiechem, rozumiem kochanego pana; chcesz mię widzę wyprowadzić w pole? otoż nic z tego niebędzie. Przeszła już pora moich pretensyj, ani bawić ani nauczać więcej nikogo niemyślę. Rozgadałem się aż do sprawienia ci nudów, sameś temu winien, boś mię zagabnął. Ale korzystając z ostrzeżenia, zaraz, natychmiast skończę i pójdę. Nieoszacowanaż ta Bronisława! Wiesz co kochany panie, szkoda, żeśmy tak daleko od Warszawy. Ja przynajmniej prawdziwą miałbym rozrywkę wyzwać ją czasami na dysputę i rozumie się rozdąsać. Musi to być milucbne i dobre dziecko. Nawetbym się podjął wyleczyć ją, to jest Lidję, tylko nie magnetyzmem, a czém innem. Ona tu się omyliła wskazując potrzebę magnetyzmu; coś się jej śniło, ale nieumiała powiedzieć co; dowiodła tylko chęci zagajenia przedmiotu dla popisania się ze swémi fantastycznémi wiadomościami. Tak niezawodnie. Zrobiłbym jej przycinek i za to, że tak nieprawdopodobnie przedstawiła mego kolegę, co lecząc jej synka na skrofuły, śmiał o tę słabość a następnie i o śmierć obwinić niby przed nią jej męża Gustawa. Takiego osła lekarza waśniącego żonę z mężem niełatwo znaleźć, a gdyby się znalazł i został wpuszczony do domu, to niktby jego słowom nie-

uwierzył. Wiele, wiele miałbym z nią do czynienia w charakterze opponenta, a po takich i tym podobnych przycinkach — jakżebyś sądził kochany panie? — ot poprosiłbym śmiało pocałunku w rączkę pani Bronisławy (dziwak Eskulap nielubi rąk całować!), bo wyobrażam sobie, że to musi być bardzo szlachetna, bardzo miła kobiecinka.» — Za nadto sobie pochlebiasz Doktorze. Coby spotkało ciebie po tylu dowodach niegrzeczności, łatwo przewidzieć; pewnoby cię z największą pogardą odepchnęła, albo nawet rzuciła ci się w oczy, jak pająk samica na samca! — » Mylisz się kochany panie. Instynkt dziecięcy i kobiecy czuje zarówno swoich przyjaciół jak i nieprzyjaciół. A ponieważ żadna kobieta dotąd niepłaciła mi oburzeniem i nienawiścią za moją szczerość, niewątpię przeto, że i z Lidją bawilibyśmy się w niebieskie migdały po przyjacielsku. Adieu.« —

Ja rozumiem, rzekł razu jednego Doktor, że prawdziwa miłość warta jest tego nazwania wtenczas, kiedy kochamy sercem i głową, a nie samymi zmysłami. A tu z tych listów nieboszczki Xiężny de Praslin, którą opisali taką męczenniczką i silnie kochającą duszą, widzę, że to była kobieta, jakich wiele i że zciągnęła na siebie straszną katastrofę brakiem właśnie tego uczucia, które nazywam prawdziwą miłością. Ona bowiem kochała swego męża, ale kochała tylko zmysłami, żądzą; niekochała zaś dzieci swoich, bo pozwoliła je sobie odebrać, przez co do reszty straciła szacunek swego męża. Takiej miłości zwykły satellita zbyteczna zazdrość dojadła do żywego mężowi i złą jego już samą przez się moralność posunęła do okropnej zbrodni. Kto z nich winniejszy? — to Bogu wiadomo. My

mężczyzni zwykle kochamy więcej głową czyli duszą, niż sercem i zmysłami, kobiety zaś przeciwnie więcej skłonnością ciała czyli prostą żądzą, niż sympatyą duszy; ale o jakże szczęśliwy, komu los zdarzy znaleźć kobietę umiejącą kochać więcej duszą i sercem, niż prostą fizyczną sympatyą! Taka kobieta jest prawdziwym skarbem swego męża, ona też ciesząc się niezmiennym jego szacunkiem i przywiązaniem, nietylko emancypacyi niezapragnie, ale owszem stan swój zależny nad wszelką niezależność przeniesie.

Wszyscy romansopisarze historyczni i lubownicy tych romansów są w duchu arystokraci i konserwatorowie, bo w przeszłości tylko mogą jeszcze widzieć swą świetność minioną, bo cała historyczność, cała przeszłość jest poniekąd rzeczywistém życiem uprzewilejowanej braci, osobliwie u nas. Wniknijcie w duch Walter Skota: byłto nasz autor Listopada i przyjaciel starego Litewskiego szlachcica. Tacy pisarze, zwykle niemłodzi, mając ustalone zdanie (w swoim czasie dobre) i siaki taki majątek, nigdy cierpieć niemogą młodego pokolenia reformistów; bo ci i ich naukę i majątek, tak zawsze trudno nabywane, jedną wywrócą, jako dla siebie nieprzydatną, a drugi zabiorą, jakby słusznie im należny spadek. Tu przeto cały egoizm starszych wiekiem i jakby się zdawało rozumem redukuje się do słówka — *cierp!* Trzebaby więc cierpliwości cudownej, nadludzkiej, a tej właśnie zupełnie im braknie, trzeba wyrozumienia, to jest, wiecznie być niestarym, aby się niedąsać przynajmniej na prawdziwy postęp; a ta wieczna niestarość i z nią niegderalstwo rzadkim jest niestety udziałem człowieka! Jedna dla nich pociecha, że

na reformistów, ich przeciwników, przyjdą drudzy reformiści; bo konserwatorowie niezgadzając się na istotny postęp ludzkości, przynajmniej nieprzeczą, że ona niejest nieruchoma i że przenajmniej młynka się kręci. Otoż pisarze tego cechu bardzo naturalnie sprawiedliwością nazwą kommunistowską sprawiedliwość, kiedy każdemu nie według wartości i pracy jego wydziela się bogactwo, ale według potrzeb i nawyknień pieszczonego życia. Mówi się to o arystokracyi tylko rodu, bo arystokracyę rzeczywistą, arystokracyę zdolności osobistych i zasług dla społeczeństwa nikt zapewne nieośmieli się odsądzać od należnych jej wynagrodzeń i wyższości. —

Jeżeli tylko człowiek niejest nadzwyczajnym genjuszem, zawsze będzie oceniony sprawiedliwie za życia swego, choć bardzo rzadko sprawiedliwie wynagrodzony. Nawet będzie sprawiedliwie wynagrodzony, kiedy działa i żyje publicznie, bo tylko głos powszechny, publiczny może ocenić i ocenia sprawiedliwie każdego człowieka, gdy on niejest nadzwyczajnym genjuszem. Ten już dla ocenienia siebie musi czekać zjawienia się podobnej sobie nadzwyczajności, i dla tego nigdy prawie za życia niewynagradza się sprawiedliwie, chociażby i był za życia przez równy sobie genjusz oceniony, gdyż tylko powszechność i czas mogą wynagrodzić takiego człowieka, wynagrodzić wieczną sławą, która mu się sprawiedliwie należy. Sprawiedliwe wynagrodzenie materyalne od indywiduów bywa wyjątkowe; zresztą, żaden zapewne genjusz ani pomyślał kiedykolwiek o stosownem siebie materyalnem wynagrodzeniu. Tak więc głos ludu w danym czasie zawsze ocenia sprawiedliwie

człowieka średniej ręki, ale nie zawsze go sprawiedliwie wynagradza, bo możność wynagrodzenia w naszych społecznościach zależy więcej od indywiduów niż od ogółu, chybaby ten człowiek był publicznym, jak np. aktor, wojownik, lekarz praktyk, mówca, pisarz, albo nawet rzemieślnik ogólnej potrzeby i użytku. Studenta nie nauczyciele, ale jego rówiennicy studenci mogą ocenić sprawiedliwie. I każdy z nas, zajmujący miejsce pomiędzy ludźmi jednego stanu, czy klassy, niech się tylko przysłucha głosowi ogółu, a będzie musiał wyznać, że ludzie mogą nieznać drobnych o nas szczegółów, ale główne nasze zalety i wady, dobrą i złą stronę, jedném słowem: kto my? — zawsze znają dobrze. *Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi*. Zbytnie dla nas pochwały lub nagany pojedyńczych osób chwilowe tylko mogą mieć znaczenie; mogą one zachwiać na czas jakiś zdanie o nas ogółu, ale wkrótce on pozna się na tém i wróci do oddania nam sprawiedliwości. Ocenieni więc sprawiedliwie bywamy zawsze, ale wynagrodzeni bardzo, bardzo rzadko.

Jestli to dobrém czy złém znamieniem na drodze oświaty — niewiem, ale to pewna, że do dziśdnia człowiek ma jakiś upodobanie w sporach, w szermierstwie, lubi być jeżeli nie uczestnikiem to choć świadkiem zaciętej polemiki. Niektórzy pisarze rachując na to, wszczynają umyślnie gęsiem swojem piórem walki literackie: — i niechaj przedmiot walki będzie najmniejszej wagi, zawsze jednak znajdą oni więcej czytelników, niż pisarz najlepszy w jakim bądź naukowym albo poważno-opisowym przedmiocie. Niektórzy czytelnicy niepodzielają bynajmniej zdań walczących, a tylko się ba-

wią niemi, jakby kunsztowną gymnastyką umysłową; inni mogą podzielać zdania jednej strony a drugiej całkiem potępiać, zawsze atoli pisma ich czytać będą, raz dla tego, aby lubować się miłemi sobie ideami, drugi, aby na nieprzyjazne posarkać. To nam właśnie wykrywa prawdziwą przyczynę poczytności pism autora *Kalejdoskopu filozoficznego*. —

Doktor, któremu raz czytałem coś bardzo tkliwego, powiedział mi (istny Kannibal!: »Wszystko to, kochany mój panie, kuglarstwo, głupstwo. Przez dziewięć lat codziennych moich stosunków z kobietami różnego stanu raz tylko szczególnie zdarzyło mi się widzieć prawdziwe zemdlenie, i to kobiety brzemiennej, którą konie ponosiły. Żal mi było przyszłego obywatela świata, dla tego puściłem krew zemdlonej i zaraz pojechałem nieobawiając się złych następstw, bo też przez półgodziny, jakem się później od przyjaciółki chorej dowiedział, przyszła zemdlona do zmysłów i rozumie się nieumarła. A wszystkie inne tak nierzadko widywane spazmy tolerowałem kochany panie i toleruję tylko przez przyzwoitość.

Bez litości jesteś Doktorze, powiedziałem. — » O, więcej ja mam litości nad człowiekiem, niżeli on sam nad sobą, więcej cenię jego życie, niżeli on je ceni. Przecież wszystkie te wasze romanse i wykrzyki entuzyastyczne Lowelasów: *kocham cię nad życie*, zawsze mię śmieszą a nawet gniewają, jako rzecz zupełnie pusta, do której biedne dziewczaki i w ogóle kobiety oddawna wzięśby wstręt powinny; bo cożto za stopień

miłości, kiedy każdy mój pacyent, a zatem i każdy człowiek, więcej ceni pieniądz i interes, to jest przyjemności życia, niźli życie swoje? Tak jest kochany panie, a na dowód tego przytoczę ci codziennie praktykującą się prawdę, że niejednemu z nas i mnie samemu zdarzało się (dzięki Bogu za to,) istotnie ocalić, a zatem dać życie człowiekowi; i cóż za to odebraliśmy od niego? — tyle, co kosztują każdemu z nas bóty. Tymczasem tancerka jaka albo śpiewaczka za jeden wieczór, i sam ty kochany panie od tegoż samego jegomości za prowadzenie jego interessów, gdzie chodzi zaledwie o kilkadziesiąt tysięcy, odbierasz tyle, ileby nam niedał on za sto i tysiąc nawet żywotów, którebyśmy jemu najsumienniej i najrzeczywiściej ocalili. « — Zapominasz Doktorze, powiedziałam, że płaci on tobie dostatecznie dając zręczność usłużyć ludzkości w swojej osobie, płaci także niemałym zaszczytem pozwalając ci wstępu do swego domu i powierzając twojej opiece najdroższy swój skarb, zdrowie? — » Prawdę mówisz, rzekł z uśmiechem ironji i ścisnął mię za rękę. —

Cmentarz jest miejscem, gdzie Doktor praktyk najwięcej ma swoich blizkich znajomych, nawet xiądz nieznа tych mieszkańców tylu, co doktor. Szczęśliwyż on, jeżeli będąc na cmentarzu, powraca z żalem tylko w sercu, a nie z wyrzutem sumienia!

Mój Doktor wielki jest Sceptyk, co nietylko tobie łaskawy czytelniku, ale i mnie przyjacielowi jego nawet się niepodoba. Otoż, jak ci już wiadomo, mając on nieszczęście niewierzyć w dobroć i nieomylność za-

sad areopagu Tygodnika Petersburskiego, poddając wątpliwości religijność najreligijniejszych pisarzy, posądzając tego i owego o nieszczerość, hipokryzyę, pedantyzm i t. d. przyszedł do tego, że Fantazyę dramatyczną Antoniego Sowy nazwał *próbą pióra i dobrego czarnomętu*, jakowych prób według niego wiele jest niewydrukowanych, a niekoniec na tém, przy zwróceniu mi korrespondencyi naukowej X. Hugona Kołłątaja z T. Czackim, śmiał jeszcze napisać te słowa: »Gdyby dziś przyszło zrobić to u nas, co robili i zrobili ci szacowni ludzie, to nieujmując nikomu z naszych dzisiejszych administratorów wątpię, azali odpowiedny obecnym potrzebom znalazłby się teraz drugi Kołłątaj i drugi Czacki. Wielcy we własném rozumieniu filozofowie Berlińscy albo mędrcy *ex societate Jesu*, my dzisiaj po swojemu patrząc, widzimy w tych mężach wielkie tylko niedostatki.« Ja wszakże jestem i tobie życzę miły czytelniku być łagodniejszym nieco sędzią głów i serc naszych. —

Ludzie niesprawiedliwie napadają na djabła, onto raczej ma prawo i powinienby się na ludzi skarzyć, bo zaczynając od Cygana, każdy chłop, każdy Mazur, Żmudzin, Twardowski Kraszewskiego, Cypriano Kalderona, Faust Getego, słowem, wszyscy go oszukali, wszędzie i zawsze on został okpiony. Pomimo to przecież wszystkie legendy nazywają djabła zwodzicielem, oszustem: — i gdzież tu sprawiedliwość? Rozum ludzki zawsze jest samolubem, zawsze dąży do wygranej, do tryumfu, a gdzie już jemu psko, tam się chwyta za wiarę, a chwyta dla tego, żeby pokonać mizernego djabła. Nic dziwnego, że oszukany, to jest pokonany

przez Chrześcjan, musi nieborak poszukiwać krzywdy swojej na żydkach.

Do psujących cudze xiążki należy pan Tomasz. Bo przyszłaż mu fantazya na moim Kalejdoskopie filozoficznym hr. Rzewuskiego wszędzie ponapisywać »*Wieczory Petersburskie hr. de Maistre'a.*« — jak gdyby-to Kalejdoskop niebył Kalejdoskopem a Wieczorami lub ich kopją?? Przecież pan Rzewuski o tej upatrzonej przez p. Tomasza tożsamości nigdzie niewspomina; *tandem* Kalejdoskop musi być rzeczą oryginalną, a p. Tomasz jest sobie tylko gryzmołą po cudzych xiążkach.

Czytanie z ołówkiem dowodzi słabej pamięci w czytelniku i wielkiego razem czytania; dla tego zdarza się nieraz widzieć xiążkę z marginesami całkiem zapisanymi. Takie niestety xiążki są i twego pokornego sługi czytelniku. Bywają nieraz dosyć zajmujące takie notatki i zdania robione dla siebie. Bywają także szczerotliwe i milutkie, jak przypominam sobie, przed 10 laty w Wilnie wpadł mi był w ręce 1-szy tom nowych naówczas Poezyj Kraszewskiego z jego portretem, tom należący do jednej panny, dzisiaj zapewne mężatki. Wspominam tu o tém dla samego tylko pana Józefa, który rozumie się oddawna już musiał zobojętnieć na wszystkie i słowne i pisane komplementa, wspominam, bo będzie to jeden z rzadszych, a może i niewiadomych mu jeszcze panegiryków. Szczęśliwi ci poeci i doktorowie damscy! Oni to są kochani i pieszczeni całą zdolnością lubieżnej natury kobiecej. I ta panienka była dla Kraszewskiego tém, czém Arnim dla Getego.

Niewątpię, że gotowaby była udusić go, zamęczyć swymi karesami, pocałowaniami. Portret i każdy wiersz w szczególności i niektóre w nich miejsca, że cztérech strón i nawet we dwa rzędy, były na okolusieńko opisane przymiotnikami, jakie tylko dziewczęco-szczebiotliwa miłość umie wynaleźć dla swego ulubieńca. *Drogi*, *milutki*, *słodziuchny*, *kotek*, *kanarek*, *serduszko*, *aniołek*, *Józio prześliczny*, *Józieczek najmilejszy*, *Kraszunio*, *Kruszaneczka* — były jedne z tych, jakie sobie przypomnieć mogę. I chociaż pan Józef w swoich poczyach okazał się niezbyt łaskawym dla kobiet, jednak ich oszukać niemożna, jak powiada mój Doktor; czują one i wiedzą instynktowie, że Kraszewski niejest ich nieprzyjacielem. A ten tomik z naiwnymi przypiskami 18 letniej panienki, gdyby się był dostał trafem do rąk autora, niechybnie byłby dla niego droższym od wszystkich tych szumnych pochwał, jakie wyszły z pod pióra jego tak zwanych przyjacioł i literatów z powołania.

Życzyć by należało, aby który z zamożniejszych xięgarzy wszedł w układ z Kraszewskim względem wydania najściślejszym drukiem wszystkich pism jego w chronologicznym porządku, bo już pora. To znaczniéby ułatwiło każdemu nabycie kompletnego zbioru dzieł Kraszewskiego, a sam Kraszewski, podupadły już na zdrowiu i potrzebujący wytchnienia, mógłby ztąd mieć *quantum* dostateczne dla przedsięwzięcia na parę lat przynajmniej podróży po zachodniej Europie. I wszyscyby dobrze na tém wyszli, bo Kraszewski, nigdy nieczynnym być niemogący, podróżując jako obywatel — agronom, poeta, artysta, literat, historyk i filozof, nieo-

mieszkałby po powrocie swoim obdarzyć nas owocem uzbieranych przez siebie we wszystkich tych przedmiotach nowych postrzeżeń i wiadomości.

Jako obrazek ubogiej rodziny szlacheckiej na Białorusi, wypisuję tu z listu mojego przyjaciela Gerwazego następne miejsce. — »*Pamiętniki Kwestarza*, dziełko w samej rzeczy bardzo miłe, bo też Chodźko szczególny mistrz do trafnego opisywania ludzi rozmaitych stanów, ale jużeśmy je czytali pierwej. *Wiadomości gospodarskie* niezłe są, choć nadto ogólne, — ale o owcach tyle już naczytałem się, że mię podobne rozprawy nudzą. — Korzeniowskiego nie mnie przystało chwalić za *Kollokacyę*, pojmuję twoje dla niego uwielbienie i wdzięczność. — *Jadam* dobrze maluje nasze stare czasy. *Kraszewski*, zawsze uczciwy, zawsze kochany. Co do pana *Grozy* (Powieści ukraińskie), ma on bez wątpienia dobre, szlachetne intencye, ale zdaje mi się, że mu i na dowcipie i na talencie opowiadania zbywa. — Za xiążkę *o moralności dla kobiet* kazałbym autorce wystawić pomnik, gdybym mógł i gdyby tego była potrzeba, ale sama ta xiążka będzie uswięcać pamiątkę czcigodnej Klementyny, dopóki tylko ludzie będą umieli czytać po polsku. *Robinson* — to dawny znajomy; innych jeszcze nieczytałem. — Lecz gdybyś mógł widzieć, jak u nas teraz zabawnie! Jle nas tu jest, każde trzyma w ręku xiążkę: ja siedząc, Józia szyjąc lub wyszywając w krosienkach, matka w okularach przędąc, Filipina (była trochę słabą) wpół leżąc, a nawet Emilka (wychowanica) położywszy na kolanach xiążkę przędzie i czyta. J do tyla się zawzięły czytać, że ja zmuszony bywam nieraz głos podnieść, aby przerwać to ciągłe,

nieznośnie długie milczenie. Ale což, ani perswazya, że to oczom szkodzi, ani, że później czytać niebędzie czego, nic niepomaga. Ot, co to teraz za świat! I mógłżeby który z panów autorów widząc nas lub naszą chatkę pomyśleć, żeśmy zdolni podzielać jego uczucia i myśli, że nawet śmiemy wyrokować o wartości dzieł jego? — Bóg-że im zapłać za posądzenie nas, żeśmy gmin ciemny i t. d. « —

Gdyby w naszych społecznościach niebyło próżniaków, to jest ludzi majętnych, niepotrzebujących pracować dla kawałka chleba, niebyłoby pożytku z większości literatów i ich dzieł, pisanych po większej części dla rozrywki a niekiedy nawet z prawdziwego natchnienia, z powołania; bo jakkolwiek bądź, lepiej jest przebierać pięknymi palcami almanachy i puste romanse, lepiej nawet rzucać tymiż palcami karty po zielonym stoliku, niż wiecznie bełkotać różanemi usty i rozumie się nie na korzyść swoich znajomych i nieznajomych. Zbiera się towarzystwo na wieczór. Goście z gospodarzami domu żyją w takiej, jak przyzwoitość zaleca, harmonji, ale wielu z nich są pomiędzy sobą, jak kot i pies. Niech będzie gospodyni domu najbardziej uprzejma, grzeczna, wylana dla każdego, ależ to się wyczerpać musi, bo wszystko ma swój koniec: — i což ona niestety, po jednej, po dwóch godzinach, pocznie ze swymi gośćmi, gotowymi sobie docinać nawzajem? Zostaje w takim razie, niepowiem chwalebna, zbawienna, ale jedyna i najprostsza ucieczka do tej zabawy, co się odbywa przy stoliku zielonym. Niewątpię, że wiele dzisiaj gospodyń błogosławią w duszy wynalazcę *preferansa*, jako najwyższy genjusz naszego wieku. —

Porównywając dzisiejsze literatury polską i ruską, widzimy w nich podobieństwa takie. Jedna i druga ma pisarzy znamienitych talentem i nauką, jedna i druga rozwija się, bo w jednej i drugiej są partye, czyli odmienne głosy i tony, potrzebne zapewne w harmonijnym ich ustroju. I partye te w obu literaturach są nawzajem sobie odpowiedne, a razem zgodne z duchem zachodnio-europiejskiej cywilizacyi. Bo w jednej i drugiej literaturze są strony progressystów, zwanych przez przeciwników szkodliwymi nowatorami; w jednej i drugiej są staroluby, konserwatorowie, zwani przez antagonistów zwolennikami obskurantyzmu; są także prócz tego w jednej i drugiej Słowianofile, tylko z niejednakiemi dążnościami. I w dwóch ostatnich partyach mieszczą się tam i tutaj ultramontanie swoich wyznań. Do wspólnych podobieństw i to jeszcze potrzeba dodać, że partye progresssystów w obu literaturach nieukrywają sympatyi swojej do nowej słowiańskiej filozofji, której celem jest połączyć piękne z użytecznem, teoryę i idealizm z praktycznością, słowem, patrzeć na życie i świat ani jedném okiem ciała, ani jedném okiem ducha, ale okiem *jaźni*, czyli obojga w jedni i być rzeczywistym człowiekiem. Naostatek w obu literaturach są utalentowani pisarze bezstronni, ze swojém zdaniem i do żadnej partyi nielgnący, ale ich niewielu. Różnią się te literatury: że partya progressystów ruska (szkoła naturalna Gogola) wyprzedziła podobną polską, bo większością talentów rozwinęła się już dobitniej i postępuje w swojej literaturze przed partyą Słowianofilów, bardzo ubogą w talenta i uczoność, oraz przed partyą dydaktyków — retorystów, których szczególnym organem jest *Północna Pszczoła*. Że partya progressystów ruska ma dwa najlepsze i najpoczytniejsze Żur-

nały, i śmiało mówi swoim przeciwnikom: «Wy niejesteście w stanie pokazać ani jednego z pomiędzy dzieł przez was wydanych, któreby dowiodło, że według waszych prawideł można dzisiaj pisać dobrze (Nieboszczyk Bieliński w *Sowremienniku* 1848 r. N 1.). « — Szkoła zaś polska postępowa jeszcze młoda i nierobi podobnych zarzutów, przeciwnie, sama takowe odbiera od dydaktyków-retorystów (Chór Petersb. Tygodnika). Uczeni w ruskiej postępowej szkole liczni, w polskiej łacno policzyć się dają. Romantyzm w ruskiej literaturze już do historyi należy, w polskiej dotąd jeszcze chodzi o kulach. Powieściarzy utalentowanych szkoła postępowa ruska ma i nabywa codzień więcej; w polskiej zawsze Kraszewski jest prawie alfą i omegą, bo prócz Korzeniowskiego, Wilkońskiego, Szczeniowskiego i Pohla, innych imiona przynajmniej mnie nieznane. A pisarzy efemerycznych, do których załączam piękne grono uczenic Jerzego Sand'a, wszędzie przez współczucie zbyt idealizujących lud i kobiety, odnosić tutaj niemożna. Właśnie progressyści ruscy tém się różnią od polskich, że ideał sztuki zasadzają na obrazowaniu życia, jak ono jest rzeczywiście, nie zaś jak być może lub powinno, co jest celem postępowych pisarzy polskich, odbierających za to od swoich przeciwników nazwę utopistów. W ruskiej wreszcie literaturze niema prowincyalizowania się, niema jak w polskiej ani Athenaeum, ani Rubona, ani zgasłej już Rusałki, ani Radomianina, Nadwiślanina i t. p. — O przyczynach tych różnic w obu literaturach mówić — albo jeszcze nie pora, albo potrzeba lepszego odemnie znawcy. Wyrokować o przyszłości polskiej szkoły progressystów — trudno, może atoli ona spodziewać się zwycięztwa nad konserwatorami, jak wszystko nowe nad starém, jeżeli się

szczérze weźmie do nauki, sam bowiem acz najszlachetniejszy zapał nic z siebie dobrego utworzyć niezdoła.

Gdyby zrobić statystykę: ile razy bohatérowie i w ogóle osoby romansów, wydawanych pod firmą Alexandra *Dumas*, robią *nadzwyczajne*, *nadludzkie usiłowania i padają bez zmysłów*, *a ugodzone śmiertelnym ciosem*, *w dzień*, *we dwa wyzdrawiają;* ile w personażach Jerzego *Sand'a*, osobliwie w kobietach mieści się *wzniosłych*, *przeczystych*, *świętych uczuć miłości i bezprzykładnego dla niej poświęcenia się*; a jeszcze także, ile to razy poczynający nasi pisarze widzieli siebie w swoich *olbrzymich siłach ducha i pomysłach genjalnych;* to zapewne liczba tych mydlanych bąbli pokazałaby się dostateczną dla ukonsolowania progenitury choćby dziesięciu jakich Baszów i Sułtanów! Ktoż wie, może się i znajdzie jaki Gelerter, co zechce wypracować to wyrachowanie?

Gdyby każdy płacił podatek zasadzający się na pewnym stale oznaczonym albo i wzrastającym stosownie do powiększania się kapitału procencie, i procencie od dochodu z kapitału, niebyłoby to żadną niesprawiedliwością; ale w takim razie możeby i najpoczytniejsi dzisiaj pisarze chwalić się zaprzestali, że są głosem narodu. —

Było i zapewne zawsze będzie jak jest, że ludzie w każdej najdrobniejszej okoliczności starają się wykazać swoje *ale*. Kto tylko wsłuchiwał się w rozmowy

i wpatrywał w postępki ludzkie, przyznać musi ze mną, że ludzie więcej niezgadzają się z sobą, niż zgadzają. Dzisiaj mówisz z pewną osobą o jakimś przedmiocie, i ona twierdzi o nim najpoważniej tak; zagabnijże ją o tém samém przez kilka dni, a ręczę, że jeśli nieobjawi całkiem odmiennego zdania, to przynajmniej powie tobie: »*tak zapewne, jednakże mój dobrodzieju może to być jeszcze i tak.*« —

Jeden z mojch blizkich znajomych prawdziwym jest Sokratesem co do rozsądku i łagodności charakteru, chociaż zapewne nie wiele on słyszał o Sokratesie, bo od lat już kilku kochając żonę swoją najczulszą miłością kochanka, co niemało wpłynęło na rozwinięcie w niej uporu, kaprysów, dumy i innych złych narowów, jeszcze, kiedy się ona za lada uchybienie rozkrzyczy na swoją służebnicę, témi ją upomina słowy: »*Moja duszko, dalibóg ona niezasłużyła na tyle gniewu. Postaw tylko siebie na jej miejscu, a pewny jestem, że ty to samo robiąc gorzejbyś jeszcze zrobiła. Jakżeby więc ciebie za wielkie przewinienie ukarać wypadło, kiedy ty za małe tak mocno się gniewasz?* —

Kobieta-matka wszystkie plamy kobiece zciera i niszczy. Jeżeli chcesz mówić o kobiecie z pochwałą, patrz na nią jako na matkę.

Kiedy znajduję ojca bawiącego się naiwnie ze swémi dziećmi, jakby sam był dzieckiem, już jestem usposobiony do powzięcia wielkiego ku niemu szacunku, nie-

znając nawet, że on na świecie gra rolę niemałego człowieka. Zaiste taki człowiek musi być nietylko dobrym ojcem, ale też dobrym mężem, dobrym panem i dobrym obywatelem.

Czytając *Kośmos* Humboldt'a, ktoż niepowtórzy uczuć i myśli kornych naszego Karpińskiego: —

»Wszechmocny Boże na wysokiém niebie,
Gdy spórzę na dzieł Twoich widowisko,
A potém oczy obrócę na siebie,
Jak mię Twa wielkość upokarza nisko.! —

A potém, ktoż znowu nieodezwie się ze szlachetną dumą: »Jam człowiek, ja król tego wszechświata, ja sam wszechświat ten, bo zdolen jestem pojąc, ogarnąć i zaludnić go myślą moją. « — ? Wzbudzenie tych uczuć i myśli było zapewne, równie jak pokazanie harmonijnego związku pomiędzy najrozmaitszymi tworami przyrodzenia, zasadniczą intencyą tego artystyczno-uczonego pisma. —

Gdyby u naszych panów pisarzy i w szczególności u każdego zajmującego się literaturą bądź z powołania, bądź ze sztucznego tylko usposobienia, był w duszy *sprawdzian użyteczności* naukowej, moralnej i estetycznej, to przypuścić można jako axiomat, że nieliczne u nas prassy drukarskie jeszczeby znacznej uległy redukcyi. W tak poważnym stanie narodowej umysłowości *Gwiazda* by się drukowała, ale tych *Notatek* pokornego twego sługi, łaskawy czytelniku, zapewneby w niej niebyło. —

Uwaga. — Możemy nie posiadać tego instrumentu psychicznego, którym Autor chce, aby sprawdzano użyteczność pism do druku podawanych, z tém wszystkiem te Notatki nie bez pewnego o ich użyteczności przeświadczenia umieszczając w naszej xiążce, śmiemy w sposobie antitezy ostatniemu twierdzeniu oświadczyć, że gdyby Autor, polujący z nałogu na błoniach czystego racyonalizmu, więcej ufnością w poczciwe swoje intencye, niż skromnością się rządził, to myśliwska jego torba przestałaby być warowną twierdzą i, jak serce dobrego człowieka, zawszeby się dla nas, kwestujących w sprawie narodowego Oświecenia, wydawców otwierała. Są zaiste pomiędzy nami indywidua zajmujące się najgorliwiej odbiciem w Literaturze idei wstecznych, antiracyonalnych, są mówię periodyczne i nie periodyczne u nas pisma, którym jak najmniej zwykle chodzi o sprawdzian moralno-umysłowej użyteczności; otóż gdy prosty rzut oka dostatecznie wyświeca te fakta, więc tém bardziej przystało Autorowi Notatek wyjść coprędzej ze stanu zamknięcia, w którym go małe o sobie rozumienie utrzymuje — mówimy, tém bardziej, bo w takich okolicznościach uczucie jego skromności na żadne próby, na żadne dotkliwe ciosy ze strony zmysłowo łudzącej emulacyi niebędzie wystawione; a jeśli treść filozoficzno-myśliwskiej jego torby pożądanym stanie się zasiłkiem, to tylko jednej chyba, jednej naszej publikacyi. —

RYS ŻYCIA OBOZOWEGO.

(z Manuskryptów J. Z. Autora *Arystokracyi z warjacyami*, udzielonych przez X. P.)

1.

Ty nie byłeś Xawery na prawém skrzydle Kaukazu, — nieznajdziesz tutaj owej wspaniałej przyrody, jaką na każdym kroku nad pieniącymi się brzegami Tcreka lub Sułkaa spotykasz, a która, że tak powiem, przejmuje jakąś czcią religijną człowieka; każe uwielbiać Stwórcę, co te niezliczone światy stworzył. — W obec tych olbrzymich gór śnieżnych, co zdają się wierzchołkami swymi nieba dotykać, co ze szczytu swojego tyle pokoleń i wieków minionych widziały, jakże jest człowiek małym, jak czuje nicestwo swoje! — Pierwsza myśl przejmująca, stanąwszy u podnóża olbrzymich gór Kaukazu, jest myślą ukorzenia się przed Bogiem, jest myślą wiary, co czuje mocno, iż jest Istność nieodgadniona, niezbadana, a w którą jednak wierzyć powinieneś. Wówczas to silniej czuć się daje ta iskra nieśmiertelności, która człowieka ożywia; ona to niesiona skrzydłami myśli, staje na wyżynach niedostępnych siłom fizycznym i okiem duszy spoziera: i bada,

lub odkrywa nowe światy, nowe ludy, nowe pustynie i morza. — Jak Bóg, w jednej chwili stwarza; nie ścigniona, leci w nieskończoność; ziemia przed nią niknie i już nie jest badania jej celem; wzniesiona w nadpowietrzne światy, czuje swą nieskończoność, czuje swą bozkość, czuje, że jest Bóg wielki, którego jest cząstką nieśmiertelną! —

Prawe skrzydło Kaukazu niema tej majestatycznej przyrody. — Tu wszystko inny widok przedstawia — po większej części płaszczyzny i stepy; w dali tylko, jak cień potężnego olbrzyma, widzisz przy pięknej pogodzie łańcuch gór Kaukazu i, gdyby nie wyrazisty szczyt okrytego wiecznym śniegiem Elbrusa, całe pasmo gór wziąłbyś raczej za złudzenie źrzenicy niż za rzeczywistość. — Rzeki tutejsze toczą swe wody podobnie życiu ludzkiemu, raz ciche i spokojne, to znowu wrące, kipiące gniewem, aż pokąd nie dościgną celu i grobu swojego, to jest Morza Czarnego, w które spadają i nikną. — I zaiste, jestże rzeczywisty cel dążeń człowieka, któryby nie ulegał zmianie?... — Wszystko, co tylko tworzy wyobraźnia, kiedy jesteśmy blizcy osiągnienia, traci swój urok i albo nowe bożyszcze naszym chęciom i dążeniom stwarzamy, albo toż samo w obszerniejszym zakresie, w innych kolorach i świetle widzieć chcemy; jeden grób tylko jest punktem nie minionym — celem, do którego mimowolnie dążymy. — Szczęśliwy, kto ciernistą pielgrzymkę żywota ziemskiego tak kończy, iż za granicami grobu widzi przyszłość nie zatrważającą i może z przekonania powiedzieć, »Spełniłem trudny obowiązek człowieka, spełniłem go, jako nieśmiertelny!« —

Rzeki prawego skrzydła Kaukazu zwykle mają brzegi ocienione lasami (jak naprzykład: *Kubań*, *Łaba*,

Biała i t. p.).—Ileż-to razy uczuliśmy prawdziwą przyjemność, jakiej nigdy nie doświadcza bogacz w swoich wspaniałych komnatach, ujrzawszy drzewa! — Po cało dziennym marszu, wśród znoju i upału, zdaje się iż wszystkie siły żywotne opuszczają, że już kroku dalej zrobić nie podobna — zobaczysz drzewo, a nadzieja pokrzepienia zwątlonych sił wodą i odetchnienia aromatyczném powietrzem lasu, ukrycia się w cieniach jego przed skwarnym promieniem słońca, nowém cię natchnie życiem — i owe wojsko, machinalnie się tylko ruszające, w jednej chwili spiesznym krokiem, przy odgłośie wesołej piosnki, wśród szumu i gwaru, dąży do lasu, do wody. Nie raz werstw kilka w oka mgnieniu przebywaliśmy, ujrzawszy czerniejące lasy. — W podobnych okolicznościach wyrzeczone słowo: *woda! las!* zdaje mi się mieć tę samą wartość i cenę, co okrzyk na morzu: *ziemia!* —

Oddział nasz, zostający pod dowództwem walecznego Jenerała Zassa, przeznaczony był do zajęcia brzegów Łaby i umocnienia ich fortecami. Żadna ze znanych mi okolic nie miała tyle uroku dla mnie, co miejsce, zwane *Machoszowskoj prosicz*—Wyobraź sobie najpiękniejszy gaj, dotykający szumiącej rzeki; kilkadziesiąt brzęczących strumyków, przerzynających go i wpadających do Łaby; tysiące bielących się namiotów; mnóstwo szałaszów jeszcze całą zielonością maju strojnych, nieustanny ruch żołnierzy, manewry artylerji i kawalerji, wesoły gwar ludzi i rżenie koni, powietrze świeże i zdrowe, przechadzkę swobodną po gaju; widok na drugi brzeg rzeki okryty bujną i piękną trawą, wśród której ujrzeć niekiedy mógłeś Czerkiesa pochylonego na koniu, który jak błyskawica zjawiał się twej źrzenicy i znikał, lub też stojącego opodal, tak, że go kula nie

dosięgnie, śledzącego badawczém okiem nasze ruchy i roboty, a będziesz mieć zupełny obraz naszego obozu. — Nieraz myśląc o niebieskich migdałach błąkałem się po gaju. Ujrzawszy uzbrojone postacie naszych żołnierzy utrzymujących straże i przebiegającego przeciwny brzeg Czerkiesa, mimowolnie nasuwały się myśli wiersze ulubionego naszego Wieszcza: —

» I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak niegdyś Niemen sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności —
I nikt bez straty życia lub swobody
Nieśmiał przestąpić zakazanej wody. « —

Ale życie obozowe, jakkolwiek jest przyjemném chwilowo, prędko przesyca i prędko nuda czuć się daje, tém bardziej w miejscach oddalonych zupełnie od reszty towarzystwa ludzi. — To samo i nas spotkało. Mały zapas xiążek, prędko przeczytany i odczytany został. Wist i szachy uprzykrzyły się, przechadzki niemiały powabu, bo już prawie każdy krzaczek był znany, każdy widok zbadany, jednêm słowem, chęcią było ogólną ruszyć się z miejsca, iść dalej, bić się, zwyciężać, umierać, byleby jednostajność życia przerwać. — Lecz w połowie nie ukończone jeszcze roboty około fortecy, jak pewnik matematyczny, urągały się naszym marzeniom i chęciom nie podobnym do spełnienia. —

Kto pędził życie obozowe, a szczególniej na Kaukazie, w oddalonych miejscach od linji, ten łatwo odgadnie, co za urok ma słowo *okazya*!! — Właśnie wyrzeczone to słowo magiczne wywołało nas z letargu, powróciło do życia. Każdy biegł na spotkanie okazyi,

jakby był pewnym, iż znajdzie czego życzy — A któż jest bez życzeń, bez nadziei?.. Cały więc nasz oboz musiał być w ruchu.

Z okazyą przybyło kilku oficerów przykomenderowanych i kilku szlachty na służbę do naszego pułku. — Znajomości wojskowe prędko się zabierają i w krótkim czasie każdy jest doskonale znany, jakby od pieluch razem prowadził życie. — Znów więc nastąpiła monotonija — Żeby ją jakkolwiek przerwać, postanowiliśmy każdy wieczor zbierać się po kilku i opowiadać przygody własnego życia; dla tego urządziliśmy nawet porządek (kolej): aby każdy mógł się łatwiej przygotować do opowiadania swoich wypadków. — Jleżto było na naszej scenie westchnień miłośnych, wypadków różnego rodzaju do śmiechu pobudzających! ile wspomnień lat dziecinnych, minionej młodości, zawiedzionych nadziei!.. jednóm słowem, ten rodzaj rozrywki stał się dość miłym, i tak w nim zasmakowaliśmy, że żaden nie przepuszczał opowiadań wieczornych.

Nadeszła kolej na jednego ze szlachty. Był to już człowiek niemłody, po większej części milczący, grzeczny i łagodnego charakteru; rysy twarzy szlachetne, noszące piętno cierpień i smutku — Całe obejście się jego dowodziło, iż bywał w wykształconych towarzystwach. — On był jeden zagadką między nami — Z ostatnią okazyą przybył i, jak mówiłem, był milczącym, a płaszcz gruby, nie odpowiedny jego wiekowi, zobowiązywał do koniecznej grzeczności nie badania o przyczyny, dla których go przywdział. Prócz tego, było coś w jego postawie, iż go niemożna było posądzać o zbrodnię, i każdy, nie znając jego kolei życia, był przekonanym, że tylko ręką losu jest dotknięty. — Kiedy z porządku przyjętego mieliśmy usłyszeć wypadki jego życia, cie-

kawość nasza była zaostrzoną na rozmaite wydarzenia, jakie zapewne spotkać musiały tego, co już czwartego krzyżyka dochodził. — Nadszedł wieczor. Posiliwszy się herbatą zasiedliśmy w koło, i wnet kilka głosów ozwało się: »No, na kogo kolej, niech mówi« — Na mnie, odpowiedział. Nastąpiło milczenie, a on w te słowa przemówił: —

»Byłoby nie darowanym grzechem, abym się miał wyłamywać z pod ogólnego prawidła i niewywiązał się z należnego długu; ale życie moje było tak ciche, tak spokojne, tak nieobfitujące w żadne wypadki, iżbym tylko znudził panów mojém opowiadaniem. Odebrałem teraz list dość smutny, bo o śmierci jednego z moich krewnych. — I jego życie nie miało nic powabnego! — Lecz będzie to obrazek domowego pożycia — jeżeli pozwolicie, opowiem« — Zawiedliśmy się okropnie. Jakiś gatunek delikatności nie dozwalał nastawać na konieczne wyjawienie wypadków jego życia; musieliśmy poprzestać na tem, co nam ofiarował i on tak zaczął swoje opowiadanie. —

2.

Dziwna rzecz! może żaden naród nie przedstawia podobnego widoku, jak nasz. Od czasu nieszczęśliwego umocnienia się stanu szlacheckiego i zagarnienia wszelkich przywilejów dla niego, ze szkodą dla siebie, dla drugich stanów i kraju, albo arystokracya u naś do najwyższego stopnia posunęła się, albo zupełnie znikła przelewając się w ogromną massę szlachty, stwarzając nową kastę niewidzialnego dotąd szlachtyzmu. Ztądto stan szlacheica polskiego był wyższym nad wszelkie

tytuły używane w ościennych państwach, tak, że mitry xiążęce i hrabiowskie nie dodawały żadnego blasku szlachcicowi i zwykle były odrzucane a nawet wzgardzane, czego wieloliczne znajdujemy przykłady w historyi naszej — Ztądto urosło przysłowie tak wiele do dziś dnia powtarzane, »*Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*« — bo dla któregoż szlachcica była zamkniętą droga do osiągnienia najwyższych godności w kraju, a nawet korony, kiedy widziano na tronie Michała Wiśniowieckiego, Jana Sobieskiego i Stanisława Poniatowskiego? — Ztąd-to w ostatku ugruntowało się i ledwie że nie powiem weszło w naturę to przekonanie, iż każdy, kto się zrodził szlachcicem, już jest zdolnym do wszystkiego; że po wszystko sięgać może, co tylko wyobraźnia szlachecka stworzyć mogła. Lecz jakież widoki być mogły w tej kascie, zaciemnionej wychowaniem Jezuitów? — Jezuitów, co tak starannie każdą iskrę światła tłumili, jako przeciwną ich celom, ich dążeniom do osiągnienia zupełnej władzy? — co wpiwszy się pod pozorem religji w słabe i nieoświecone umy ludzkie, w niewyrobione i nieugruntowane sumienia, kierowali niemi jak chcieli, dozwalali na rozpustę i pijaństwo? a kiedy widzieli ztargane siły żywotne, kiedy widzieli, że ta nieszczęśliwa machina człowieka, blizka zupełnego zniszczenia, wtedy im łatwo było przekonać, iż resztki majątków, poświęcone dla ich zgromadzenia, potrafią przebłagać i gniew zasłużony nieba i przekażą imie do wiecznej potomności, jako człowieka zacnego, którego Kościoł nie zapomina w swoich modlitwach, a wzniesione mury będą pomnikiem jego wielkości, jego życia *spędzonego wedle praw Boga*? — I czegoż potrzeba było więcej szlachcicowi, jak pieniędzy, kiedy za nie i zbawienie duszy mógł nabyć i prawa do nieśmier-

telnej pamięci na ziemi? Musiała więc władza rozumu sumienia i wiary prawdziwej upaść przed źle kierowną nabożnością, przed Judaszowską religją; bo na niej się opierając, szlachcic możny za popełnioną zbrodnię zbudowawszy Kościoł a szlachcic na zagrodzie, zmówiwszy kilka tuzinów pacierzy i modlitw, bez pojęcia ich rzeczywistego znaczenia, przeznaczywszy syna lub córkę, bez powołania, do klasztoru, był pewnym przejednania Boga, był pewnym zbawienia duszy.— W tak opłakanym stanie, bez rzetelnej wiary, bez światła rozumu, bez ugruntowanego sumienia i moralności, napłynęła na nas Emigracya francuzka.—Ona zadała cios ostateczny pobożności, ona zaledwie wschodzącą jutrzenkę oświaty stłumiła i wykrzywiła, okryła wszystko, co nasze, śmiesznością i wzgardą. Upadło wszystko przed jej wszechwładną potęgą, lecz ostał się szlachtyzm jako z natury rzeczy wypływający, bo któryż emigrant nie był xięciem, markizem, hrabią, a przynajmniej pułkownikiem?—

Już nie było przeważnego Zgromadzenia Jezuitów, coby straszyło piekłem. Nowi mistrze przedstawiali całą świetność rozkoszy, zabaw i rozpusty pałacu Wersalskiego; pić z tego kielicha, nie trudzić się mozolną pracą, błyszczeć tylko zewnętrznie, to cel prawdziwy życia ludzkiego, to jego rzetelne przeznaczenie! Taka była ich nauka!!—Szlachtyzm z wyciągniętą dłonią poskoczył ku niej i zanurzył się w jej odmętach.—Król szlachcic zmienił strój i brakło mu wyrazów w mowie ojczystej do wynurzenia myśli nieojczystych.—Co dawniej sztukowano łaciną, to zastąpiła francuzczyzna, i już trudno było pokazać się u dworu, choćby najcnotliwszemu mężowi, kiedy nie znał języka obcego, nieznał maniery pokojowej.—

Zawsze przykład idzie z góry; starała się więc nasza szlachta, aby mogła mieć w domu emigranta, coby ukształcił syna stosownie do przyjętego w stolicy obyczaju. — Niepatrzano już, czy syn modli się, czy dopełnia obowiązków postanowionych przez Kościoł, a o które tak troskliwi byli Jezuici, czy ma choć iskrę moralności; bo to wszystko już dawno wyśmiane, wyszydzone, ale patrzano z ukontentowaniem na jego ruchy, na jego śmiałość pokojową, na szermowanie językiem w obcej mowie, a nawet na jego intrygi miłośne, bo i to do dobrego tonu należało. — I kobiety łatwo przylgnęły do tego, i już do rzadkości należało, znaleźć bogobojną i cnotliwą niewiastę. Złe się rozprzestrzeniło daleko i Bóg zagniewany odwrócił oblicze swoje od nas. — Wyniesienie się na tron Poniatowskiego jeszcze bardziej wzmocniło i rozwinęło w duszy każdego, iż *szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie:* — już to przeszło w czyn i stało się prawdą skutkiem utwierdzoną. — Któryż ojciec lub matka w miłym dla serca swego jedynaku niewidziała przyszłego hetmana, wojewodę a nawet i króla?... Częstokroć małemu chłopięciu przywiązana matka mówiła »tyś do korony zrodzon«, — a chęć dostojeństw, chęć błyszczenia w świecie z latami wzrastała, bez uprzedniego wskazania jakim być winien człowiek prawy, jakie na nim spoczywają obowiązki do spełnienia względnie braci-bliźnich? — Ztądto i dzisiaj jeszcze, każdy szlachcic, równy drugiemu, nie cierpiący wyższości niczyjej i jest w swojém dziedzictwie jakby królik jaki. — Zapytaj, jakie do tego ma prawa? wskaż mu rzeczywiście wyższych usposobień człowieka, — zmarszczy się, ale nie będzie w możności dać ci odpowiedź: bo ani zasługi dla kraju, ani cnoty domowe i publiczne, ani nauki nie robią

go wyższym od drugich, jedno tylko, że tak powiem, wyssane z mlékiem uczucie równości, zmienione już w naturę, nie może przypuścić wyższego w czémkolwiek nad siebie, chociaż niższych rad wynajduje. Ztąd każdy względnie drugiego zachowuje gatunek dumy; każdy jest arystokratą bez żadnej podstawy, bez żadnego oparcia swego widzimi się — i nic zabawniejszego, jak patrzéć na naszych obywateli, co jeszcze kunsztem i rzemiosłem pogardzają, a nie zapominają przy wydarzonej sposobności zapytać się, z kogo się ten pan rodzi? lub też chwaląc kogo dodają »*to człowiek dobrze urodzony, pięknego imienia, z pięknej familji pochodzi* « — a to dobre urodzenie, ta piękna familja, zamyka w sobie pewnik nie wątpliwy, że ojciec i matka są szlachtą, równą chwalącemu i zapytującemu. —

Taka jest nasza szlachta rzeczywiście. — Koniecznémby było wprzódy skreślić jej rys ogólny — bo osoby zajmujące miejsce w mojém opowiadaniu, wychodząc z jej łona, musiały żyć pod przyjętą ideą i mieć cechy towarzystwa, którego cząstką były.

3.

Miecznik Pszczółka pochodził z dostojnej szlacheckiej rodziny, dawno on już owdowiał i jedynym owocem związku małżeńskiego był syn Józef, od śmierci matki do zgromadzenia XX. Jezuitów przeznaczony. Nieprzemawiał do chciwości Jezuitów majątek Miecznika, bo ten wypadkiem rozmaitych kolei zszedł więcej jak do stopnia miernego, ale rozwijający się umysł w Józefie i możne zpowinowacenie się z wielu familjami, rokowały szanownemu Zgromadzeniu nie wątpliwe ko-

rzyści przez jego pośrednictwo; dla tego w chwilach smutku i samotności oni Miecznikowi nieśli pociechę duchowną, oni go pomału umieli skłonić do zrobienia ofiary miłej Bogu, potrzebnej dla duszy jego własnej i żony — I chociaż Miecznik sam dawniej ponosił zaszczytne blizny w obronie kraju i nie marzył o brewiarzu, jednakże uległ słodkiemu wpływowi Jezuitów i najuroczyściej przyrzekł, iż syn jego sukienkę Zgromadzenia przywdzieje, i aby się wcześnie do przyszłego swojego stanu przysposobił, wcześnie go wyprawił do Jezuitów, by rozpoczął nauki. —

Młody Józef uczył się pilnie, a nadzieje Jezuitów coraz się w przyszłości powiększały. Cieszyło się Zgromadzenie, cieszył się Miecznik stary, że zapewnił pomyślną przyszłość synowi, i już tylko dziękczynne modły do Pana zastępów zasyłał. —

Czas szybko leciał. Do spokojnego zacisza Miecznika niedochodziły burze wstrząsające światem; on dawno zerwał wszelkie wiążące go stosunki, dawno już umarł dla niego, żył tylko życiem przyszłego życia, w srogiej pokucie, modlitwie. I jeśli kiedy wiedział, co się dzieje na obcej mu ziemi, to miał tę wiadomość od kwestarza rozwożącego opłatki, od X. Jezuity towarzyszącego Józefowi nawiedzić starego rodzica.

Właśnie kończył modlitwy Miecznik, kiedy Józef zlekka stąpał po podłodze wysłanej kobiercem tureckim, pamiętającym wyprawę Wiedeńską — zatrzymał się cokolwiek niechcąc ojcu przeszkodzić nabożeństwa, lecz usłyszawszy »Amen« z cicha rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, odpowiedział Miecznik i obróciwszy się okiem zdziwienia popatrzył na syna. — Józef

pospieszył ucałować rękę ojca, lecz ten ją usuwając i zmarszczywszy czoło rzekł:

— Co waszeć tu porabiasz, wszak to nie wakacye, ani żadne święto? —

— Przybyłem z rozkazu OO. Jezuitów kochany ojcze.

— Mówże mi Aść, coto za przyczyna?.. możeś utracił ich łaskawe względy?

— Nie, drogi ojcze, wyrokiem Sejmu Zgromadzenie XX. Jezuitów skassowane, a młodź szkolna rozpuszczona do domów.

Jęknął starzec na ten cios niespodziewany. Niechciał dać wiary słowom syna, lecz list przełożonego Zgromadzenia XX. Jezuitów upewnił go o niemylnej prawdzie. Wówczas z zalaną łzami zrzenicą ukląkł i wyciągnąwszy dłonie ku krucyfixowi będącemu nad jego łóżkiem, zawołał z żalem. »O Panie! przyjm tę nową boleść serca mego na zagładzenie popełnionych grzechów« .. Nagle głos jego ustał, oczy się zamknęły i zupełna bezwładność opanowała Miecznika.

Starania Józefa i X. kapelana przywróciły czucie i życie Miecznikowi, lecz głęboko zadana rana powiększała się cierpieniami o los jedynego syna. — Czując się coraz słabszym, coraz więcej niepokoił się obecném położeniem. Po długich naradach z X. kapelanem, postanowił nakoniec wysłać syna do jednego z krewnych swoich, którego znana była pobożność, a który teraz znajdował się w Warszawie. W tym celu kazał przygotować wszystko do podróży synowi, i przyzwawszy go do swego łoża, tak mu objawił swą wolę:

— Mój Józefie! znikły najmilsze dla mnie nadzieje w zapewnieniu ci świetnego losu, jakibyś był znalazł wstępując w Zgromadzenie OO. Jezuitów; widać taka jest wola Boga. Nie myślę cię już oddawać do innego

zakonu, bo nie widzę ani współczucia, jakie się powinno było w stanie duchownym objawić na cios tak bolesny jaki nas dotknął, ani tych cnót bogobojnych cechujących XX. Jezuitów w nieprzerwanych trudach o dobro Kościoła, Zakonu i naszych dusz grzesznych. Poszlę więc cię do Warszawy, do mego brata ciotecznego Pana Kasztelana Lwowskiego: on był Syndykiem XX. Jezuitów Lwowskich, pewno nie podzielał bezbożnego zdania skassowania tego Zgromadzenia; wprowadzi cię więc w towarzystwa uczciwe, a mając stosunki u Dworu, może ci i karjerę zapewni. Przecież on nasz blizki koligat, przecież każdy szlachcic równy jest każdemu i po wszystko sięgać może; niechże cię Bóg błogosławi, jako ja teraz błogosławię, a pamiętaj we wszystkiém ulegać panu Kasztelanowi, któremu oświadcz mój afekt braterski. — Jedźże waść szczęśliwie, a my tu z X. kapelanem będziem się modlić i wspominać o tobie. —

Nie było jeszcze wówczas we zwyczaju robić jakiekolwiek uwagi rodzicom; — i chociaż stan zdrowia Miecznika był zatrważającym Józefa, nie śmiał tego powiedzieć. W niemém więc posłuszeństwie ucałował kolana rodzica, rękę starego kapelana, i opuścił dom rodzinny. —

W ciągu podróży tysiące myśli przelatywały w głowie Józefa; lecz tak różne od myśli, jakie teraz napełniają głowę młodzieńca zbliżającego się do stolicy, iż tenby się przestraszył i jak przykre widmo odpędził. — Józef przywykły od dzieciństwa do cichego i samotnego życia w domie rodzicielskim i w Zakonie XX. Jezuitów, nie mógł sobie tworzyć tych przyjemności uroczych, jakie każdy mniema znaleźć w stolicy; nie mógł wzdychać do świetnych igrzysk i zabaw, bo te były obce jego wyobraźni; on innym okiem widział

stolicę. — Widział, że to jest miasto największe w kraju pod względem mieszkańców, że zawiera w sobie wiele Kościołów i rozmaitych Klasztorów, że musi być wiele odpustów przywiązanych do nich i że wszyscy mieszkańcy, jako więcej swobodni, oddani są wyłącznie nabożeństwu; szedł od kościoła do kościoła za popędem swojego uczucia, widział po ulicach przechodzące processje, słyszał urocze hymny, śpiewy i odgłosy dzwonów, tonął w modlitwach!... Lecz w tém coś przykrego w nim się objawia — wszak to nabożeństwo, to słowo Boże spełniane jest przez Xięży, co nie czują upadku Jezuitów? — wszak może celebrujący Biskup jako Dygnitarz Państwa świętokradzką ręką podpisał wyrok zniszczenia Zgromadzenia Lojoli?... ucieka z tych miejsc odartych ze wszelkiej świętości dla niego, przenosi się w dom Kasztelaństwa, gdzie wszystko jeszcze oddycha pobożnością ojców, których Syndykiem był Kasztelan, któremu jeszcze łza z oka nie wyschła, jeszcze westchnienia pierś rozdzierają: — tu on jest w swoim świecie, w ciszy smutnej i rozmyślaniu bogobojném, bo przecież dóm Kasztelana nie innym być musi? — W takiém usposobieniu była jego dusza, gdy wjechał na Pragę, gdy usłyszał głos dzwonu z poblizkiego Kościoła wzywający na modlitwę; pospieszył na mszę, a umocniony w duchu śmielej się zbliżał do domu Kasztelana. —

Stanęła nakoniec podróżna bryka Józefa przed wspaniałém mieszkaniem Kasztelana. Służba pokojowa ze zgrozą ją ujrzawszy, » Nie tu, nie tu, zawołała; idź do kuchni albo do oficyny « — ale Józef był już na ganku i zapytał:

— Czy Jegomość jest w domu? Służący się uśmiechnął.

— O kogo się Pan pyta?

— Czy jest P. Kasztelan Lwowski w domu? czy mię nierozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem, ale niech no Panicz powie, kto jest, jak się nazywa, bo inaczej nie będzie mógł się widzieć z p. Kasztelanem.

— A tobie co do tego! ja p. Kasztelanowi będę się rekomendował a nie tobie.

Turkot bryki i zagłośno prowadzona rozmowa dały się słyszeć p. Kasztelanowi, wysłał więc swego sekretarza, który już był w jego gabinecie, aby zbadał przyczynę i żeby nakazał cichość, by pani nie zbudzić. —

Na zapytanie sekretarza, co to jest? Józef szybko odpowiedział, iż służący jest nie grzeczny niechcąc wpuścić syna przyjaciela p. Kasztelana i krewnego, robiąc mu kwestye, do których niebył przyzwyczajony. —

Ton pewny, miła postać Józefa, zobowiązały sekretarza iż nie wchodząc w badania wprowadził go do pokoju Kasztelana.

Kasztelan był dziwną mieszaniną, nosił jeszcze strój narodowy, jeszcze ~~nie~~ zupełnie wygluzowane były w nim uczucia bogobojności, pił jeszcze jak za Sasów, ale pod wpływem żony, pod wpływem cudzoziemczałego Dworu Stanisława, przy którym obecnie się znajdował, zmieniał stopniowo obyczaje, i chcąc dogodzić żonie gwałtem się przerabiał na innego, jak był w istocie. Pomału żona przekonała go, iż nie podobna jest przy teraźniejszém pojęciu rzeczy, aby przy ich synach był X. Pijar nauczycielem, że chcąc ich usposobić należycie, koniecznie potrzeba mieć Francuza. Nauka zaś Religji choć konieczna, lecz mogła się nabyć słuchając kazań i patrząc na obrzędy kościoła — Na-

stępnie, zbytecznym już był Kapłan do błogosławienia darów Bożych, które mieli spożywać, bo to trąciło parafjańskwem. A cóż już mówić o przyjętym zwyczaju witania gości po dawnemu, słowami: *niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* — Nie do smaku mu były te reformy domowe, ale dla świętej spokojności, dla nieuchodzenia za dziwaka, złożył w ręce żony kierunek edukacyi dzieci i domu i na wszystko pozwolił. — I jakże zresztą niemiał pozwolić, kiedy za przypadkowe wyrwanie się z ust jego »*niech będzie pochwalony*« bywał karany odebraniem ulubionej tabakiery, co i przyjemnosć dla nosa sprawiała i obracana zgrabnie w palcach nie jedną chwilę bezczynności w poważne dumania zamieniała. —

Nieznacznie uznał on sam potrzebę meldowania gości. Rozgałęzione jego stosunki w województwie często mu sprowadzały znajomych, krewniaków, co po dawnemu chcieli odwiedzić p. Kasztelana, uścisnąć jego kolano, wypalić długi komplement Jmości dobrodziejce; a to wszystko nienajlepiej wydawało się przy towarzystwie złożonem z osób wielkiego świata, przy nauczycielu Francuzie. — Nieraz brat szlachcic, kiedy ściskał kolana p. Kasztelana i posuwał się do ręki pani, Pan Guwerner tak się ironicznie spójrzał, tak się uśmiechnął, że brat szlachcic brzęknął karabelką i takiego marsa nastawił, że i pani i panu guwernerowi aż się zimno robiło; trzeba więc było zapobiedz temu, i skutkiem tego uchwalono, żeby wszystkich Dygnitarzy stolicy, wszystkich noszących strój francuzki, wpuszczać do pokojów paradnych, gdzie pani, panięta i cudzoziemiec nauczyciel przebywali; wszystkich zaś podejrzanych w stroju narodowym do pokojów p. Kasztelana, zbadawszy wprzódy ich nazwiska a nawet jeśli można i cele, dla

których przybywają. Tych zwykle służba pokojowa na dwa rzędy dzieliła. Osoby, których imiona były powtarzane w posiedzeniu domowém, wpuszczano do gabinetu pańskiego, nieznane zaś zupełnie, zapraszano do sali jadalnej. — Tu przybyły musiał oczekiwać na Kasztelana, zajętego w tej chwili ważnemi pracami. — Nudne minuty oczekiwania skracał gość przypatrując się malowidłom zdobiącym salę. — Nie było tu obrazów przedstawiających spuszczenie manny dla ludu Izraelskiego, lub nakarmienie kilku tysięcy zgłodniałych siedmiu chlebami przez Chrystusa, ani nawet owego pięknego czynu z dziejów Rzymu, gdzie córka uwięzionego ojca własną piersią karmi, nie, nie było tu tego; lecz były portrety znakomitych przodków Kasztelana ze zwróconém okiem na stół, jakby się dziwiące, że potomek ich, Kasztelan drążkowy, zapracowane gorżko ich mienie trwoni, ugoszczając possożytów tej ziemi, którą oni potem i krwią swoją użyźniali. —

Kasztelan jednak rad był braci szlachcie. Zdawało mu się, że jest wśród swego województwa, że żyje po dawnemu, szczerze, otwarcie; ciągnęło więc go do nich dawne przyzwyczajenie, nałogi. — Kasztelanowa przeciwnie, gniewała się na to, bo każde takie odwiedziny opóźniały reformę męża, której ona tak bardzo chciała, która była tak konieczną w obecném położeniu Dworu. Biedny więc Kasztelan jedną godzinę żył po swojemu, a długie dnie w obawie i przymusie, by się podobać żonie i Królowi, by mieć wejście u Dworu i tém zapewnić przyszłe powodzenie synów. — Czegoż dla szczęścia dzieci nie poświęca się, nie robi? —

Młody Józef wszedłszy do gabinetu Kasztelana najprzód powitał go słowami: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, a następnie uścisnąwszy kolana, wy-

mówił swoje nazwisko i list ojca wręczył. — Kasztelan odpowiedział »*na wieki wieków*« ale w tym momencie schwycił tabakierę, bo mniemał, że już kara wymierzona oczekuje na niego, i trzymając ją wraz z listem zapytał. —

— Jakże się waszmości rodzic ma, i po co tu przybywasz?

— Pisanie mojego ojca objaśni to p. Kasztelanowi Dobrodziejowi.

Kasztelan odczytawszy list rzekł: Bóg na mnie łaskaw, kiedy ludzie nie zapominają o mnie. Całém sercem przyjmuję waszmości do mojego domu, to tylko nie dobrze, że rodzic wasz niedomaga. — Panie Sekretarzu, pójdźno Waćpan i powiedz mojej żonie, że przybył tu mój krewny syn pana Miecznika.

W jednej chwili przybyła P. Kasztelanowa z dwoma synami. Zaledwie rzuciła okiem na Józefa, już go zupełnie zbadała, już była przekonaną o przychylności męża dla niego, przedsięwzięła więc odegrać stosowną rolę do tego; lecz miła postać Józefa i na niej zrobiła wrażenie przychylne, tak iż postanowiła go wyrwać z pod władzy Kasztelana a wziąść pod swoją opiekę.

— Przedstawiam ci kochanko syna p. Miecznika, krewnego i przyjaciela mojego, przyjm go takiém sercem, jak ja go przyjmuję. —

— Miło mi widzieć p. Józefa, a Papa jak się ma? —

Józef nie wiedział, co ma odpowiedzieć, tak mu ten Papa wszystko pomieszał. Kasztelan tedy naprawiając rzeczy dodał:

— Moja żona pyta się o zdrowie twojego Ojca — Chory nasz kochany Miecznik.

— Boleję bardzo nad chorobą Miecznika — Może pan Józef pozwoli sobie służyć kawą? —

— Dziękuję pani Dobrodziejce, wyjeżdżając z noclegu posiliłem się piwem i bigosem.

— No moja duszo, rzekła Kasztelanowa do męża, każże wyznaczyć pokoje dla pana Józefa, aby wypoczął po podróży — a i tobie pora się ubierać, lecz nie zapomnij, że dziś obiecał nas odwiedzić Xiąże Prymas.

— Dobrze — Chłopcy, pójdźcie z Józefem, zaznajomcie się i powiedzcie marszałkowi, aby naznaczył kwaterę, w której by się mógł wygodnie rozlokować Pan Józef — bądźcie gospodarzami, wszak wy przecie synowie moi.

— Allez M-r Joseph.

— Dajcie pokój tej francuzczyznie, mówcie po polsku. Czy mówisz po francuzku Józefie?

— Nie, panie Kasztelanie. Języka łacińskiego uczyłem się tylko u OO. Jezuitów.

— A to waść byłeś u XX. Jezuitów na edukacyi?

— Mój ojciec przeznaczył mię był do tego Zgromadzenia, ale nieszczęśliwe skassowanie OO. Jezuitów przeszkodziło dalszym chęciom. —

— To miałeś ochotę być Xiędzem?

— Moje serce, pora się ubierać tobie i P. Józef potrzebuje odpoczynku. Żegnamy pana — Dzieci, odprowadźcie pana. —

Niebyło więcej co robić i Józef udał się z Kasztelanicami. Zaledwie wyszedł, kasztelanowa zaczęła mówić.

— Mój kochanku, co ty myślisz robić z Panem Józefem?

— A cóż, stosownie do prośby jego ojca pozostawię go tutaj, a może Bóg da zapewnić mu karjerę.

— To chyba każesz, żeby on chodził do stołu marszałkowskiego, bo nie podobna, aby z nami.

— Przez Boga żywego, co Wać Pani mówisz! ? krzyknął

Kasztelan — mój krewny, syn przyjaciela, karmazynowy szlachcic miałby być odepchnięty od mojego stołu!

— Inaczej być nie może, wystawilibyśmy się tylko na śmiech. —

— E, dość ja śmieszności, dość głupstw robię aby dogodzić Waszeci, ale to już by przechodziło wszystko — otoż powiadam stanowczo, że Józefa zostawuję jako krewnego w moim domu, i że od tego nie odstąpię, klnę się Waćpani, jakem *Sodalis!*

— Fe, fe, nie klnij się tak brzydko zawołała Kasztelanowa zakrywając dłonią usta męża — Słuchajno, czy chcesz ty być kiedy Wojewodą? czy chcesz mieć order?

Te słowa magiczne ułagodziły burzliwego Kasztelana. —

— Obsadź że się podobną młodzieżą, przyjmuj braci szlachtę w salonach, mówiła dalej Kasztelanowa, a nigdy niczem więcej nie będziesz jak posłem na sejm — wtedy pożegnaj się z łaską królewską dla siebie i dzieci.

— Ale bo widzisz gołąbko, jakże ja mogę nie przyjąć Józefa? — A gdybym go posadził u stołu marszałkowskiego, to ucieknie chłopczyna, bo to ambitne; a wówczas ojciec jego gorzkoby pożałował i przyjaźni i pokrewieństwa ze mną. Wszak nie zapomnij o tém, że on mię w świat wprowadził. —

— Ale ktoż bo moje kochanie tego żąda? trzeba tylko zastanowić się nad rzeczą. Przedstawić Józefa tak jak jest w zgromadzenia stolicy, jest to jedno, co go zabić na zawsze; trzeba więc żeby się trochę otarł, nabrał poloru, bo gotów w najlepsze wystąpić z swoją edukacyą jezuicką i bigosem hultajskim, który tak lubi. — Niech więc kilka miesięcy posiedzi w ukryciu, trzeba zobowiązać naszego Markiza, żeby się nim także

zajął, a jak się trochę wykształci, to dopiero będzie mógł się przedstawić w naszém zgromadzeniu. —

— Masz Waćpani racyą, bo i ja to zauważyłem, że jak wiśnia czerwienił się, kiedy chłopcy po francuzku do niego zagadali. —

— Widzisz — trzeba tedy, żebyś mu to wszystko objaśnił, i żeby niebawem uprosić Markiza dla niego. — Oj tu będzie kłopotu trochę!

— Dam 50 dukatów więcej, to i kontent będzie.

— Tobie się zdaje, że on dla pieniędzy u nas — a on łaskę robi.

— No, to jeszcze łaskę swoją powiększy, przy powiększeniu złota. —

— Już ja sama z nim pomówię.

— Dobrze, a ja Józefowi wszystko wyłuszczę. —

Po tej naradzie, po odbyciu i przyjęciu wizyt, Kasztelan udał się do mieszkania przeznaczonego dla Józefa. — Zastał go czytającego Żywoty ŚŚ. Pańskich, w nich on szukał ukrzepienia w obecném położeniu swojem. Wracać do domu nieśmiał, bo to by było przeciwko woli ojca; a tu sam jeden, rzucony od wszystkich, nie przyjęty do grona rodzinnego gospodarstwa, najsmutniej godziny przepędzał, bez zajęcia, bez celu dalszego. — O, stokroć milszém mu się wydawało schronienie klasztorne, jak to położenie zbyt trudne dla pojęcia w jego wieku młodym! — tęsknił nie wiedząc do czego, a ciężar żalu przytłaczał jego serce. — Widząc wchodzącego Kasztelana stanął, nie śmiejąc słowa przemówić.

— Pięknie to mój Józefie, że się zajmujesz lekturą, ale trzebaby czytać coś światowego, nie same pisma święte. — Te słowa jeszcze więcej zmieszały Józefa, nigdy nic podobnego nie słyszał, nigdy się nie spodzie-

wał usłyszeć je z ust dawnego Syndyka OO. Jezuitów. —

— Widzisz mój kochany mówił dalej Kasztelan, że cię uprzejmém sercem wraz z żoną powitałem, ale świat w stolicy jest inny od naszego — tu jak pierwszy krok twój śmiesznością okryją, gdybyś był całe życie swoje najpoczciwszym człowiekiem, niepoprawisz tego: — otoż umyśliłem, żebyś kilka miesięcy przepędził w moim domu nie pokazując się w towarzystwach, i dla tego uprosiłem Francuza, by się zajął tobą. — Ty nie gadasz po francuzku, a to jest wstyd dla Polaka żeby nie umiał.

— Prawda p. Kasztelanie, ale dla czego ja mam się wstydzić, że nie umiem po francuzku?

— A dla czego moja żona gada po francuzku — dla czego dzieci moje także gadają — dla czego nawet król nie przemówi dwudziestu słów po polsku, żeby nie wmieszał wyrazu francuzkiego? ot widzisz.

— Ja taki nie rozumiem Panie Kasztelanie.

— Ja wiem że nie rozumiesz, i dla tego trzeba żebyś się uczył. — Czy wiesz że czasami u mnie w domu jak się zbiorą Markizy, Kontowie i Bóg tam święty wie ich jak się tytułują, i jak zaczną gadać po francuzku, to ja siedzę jak na niemieckiém kazaniu, i aż mi wstyd, że nie rozumiem —

— Czemuż oni nie mówią po polsku?

— Bo to widzisz Francuzi.

— A oniż się nie wstydzą, że nie umieją po polsku?

— A gdzież tam! — ale Waść zabałamuciłeś mię. — Otoż przyszedłem ci powiedzieć, że przez afekt jaki oboje czujemy do ciebie i twojego rodzica, zajmiemy się tobą szczerze. — Zaczniesz się więc uczyć wszystkiego od Markiza, bo to Francuz, a zatem uczony i może cię wydoskonalić we wszystkiém. Ot patrzaj, ja tak *pater*

noster gładko nie powiem, jak moje chłopcy komplementy paniom, i to po francuzku. — Im prędzej więc przejmiesz te maniery, tém prędzej wejdziesz w świat i mnie dasz sposobność w zapewnieniu ci karjery. Korzystaj więc chłopcze z Markiza, który od jutra już się zajmie tobą — to mówiąc pocałował Józefa w czoło. —

Józef ze łzami uścisnął ręce Kasztelana i przyrzekł ślepe wykonanie jego rozkazów. —

Nie zbyt uciązliwémi okazały się lekcye Francuza po jezuickim Alwarze, lekcye, których całym przedmiotem było mówienie, ukształcenie ruchów młodzieńca, nadanie mu pewnej śmiałości, lekceważenia drugich, a nawet zarozumiałości. — Szybko Józef postępował w tej nowej szkole dla siebie. Jeszcze czasami wymykał się do kościoła na Mszę Ś. lub do spowiedzi, ale wyszydzany, wyśmiewany przez nauczyciela i kolegów, początkowie kryć się musiał a później zupełnie poprzestał. —

Wszystko do młodzieńca łatwo przystaje a towarzystwo, w jakiém się znajduje, musi koniecznie wywrzeć wpływ bezwarunkwy na jego ukształcenie moralne. — Józef z usposobieniami dobremi, z uczuciami religijnémi aż do fanatyzmu przez Jezuitów posuniętemi, z bystrém pojęciem, pod despotyczną władzą synów Lojoli, musiałby się wyrobić na odpowiedniego ich celom; przeciwnie wrzucony w dom Kasztelaństwa powinien był odpowiedzieć warunkom przyjętego planu wychowania i stać się tém, czém chciała go widzieć pani Kasztelanowa, by nie powstydził się salonów. Dodajmy do tego jeszcze nudę, która go napastowała po odbyciu lekcyi, a która o stokroć się powiększała tém przekonaniem, iż w tej chwili jego koledzy i Markiz najlepiej się bawią, kiedy on zmuszony wyuczać się suchych rozmów

francuzkich. Brał więc na pazury jak to mówią, aby się już prędzej można wedrzeć w te towarzystwa świetne. — Znajomość łaciny i szczera chęć połączona z pracą dokazały tego, iż po trzech miesiącach Markiz oświadczył p. Kasztelanowej, iż widzi już tak dobrze p. Józefa, że można go w towarzystwa przyjacielskie wprowadzić, co nawet zaostrzy w nim emulacyą dalszego postępu. —

Pierwszy wieczor, na który był wprawdzony Józef, można istotnie nazwać wieczorem przyjacielskim w domie Kasztelaństwa. Składało go towarzystwo z osób więcej zbliżonych do ich domu, lub krewnych; między niemi było wielu dawniej znajomych Miecznika, z pobłażaniem więc patrzali na Józefa, chociaż jeszcze widoczna nieśmiałość zdradzała go, iż po raz pierwszy był w podobném zgromadzeniu. — Francuz i Kasztelanowa czuwali nad nim, ośmielali go co chwila, wpychali, iż tak powiem, w wir bawiących się, tak że przy końcu Józef nie czuł żadnego przymusu, a nawet poznał, iż jest w odpowiednim sobie żywiole. — Podobało się to młodemu, chętnie zawiązał znajomości, bywał z Kasztelaństwa rodziną, a wkrótce i dla niego samego już wiele podwoi nie było zamkniętych. — Cieszył się Kasztelan tym oczywistym postępem Józefa i już tylko jedna rzecz pozostawała, aby go wprowadzić do Dworu i tym sposobem ustalić pewne położenie jego w wielkim świecie stolicy. —

Liczne zabawy w zapusty dały sposobność przedstawienia Józefa Królowi, jako syna starego żołnierza: następnie mógł już być na pokojach królewskich, a to wszystko postawiło go już na tym punkcie, iż stał się cząstką niezbędną każdego błyszczącego balu lub wieczoru w stolicy. —

O, jakaż przemiana w Józefie! Już go nie nęcił głos dzwónka kościelnego, już nie miał tych wyobrażeń o stolicy, z jakiemi do niej przybywał. Śmiał się sam nieraz nad sobą, nad wyobrażeniami dawnemi, czuł teraz potrzebę zabawy, błyszczenia, czuł równość szlachecką, co mu o wszystkiém marzyć, do wszystkiego sięgać pozwalała, leciał więc pędem wytkniętą drogą przez swą wyobraźnię, a świat piękny mile patrząc na niego obsypywał różami różane marzenia młodzieńca. —

Powodzenie Józefa nie mogło być mile widziane przez Kasztelanowę. żałowała ona swoich trudów podjętych nad jego wykształceniem, tém bardziej, że Józef był niejako gwiazdą, przy której gaśli jej synowie. Chciała się go pozbyć, mówiła o tém mężowi, ale ten i słyszeć o tém nie chciał, dopókąd nie zapewni mu jakiegoś zyskownego urzędu. — Próżne były nalegania Kasztelanowej; darmo przedstawiała, iż ich własne dzieci tracą przy Józefie; Kasztelan był nieporuszony w swojém przedsięwzięciu: musiała więc Kasztelanowa przedsiębrać inne środki, byleby usunąć Jozefa ze stolicy. Tym celem zaczęła się szczerze krzątać około wyrobienia jakiego urzędu wojewódzkiego dla niego, a starając się o to, z taką przychylnością, z takiém zdawało się nie kłamanem uczuciem mówiła o zapewnieniu losu Józefa, iż osoby, które wpływ na to mieć mogły, nic innego j k tylko czystą przyjaźń dla Miecznika a przywiązanie prawie rodzicielskie do Józefa w tém widzieli; — otrzymała już nawet przyrzeczenie, kiedy zbieg okoliczności pozwolił nie czekać ich uiszczenia i nadawał sposobność pozbycia się Józefa z oświadczeniem całego współczucia nad jego losem, a nawet żalu że się z nim rozstają. —

Józef był na amatorskim koncercie — towarzystwo nie było liczne, ale było to samo czoło stolicy — po

koncercie rozpoczęły się tańce — synowiec królewski i Józef, oba chcieli rozpoczynać taniec — gospodarz wdał się prosząc Józefa, aby zostawił pierwszeństwo Xięciu — Józef odpowiedział, że uważa to za ubliżenie damie swej i sobie, ale niechcąc robić nieprzyjemności gospodarzowi, przeprosił damę, iż tańcować niemoże. — Xiąże widząc, iż Józef zabiera się do wyjścia, będąc z nim w poufałej znajomości, rzekł »nie gniewaj się Józefie, wszak wiesz, że jestem synowiec Króla i dla tego dali mi pierwszeństwo«.

— Ja nie ustępuję nikomu, choćby z krwi królewskiej, a Xiąże jesteś tylko szlachcic taki jak ja, i po szlachecku powinieneś zadość mi uczynić« — to mówiąc wyszedł. —

Szybkością błyskawicy przyleciała ta wieść do domu Kasztelaństwa. — Trzeba było widzieć przestrach jaki się malował na twarzy Kasztelanowej o los kochanego Józia, jak co chwila była pełna niespokojności, że może on dotąd już jęczy w więzieniu, że będzie sądzony, stracony. — Próżno Kasztelan chciał ją uspokoić, że Józef prawdziwie po szlachecku postąpił, że Xiąże będąc szlachcicem nic nie powie o tém Królowi i jako szlachcic rozprawi się z Józefem — Musiał nakoniec uwierzyć, że jeżeli nie Xiąże, to drugie osoby powiedzą o tém Królowi i że najsmutniejsze następstwa go oczekują. Jeden środek wynalazła Kasztelanowa dla Józefa, a ten był, że jeśli Bóg szczęśliwie przyprowadzi go do ich domu, aby uciekał jaknajprędzej do ojca i tyle czasu tam zabawił aż cała ta okoliczność zatrze się w pamięci Króla — i tak to wszystko było oddane na tkance rzeczywistej przychylności i najlepszych chęci dla Józefa, że w końcu wyrzekł Kasztelan »masz racyą kochanko«. —

Józef uprosiwszy sekundantów wrócił do swego mieszkania; zaledwie przyszedł wnet go proszono do Kasztelana. — Zdziwił się mocno, kiedy się dowiedział, iż obojgu nie są tajne zajścia jego z Xięciem na wieczorze, a bardziej jeszcze ich trwodze o siebie — starał się ich uspokoić, lecz wszelkie usiłowania jego były próżne — w końcu rzekł Kasztelan.

— Kochamy cię jak syna, i jak syn nas obchodzisz, zastanów się, coby powiedział Pan Miecznik o mnie, gdyby się dowiedział, że syn jego poruczony mojej opiece i pieczołowitości jęczy w więzieniu, albo że na nim ciąży wyrok banicyi, bo niewiesz może mój Józefie, że nie tylko za czynność honorową z synowcem Króla, ale gdybyś z kimkolwiek odbył pojedynek pod bokiem królewskim, według praw naszych już karze śmierci, albo banicyi ulegasz. — Zastanów się, jakbyś tém zatruł ostatnie chwile życia ojca swojego, jakbym ja był odpowiedzialnym i w oczach świata i we własném sumieniu. Aż nadto pewny jestem, że Xiąże słowa nie powie przed Królem, ale jeżeli już wieść o waszych zajściach do nas dobiegła, ktoż może uręczyć, że w tej chwili nie jest wiadomą Królowi, i że może już zapada wyrok uwięzienia ciebie. — O, błagam cię mój kochany i zaklinam na osiwiałą głowę waszego rodzica, umykaj jak najspieszniej ze stolicy — da Bóg zatrze się to w pamięci Króla i my znów Waszmości sercem przyjaznėm zaprosimy do siebie; ufaj radom starego i doświadczonego przyjaciela, który pewnie twojego honoru na szwank niechciałby wystawić, bo Waszeci dobra sława jest zespoloną z moją — uciekaj na Boga cię proszę. —

Panie Józefie, dodała Kasztelanowa ze łzami, ile czuję nad rozstaniem się z wami Bogu jednemu wiadomo;

ale wasze i waszego Rodzica szczęście wymaga tego koniecznie; nieodrzucaj rad mojego męża i pamiętaj, że posłuszeństwo ojciec pod błogosławieństwem ci polecił, a dziś spełnienie jego woli bezwarunkowie jest koniecznóm dla was. Najszczersza przychylność i przyjaźń to wam radzi, korzystajcie więc póki pora po temu, byście nieobarczyli sumienia swego wyrzutem iż zatruliście spokojność najlepszych swoich przyjacioł. —

Po tej mowie nie było się nad czém zastanawiać — spiesznie więc opuścił Kasztelanostwo Józef i udał się w podróż do domu ojca swego. Jadąc czuł cały niesmak, cały żal z utraty stolicy. — Wioska rodzinna, co mu dawniej najmilszym pobytem wydawała się, już teraz przedstawiała obraz najokropniejszych nudów, z któremi trudno się obyć. — Widział poważnego swego ojca, poczciwego Kapelana, wartujących pobożne xięgi; dawniej łatwoby się pogodził z ich towarzystwem, z towarzystwem przybyłego sąsiada, co rozprawiał jeszcze o panowaniu Sobieskiego i Sasów, ale dziś, dziś nie podobna; jechał więc pocieszając się tą myślą jedynie, że Kasztelan prędko go wezwie do Warszawy i że znów pełném życiem żyć zacznie. W takiém usposobieniu zajechał przed wiejskie zacisze Miecznika. — Serce w nim silniej uderzyło, kiedy wstępował na próg rodzinnego domu, kiedy miał wkrótce ucałować rękę rodzica — Spotkał go Xiądz Kapelan, którego uprzejmie powitawszy zapytał, czy może z ojcem się widzieć?

— Ty nic niewiesz Józefie? — Pan Stolnik miał przecie pisać do Waszmości i donieść, że pan Miecznik już w Bogu spoczywa, i że przed śmiercią prosił pana Stolnika, by się zajął pozostałą substancyą po nim aż do twego przybycia ze stolicy. —

Józef stanął jak wryty usłyszawszy słowa Kapłana, nie wydał jęku, łza niespłynęła z jego powiek, stał się jakby posągiem bez czucia, bez życia — Tak zostawał chwil kilka, potém się rzucił do komnaty ojca, padł na kolana, a rzęsisty potok łez ulżył żalowi przepełniającemu duszę. —

Czas, ten lekarz najdoskonalszy, uwagi pobożnego Xiędza Kapelana zachęcające do poddania się rozporządzeniom woli Bożej, naostatek konieczna potrzeba zajęcia się pozostałym majątkiem, musiały stopniowo działać na smutek Józefa i wprowadzać w czynne życie odpowiedne obecnemu położeniu jego. —

Odbierane listy ze stolicy od Kasztelaństwa i przyjaciół nie pozwalały myśleć o powrocie do Warszawy, potrzeba więc było Józefowi zabrać stosunki z współobywatelami, sąsiadami; dla tego najprzód się udał do pana Stolnika, jako dawnego przyjaciela ich domu.

Ale ja tak rozwlokłem się w mojém opowiadaniu, że nie spostrzegłem, iż to pora spoczynku — Jeśli panowie pozwolą, skończę im kiedyś. —

1847 r.

Twierdza Wniezapna na Kaukazie.

KAROL KACZKOWSKI I JEGO SŁUGA.

(Z listu Szymona Konopackiego do kollaboratora *Gwiazdy* J. Z. który w poprzedniczym Numerze mylnie oznaczony został, raz literami T. P. pod listem do Wydawcy datowanym w Engelt-jurcie, i drugi raz literami X. P. na czele powieści: *Arystokracya z warjacyami.*)

Jl vaut mieux s'exposer à l'ingratitude, que de manquer aux misérables.

... Posyłam Ci dwa exemplarze N 3. Gwiazdy. Odjąć się niemógłem od listu Twego do Redaktora Gwiazdy; po dwakroć odczytałem go z największą przyjemnością i zadowolnieniem. — W nastawaniu na drogiego nam Kaczkowskiego za tulenie się pod skrzydło wziętego u nas autora, podwyższasz go, a obrazem cichych cnót jego objawiasz światu, jak słusznie powszechnym silny jest szacunkiem sam z siebie. — Kraszewskiemu wcale nie pochlebiasz. Wytknienie pośpiechu i ztąd niepoprawności jest rzetelne. Ale zda mi się nieczytałeś *Pamiętników Nieznajomego*, — więcejbyś go polubił. — Ustęp o zachowanym rublu od biednego, prześlicznym jest wieńcem Kaczkowskiego. Jeśli zechcesz przedłużać korrespondencyę z Dołęgą, mogę Ci się przysłużyć podobnym materyałem: — będzie to tylko historya o słudze Kaczkowskiego. —

Wiadomo z poprzedniczego N-ru Gwiazdy, jakie przeznaczenie czekało Karola K. po ukończonej nauce Medycyny w uniwersytecie Wileńskim na skarbowym funduszu: że musiałby wysługiwać się Rządowi może w dalekich stronach państwa, może w pułku jakim; że młodzież Krzemieniecka, z pierwszych natchnień założyciela tej Szkoły Tadeusza Czackiego, tchnąca zawsze uczuciami wzorowej szlachetności, odznaczyła się i tą razą wspaniałym pospiechem i uczniowie składali ofiarę na wyścigi aby Karola podźwignąć. Matka jego już nieżyła wówczas; ojciec zamieszkał na wsi przy jednym z dawniej życzliwych. Karol powodowany wdzięcznością tak dla miejsca, gdzie brał początki nauk i wyższe sposobienie się ku swemu powołaniu, jako też dla młodzieży, która mu kupiła swobodę, otrzymawszy patent na Doktora postanowił zamieszkać w Krzemieńcu. Ale bawiąc czas jakiś w Wilnie, zajmował się zwiedzaniem szpitalów, aby naukę pracowitém wesprzeć doświadczeniem. Wówczas wezwanym był do ubogiego kancellisty sądu powiatowego. Biedak ten, długiém cierpieniem wycieńczony zupełnie na siłach, bez żadnej pomocy, bez familji w mieście, mający z górą lat 40, a bez najmniejszego na ten wypadek zapasu, długo nieważył się wzywać lekarza, bo ani czém trudów jego wynagrodzić, ani apteki opłaciłby nie mógł. Kaczkowski odwiedział często pana Józefa kancellistę, nakoniec przeniósł go do lazaretu, gdzie po kilku tygodniach usilnej nad nim pilności, uzdrowił go zupełnie. Łatwo sobie wyobrazić, ile wdzięczności czuł ku niemu pan Józef. Ale naprózno biedził się nad środkami okazania jej, ściskał go tylko za kolana, gdziekolwiek go spotkał. — Już Karol wyjeżdżać miał do Krzemieńca, gdy raz zszedłszy się z panem Józefem na ulicy, po

daremnych wypraszaniach się od pokornych uścisków u kolan, rzecze mu: »Proszę cię panie Józefie, zrób mi ulgę w jednym moim kłopocie. Oto, chłopak, co dotąd mnie usługiwał, jest wspólnym służącym mojego kollegi, który niema wyjeżdżać z Wilna; ja zaś puszczając się w podróż do Krzemieńca potrzebuję człowieka znanego z charakteru, aby w drodze niebyć zdradzonym. Czy nieznasz kogo z tej klassy, aby życzył sobie przejechać się zemną na Wołyń?» — A kiedy pan ma wyjechać? — »Za parę tygodni«. — Bardzo dobrze; nastręczę Panu służącego, co będzie wart jego ufności. — »Ale pamiętaj panie Józefie, że ja nieprzyjmę wykwintnego, co zechce pensyi miesięcznej, potrzebuję chłopca do pilnowania moich rzeczy, do czyszczenia sukień, butów, a wiadomo, co płaci się zwykle za taką usługę rocznie». — Niech Pan będzie spokojny. — Po dniach kilku Kaczkowski spotyka znowu pana Józefa, znowu go prosi o służącego z tém, że przed blizkim już odjazdem radby się z nim cokolwiek obeznać. Znowu też same przyrzeczenia. Nakoniec zachodzi w terminie umówionym bryka, którą Kaczkowski ma puszczać się w podróż — służącego niema. A więc wyszedł dla pomówienia z furmanem o tym kłopocie, wyszedł i ujrzał — kogoż? — pana Józefa stojącego przy brycce — »O, chwałaż Bogu, że cię widzę poczciwy panie Józefie, pewnie przywiodłeś mi służącego«. — A tak jest Panie. — »A gdzież on jest?« — Co Pan rozkaże? ja sam nim jestem. — Niebyło środka, musiał Doktor poddać się usilnym błaganiom wdzięcznego pacyenta. Pan Józef został sługą Karola i wiele później wpływał na los jego. —

W ciągu urzędowania mojego w Kommissyi edukacyjnej w Krzemieńcu, raz w Grudniu 1820 r. byłem

z czcigodnym Rudzkim pisarzem tej Kommissyi sam na sam w izbie sądowej; wchodzi ujmującej fizyonomji młodzieniec, zbliża się do Rudzkiego i daje mu się poznać. — Byłto Karol Kaczkowski, szukał życzliwości w przyjacielu rodziców swoich. Starzec niepoznał go zrazu, upłynione lat ośm wielką w nim sprawiły różnicę. Po uściskach i badaniach wyszli oba z Kommissyi. Odtąd dóm Rudzkigo był domem Karola, zamieszkał w jego oficynie. —

Po upływie kilku miesięcy słabi uczniowie wyrywali sobie Kaczkowskiego. Napróżno Doktor lycealny pisał recepty, chorzy w oczach swego ulubieńca tłukli flaszeczki z lekami z przepisów tamtego. Szczęśliwe powodzenie w traktowaniu uczniów ukryć się nie mogło. Począł pan Karol uczęszczać na konsylia z wezwania domów zamożnych Wołynia, Podola i Ukrainy, co wówczas przez zamieszkanie w Krzemieńcu dla wychowania swych dzieci podniosły to miasto do tytułu małej Warszawy — a było takich rodzin z górą ze trzydzieści. — Miałem i ja zręczność poznać wówczas z bliska Karola Kaczkowskiego; lgnąłem jak inni do słodyczy jego charakteru, lecz tajne cnoty jego nie wszystkim jeszcze znane wówczas były. Słyszałem nieraz pokątne nad nim uwagi: że, Doktor już głośny powszechną wziętością, wzywany do domów zamożnych, a przeto mający niezawodnie środki podniesienia widoczniej bytu swego wśród ludzi błyszczących zbytkiem, niezmienia przecież mieszkania i zawsze jak od początku poprzestaje na dwóch skromnych w oficynie Rudzkiego pokoikach, gdzie w pierwszym pan Józef z xiążką do nabożeństwa siedział na swém łóżku jakoby przykuty a drugi był malec do posługi. — Po latach kilku, życzliwi poczęli robić mu uwagi, że w pełnieniu obo-

wiązków Doktora niema względu na swe własne zdrowie. Krzemieniec niema bruku, on po największém błocie bez względu na niepogody zawsze pieszo nawidzał swoich pacyentów. Nikt go przecież chciwym, nikt skąpym nigdy niemianował. Gdzież się obracały środki niezawodnie ciągle wpływające ku wygodniejszemu życiu? — Pan Józef nam powie. —

Kilku razem Doktorów widząc wynędznienie Kaczkowskiego i wzmagający się kaszel, zdecydowało potrzebę wód zagranicznych. Uznawał on i sam trafnosć ich rady; żyć pragnął, lecz do podróży najmniejszego niebyło zasobu. — Raz wróciwszy o wieczornej jak zwykle porze do domu, przechadzał się zwolna po swoim pokoiku wzdychając. Pan Józef dostrzega oddawna zmianę w twarzy swego Doktora; tą razą uderzony jego smutkiem wchodzi do pokoju i nieśmiało pyta: »Czy mnie się tak zdaje, czy zdoprawdy pan jesteś chory? « — Chory jestem poczciwy Józefie — » A czy godzi się wzdychać ta rozpaczać, kiedy dzięki Bogu apteka niedaleko? « — Ta niepomoże; radzą jechać do wód zagranicznych i sam widzę tego potrzebę, ale pieniędzy na podróż nie mam. — » A wieleż to panu potrzeba? « — Na co mię o to pytasz, kiedy tej biedzie niezaradzisz. — » A kto wie panie Konsyliarzu, może i zaradzę; powiedz no pan, wiele mu potrzeba? « — Żartujesz sobie mój Józefie, to nie trzy ani cztery rubli, to najmniej tysiąc ich potrzeba, aby przez czas jakiś tam się podratować, — » Po cóż pan wzdycha, kiedy Bóg dał cokolwiek i więcej w domu. « — A to zkąd? zawołał Kaczkowski spostrzegłszy spory woreczek, z którego na stół wysypał mu pan Józef same dukaty. — » Nie moje to, nie moje, pan je z uszczerbkiem zdrowia swego zapracowałeś. « — Wytłumacz się jaśniej poczciwy Józe-

fie, ja cię niepójmuję. — »Ot powiem panu, że tylko Bóg jeden pojął nas obadwóch, On tylko to widzi, że Pan jesteś dobroczyńcą biednych, a ja po prostu złodziej; bo jak tylko poczęło lepiej dziać się Panu, dostrzegłem od razu, że grosz nie będzie tu gościł. Biedaki łachmanami okryte cisną się po radę, Pan im jej nieodmawiasz, po chatach odwidzasz nędzarzy — pięknie to, pięknie, dość byłoby na tém. Ależ płacić aptece czy za żyda czy za mieszczanina byle pisnął, że niema zkąd, dawać im i na chleb jeszcze — to już zanadto. Otož podumawszy trochę nad moim panem, postanowiłem zaradzić temu. I odtąd, skoro pan wieczorem wróciwszy do domu wysypiesz na stolik z kieszónki zapracowane w ciągu dnia złoto, to przyniósłszy z mego pokoju świecę, dotąd poram się, niby poprawując pańską pościel, aż póki niezdarzy się, że pan odwrócony od stolika, wówczas chwytam cząstkę myśląc sobie: Boże! przebacz! wydzieram to biednym, aby w zdarzeniu potrzeby podratować ich dobroczyńcę. Owož z tych cząstek uzbierało się coś więcej podobno jak czterysta dukatów. Mam ja i rejestrzyk, gdziem ciągle zapisywał, kiedy się co wzięło ze stolika, z wyznaniem, że to Pańskie, aby na przypadek mojej nagłej śmierci nieuważano tego za moją własność. « — Tymto szczególniejszym środkiem odzyskawszy u wód zagranicznych zdrowie, Kaczkowski powrócił, ale już niestety niezastał poczciwego pana Józefa! Z boleścią on dotąd wspomina stratę przyjaciela. — I któryż z intendentów armij europejskich okazałby się godniejszym hołdu należnego cnocie? —

KONTRAKTY KIJOWSKIE R. 1849.

(w zarysach *à la Kwacz.*)

Ja: Patrzcież obiema oczyma: czy to my, czy wy, czy oni?
Czytelnik: Tak jak wy . . . i tak jak oni . . . ale *mnie* tu wcale niema.
Ja: Mocno się ztąd cieszę.

. . . . Wstąpiłem wieczorem o godzinie 8 do kontraktowej sali. Krzyk furmanów, seciny karet, sani i nejtyczanek uwijających się do koła gmachu, tłum ludu różnego stanu i różnych powierzchowności, otoczyły mię razem, jakem tylko wstąpił pod kolumny frontonu. Mnóstwo szyldów oświeconych lampami spójrżały wnet na mnie prawdziwie djabelskiémi oczyma. Muszę tu rzec nawiasem, iż kunszt szyldowski doszedł dziś szczególnego stopnia oryginalności. Litery same przez się podebrane w wyrazy, często zdawały się mi jakiemiś żyjątkami i dziwiły jak idący zegarek zadziwia dzikiego człowieka. Ze wszystkich-bo wynalazków, wynalazek pisma jest bez wątpienia najtrafniejszym. Postwarzać tyle pewnych figur, dać każdej właściwe znaczenie i taką mnogość najdelikatniejszych odcieni, połączyć je i módz tak umiejętnie

charakteryzować kilką znaczkami to właśnie czego określić niepodobna, bo uczucia serca, bo wrażenia duszy lub zmysłów, jest to zadanie, którego całą trudność wtenczas tylko pojąć moglibyśmy, jeśliby nam dał kto to zadanie do rozwiązania przed wcieleniem go w rzecz samą. Siedząc nieraz wśród ciszy nocnej przy stoliku, patrzałem na pootwierane xięgi a każda stronica zdawała się rodzić w konwulsyjnych rzutach jaką ofiarę wywołaną do życia autorem. Wszak krzyk ten trwał ciągle.... wykrzykniki trzymały scenę jakby w napięciu a to budzące się życie dramatu, zdawało się być zamienione jakąś wyższą potęgą w inne formy, chciało oderwać przyrosłe krzyże od swej trumny i wstać nie było w stanie!... I tak krzyczało, wrzało, passowało się wszystko, z tą jedną okropną wyłącznością, iż nie wydawało głosu, nie przejawiało swego życia na zewnątrz, ale jak larwy piekielne, jak tańce dla głuchego, jak daleka scena pożaru wśród nocy, było razem jak trup i namiętność.

Na ganku jak na mrówisku rozmijały się tłumy różnobarwnego ludu. Tysiąc dróg i tysiąc celów! tyleż marzeń, nadziei, chęci zemsty, miłości, gniewu, rozkoszy, a może żadnej — pokory, dobroczynności, współczucia — leciały w ich ślady! Ale oto wciskam się w podwoje: tłoczą mię — dręczą — niosą — stójcie na miłość Boga! pozwólcie mi odetchnąć tu na stronie, pozwólcie uciec na te schody.... tam kraina sztuk pięknych... zdala uśmiechają się do mnie ładne główki z etiudów Julien'a, piękne kompozycye Delacroix i Vernet'a, tam zapomnę o tobie interessowna gawiedzi, tam obaczę włoskie nocy i Esmeraldę i moją śliczną Kolombinę... och! którą tak szczerze pragnąłbym poznać w naturze i w Wenecyi!... tam..... niesłyszą — nieważają —

niosą, — wspieram się na lisich kołnierzach jakichś dwóch asanów, podnoszę się nad ich głowy o jakie półłokcia — jak srebrna błyskawica mignął mi magazyn Fraget'a, przeleciały czerkieskie kobierce i burki i mińskie bóty i perskie materye... oglądam się — ścisk się zwiększa — wpatruję się i parskam ze śmiechu.... materya bierze widocznie górę — duch upada! Zmiłujcie się; czyż to wiek dziewiętnasty?! Przedemną jak zajrzeć okiem morze głów w przypływach i odpływach ciągłych. Kilka rozumnych łbów tkwią uwięzione wśród tych tysiąca czaszek; kiedy tymczasem zamaszysta szlachta jak delfiny rozpierają barkami piętrzące się wały — idą naprzód — rzucają wzrok dumy i politowania na sparaliżowane tłumy — buchają gorzałką — sapią bakunem — ryczą tubą.

Ale ludzie jak czas nie mogą być bezczynni, zaczynają się więc monologi.

— Szukam właśnie JW. Pana od dni kilku! odezwał się radośnie jakiś jegomość postrzegłszy o parę sążni przed sobą swego JWielmożnego debitora. — Dopytać się nie mogłem. Do nóżek upadam JW. Panie! A to kara Pana Boga! wyłabudać się nie mogę przez żaden sposób z tego ścisku!

JW. Pan chciał się już witać, ale zwietrzywszy kredytora, podjął ramiona jak w kąpieli i zaczął tyłem oszukującą rejteradę.

Procentowicz ucieszony, iż przed nim widnieje duża jaśnie-wielmożna głowa, rozumiał, iż ten go chce uściskać, że nań czeka; dobywa więc sił ostatnich a nie mogąc rozeprzeć tłumu barkami, postanowił dotrzeć mety innym sposobem — i dał nurka.

Ale jakież było jego zadziwienie, gdy wynurzywszy głowę znalazł się oko w oko przed policyantem, który

go zmierzył podejrzliwym wzrokiem i napomniał, żeby nie starał się szukać, czego nie zgubił.

— Aha ha ha haaa! przejechał mi ktoś nagle jak kołami nad głową. — Moja rybeńko! gdzież to zapisać? Tomasz na kontraktach! Ta nu bo Tomaszu, czy to ty? Haj haj! a żonka a dzieci? jak: czy zdrowi? Czy panna Małgorzata wyszła już za mąż? ha?

Zapytany tworzył oczewistą sprzeczność z pytającym. Ten był olbrzymiego wzrostu szlachcic a kożuch jego musiał spożyć ze dwadzieścia baranów nim opasał mu biodra; tamten zaś mały, żywy, w płaszczu i konfederatce. Rozmowa ciągnęła się.

— A jakże?

— A za kogo?

— Za Tupajkoskiego.

— Za Tupajkoskiego! moja rybeńko; mówił drągszlachcic kładąc palec na ustach. — Coś słyszałem o Tupajkoskich... jego rodzi podobno Kozubska, co to spokrewniona z Wierzgajłem, ha, moja rybeńko, czy ten sam?

— To ty znasz panie Macieju i Wierzgajłównę? krzyknął mały nieposiadając się z radości.

— Oto! czy ty ją znasz, a ja znam jak łysego konia! Po nocy bym poznał. Też-to ona nosiła mię na ręku moja rybeńko.

— Na ręka! o mejn Got! — krzyknął z pod ziemi jakiś suchy niemczyk, na którego głowie ciężyła trzecia część brzucha naszego dzieciaka. — Moja winszować na takie fors pani Firgalówna!

Szlachcic spójrzał na protestującego się z taką miną, jak się patrzy na zegarek dobywając go z kamizelki: — he he hę, ale widzi pan, moja rybeńko, temu już dosyć dawno. A pan zna ją?

— Zna! nejn!

— Poczciwa z kościami kobieta!

Jakiś lew Kijowski w okularach, w niedźwiedni, z głową zadartą i w modnym kapeluszu, prowadził damę pod rękę, ale ścisk zatamował drogę.

— Place, messieurs! place! wołał dandys jakby kręcąc się w walcu.

— Stara facecya, szeptał szlachcic do sąsiada. Tu i z francuzkim językiem czekać trzeba.

— A jak ścisną po polsku, ciekawym jest, jak będzie wyłaził po francuzku?

— Bykowski!! krzyknął ktoś z prawej strony.

— Waligóra!! odezwał się drugi z lewej.

Wybuch radości ze znalezienia się tak był potężny, tak prawdziwie szlachecki, żem spójrzawszy na te kolosy zadrżał o całość tułowu mego. Jakoż przypłaciłem kawałkiem peleryny od szopów. Dwie żyjące potęgi jak huragany afrykańskie poszły naprzeciw siebie zmiatając po drodze wszystko co napotkały. Oczy ich błyskały ogniem radości, usta drgały, nozdrza otwarły się i robiły bokami jak u tatarskiego konia.... Bogi! oto się już spotkały!... porywa prawica prawicę — chruszczą żylaste pięście — trzęsą się ramiona — głośny śmiech, a jeszcze wyraźniej, jak mówią Ukraińcy, *rehot* połączony ze śliną z ust bryzgającą zamienia im natłok uczuć i tłumaczy nadzwyczajność położenia; nakoniec rozlega się głośne cztérokrotne uderzenie w ćwiek młotka.

To były całusy — pioruny, fenomena, któremi rozwiązała się burza. Grzmoty rozmowy potoczyły się w ślad za niémi.

Patrzałem z szczególnem zajęciem na tę scenę. Jakato siła i świeżość natury! Jaka potęga uczuć! Ptak

dziki, co się ciska w okno lub uderza w sufit, tłumaczy nam poniekąd wyobrażenia tych ludzi.

Dwaj bracia z jakiej Europejskiej stolicy, gdyby się spotkali z sobą niespodzianie na szczycie Himalai, nie wybuchliby tak gwałtowną radością.

Wprost przedemną stał jakiś obywatel w szopach oparty o kolumnę, a przed nim z miną służalczą, w długim bajowym surducie, z wyciągniętą szyją, zgarbiony w krzyżach, młody jeszcze i czerstwy szlachcic, typ naszych officyalistów. Widocznie prosił się *na miejsce*.

— Mam w moich dobrach istotnie wakujące miejsce, mówił obywatel.

— Jakieżto miejsce? zapytał szlachcic nie śmiało.

— Widzisz asan, ja lubię, żeby u mnie nikt nie jadł darmo chleba. Leżniów cierpieć nie mogę. Mnie trzeba człowieka sposobnego, czynnego, trzeźwego; kraść broń Boże! Chcę, żeby się on zajął gospodarką, dozorem lasu, gorzelni, propinacyi, utrzymywał porządnie rejestraturę i miał cały dóm pod zarządem.

— A jakie położenie JW. Panie?

— Pensyi 200 złotych.

— A można trzymać remanent?

— Broń Boże! ztąd tylko kradzieże owsa, pośladów.

— A czemże ja JW. Panie jeździć będę?

— Jeździć! a zaraz jeździć! jak będzie potrzeba, więc folwarcznymi końmi. Ale, ale, może masz asan żonę?

— Mam JW. Panie.

— Może i dzieci?

— Troje, JW. Panie.

A, to i z usług kwita! Daremna fatyga! niech asana Bóg prowadzi gdzie indziej. Nie przyjmuję fami-

lijnych officyalistów. Ordynaryi nie daję, pomieszkania niemam, — to kłopot tylko.

Obywatel odwrócił się, szlachcic poskrobał głowę, zamyślał się i postrzegłszy nie opodal brata swego po służbie, bakembardzistę, wąsala, dobrej tuszy, tęgiej miny, w kożuszku i wołyńskiej burce, — zbliżył się do niego.

— A szczo panie Radłowski, najszow misce?

— Ot panie! westchnął szlachcic. To już trzecia taka dzisiaj odprawa!

— Oto pan, to ałe, nema szczo kazaty! A szczo, jakby takich paniw ta bilsze? tobto zabohatiła nasza szlachta!

— Aj prawda!

— I dohlań jomu wsioho i nie kradnij, a masz za to 200 złotych. Rad ja znat', de win najde takoho czołowika. Jakże ne krasty, koły néma czoho jésty! Ałe ty bratiku ne umiw z nym howoryty.

— A cóż ja miał gadać?

— Treba buło jomu skazaty: Nechaj mnie JW. Pan daść stilki, jak braw rządca w Pszenyczyniciach, koły wy pro nioho czuwały, to wże i ja takyj budu czesnyj.

— A ktożto był taki? zapytał gapiowato szlachcic.

— Win sam, mij hołubczyku! rzekł wąsal, nachylając się do ucha Radłowskiemu. — Staw na sziśćsot złotych a wywiz stotysiacz. Ne kraw poślidu, hrich kazaty, za te hołu pszenyciu, to ałe!

Wtém nowa massa ludu pchnęła mię w głąb sali, a na środku poczułem się nieco wolniejszym od ścisku. W około mię stały gruppy żydów, obywateli, szlachty; przeciągały postacie coraz nowe w płaszczach, burkach, szopach, niedźwiedniach, wilczurach, paltotach,

w czapkach nadewszystko rozmaitych form i kolorów. Rzecz to szczególna i tu ją zanotować muszę, iż nigdzie nie widziałem sklepów tak obfitujących w rozmaitość czapek, jak to ma miejsce w Kijowie na kontraktach. Ledwie nie każdy magazyn ma je tuzinami, a już to pewna iż każdy kontraktowicz nabyć choć jedną musi. Ztąd po dniach kilku, postrzegasz sceny głów ozdobione tém nowém kupnem. Co głowa to rozum: przysłowie to o wiele niewytrzymałoby sumiennego rozbioru, ale co głowa to czapka, jak ulał da się zastosować do naszych kontraktowiczów. Kto wie z resztą, czyby ta pstrokacizna pokryw najszlachetniejszej części istoty ludzkiej nie wytłumaczyła nam poniekąd pstrokacizny w tém, co się pod nią kryje? Mimowolnie pióro chce się ześliznąć na dowody, ale zostawmy to na potém.

Obok mnie, złapał żyd za połę jakiegoś chudeusza wchodzącego z miną zajętą na kontraktową salę ubocznémi drzwiami.

— Panie! panie! mówił doń prędko; a co, czy pan był u pana Marszałka?

— Nie mógłem odszukać kwatery.

— Proszę-no pana, odprowadzając na stronę i stanąwszy tuż przy mnie, tylko obrócony plecami. — Niech pan staje na dyrektora. To a gitte miejsce.

Miałem sposobność przypatrzyć się tym indywiduom. Żyd był dobrej tuszy, rudych włosów, a jegomość z którym mówił, młody brunet, suchej i wyrazistej twarzy z długimi włosami, małymi wąsami i gęstą hiszpanką.

— Ale uważasz panie Froim, rzekł z roztargnieniem, ciągle spoglądając na przechodzących; niemam rekomendacyi, chciałem mieć list od Deputata.

— Jaki aspan śmieszny! rzekł żyd protektorskim tonem. Widczego panu rekomendacya? Na co panu tego? Jak powi pan, że pana rekomendował Froim, to nie trzeba więcej rekomendacyi. Pan myśli że jak Deputat, to wielkie fanaberya? jak on powi, tak będzie? Nu, jak Froim powi, to tak będzie! Chwalić Pana Boga, ja nie takie mam enteresa! U mnie tu (pokazując na bokową kieszeń łapserdaka) może ze dwadziesięć papierzech na sprzedawanie i kupowanie ewsiów. Niech pan spyta kogo chce: czy znają Froima? Mnie wszystkich panowie znają. Ja już przedal Czepkiwce i Rozaliwkę, nu, po siedemdziesięć dukatów duszę, to może źle? A u pana Sędziego kupuję Szczurzyńce, nu, to mnie mowił: przyjedź do mnie Froimku na herbatę, to skończymy. To dla pana Atanazego, co pan jego zna, to win ożenił się.

— Ożenił się?...

— A kto jemu to zrobił? To ja, Froimko: niech win mnie dziękuje. Ja jak przyjechal do niego, to on mnie sadzi koło siebie, a ściska, a herbaty dla Froimka, a romu dla Froimka. Czy winby wziął pannę Kuperkównę jakby nie Froim? Ja jego postawił teraz na nogi.

— Jakimże sposobem?

— Nu, jakim sposobem? rzekł żyd z dumą; już to ja wiem jak zrobić! czy to ja jednego obywatela postawił na nogi? Pan jeduerał Koreniowski, jak przyjadę, to zaraz: A, jak się masz Froimku! oh, bardzo dużo roboty!

— Ale powiedz, jak się ożenił Atanazy?

— Nu, to ja jego ożenił, onby się nie ożenił, win nie znał Kuperkiewicza a co wziol po ojcu to stracił. To ja jemu powiedział: a chce pan, to ja panu dam

żónek z posagiem? Ot my i pojechali niby za kupieniem żyta do gorzelni, a ja potym i pogadal z Kuperkiewiczem. Co to, czy win mnie nie zna? ajaj! ja jego znam jeszcze, jak win był ekonomem u Branickiego! U niego, jak Froim powiedzial że czarno, to czarno, a bialo to bialo.

Młodzieniec patrzał na Izraelitę z jakąś pogardliwą ironją przez czas opowiadania, — potém oddalił się nie rzekłszy ani słowa.

Wtém postrzegłem Froima, jak wgramoliwszy się na pudło od bótów z gębą pełną gwoździ i pękiem papierków w ręce, zabierał się widocznie do przybijania ogłoszeń na kolumnach; jakoż wkrótce dały się widzieć uczepione dwie ćwiartki rudego papieru. Ciekawi i gapiący się otoczyli żyda.

— A co tam nowego? zapytał jeden.

— Niech pan czyta, odpowiedział Froim z dumą.

Szlachcic zaczął syllabizować: »Przedaje się wieś Łapcie...

Froim stanął ze spuszczoną głową, wytężonym słuchem i słuchał jak pies, gdy mu łechcą podgarle.

— Tak, Łapcie, git!

— »Dusz 70, wioska oddzielna, sąsiadów niema, morgów w łanach po sto dwadzieścia.«

— Git! dalej....

— »Młyn na dwa kamienie — właścicielka jedna i z nią jedną robota — gacie całe — upusty nowe.«

— Git, git! powtarzał Froim, — to ja tak powiedzial napisać, niech pan czyta dalej.

— »Karczem trzy na handlowym trakcie. Aręda chodzi za 2.000 złotych.«

Żyd pogładził brodę: — Niech pan kończy.

» A jak kto chce pogadanie zrobić, to niech gada z Froimem. «

— Froim zajaśniał. — To ze mną, to ja Froim! Aj waj, co to za wieś! niech państwo kupują, ona zechce niedrogo.

— A założona?

— Nie, ale można założyć. Zechce niedrogo: ona bardzo dobra kobieta. Niechże panowie będą łaskawi czytać drugie wiadomości. To już inny enteres; to a gitte possesya. Dusz 200 na Ukrainie. A jaki pytel! to także jedna pani puszcza i z nią jedną robota.

Jakiś jegomość z porządną łysiną i w okularach zabrał się do czytania drugiego obwieszczenia, ale i po mozolnych usiłowaniach ani słowa przeczytać nie mógł. Okazało się, iż papier zawieszony był do góry nogami.

Otaczający faktora parsknęli śmiechem. Froim wlazł powtórnie na pudło i zmieszany nieco, odrywając papier, powtarzał: — Nu, to omyłka; a possesya gitte.

Kiedy się rozprzęgła gruppa ciekawych, łysy jegomość pozostał sam jeden i zaczął cichą rozmowę z Froimem. Rzecz szła o possesyę Widoczném było, iż propozycye kontrahenta zadziwiły z początku Froima. Pozierał on nań przenikliwie, ale possesor wytrawny w podobnych interessach nie mieszał się bynajmniej i przebijał ciągle rękę jakby dobijając targu. — Panie Froim, rzekł nakoniec głośniej, ja już żyję w świecie nie od wczoraj; nie z jednego pieca chleb jadłem i nie pod jednym żyłem dachem. Włóczę się po possesyach bo jestem dorobkowy szlachcic. Możesz mi dopomódz — dobrze; a nie — nie! mądrej głowie dość dwie słowie.

Froim potrząsł rękę. — Tak, tak; nu, a co mnie będzie za fatygę?

— A wiele bierzesz zwykle?

— Pół procentu.

— Dam półtora, tylko żeby było dobrze.

— Nu, nu, git! niechże pan będzie jutro u tej pani i targuje się. Jest dużo possesorów, ale oni wielkie fanaberye: Froima znać niechcą, to ja im tak zrobię że woni pójdą z kwitkiem. A potém niech pan niepokazuje się przez całe kontrakty. Ja rozpowiem na sali że possesija wzięta — wszyscy odstąpią — jej trzeba pieniędzy — pan wtenczas przyjdziesz i weźmiesz.

Otoż jedna próbka z tysiąca przebiegłości faktorów! rzekłem sobie w duchu. Proszęż nie wpaść w ich sidła? Ktokolwiek straci, on zarobi zawsze. Te wszystkie obróty handlowe, jakie tu mają miejsce, te sprzedaże dóbr i produktów, przyprowadzają się do skutku koniecznie przez pośrednictwo żydów.

Jestże bo kraj więcej błogosławiony dla ich żniwa nad naszą ziemię! Czém dla artysty Włochy, dla lubownika starożytności Grecya, dla modnisia Paryż, — tem dla żyda zachodnie prowincye nasze! Jak mu tu dobrze! jak mu tu dogodnie! on tu i wszechwładny i nikczemny jak Rodin. On tu natrafił na trzy żywioły, których znaleść już nie mógł gdzieindziej: na gnuśnych panów, na głupich chłopów i na kraj żyzny. Jeżeli Jezuici trzęśli przez intrygi polityczuémi sprawami świata, to ci w obrotach handlowych — nami. Trzeba przyznać, iż (biorąc rzeczy w ogóle) był w nas zawsze widoczny brak spekulacyjnego ducha. Wdrożoną od wieków koleją siedzieliśmy tylko po wioskach i pilnowali roli; wszelki inny handel był dla nas upokarzającym... Rzecz szczególna! bo jakaż różnica zachodzić może np. między

korcem a łokciem? Ale ta wyłączna dążność ma po części swoje tłumaczenie. Nasz kraj jest wyłącznie krajem rolniczym, więc ten pierwiastek przeważać musiał. Miał on tylko niedogodność z tej strony, iż przyzwyczajając do zagrodowego życia, zbyt wcześnie odzwyczajał od świata. Jeszcze nie dawno Ukraina i Podole stękały pod olbrzymiemi stertami zboża, a odpływ tej ogromnej arteryi zaniedbany był na zewnątrz. Obywatele, że tak wyrażę się, chodzili na około stert bez bótów. Tyle dóbr ogromnych przeciągały swe ramiona do Niemna, Dniepru, Dniestru i brzegów Czarnego morza, a żaden magnat nie pomyślał o założeniu kantor handlowych w Tryeście, Marsylji, Londynie. Tylu obywateli przebiegali corocznie Europę, znali Paryż dokładniej jak swe dobra, a żaden nie wpadł na myśl pchnąć do tamtych krain produkta bogatej swej ziemi. Jedyny u nas handel Odesski nie rozwinięty dotąd na korzystną stopę i właściwie mówiąc, pałamarują w nim kupcy zagraniczni a obywatele na ich zostają łasce. I rzecz trudna do wiary: te tysiące stert, te miliony kapitału, przechodziły zawsze przez ręce żydów! W środku wsiów, po wszech gościńcach prowincyi naszych, jak zarażające wrzody powznosiły się karczmy a w nich rozsadowili się żydzi. Przebiegłością, wyrachowaniem, ciągłą gotowością do wyręczania i spełniania wszelkich kommisów, oni do tego stopnia potrafili owładnąć przekonaniem obywateli, że jak widzieliśmy, jak znamy, a co rzecz i boleśna i śmieszna, Josie i Jankiele, Herszki i Moszki, sprzedawali i puszczali dobra w possesye, pożyczali pieniądze, zbywali produkta, co mówię: prowadzili interessa, żenili młodych paniczy, szukali nauczycieli i t. d. O! jakże się to wkrótce przywykało do poczciwego Awrumka!

Cóżbo to za wygoda! Ja sobie siedzę w domu nie wyłażąc z szlafroka a on mi znalazł kupca na wódkę, wyszukał ekonoma i złatwił tak niedrogo interess. Nawet dla mojej córki kupił nóty a dla Józia jeografję. Ani ja gadam z kim bądźkolwiek! a jak zdarzy się interess, zaraz posyłam po Awrumka. Dzięki też Bogu nie szukam nigdy kupca; nie gryzę sobie głowy że zgnije zboże w stercie i gorzelnia u mnie zawsze zabezpieczona. To poddanie się pod przekonanie żyda, odkrywało często jeszcze śmieszniejsze strony. — Co wasan pleciesz z gazet! to wszystko kłamstwo! czekam na noc Awrumka z Berdyczowa: on-to nawiezie nam nowin. Takie stosunki na pozór nie ważne, wywierają jednak ważne skutki. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą; próżnowanie i spuszczanie się we wszystkiém na Awrumków, oddala od czynnego świata, od przedsięwzięć własnych, a na tym wegetacyjnym gruncie nieznacznie korzenią się przesądy i uprzedzenia, które opóźniając postęp wypleniają się trudnie. Z drugiej strony, tenże Awrumek wielowładnie rządzi gminem, jedną blaszaną czarką. Cały handel i bogactwo kmiotków w jego ręku. Rozpoiwszy massy, on sam jeden stoi w śród nich — trzeźwy, przebiegły, chytry.

Trzeba jednakże dodać, ażeby ten szkic był zupełnym, iż dziś zmieniają się okoliczności. Duch czasu wionął i na nas. Obywatele ulepszają gospodarstwo wiejskie i zakładają handlowe bióra. Gałęzie przemysłu posunęły się aż za granicę kraju. Jeden czy dwóch założyli fabryki cukru burakowego. Patrzano na nie z niedowierzaniem. Kilku lat trzeba było nim większość odbyła proste arytmetyczne odciąganie rozchodów od przychodu i oto pola zaczęły się okrywać plantacyami buraków a po wioskach wyzierać wzniosłe ko-

miny fabryk. Dziś zmniejsza się zysk a szał się wzmaga. Przykłady nas rażą, nad kombinacyami nie suszymy głowy.

Z tych myśli obudził mię nagle uścisk potężny i pocałunek tak szorstko-serdeczny, żem aż cofnąć się musiał.

— A witajże nam panie Antoni! rzekł ktoś grubo— i postrzegłem dobrej tuszy mężczyznę w wilkach i dużej barankowej czapce z bakiembardami i wąsami. Twarz mi była nieznaną: stałem w osłupieniu usiłując go sobie przypomnieć. Mój serdeczny impromptu wpatrzył się w twarz moją.

— Wszak mam honor mówić z panem Antonim?

— Mylisz się Pan....

— Darujże mi Panie! jak mamę kocham, myślałem że to pan Antoni! Ale to jak dwie krople wody!

I przepraszając, cofał się, kłaniał ciągle, aż znikł w tłumie. Otarłem chustką ten drogi dar czułości, który mię bolał cały wieczór i pomyślałem w duchu: o ludzie! i wyżto posądzacie wiek 19-ty o obojętność uczuć!

Zbliżając się do sklepu myśliwskich narzędzi, cybuchów, fajek, siodeł i t. p. postrzegłem grupę młodzieży kupujących te drobiazgi i rozmawiających wesoło. Każdy z nich już się zaopatrzył czémkolwiek. Całe to towarzystwo wtłoczyło się nakoniec do xięgarni. Poszedłem za niém.

Jak tam byli gwarni, tak tu zmilkli. Zastąpili pulpit i zaczęli przepatrywać xiążki. Źle ukryta nieśmiałość wykrywała poniekąd nowość ich położenia, do którego przyznać się niktby niechciał a w którém brawować się nieodważył. Ta niema potęga jeniuszów tłoczyła im czoła całą tajemniczą swą siłą. W tej

milczącej scenie był wyraz trudny do opisania. Pomyślałem wtedy: choćby dla uniknienia podobnego spotkania, warto się uczyć więcej.

— » Listopad « rzekł nakoniec jeden, oglądając xiążkę. Czy to co dobrego?

— Jeden z najcelniejszych przejawów literatury naszej, odpowiedział xięgarz katalogowym stylem.

— Proszę pana przez kogo to?

— Przez Hrabię Rzewuskiego.

— Aha ... tak ... prawda, zapomniałem. Tego samego podobno, który napisał *Mieszaniny*?

— Bejłę? przerwał drugi, — Ooo!

— Nie warto mon cher tracić pieniądze na podobne głupstwa, rzekł trzeci, który coś zapewne słyszał kiedyś o Mieszaninach. — Jego wszyscy *skrytykowali.*

— No, a na cóż on wystawia takie xiążki na sprzedaż, które skrytykowane? chyba nas chce okpiewać? rzekł jeden do drugiego pół-głosem.

— A czy niema pan co nowego, świeżego, ciekawego? zapytał jeden.

— Z najnowszych zagranicznych oto są: *Zwierzenia się* Lamartin'a i *o Własności* Thiers'a.

— O własności? rzekł poziewając jeden. To coś musi być straszliwie nudne?

— Oto *Grosz Wdowi*, pisemko zbiorowe przez Alex. Grozę, oto *Wędrówki oryginała* przez Korzeniowskiego, oto *Gwiazdy* N. 3, oto ....

— *Nowy Sowizdrzał*! krzyknął jeden. To coś musi być zabawnego?

A pokaż!

A pokaż!

A co za to?

Niedrogo — pięć złotych.

Kupiono *Sowizdrzała* pięć exemplarzy.

Nagle zaśmiał się w głos jeden z przytomnych. — Patrzcie! czytajcie! rzekł wskazując xiążkę: »*Rozkosz miłości i szczęście stanu małżeńskiego. Poradnik*, cha cha cha cha, *dla kochanków i małżonków*, cha cha cha cha, *tudzież nauka o chorobach*, cha cha cha, nie wytrzymam — a to nic nie może być doskonalszego!

Na te słowa xiążka poleciała z rąk do rąk — śmiech wszczął się powszechny.

— O, koniecznie kupię! rzekł jeden.

— Ja biorę trzy exemplarze! krzyczał drugi. Jeden poszlę bezimiennie przez pocztę pani Antoniowej, a drugi w dniu imienin na wiązanie przywiozę Józiowi. Oto będzie śmiechu! brawo! Proszę mi dać trzy exemplarze.

— Mnie dwa.

— I mnie dwa.

— Mnie jeden.

Xięgarz patrząc na tę powszechną wesołość, równie nie mógł powstrzymać się od śmiechu; zapakował żądaną ilość exemplarzy i młodzież uszczęśliwiona z nabycia tak szczególnego dzieła, z hucznym śmiechem opuściła xięgarnię.

Nadszedł wnet mężczyzna dobrej tuszy, tłustych policzków, w szaraczkowej lisiurce z potrzebami.

— Mam do pana prożbeczkę, rzekł cicho do xięgarza, mizdrząc się szczególniejszym sposobem. — Tylko uprzedzam, żem chudopachołek, niech pan niedroży się.

— U mnie ceny katalogowe, a bagatelę jakąś ustąpić można.

— Tak panie, rzekł szlachcic, ściskając oboma rękami rękę xięgarza. Grosz teraz trudny, posucha, dla pierwszej znajomości . . . coś może da Bóg więcej dokupi się potém.

— Niechże wiem, czego pan potrzebujesz?

— Więc mam już łaskawą obietnicę?...

— Ustąpi się, co będzie można.

— Ale tak... panie dobrodzieju, rzekł znowu szlachcic ściskając xięgarza za rękę i z miną śmiesznie układną przechylając głowę — dziękuję panu! Pan tak łaskaw... może da Bóg odwdzięczę mu kiedyś!.. Góra, powiadają z górą nie zejdzie się, a człowiek... z resztą... mam dziateczki... może da Bóg wychowają się .. kto wie, co ich czeka! pan Śliwkowski, dodał nachylając się do ucha, chodził ze mną z przeproszeniem bez bótów, a teraz jeździ karetą. U Pana Boga wszystko gotowe... wszak prawda panie dobrodzieju?

Xięgarz, który pierwszy raz w życiu widział przed sobą to indywiduum, zrobił duże oczy i nie mógł pojąć, co to znaczy.

— Niechże wiem żądanie pana...

Szlachcic znowu umizgnął się, wywrócił oczy i przechylił głowę. — Jaki pan dobry! niech mu Bóg stokrotnie wynagrodzi! rzekł ściskając rękę xięgarza. Znałem to ja jeszcze w szkołach w Lubarze ś. p. xiędza Kapuściewicza... dobry to był xiężyna (niech tam Bóg świeci jego duszy i przyjmie ją do chwały swojej, czego zapewne i dostąpiła przez swe cnoty); pan bardzo podobny do niego... bywało mi zawsze daruje obrazek na Wielkanoc. (zamyślając się) Hej hej! dobre to były czasy! Bywało kupią rodzice grammatykę, alwar jeszcze ojcowski, a tam w szkołach od kollegów dostanie się za domowe łakocie xiążek parę — i obchodzi się człek wybornie — a dziś... (przewracając głowę i spuszczając oczy) jak to pan wiesz zapewne: dziatki w domu — kłopot w domu. I pociecha z niemi i ambaras! A broń Boże powrócić z miasta bez gościń-

ca! oto kupiłem już dla nich pierniczków a jeszcze chciałbym jaką xiążeczkę.

Xięgarz uśmiechnął się. — Więc pan potrzebujesz xiążeczek dla dzieci?

— Tak panie, odrzekł szlachcic kłaniając się i ściskając xięgarza za rękę.

Xięgarz rozłożył przed nim kilkanaście xiążeczek francuzkich i polskich w pięknych oprawach. Szlachcic wziął jednę, przewracał kartka po kartce, wpatrywał się w ryciny. — Ładna xiążeczka, niema co mówić... proszę pana dobrodzieja, w jakiej cenie, jeśli łaska powiedzieć?

— Ostatnia cena trzy ruble srebrem.

— Matko najświętsza! krzyknął szlachcic — pan sobie żartuje na zdrowie! Daj nam Boże śmiać się a nie płakać. I wziął xięgarza za rękę, zrobił szczególną jemu właściwą minę i dodał mizdrząc się: ja chudopachołek... z tuzów bierzcie co chcecie... Czy nie możnaby panie za dwa złote, jak pan łaskaw?

— Panu trzeba na dwa złote xiążki? Wątpię, czy to da się zaskutecznić....oto najtańszy abecadlnik warszawski, ale i ten kosztuje cztery złote.

Niech już dla mnie będzie taniej...jak pan łaskaw... no, 40 groszy i rzecz skończona! Pan sam wiesz, jakie teraz czasy!

— Przepraszam pana, nasza gadanina daremna. Pan mi zabierasz dużo czasu, a to kontrakty... Są inni kupujący — muszę być na ich zawołanie.

— No, to jak za tamtę — dwa złote?

Xięgarz ruszył ramionami; szlachcic odchodził do drzwi pomaleńku, namyślając się. Nagle wrócił i chwytając za rękę xięgarza, jakby dobijał targu o konia na jarmarku: — No, *chit' prohraw chit' wyhraw!*

Gdzie więcej tam i mniej! narzucam jeszcze 40 groszy... za półrubelka! Sam pan dobr. widzisz: to prosty elementarz! żeby to jaka filozofija albo matematyka, coś zamorskiego... no, to jeszcze połatawszy — gdzie to drukowane?

— W Warszawie.

— Widzisz Pan! w Warszawie! wielkie święto! tam tego musi być jak śmiecia! A może on i nie widział Warszawy? może tylko leżał koło warszawskiej xiążki? To jak konie w Berdyczowie... same arabskie! a im tak daleko do arabskich jak i moim bronowłokom! Czy to my nieznamy tych rzeczy! ale pan Bóg z panem! a stracę — stracę!

To dowodzenie rozśmieszyło xięgarza. Zawinął mu elementarz i rzekł: dziwi mię zkąd pan posiadasz tajemnice naszego handlu?

— Jaki pan łaskaw!.. i ścisnął rękę. — Tak... (trzepiąc głową) żyło się trocha na świecie... Zdarzało się, jak to mówią, być i na wozie i pod wozem. To mówiąc dobył kieskę, z westchnieniem odliczył półrubla i dawał xięgarzowi mówiąc pod nosem: — Ocho cho cho! na każdym kroku rozchody, expensa, a przychodu z niskąd! Dasz pan wiarę: rozeszło się już dwieście złotych, a com kupił? Nic prawie! I pieniędzy niema i nic niema!

Wtém młody, przystojny mężczyzna wszedł do xięgarni. Xięgarz przywitał go jak znajomego.

— Maszże pan dużo nowości? Chciałem zajść tu jeszcze wczoraj, ale ani chwili wolnej!.. parole d'honneur, przyjdzie upaść na siłach! kilka nocy już spać się nie kładnę. Dziś wstałem o czwartej od djabelka. Wybierz mi pan co ciekawego i nowego na 50 r. srebrem... rozumie się z romansów francuzkich... tylko

co najświeższego, co en vogue. Mam z tego zrobić prezent cudownej dziewczynie!.. A może co jest ciekawego i w polskim języku?

— Wyszły dzieła niezaprzeczonej wartości, np. Korzeniowskiego *Powieści i opowiadania*, Wilkońskiego *Ramoty*, bardzo miłe.

— Vraiment? Mais prenez garde, żeby mnie nie skompromitować. A jeszcze co?

— Oto *Wędrówki oryginała* tegoż pióra co i *powieści*, oto *Bigosu hultajskiego* tom trzeci...

— Fi!

— Oto *Album Warszawskie*, oto w *Alpach i za Alpami*, *Listopad*, *Sfinx*, *Noworocznik*, *Rocznik*... *Ideały i Karykatury*...

Młody panicz przymrużył oczy i z niedowierzaniem patrzał na xięgarza. — C'est trop, c'est trop! Cośkolwiek z tego ale nie wszystko: będzie to miało złą minę. Ajoutez aussi quelques livres des étrennes avec vignettes, charges et carricatures; oto należność: za xiążkami przyszlę jutro — adieu!

Jeszcze ten nieodszedł, gdy wpadł jak kula jakiś młodzieniec w paltocie, z nosem zadartym, miną pustą, poświstując szpicrutą.

— Czy niema pan *Wykładu sztuk Bosko*?

— Niemam panie.

— Co za fatalizm! nigdzie znaleść nie mogę!

I już go nie było.

— Załóżmy się!

— Załóżmy się!

— A o co?

— O co chcesz.

— No, o kalendarz berdyczowski! Kto przegra, ten dla drugiego kupi.

Z témi słowy weszli dwaj dobrze rumiani jegomoście w wołyńskich burkach i przed pulpitem xięgarskim uderzyli dłoń w dłoń, ale ponieważ dla odbycia w całej formie zakładu, należało przebić komuś ze strony ręce, a xięgarz był zajęty, więc biorąc mię zapewne także za xięgarza, gdyż stałem za pulpitem, zwrócili się do mnie. Oto niech pan nam przebije ręce i rozsądzi. Ja utrzymuję rzekł jeden, iż to panowie xięgarze popisali wszystkie te xiążki, co tu stoją na półkach, a on mówi że nie; że panowie tylko ponajmowali takich ludzi i podrukowali co oni napisali. Ale jakże to być może? To oniby sami podrukowali bez panów, bo jakto mówią: *stałob na szkurku, ne stało na wyczynku*. A znowu dla panów cóżby za zysk był: nie robiąc xiążek, przedawać je? To jakby ktoś handlował bótami nie będąc szewcem.

— Więc poddajecie się pod mój sąd panowie? zapytałem ledwie powstrzymując się od śmiechu.

— A już tak! słowo się rzekło, rzekł drugi.

— Czy macie synów?

— A jakże! krzyknęli obydwa. — Jego Makarcio w 5 klassie a mój Ignaś już w Uniwersytecie.

— Otoż rozstrzygnienie tej kwestyi przelewam na nich, a teraz powinniście kupić wzajemnie dla siebie po kalendarzu. Oto są 2 exemplarze.

— Cha cha cha cha! zaśmieli się w głos obydwa. — Oto panie uciął sztukę! Jaja będą kur sądzić — słyszane rzeczy! A sam wyszedł najlepiej, bo zbył dwa kalendarze. Wyszliśmy jak Zabłocki na mydle!

Po krótkim przeciągu czasu xięgarnia napełniła się kilkunastą osobami. Ten potrzebował filozofji, ten z medycyny, ów coś z architektury i agronomji a tamten z historyi. Obijały się o uszy nazwiska sławnych

ludzi, tytuły wymawiane były w różnych językach; odbyt tak był wielki, iż xięgarz ledwie wystarczył zaspokajać żądania. Było to pocieszającém zjawiskiem! Ale nowa bieda! dla mnie zupełnie brakło materyału. Bo cóż miałem dla was notować — o rozsądnym gospodarzu, kiedy kupował pożyteczne agronomiczne dzieła; o budowniczym, kiedy nabywał architekturę; o studencie, kiedy wybierał Platona, Arystotelesa lub Kanta; o poecie, kiedy brał Goethe'go i Dant'a; o damie, kiedy kupowała *Pierścionki mej babuni* i dzieła Tańskiej... ale stójcie! otom znów przy robocie.

Dwóch jegomościów spotykają się. Jeden w niedźwiedni, w okularach, drugi w paltocie.

— Właśnie szukam pana... Procentowicz całe dwa dni nie daje mi ani chwili pokoju. Czyscowe męki cierpię od niego! Przyrzekłem mu nakoniec, iż będzie miał wypłacony dług w połowie, bo chciał skrypt podać do wzyskania.

— A niech podaje! Ja niemam dziś pieniędzy, więc choćby on krzyczał wylazłszy na dzwonnicę Peczerską — nic nie wskóra!

— A wszakże pan przedałeś pszenicę?

— I cóż ztąd? To kupiłem kocz, zwierciadeł parę i u Schafnagla te chińskie urny — prześliczne! przecudowne! Postawię je w moim błękitnym pokoju i nikt piękniejszym nie pochlubi się meblem. Czyś widział warszawskie obicia? Pamiętasz, te w kwiaty na dnie fioletowém ze zwieszającemi się girlandami? coś jak cudowny szpaler à la dernière gout? Do sali mojej coś pyszniej iść niemoże! Musiałem to kupić, bo rozbiorą. Targuję karetę na leżącyh ressorach, coś ją widział zapewne przed magazynem Wąsowicza... wprost z Wiednia — to coś znaczy! Kupiłem już nowe meble do ba-

wialnego pokoju . . pfiuuu! pyszne! królewskie! — Co to za żyd chodzi za tobą panie Stanisławie?

— Kupiec na żyto.

— Chm . . . dobrze! jabym mu sprzedał jakie parę tysięcy korcy.

— Alboż jeszcze nie sprzedane?

— Tak, sprzedane i niesprzedane. Mój Elo coś niebardzo pewny, a przytém nie cierpię tych wypłatów przy zaborach. Mógłbym temu sprzedać, a z tamtym jakoś się skończy.

Jurysta pogładził swą szczękę tak, że bakembardy z obu stron pobrał w zęby — i milczał. Obywatel wziął go za guzik od paltota, kręcił nim i mówił:

— Nie myśl panie Stanisławie, żebym chciał krzywdy Ela. A to mi naco? żeby ten kapcan miał mię szkalować potém! Ale sam osądź: przedałem mu po rublu korzec, kiedy teraz po złotych dziewięć. Oczywista moja strata bo i pieniędzy niemam i żyta niemam. Otoż tak: co wziął to jego, a za resztę albo niech mi da po dzisiejszej cenie albo sprzedam drugiemu. Sam osądź: czyżto będzie niesprawiedliwie? za cóż mam tracić po dwa złote z górą na korcu? Moi sąsiedzi posprzedawali po 9 a ja mam po rublu? To byłoby jawne głupstwo! Tak dobre moje żyto, jak i czyjeś drugie. A kiedy dają po 9, to niedają na stratę, ale na zarobek, więc Elo zgodzić się powinien, bo tu zysk jego oczywisty.

— Jurysta milczał.

— A nie da, to nie da! jak sobie zechce! Nie napraszam się. Znajdę kupca innego. Ty kupujesz żyto? rzekł głośniej do żyda.

Żyd zbliżył się kłaniając, ale wyćwiczony w targach, nie narzucał się z kupnem, lecz zaczął od czego innego.

— Czy niema jasny pan łoju na sprzedaż?

— Co? łoju! słyszysz panie Stanisławie, on mię o łój pyta. A ja zkąd ci trutniu dostanę łoju? Co to, czy ja rżnę owce?

— Nu, bo mnie łoju trzeba! Każdy pyta, czego mu trzeba.

— A żyta nie kupujesz?

— Mnie żyta nie trzeba, już nakupil. Nu, ale ja móg i jeszcze kupić, a wiele pan ma?

— Dwa tysiące korcy.

— Dwa tysiące, powtórzył żyd; założył za pas ręce i milczał.

— Żyto doskonałe, waży 5 pudów 15 fun. bez worka.

— Nu, a coby pan zechcial wid korca?

— Żeby nie targować się?

— Nu, a na co targować się? co to pomoże? teraz kontrakty, trzeba kończować prędko. Cena wiadoma; czy to Pan, niech będzie zdrów, nie zna jak przedają?

— Przedają po 9 złotych.

— Po dziewięć? Szczob moi worohy tak szczęście mieli, jak kto przedal po 9!

— Jakto? Żytnicki sprzedał po 9; Pszeniczkiewicz także po 9 i na miejscu. Hreczyński przy mnie wczoraj skończył o 5,000 korcy i gotówka z góry.

— Nu, dobrze sprzedali. Nechaj ti wydychajut' szczo kupyły. To jak oni durnie, to już i mnie trzeba być durniem? żydek kupuje na zarobotek a nie na stratę.

— A ty co dałbyś?

— Niech ja posłyszę od jasnego pana, panskie cenę?

— Powiedziałem ci — nudzisz-bo mnie. . . .

Żyd wpadł w zapał. — Żeby ja był taki kapcan jak Boruch albo Szloma, rzekł śpiewnie z żydowska, —

to i jaby kupował po 9. Za te wony bez soroczki chodiat'. Ale ja chce będziować tantnym u jasnego Pana, to ja płacę po cenie. Pan wierzy, że Żytnicki sprzedał po 9? to win daje dostawę do gorzelni. Nu, a Pszeniczkiewicz, to ja znał jego kontrakt, to pieniądze aż na Onufreja a miara u niego na 40 garcy.... aj wej! to i ja tak zapłacę jasnemu panu po 9! Nu, a pan Hreczyński, to kupił u niego Chaim, to win ma osóbnego kontrakt na pejsaczne pszenicę korcy 500, nu, to co innego! A ja panu pokażę kontrakty, co ja kupował po 7 złotych trzy tysiąców i pięćset korcy.

Obywatel widocznie skłaniał się do wyperswadowania sobie uporu własnego. Żydek składał dowody tak przekonywające!

— A jasny pan chce gotówki wszystkie?

— Nieodmiennie!

— Nu, to bardzo trudno! teraz procenta wielkie.

— A mnie co do tego!

— Nu, a mnie jest co do tego, bo to wszystko strata. Ale żeby mieć z jasnym panem enteres, żeby jasny pan poznał, że ja tańniejszy jak te kapcany, to dam po 7 i po groszów 10.

— Idź do stu djabłów! rzekł obywatel. A to trzeba zwarjować, żeby tak sprzedać.

— Nu, a coż? wszystkie pieniądze z góry, to to nic nieznaczy? mówił żydek idąc za oddalającym się panem. — Niechże ja posłyszę od jasnego pana ostatnie cenę?

— Osiem i pół.

— Nie mogę jasny panie! pod chejrym, że nie mogę.

Obywatel opuścił xięgarnię — żyd założył za pas obie ręce i zaczął namyślać się zbierając sobie jakieś liczby pod nosem. Wkrótce nadszedł żyd drugi, a z kła-

dów ich pojąłem, iż ten drugi miał być dziś u obywatela i dawać mu po 7, a nazajutrz pierwszy przyjść i dobić targu. Okazało się przytém, iż interessa jasnego pana były im tak dobrze znane, jak może nie były znane samemu ich właścicielowi.

Wtém zbliżył się młody panicz z czarnymi wąsikami, miną zafrasowaną i przepatrzywszy tytuły niektórych pod ręką xiążek zapytał z westchnieniem: — Na Boga! czy nie masz pan jakiej doskonałej myśliwskiej xiążki?

— Mam *Poradnik dla myśliwych*.

— I ja tę mam, ale przepisane w niej lekarstwa nic nie pomagają. Ot bieda! przyjdzie się stracić najlepsze w świecie charty! I westchnął głęboko.

— Cóżto, zdychają?

— Ach, zdychają panie! Za lotkę, jak honor kocham, dawano mi przed miesiącem 20 dukatów — i zdechła! Dolot chory.... ach, co to za pies! co to za pies! nie zna on, co to upuścić kota. Jeszcze jak mi zachoruje Załeb, to dalibóg zwarjuję!

— Cóżto za choroba?

— Nosacizna panie! rzekł i znowu westchnął — poczém oddalił się ze spuszczoną głową, wolnym krokiem, jakby szedł za konduktem pogrzebowym.

Natomiast przez drzwi drugie wszedł młody jeszcze mężczyzna, w szopach. Nie tyle zdawał się szukać przedmiotów do kupna, jak spotkać, kogo mu trzeba było. Jakoż wkrótce wpatrzywszy się ciekawie w jednego przechodnia, złapał go za rękę.

— Moje uszanowanie panu.

— Aaaaaa! całuję nóżki!

— Mam do pana ważny interes, a kwatery dopytać się nie mogłem. U Schafnagla adressu pańskiego także niema.

— Gdzieto nam szlachcie, hołyszom, po Schafnaglach zapisywać adressy! pan przez cały miesiąc nieznalazłbyś mojej kwatery. Ja stoję aż na Korzeniówce. W jednym pokoiku tam nas aż pięciu.

— Uważa pan, rzecz taka. Panu wiadomo, że mam fabrykę cukru: doskonała — niema co mówić. Tego mi i wróg niezaprzeczy. To panie dziś nie lada affera! Ludzie porobili majątki w rok jeden i ja niezawodnie miałbym w tym roku jakie 25 tysięcy r. sr. żeby zarodziły buraki. Na ten już rok, będzie co innego! ale tymczasem potrzebuję 8,000 r. sr. (dotąd mówił cicho i z ubolewaniem, ale od periodu wypadły mu słowa jak bąk w najsprężystszym rzucie) Zmiłuj się panie Grzegorzu, jeśli Boga kochasz, jeśli mam u ciebie choć trochę względów, zaratuj mię tą summą! wszak udzielasz się drugim? Dam ci ósmy, dam ci dziewiąty procent.

— Ehecccc! Szkoda! niema już panie! Co było, to rozdało się, rzekł szlachcic z jezuicką minką. To summa!

— Chocho! wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Zechciejno pan a znajdziesz.

— Zachciałeś pan!

— Więc jakże?

— Niemam panie! protestował się szlachcic rozszczepiając ręce. — Jak pana szacuję niemam!

— Kutwa przeklęty! mruknął obywatel do siebie.

— Stara sztuka! bąknął szlachcic wynosząc się z xięgarni.

Znudziła mię nakoniec ta ciągła i ciągle zmienna panorama ludzi z ich wadami, zaletami i oryginalnością.

Myśl, co zaraz z danych, puszcza się na morze kombinacyi i wniosków, składała z tych cząstek całość i chciała dopatrzyć w niej przeważającego charakteru. Charakter! charakter! myślałem idąc i ocierając się o tłum przesuwający się to w tę to w ową stronę. Jaki być może charakter kontraktów, jeśli nie czysto-materyalny! To nie pracownia artysty, gdzie króluje duch i jeniusz! To nie plac sławy, gdzie grzmi trąba wojenna, a czarodziejskie słowa: honor! ojczyzna! niosą cię z bagnetem na szańce! To nawet nie to ciche wiejskie życie, gdzie się przywyka do modlitwy i natury... Tu królem spekulacya, cnotą — zysk, zbrodnią — strata! Tu niemasz uczuć, tu są — procenta, nie pytają o zalety, lecz o złoto; nie jakość lecz ilość stanowi tu rzecz całą!... Patrz na tych zajętych tysiącznymi interessami ludzi — są to rybitwy złota!

Opuszczając salę, tak byłem pod wpływem różnorodnych wrażeń, iż nie umiałem się zdecydować dokądby się udać. Przypadek, co zawsze rad nastręcza się w podobnych zdarzeniach, wyręczył mię otaczając półtuzinem znajomej młodzieży. Właśnie wszyscy szumnie i wesoło udawali się na wieczór do pana Augusta: zaciągniono i mnie — pojechałem.

— Fajek! cygar! papierosów! herbaty! krzyczał wchodząc wesoły nasz gospodarz. — Jużto mówcie co chcecie, a pani Alfredowa jeszcze i teraz tęga kobietka!... jakie ramiona! pfiuuu...

— Jestem twego zdania, rzekł Ignaś zrzucając frak; — ona mi przypomina Julkę. Ej Julka, Julka! parole d'honneur, oto mi dziewczynka!

— Powiem wam nowinę, rzekł Staś zapalając cygaro; — Atanazy żeni się, ale z kim? zgadnijcie.

— Może z Agnieszką?

— A toby jak raz była dobrana para! Z dwóch małżeńskich nosów piramidę złożyćby można. Ale właśnie że nie, z Emilką.

— Z Emilką? no, maszże! Ten Karol djabła musi mieć na usługach zawsze! Ot i gratka! Karolu, musisz nam zafundować półtuzina szampana akonto przyszłych sukcessów.

— To rzecz Atanazego, rzekł Karol z ironją.

— Cha cha cha cha! huknęło towarzystwo. Oleś wybiegł na środek, uścisnął Augusta i mówił:

— Serce Guciu! jak mię kochasz, namów ty Atanazego, żeby nam jutro zafundował te półtuzina na naszą intencyę... rozumiesz mię? będzie wiele wart figiel!

— Czemuż! ale to jutro, a dziś możebyś ty dał się namówić na podobną fundacyę?

— A bestyo ty! rzekł Oleś, — a z resztą — czart cię bierz! ustępuję narzeczoną, lecz ty mię zarekomenduj na garderobiankę do swej siostrzyczki.

— Myśl szczęśliwa, rzekł blady Józio. Postawię na nią w djabełku dziesięć peców.

— Naturalnie, odbąknął Władzio; — tobie w tém tylko i został rewanż.

— Wczora fatalny postawiłem remiz! rzekł śmiejąc się Józio.

— Za gorąco wziąłeś rzeczy....

Staś zaczął nucić. — Wczoraj, rzekł, śpiewałem pani Alfredowej przy fortepianie:

Mamoż moja mamo! tak budu robyty,
Budu muża szanowaty, a chłopciw lubyty.

Ale! Piotruś zgrał się wczoraj u Apolinarego tak gładziutko, że aż śmiech było patrzeć. Przyszedł we-

sół — bawarda — ale jak *spuścił* wszystko, więc zrobił się taki potulny, dobry, rżewny, że choć do rany. Usiądź serce Piotrusiu — wnet siada; wstań duszko — wstaje; może jeść chcesz? — więc je; może pić — więc pije. Coto było śmiechu, wyobrazić sobie nie możecie. Dziś już widziałem jego kasztany przed Halperynem.

— Apropos! rzekł Jędruś, — dobijmy targu o kasztanki! niech cię djabli wezmą, że daję ci dobrze.

— Chyba dodasz jeszcze lepażówkę.

— No tak: ty mnie dasz jeszcze karosza i siodło, a ja dubeltówkę i toaletkę. Schafnagloski amplet — słowo honoru, mnie kosztuje 160 rub. srebr. Albo, czart cię bierz: dodam jeszcze krucice, a ty mi ustąpisz nejtyczankę.

— Czy ty kpisz, czy drogi pytasz? Myślisz, że tak i mnie okpisz, jak Podsędka na gniadym? — Niechcę! wolę założyć je w djabełka. No panowie, *nie traćmy czasu*. Atanazy serce: ani kart ani wina. Cóżto u djabła za djabeł! Czas nie stoi; zapłacisz mi za każdą godzinę po sto dukatów. Może teraz moja byłaby *szansa.*

Atanazy klasnął w dłonie: — kart! wina!

Lokaj i kozak rozłożyli stolik i wkrótce stanął szatański ołtarz z dwoma świecami, z zielonėm tłem i kartami — tą ewangelią 19-go wieku, około której zaczęli się gruppować wyznawcy.

Niemając nic lepszego do roboty, dobyłem gazetę i czytałem.

— A co tam nowego? przerwał jeden obojętnie, — czy już obrali Prezydenta?

— Już! już! przerwał drugi, zdaje się Kaweńjak.

— Nie, Bonaparte, odezwał się trzeci, — a czy biją się gdzie?

— Proszę ciebie, gdzie to? zapytał innego zapytany.— To się nigdy nie trzyma mojej głowy, a zwłaszcza w kontrakty, kiedy człowiek tyle ma interessów!

— W Węgrzech, rzekłem.

— W Węgrzech? a tak, przypominam sobie, rzekł Atanazy łamiąc karty.

— Coś mówią o tém... rzekł Ignaś poziewając.

— A ja nigdy niemam zwyczaju dowiadywać się, powiedział Antoś.— Jak coś się zrobi ważnego, to samo wlezie w uszy, choćbyś niechciał wiedzieć.

— No panowie! gotowo wszystko, do puli!

Na to wezwanie wszyscy powstali z miejsc, zaturkotały krzesła i stolik otoczony został.

Towarzystwo inny przybrało charakter, jak skoro brzęk kruszcu i szelest assygnat dał się słyszeć. Napełniła się pula i los ślepy obierał jednych a darzył drugich. Ciężkie dorobki ojców, pożyczki łatwowiernej szlachty, całoroczne dochody dóbr szły na kartę z trudną do opisania rezygnacyą. Twarze grających mieniły się stosownie do szczęścia lub niepowodzenia, oświetlane łuną gasnącego lub wzmagającego się jakiegoś strasznego wewnętrznego pożaru.

Przez ciąg niewięcej godziny los fatalny tak prześladował Jasia, iż przegrał co miał w pularesie; przegrał konie, zegarek i kocz. Rwał ze złości karty zębami, darł je w ręku, ciskał o ziemię, nakoniec wstał gniewny i milczący, chodził po pokoju; gra tymczasem szła swoim porządkiem i na niego nikt nie zwracał uwagi.

— Ot, podłe szczęście! rzekł usiadając przy mnie. — Przez całe kontrakty nie przyszła szansa!

— Trzeba było zaniechać zupełnie.

— Zaniechać! krzyknął porywając się z miejsca. — Ślicznie bym wyszedł! Znasz się widzę na grze, jak ślepy na kolorach! Słyszysz: zaniechać! Ty wiesz, że natrafiwszy na *szanse* można wszystko ściągnąć do kieszeni pięcią kartami. Można dziesięć razy więcej! Wczora Hilary poszedł z 25 rubli i wziął sześć tysięcy — trafił na szansę! At, nie ryzykowałem i dla tego przegrałem! w djabełku rzecz główna force d'argent.

Te matematyczne pewniki zostały dla mnie niezrozumiałe. Szczególne dowodzenie! Nie ryzykować — wierna przegrana! Zaniechać gry — jeszcze gorzej! Szansy trzeba szukać koniecznie. Ona gdzieś czeka na cię... ot tu może w tej, a może w tej talii.... Prawda, że Jaś zgrał się działając w myśl tej metody, ale gadajże z nimi! Kiedy butelki zaczęły wypróżniać się częściej a twarze rozpalać, opuściłem towarzystwo udając się do Marszałka. Wchodzę do salonu — oświecony rzęsisto — zielone stoliki na placu — i tu karty!

Gospodarz ściska mię jedną ręką, a drugą podaje kart parę — może siądziesz do preferansa?

— Nie grywam panie Marszałku.

— Jakto? rzekł zdziwiony, jakbym mu powiedział: nie jadam nigdy. — Żartujesz, to być nie może!

— Istotnie.

— Ależ daj pokój! jak można nie grać! jakże czas przepędzasz? No, daj się uprosić: nie drogi — po pół rubla.

Po najuroczystszém nakoniec oświadczeniu mojém, iż nie gram, podjął brwi, wzruszył ramionami i udał się do innych z tąż samą propozycyą.

Opuściłem rychło Marszałka. Udaję się do Sędziego. Otwieram podwoje — o nieba! Dwa obszerne pokoje zajęte są stolikami. Grają damy i mężczyzni. Ze mną razem weszli dwaj jacyś jegomoście.

— Wybornie! rzekł Sędzia. — Jeszcze przybywa partya. Kart! ej! kart i stolika!

Poty mię oblały. Zacząłem litanję tłumaczenia się. Nieznajomi słuchali mię z podniesionemi brwiami i nie zostawiali kapeluszów. Kiedy żegnałem Sędziego i oni zrobili toż samo.

— A panowie czegoż odjeżdżacie? rzekł Sędzia.

— A cóż, niema partyi. Pojedziemy do Deputata.

— A, jakażto szkoda! Ach, przez pana, rzekł obracając się do mnie, pozbawiam się tak miłych gości!

Odwiedziwszy jeszcze kilka domów, znalazłem i tam preferans lub djabełek. Uciekając z ostatniego mimowolnie chwyciłem się za kieszeń, ażeby się przekonać czy są przy mnie pieniądze, bo już zacząłem myśleć, że ów kartowy djabełek jest żywą istotą, wprowadził mię w obłęd, wodzi umyślnie po swych drogach i usiłuje rozdzielić mię'z moim pularesem. Przywiązanie doń zwiększyło się w miarę niebezpieczeństwa: przycisnąłem go do serca i zadumałem się. Grę w karty mienią być jedni rozrywką, drudzy zbytkiem, inni określają ogólném wyrażeniem choroby moralnej XIX stulecia. Tak nie jest. Rozrywka nie ma na celu ruiny własnej ani cudzej; zbytek prowadzi do rozkoszy i zaspokajania żądz ciała, a choroby cechą charakterystyczną jest właśnie, że jej unikają i obawiają się, lecz nie lgną do niej ludzie. Jest to więc passya — chęć — coś nakształt gorzałki, nakształt opium, ale zkąd tej passyi zródło? Wszyscy narzekają na karty, wszystkich rażą okropne przykłady, najgorliwszy zwolennik gier niema słowa na usprawiedliwienie gry własnej — i z tém wszystkiém ona nie przestaje między nami królować wszechwładnie. Zkądże ta jej potęga?

Konieczną wynikłością materyalnego wieku jest wyrabianie się w jego łonie wielkiej liczby umysłowych próżniaków, którzy zaniechawszy zupełnie kształcenia się na tej drodze, nie wierząc w wyższe cele, wyrobili w sobie to przekonanie, iż pieniądze są wszystkiem a wszystko reszta niczem. Tych próżniaków zwykle dwie postrzegają się klassy. Jedni bogaci, których fałszywe albo niedbałe wychowanie, a często towarzystwa, pchnęły na drogę grubej zmysłowości, którą się polubiło, do której się przywykło, z której na około nie rozbudzić nie mogło. Drudzy biedni, lecz mający pośredni sposób zakosztowania tych wszystkich rozkoszy i przypatrzenia się błogiemu stanowi bogacza. Charakter nasz wewnętrzny jest dagerrotypem zewnętrznych wrażeń, a usamowolnione ciało despotą ducha; młodość zaś z natury swej i gjętką i lgnącą pochopnie nie do czystych-li, lecz do byle rażących obrazów... Cóż, jeśli temu wiotkiemu umysłowi i temu bijącemu sercu przedstawiają się tylko obrazy zepsucia? Czyż podobna, ażeby nie zaraził się nimi? Pchnięty raz na tę kolej, przechodzi nieznacznie pod wpływ żądz i namiętności; ciernista droga sławy i pięknych celów gubi się, niknie przed jego okiem w miarę, jak się oddala od niej, a znałogowanego już przez zepsucie i zbytki, zwykle u kresu lub w środku samym drogi życia spotyka brak kruszcu, który był jedyną dźwignią wszystkich jego pomysłów, na którym oparł całą przyszłość i wszelkie rozkosze życia. Łatwo jest wyobrazić sobie, jak człowiek taki poczuwa wtedy całą swą nicość; jak zgangrenowany lenistwem, brakiem energji i zupełnym odłogiem umysłu, uczuwa, iż bardzoby mu było trudno, a może i niepodobna, rozpocząć tak nieweześnie pielgrzymkę dalszą, pracowitą koleją, a zgubiwszy wiarę

we wszystko, co cnotliwe i wzniosłe, nie widzi w tém nawet żadnego rodzaju zasługi, bo egoizm wyrobił w nim maxymy bez jutra. Spogląda on wtedy na około siebie i widzi ten (wiekuisty niestety!) charakter świata, gdzie cnota w ubóstwie, pogardzie i zapomnieniu, a bogactwo ludziom pospolitym, często plewom społeczeństwa, otwiera podwoje do zasług, wziętości, dogadza ich żądzom, uściela kwiatami ich drogi! Jakiejże to trzeba rezygnacyi, jak mocnych zasad, ażeby z tych dwóch dróg obrać skromną, ubogą, i długą a zaniechać tej świetnej? Jeśli na tę wielką próbę natrafia wysoki talent, albo pełen złotych marzeń umysł, jeszcze to marzenie, ta nadzieja ubarwia poniekąd kwieciem ciernie jego, a oddalając coraz cele, wiedzie go częstokroć niepostrzeżenie przez całą Saharę życia do — mirażu! Ale na nieszczęście, mocnych umysłów nie wiele znajdujem między nami! Więcej takich, którzy nie mają siły poczęcia, a cóż dopiero wytrwania w przedsięwzięciu... A talenta! o ileż jest takich, którzy jednym wysilonym skokiem nie stanąwszy w świątyni sławy, cofają się i za nie koniecznymi szczeblami iść niechcą. Cóż mówić nakoniec o umysłach przekonanych o swej pospolitości, dla których ani gwiazda nadziei, ani promień sławy, nie mogą być przewodnikami do przyszłości, a którzy jednakże do tyla zepsuci są bezczynném życiem, iż chwycić się pracowitej i skromnej kolei nie są w stanie. Trzeba pojąć to straszne słowo: *nie być w stanie*, ażeby jednym rzutem objąć całe ich położenie. Ten sam człowiek, co wytrwałby długie lata niewoli, wygnanie, najcięższe prace, co w tych najokropniejszych próbach znalazłby spokój i rezygnacyę, — ten sam mówię, staje się nieszczęśliwszym stokroć w obecném położeniu, bo przychodzi mu oprzeć się na

woli własnej, która mu wymówiła posłuszeństwo, której ujarzmienie obce już byłoby dlań lżejszem, bo wyzułoby go z ciężaru panowania nad sobą, z ciągłych walk z tąż buntowniczą wolą.

Do tego koniecznego kresu przychodzą wszyscy, co zmarnotrawili życie i pieniądze i, co najbardziej, stanąwszy w pół drogi bez żadnych zasad, przymierzyli swe siły do potrzeb świata i powiedzieli sobie: pieniędzy! pieniędzy! zginionym bez nich! I otoż zaczęła udręczać myśl opatrzenia bytu. Szlachetne nieszczęście, piękny upadek, daje do ręki miecz, pióro, rezygnuje na dalekie przesiedlenie, czy skromną gdzieś w zaciszu pracę, ale zawsze oświetlone zadowoleniem, pokojem i cnotą. Występny już w tych środkach nieczerpa pociechy, zdają się mu one zbyt ograniczone i ciężkie. Przemyśla więc nad sposobami wrócenia do dostatniego bytu. Wyjątki losu rażą go i z nich buduje sobie system, nie pomnąc, że to są wyjątki spotykające jednego z tysiąca. Goły Piotr ożenił się bogato; Józef wygrał na loteryi sto tysięcy; Paweł został pieczeniarzem i dobrze mu się dzieje; Adam, którego zawiodły te próby, gra w karty i żyje z nich jak magnat. Szuka więc pierwszego, drugiego, trzeciego, a na ostatni koniec bada się tajemnica fortunnych gier— i zostaje się *graczem*.

Com rzekł, stosuje się do graczy *ex professo*, których wyrabia nasz wiek tak obficie. Ale tenże materyalny charakter jego, ta cena i poszukiwanie przedewszystkiém pieniędzy, nie mogło nie odezwać się na massach wszelkiémi porami przemysłowego ich życia. Stanął on do walki z moralnością, obyczajami, a party duchem spekulacyi podniesionej do wysokiej potęgi, zmusił je do ustąpienia kroku. Nie stosuję też po-

wyższego twierdzenia wcale do gier rozrywkowych. Tam gra nie przestaje być rozrywką, nie staje się więc rzemiosłem. Ale od niejakiego czasu młodzież u nas oddała się kartom z taką namiętnością, iż zamieniła je w professyę, a obrana wprzódy sama, zaczęła w swą kolej obierać drugich i czyhać na własność cudzą. Całe stada próżniaków wyrabiają się dziś u nas na tej drodze, a epoki ich życia znaczą się ruiną niedoświadczonej młodzieży. Dziwi mię zawsze *punkt honoru*, jaki utrzymują ci ludzie przy tej najniehonorowszej professyi. Zadłużony panicz, co wydoił ostatni grosz od biednego szlachcica, nie ma sobie za wstyd niedotrzymać mu formalnego skryptu, a dług kartowy, choćby przyszło zapisać djabłu duszę, najsumienniej wypłacić musi! Widziałem graczy, jak z najzimniejszą krwią obierali niedoświadczoną młodzież nie już z pieniędzy, lecz z powozów, koni, pierścionków, zegarków i sukień; jak widzieli ich w tęż samą chwilę pijanych lub zapalonych przegraną aż do stracénia pojęcia własnego czynu (1).

Ale są gracze, powiecie, których znacie jako szlachetnych ludzi i w sposobie myślenia i w czynach. Są, zaiste; ale są to zawsze gracze bierni, przegrywający. Naturalnie, iż cała ta massa dziś grających, nie nosi plam czarnych, ale się brucze i z czasem plamić zacznie.

---

(1) Zdarzyło mi się słyszeć jednego jegomości, który ograwszy *swego przyjaciela*, co się zowie, bo wziął konie, powoz, zegarek, dubeltówkę i suknie, mówił potem: niech nie będzie durniem, nie siada grać, kiedy nie umie (więc ogrywał na pewne). — Ale trzeba było mieć litości cokolwiek, rzekł ktoś z boku. — Oho, rzekł tamten, — nademną niemiano litości, kiedym przegrywał, za cóż mam być lepszym? Ja równie ryzykowałem; jeślibym przegrał, musiałbym płacić.

Pochyłość widoczna ku tej stronie a pochwyconemu w ten prąd nie zawsze się udaje wycofać nazad ze stratą tylko — pularesa.

Jadąc i tak rozmyślając przypomniałem sobie, żem nie był dotąd u Marszałka, godnego obywatela, zacnego urzędnika i zawołanego gospodarza. Owoż postanowiłem odwidzieć go zaraz. Marszałek, jako prawdziwy typ naszego obywatela, nie wyjeżdżał nigdy na kontrakty bez kuchni, bez lokai, kredensu i ośmiu koni. Najmował dóm wygodny i od lat siedmiu u jednego gospodarza. Nie jadał nigdy obiadów ani pił herbaty w traktyerze, a rzadko u kogoś ze znajomych; tém bardziej wymawiał się od obiadów officyalnych albo takich, gdzie się znajdowała płeć piękna, z tej prostej przyczyny, iż lubił jeść dużo i to potrawy przyrządzone według swego gustu; że ponieważ Bóg go nieupośledził objętością, więc surduta i halstuchów cierpieć nie mógł i zrzucał je, skoro stąpił na próg własnego domu; po obiedzie zaś przywykł uciąć szpaczka na półgodzinki, a potém kurzyć fajeczkę za fajeczką siedząc z nogami na kanapie. Bardzo był rad gościom i niewypowiedzianie lubił zbierać nowiny polityczne i powszednie zacząwszy od Prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej, a skończywszy na tureckim tytoniu, który się sprzedawał w sklepie greka obok kontraktowej sali. W młodszym wieku podróżował za granicą, potém służył cywilnie i znał doskonale konstytucye, statut i zbiór praw rossyjskich z całą ogromną kollekcyą ukazów. Ztąd, co tylko ważniejszego zdarzało się w powiecie, niezawodnie musiało się oprzeć o Marszałka. Ale za narodowe jego nałogi, których nie zaniechał ocierając się z nowszego kroju ludźmi, lubili go najbardziej ci tradycyjni powietnicy, dla których język ros-

syjski był dotąd równie misternym, jak chiński, a płodozmianu przez lat sześć jeszcze sobie dobrze wytłumaczyć niemogli. — Jeśli p. Marszałek był im koniecznym na wsi w czas spokojny, z powodu odebranej powiestki, zdarzonego kupna, zaprojektowanej sprzedaży, albo chociażby dla zaopatrzenia się w nowinki (bo p. Marszałek jeden tylko na mil cztery w około odbierał gazety), to, o jakże stokroć bardziej był on poszukiwanym w Kijowie, gdzieto i pożyczyć i dać na procent i kupić i sprzedać i possesyjkę wziąść trzeba było, a tu ani się znało, ani wiedziało, jak sobie poradzić należy.

Przed domem Marszałka stało ze sześć sani i parę nejtyczanek, bo zima tegoroczna tak była niestałą, iż jedni powyjeżdżali z domu kołami, a drudzy na saniach. Pochodzenie ich wiejskie zdradzało się między arystokracyą furmańską miasta jak chudzizną koni, tak powozami i uprzężą. Hawryły i Opanasy siedzieli na kozłach w płaszczach z grubego szaraczkowego sukna lub po prostu w kożuchach, a niektórzy leżeli chrapiąc w najlepsze. Koniki, zwłaszcza te, których boki ładniej szczeblowaniem świeciły, pospuszczawszy głowy rozmyślały nad srogością zimy i oddaleniem od rodzinego kraju, —

który im w gęstej zniknął pomroce, —

a na ganku stał kozak w szerokich płóciennych hajdawerach i granatowej kurtce, sapiąc z całej siły w samowar i przymawiając: »*A szczob win zakypiw w smoli ta w pekli bisyw joho czortiw samowar!*« Samowar, zapewne przerażony tak strasznèm przeklęstwem, zaczął jęczeć jak komar, potem nagle spuścił o całą oktawę, potem zaczął przechodzić z tonu w ton bez przestanku jak śpiewający kacap, a nakonice zaszypiał groźnie

i buchnął kłębami pary. Na ten widok kozak wyprostował się, podkręcił opadłą czuprynę i wziąwszy pana samowara za uszy wniósł go tak gwałtującego do przedpokoju i postawił na stole. Razem prawie z samowarem i ja wszedłem. Jaki tuzin lokajów z wąsami w płaszczach lub kożuchach obsiadał ławę i stół przepokoju. Na mój widok, a raczej na widok moich szopów, runęło to wszystko z miejsc i stanęło na nogi. Lokaj Podsędka poznał mię z tego tytułu, iż wynosił kiedyś ognia do fajki z karczmy pod Białocerkwią, gdym się tam zjechał przypadkiem z podsędkiem, i na konto dawnej znajomości wykrzyknął: — I pan tu? i cmoknął mnie w rękę. — Ja pana od razu poznał! Na to hasło przypomnieli się i inni. Każdy więc cmokał i kontent był, iż w *cudzej stronie* spotkał się, jak powiadał, ze znajomym ze *strón naszych*. A i ty tu Pawełku! I ty Grzegorzu! I ty Stefanku! pytałem się kolejno. — A i ja tu panie! z moim panem przyjechał. I ja tu! I ja tu! i t. d. mówili Pawełek, Grzegorz, Stefanek i inni po kolei.

Uwolniwszy się z szopów i kaloszy wszedłem do salonu. Zastałem tam towarzystwo liczne, złożone po większej części z powietników. Uprzejmy gospodarz powitał mię i posadził, usłużny Grzegorz wetknął szklankę herbaty i cybuch w rękę i nie postrzegłem się, jak mię przyswojono sobie. Obejrzałem się i przekonałem, iż wyglądałem zupełnie jak wszyscy: z cybuchem, ze szklanką i na krzesełku. Dopieroźto zaczęła się dręcząca ceremonja! W miarę tego jak oswajały się oczy ze światłem, poznawały się fizyonomje. Znajomy po znajomym jak żuczki wyłazili na światło, a zaledwo z jednym odbyłem obrzęd powitania czterma szczérymi całusami i tyląż mocnémi potrząśnieniami

dłoni, zaledwie usiadłem na krześle żeby spocząć, zjawiała się nowa facyata, z którą musiałem powtarzać toż samo. Z początku całowałem najszczerzej i trząsłem rękę po ramię należycie, ale poźniej siły mię opuściły, już tylko byłem automatem — robili ze mną, co sami chcieli.

Obejrzałem się po pokoju: to była Arkadya nasza! Wszystko tak przypominało prowincyę, osoby i miejsca!

Kiedy się zawiązała rozmowa, zbliżył się do mnie p. Wincenty Pieczarka, possesor z nad Prypeti, średniej tuszy, nie wielkiego wzrostu, zgarbiony wiecznie i z łysiną, a siadając obok i przysuwając się bliżej do mnie z krzesełkiem, dmuchnął potężnie na ucho:

— A co tam panie słychać o inwentarzach?

— Oj, nic nowego.

— Bo tu gadają, uważa pan dobrodziej, jakoby wszystkie darmochy przywrócić mają i że pańszczyzna tak będzie jak była.

— Nie słyszałem.

— No, proszę! a tegoż pan dobrodziej nie słyszał, żeniby to propinacye będą skarbowe wszędzie? To już rzecz pewna. To mówił pan Podsędek. Czy dasz pan wiary? człowiek chciałby sobie znaleźć i zapewnić kawałek chleba na rok czy tam na lat kilka — i choć miej Salomonową głowę, nie możesz zdecydować się, czego chwycić! Possesya! Co dziś znaczy possesya! Głupstwo! Czy to to, co bywało kiedyś! Czy ci ludzie głowy potracili, jak Pana Boga mego kocham, że nie pojmuję! mówił zapalając się, machając rękoma i wstając z krzesła — Wiunczyńce trzymałem lat sześć po tysiąc złotych, a teraz, co pan powiesz? dali 3,500 rocznie z góry!

— O! majątki teraz w cenie, odezwał się Kurator magazynowy. Mnie za Wszobródkę dawano wczora... zgadnijcie panowie, po czemu?

— Po 80 dukatów! rzekł energicznie pan August.

— Tak, po 80.

— Zgódźcie się więc panowie, rzekł znowu August, że jeśli jemu dawali po 80 za Wszobródkę, to moje Tałypińce warte po 100. I od stu nie przedam, jak honor kocham!

— To szał a nie właściwa cena! rzekł jakiś nieznajomy mi suchy jegomość z dużemi bakembardami. — Panu Bruńkiewiczowi np. dawano dziś na sali po 75 dukatów za duszę!

— Pan Jarowiecki zrobił lepszą aferę, rzekł Podsędek; — bo kupił Łapajpsówkę na Ukrainie po 80 i sprzedał nazajutrz po 90. Natomiast kupił wnetże Zarwigrosz, a niech mu kto da parę dukatów więcej, słowo honoru odstąpi.

— Miły Boże! rzekł staruszek Sędzia; — jakto kontrakty teraźniejsze nie podobne do dawniejszych! Pamiętam tutejsze z 1805 roku. Sprzedawały się i kupowały dobra wprawdzie i wtedy, ale nie tak frymarczono niemi. Wszak to istny targ liwerantów na konie, jakto widzimy w Berdyczowie.

— Cóż dziwnego! a pan Sędzia nie sprzedałby Lepieszek, żeby mu dano po 100 czer. złotych?

— Za nic!

— Jakto? a gdyby po 120, gdyby po 150? pytał pan August. Wszakże w takim razie wyliczonoby Sędziemu gotówki 45 tysięcy obrączkowych. Jak honor kocham, można się ukłonić Lepieszkom! Ej bo to i szczęśliwy pan Sędzia! nie zna co to bauczek, a pieniądze za pszeniczkę łupi. Jednakże jest to epoka wielkich

szans, period robienia ogromnych fortun. Kto ją zbadał, może zostać u nas Rotschyldem — tylko trzeba przejąć się duchem spekulacyi, zbadać ekonomję polityczną, trzeba intuicyi we wszystkie rozgałęzienia przemysłu wiejskiego.

— Co to panie on powiedział? rzekł mi na ucho znowu possesor podsuwając się z krzesełkiem. — I u Bazylianów nie słyszałem takiego słowa.

— Zamorskie to ziółko, rzekłem z uśmiechem.

— Za pozwoleniem więc, odezwał się uroczyście possesor, naprowadzony widocznie mojém objaśnieniem na bity gościniec. — Jeśli rzecz idzie o zwiększeniu i utrzymaniu remanentu, nie zaprzeczenie, że zaprowadzenie traw nowych jest jednym z najpożyteczniejszych warunków w gospodarstwie; ale wiem to z długiego doświadczenia, iż trykom nasza koniczyna daleko lepiej służy.

Wszyscy zaśmieliśmy się w głos, a nim się wyjaśniła rzecz cała, tymczasem pan August mówił dalej.

— Mamy świeżych przykładów kilka, jak doskonałe afery porobiono na majątkach. Pan Major np. widząc, że się las płaci, sprzedał wszystek za 20 tysięcy rubli srebr. z wioski, która u niego na Ukrainie a potém i wieś samą, za którą jeszcze wziął drożej, niżeli zapłacił niegdyś ojciec jego. A pan Przybłędowski, niemając ani grosza przy duszy, kupił dusz kilkaset z targów publicznych.

— Oto sztuka panie dobrodzieju! rzekł possesor. — Na rany Chrystusa, naucz mię pan, jakim to sposobem?

— A oto takim. Kupił niedrogo, udał się do bankiera i wziął na opłatę pieniądze. Następnie założył zaraz w banku, sprzedał las, puścił arędę i młyny na lat 12 — i jak raz rozliczył się z długami.

— Ten duch spekulacyjny, rzekł Marszałek, nie zasługuje według mego przekonania na naganę. Jemu to winniśmy ruch, jaki dziś widać u nas. Pszeniczka nasza dzięki Bogu częściej wojażuje do Odessy, a cukier poznajomił nas z handlem na większą skalę, jak ten, którym nas oplątywali żydzi. Lecz to frymarczenie majątkami, spuścizną przodków, przykre na mnie robi wrażenie. Rodzinna wioska jest tém dla mnie w miniaturze, czém w znaczeniu obszerném ojczyzna. Powiedziawszy Bogiem a prawdą i godzi się i miło jest szanować swój kątek. Tam ślady pracy przodków moich i mojej własnej; tam tyle pamiątek mego życia! tam częstokroć złożone popioły rodziców!.. a zostawiać to dla zysku kilku tysięcy, osiąść na nowém, podjąć się znowu i z tamtego i tak koczować ciągle,— nie widzę w tém koniecznych powodów, a więcej nawet straty, jak zysku.

— Przedsiębierczy duch 19 wieku, rzekł pan August, zajęty wyższém zadaniem, usunął ten skrupuł i okazał całą nicość zdania, jakoby kamień na jedném tylko miejscu mchem porasta. Pięknie to mieć poszanowanie dla pamiątek, ależ śmieszną równie jest rzeczą ślęczyć na jednym kawałku roli dla tego, że się dostał od dziadka, kiedy na tej dziadowskiej spuściznie, z przeproszeniem, chodzę głodny i bez butów.

— Masz racyę panie Auguście, rzekł znowu Marszałek, mamy chorujących i na tę chorobę i trudno wyobrazić, ile to zamiłowanie jednego miejsca przynosi straty. Uboga szlachta nasza wegetując na Pińskich i Poleskich błotach, ginie przez to. Ale zaproponujże mu przesiedlenie, zaraz powie: czy to ja cygan, żeby koczować od wioski do wioski! ojciec mój tu się rodził

i żył jakoś — i ja będę. Ale to wyłącznie stosuje się do uboższej klassy.

— A jak bogatszy a chce żeby mu było lepiej jak jest, zapytał pan August, więc dla czegożby nie mógł postąpić również? Żeby ci panowie, co mieli majątki na Polesiu, nie powynosili się wcześnie na Ukrainę, pytam, czy porobiliby na Polesiu wsie drugie, jak teraz na Ukrainie pozakładawszy cukrowe fabryki? Słowo honoru! i ja sprzedam wieś moją a kupię na Ukrainie i założę fabrykę cukru.

— Zapłacisz drogo, rzekł Marszałek, — bardzo drogo, a fabryka wymaga równie ogromnych wydatków.

— Głupstwo, wszystko się wróci! To druga Kalifornja! Pan Patoka ma już trzykroć sto tysięcy; pan Buraczkowski wylazł z długu i robi majątek; pan Press na tych kontraktach wziął 80 tysięcy za piasek, a jego żona jeździ karetą na leżących ressorach, chociaż niedawno ledwie starczyło na bryczkę. Ale na co mam dowodzić: Pan Marszałek sam ma fabrykę i może zaświadczyć, że robi sto na sto przy najgorszym roku.

— Sto na sto! powtórzyli wszyscy.

— Banialuki! rzekł Marszałek. — Mam fabrykę i daj mi Pan od niej czystego zysku 15 proc. a wypuszczę mu dziś w possesyę. Fabrykacya cukru daje zyski jeszcze ogromne, nie przeczę; ale też i pracy wymaga piekielnej. Nie myśl pan, że to pieczone gołąbki wlatują do gąbki. A nakoniec — to szał przechodny. Ta gałęź przemysłu trwać długo u nas niemoże*. Piękne ukraińskie lasy już w połowie zostały wyniszczone; bydło i siano podrożały; nadto demoralizacyę chłopów mamy w zysku. Czemuż pan niewyliczysz tych, którzy potracili na fabrykach?

— Pan Marszałek świętą prawdę mówi! rzekł Sędzia zażywając tabaczkę. — Niemasz, jak nasi ojcowie robili! pilnowali roli, więc chleb był i pieniądze były. A te niemieckie wymysły — bodajby nikt na nie nie przechodził! To, panie dobrodzieju, Prezes sprowadziwszy angielskie płużki, razu jednego zapytał swego chłopa, co o nich myśli? Chłop, panie dobr. chytry, udał durnia i pyta: kto je wymyślił tak misternie?— Anglicy, rzekł Prezes.— Bóg ich tam zna po nazwisku, rzekł chłop, ale czy nie ci to sami panie, co do nas po pszenicę co rok jeżdżą?— A ci sami. — Nu, myłostywyj pane, czymże to wono tak dijetsia, szczo ti rozumni ta do nas durniw jezdiat' po chlib zawsze?

Koncept ten uradował nadzwyczajnie szlachtę; rozległ się śmiech powszechny.

— Dobre to jest, jak na chłopa, rzekł Marszałek, ale nie jak na światłego obywatela. Że gospodarstwo nasze wymaga ulepszeń, o tém przekonany każdy, jak równie i o tém, iż wielu nieumiejąc zastosować do miejscowości zagranicznych wynalazków, okryli się tylko śmiesznością.— Potem Marszałek przypatrując się ciekawie do rajtfraka pana Augusta, rzekł z uśmiechem:— Powiedz mi panie Auguście, zkąd masz zawsze tak gustowną garderobę?

— Wszak byłem całą zimę w Warszawie.

— A prawda! prawda! zapomniałem.

— Zaopatrzyłem się więc we wszystko na rok cały. Samych rękawiczek kupiłem tuzinów osiem. Tamto sprawiać suknie — zysk oczywisty. I dobre i tanie. Np. taki rajtfrak kosztuje u Wąsowicza najmniej 30 r. sr. w Odessie tyleż, gdy w Warszawie tylko 18! kamizelki...

— Przepraszam, że przerwę, rzekł Marszałek; — właśnie chciałem wziąść od pana informacyę co do machiny do żęcia zboża wynalezionej przez naszego rodaka w Warszawie, o czém czytaliśmy, pamiętasz, w gazecie codziennej. Jako obywatel, wiesz co to znaczy u nas żniwo — i już też kogo bardziej jeśli nie nas interessuje ta okoliczność. Musiałeś ją opatrzyć doskonale... opowiedzże nam proszę, jaka jej mechanika?

Zmieszał się biedny pan August. — Przyznam się panu Marszałkowi, rzekł trzepiąc i mnąc warszawską rękawiczkę, że... tak... chciałem bardzo ją widzieć... ale magazyn zawsze był zamknięty... a potém, zachorowałem... a interessa... różne zajęcia.. i wypadło mi to z myśli.

— Szkoda, rzekł Marszałek; — dobra była zręczność przekonania się o użyteczności wynalazku. Objaśńże mię przynajmniej panie Auguście, gdzie skład tych machin i jak mam adresować listy?

— Skład?.. zaraz... zaraz... na krakowskiém przedmieściu .. nie! nie! na nowém zdaje się mieście... ot zapomniałem!

Umilkli wszyscy. Pan Marszałek smoktał tylko głośniej fajkę i spuścił oczy, a pan August był jak na szpilkach.

Wtém dało się słyszeć za drzwiami głośne kichnięcie raz i drugi, a w ślad za tém, otwarły się podwoje i wszedł, a raczej wpadł do nas mężczyzna we fraku i okularach, z chustką od nosa w ręku, w którym poznaliśmy od razu dobrze znajomego nam pana Zygmunta.

Ledwie że się przywitał, gdy rzekł — No, wiecie co się dzieje? Ważne nowiny! — Témi słowy jakby naelektryzował towarzystwo. Wszystko ruszyło z miejsc,

ostąpiono Zygmunta i z natężonym słuchem, wyciągniętémi szyjami, rozdziawionémi gębami, czekano co obwieści.

— Z ostatnich gazet, rzekł Marszałek, nic tak ważnego.

— Z gazet! ba! Kiedy oni napiszą! a może i nie napiszą! mówił Zygmunt oglądając się, a potem zniżając głos nieco: — Prezydent Ludwik Bonaparte zamordowany!...

— Czy to być może! zaszypiało całe zgromadzenie. Pan Zygmunt wodził osłupiałe oczy do koła.

— Rzym zburzony tak, że kamień na kamieniu nie został!

— Matko najświętsza! krzyknął possesor.

— Berlin zniesiony!..

— I Berlin? krzyknęli wszyscy.

— Ale dla Boga! panie Zygmuncie, czy to być może? rzekł Marszałek.

— Czy może? ale to tak pewna, jak dwa a dwa są cztery! odebrano o tém sztafetę w tej chwili. Kiedym tu jechał jeszcze koń stał przed gankiem cały w pianie... Mnie mówił...

— Proszę pana, przerwał possesor, ktoż Rzym zburzył?

— Kroaci!

— Jelaczycz? a co? a mówiłem zawsze, że tego bójcie się! mówił possesor biegając z kąta w kąt. Ot i wyszło na moje! złydeń przeklęty!

— Wycięty! rzekł poważnie Zygmunt.

— Kto? co? wycięty?

— Wiedeń!

— I Wiedeń? Przedwidziałem, że to będzie, rzekł August. Pamięta pan Marszałek, jak mówiłem o tém we Wrześniu jeszcze? Ale to jakbym przeczuł!

— Oto panie czasy!

— Oto roczek!

Possesor założył ręce na brzuchu, przyparł go do stolika i pokiwawszy głową odezwał się: jak to mówią czasami — przesądy! przesądy! babskie zabobony! nie warto w nie wierzyć! — Jakto nie wierzyć, kiedy sprawdzają się! Moja ciotka, staruszka już, pani Dziamdziulkiewiczowa, jak tylko obaczyła ten krzyż, co pokazał się w przeszłym roku na niebie, zaraz powiedziała, że będzie *wielki rozlew krwi*. A cóż? na to i wychodzi! I to rzekłszy rozszczepił obie dłonie przed towarzystwem, a z twarzy zrobił znak zapytania.

— To samo mówili ludzie i u nas, dodał suchy jegomość z bakembardami, jak obaczyli czerwone światło na niebie co to było w nowembrze.

— To była po prostu zorza północna, rzekł Marszałek.

— Zorza! śliczna mi zorza! Śmiejcie się sobie państwo, a ja wierzę w te znaki. Tak samo było i przed Francuzem w 11 roku.

Pod wpływem tego panicznego strachu zostawało całe towarzystwo przez pewną chwilę. Krzyżowały się różne wnioski i domysły. Marszałek niewierzył wszystkiemu, może znając już z doświadczenia bujną wyobraźnię pana Zygmunta, która nie zawsze chodziła po ścieżkach rzeczywistości. Nakoniec szlachta bogata z nabycia tak ważnych wieści, rada, że ma obfity zapas do zakommunikowania znajomym, zaczęła się wynosić od Marszałka. Possesor z nad Prypeti, którego los Europy widocznie najbardziej obszedł, żegnając się z Marszałkiem rzekł doń na stronie: niech JW. Pan da mi łaskawą radę: co ja pocznę teraz! Dalipan zdecydować boję się: brać czy nie brać?

— Jakto, rzekł Marszałek, ja radziłbym. Possesya bardzo dobra — korzyści pewne.

— O tém i ja niewątpię; ale widzi JW. Pan, co się robi na świecie? Straszno panie! mam dziatki, żonę, chudóbkę... funduszu tego okrucha, a broń Boże czego...

Podteneczas pan August zawiązał cichą rozmowę z Sędzią, która w uwerturze toczyła się równo, jak powóz po gładkiej drodze; ale gdy przyszło do pryncypalnego motywu, oczy p. Augusta przybrały wyraz dziwnie słodki, ręka zatrzęsła dłoń Sędziego, słowa zaklęć posypały się gradem, a z tego wszystkiego każdy, kto widział agitujące się kontraktowe interessa, mógł domyślić się łatwo, że rzecz szła o pożyczenie pieniędzy. Sędzia i rękami i nogami.

Pan August coś jeszcze mówił, ale już słowa jego były podobne do dalekich gromów po burzy; nakoniec i te zcichły, a gdy żegnał się z Marszałkiem, zapytał go na stronie, czy nie byłby w chęci nabycia jego wioski? na co Marszałek mówił mu coś długo kiwając niekiedy palcem, ale co, nie słyszałem, bo powtórzyłbym tu wszystko to niezawodnie i mam wewnętrzne przekonanie, że słowa te nie byłyby bez pożytku i dla innych panów Augustów.

Przesyłając Ci Dołęgo kilka powyżej zamieszczonych szkiców, uzbieranych z ostatnich Kijowskich kontraktów, muszę wytłumaczyć się, dla czego niema w nich końca. Podczas kontraktów zostawałem w szczególném usposobieniu zbierania wzorków i uzbierało się tego dwa razy więcej, aniżeli co ci kommunikuję; ale gdy przyszło je uporządkować, wyobraź sobie, znalazłem rękopism mój w najpoetyczniejszym nieładzie. Cała wzniosła i czuła scena Podkomorzyny z jej pieskiem, przepadła

gdzieś bez wieści. Dwóch Podsędków tak wyszli, że najlepszy dagerrotyp nieodcisnąłby ich trafniej — i cóż? znalazłem tylko z nich kawałki! Ale najbardziej mi żal opisu posiedzenia dam i wielkiego balu u jednego *nowego stempla* Deputata — co mi udało się wybornie. Przekonany jestem, iż żaden Pothey, żaden Berthal ani Quillenbois nie powtórzyliby wszystkich przedmiotów trafniej I były tam jeszcze między szkicami moje ulubione obrazki, parę portrecików, parę rysów z dziewcząt z cudném okiem, lekką figurką, drobną nóżką i ramionami, mówię ci . niewidzianémi dotąd! . . . I to mi gdzieś się zawieruszyło! A szkoda! To mi najdotkliwsza strata! Wszystkie inne portrety wam oddam a ten zostawiłbym sobie. Bo nieznam nic przyjemniejszego nad śliczny portret (rozumie się, kiedy mieć nie można oryginału) ładnej, idealnej dziewczyny! Przed mojemi oczyma, nad moim stolikiem lubię go widzieć ciągle, pieścić się nim, kochać się w nim, czerpać zeń natchnienie, patrzeć a patrzeć w te czarne, ogniste oczy, w których i noc i dzień są razem! . . . O! ileż razy . z cygaro w ustach, rozparty w wolterze, wpatrywałem się po godzinach całych w te pieszczotliwe rysy, te powiewne kształty, co mi z kłębów dymu pokazywały się i kryły jak w obłokach, i ileż razy wołałem: Dajcie mi takiego anioła, a będę wam Rafaelem, Petrarką, Adamem! Co, myślałem sobie nieraz, jeśliby w tę ciszę nocy, którą owiany jestem, z tym rajskim uśmiechem, który usta mojej niebianki tak purpuruje cudnie, z tą obietnicą raju czy morza rozkoszy jej liljowych piersi . . . co, myślałem, jeśliby ta skrzydlata babka, ten barwny motyl ot — tak — nagle pierzchnął z ramek i ocucił się w mojém objęciu? . . . .

O nieba! odpowiem ci jak Włoch: widzieć Neapol i — umrzeć! Uścisnąć ją raz tylko i — umrzeć!

Śmiej się, śmiej, ty zimny, poważny człowieku! Ale oby mię to wasze anatomiczne przeziębienie nie spotkało nigdy!

Łaskawe jednakże wyroki bogów! O! jakby był wart politowania każdy, kto obdarzony głębokiém uczuciem piękności, nie znajdując godnego jej odwzoru w istotach ziemskich, został jeszcze pozbawiony i tej jedynej pociechy stwarzania sobie ideału własnej wyobraźni i piersi! . . . To marzenia, powiadacie, marzenia! O! gdzietam marzenia! To ideały nie z tego świata! to goście serc naszych! Zleciały odwidzieć promyk z ich krain, co tu w nas, z nami, odbywa pielgrzymkę żywota, poigrać z nim, ogrzać go i ulecieć znowu! A wy mówicie: ma-

rzenia! Tak wam mówić trzeba, bo wy go nieznacie, bo was nigdy nie nawiedzał gość taki!

Dla piersi młodzieńczej, bijącej, — dziewica, to pierwszy ideał, który go porywa na drodze życia spokojnej dotąd; zalewa urokiem, promieni mu skrzydła i pędzi do najwyższych celów. Szczęśliwy, kto tego ideału nie zbrukał na tej ziemi!

Ten pokarm duchowy jest od czasu do czasu koniecznym dla mnie. On mię nasyca i godzi ze światem. Godzi! źle się wyraziłem... on mię naucza spokojnie gardzić powszednim światem.

Kiedym mieszkał w Petersburgu, w tej stolicy z lodu i kamieni, zdarzały się chwile zniechęcenia się wszystkiém, co mnie otaczało, tak to stawało się w mych oczach bezduszne i obłudne... Natenczas szedłem do Akademji sztuk pięknych; tam, w pustynnych jej salach znajdowałem obraz Madonny i modliłem się... Szedłem do posągów Canovy, do obrazów Brulla i Tyrnowa — i całe godziny wpatrywałem się w idealne kształty..... Cóż powiesz? powracałem już jak nie ten, tłum, co mię gniewał przed chwilą, ozierałem z politowaniem i wyższością jakąś... byłem zadowolony sobą.

Ale nieskończyłbym Ci bajać do jutra na tę ulubioną moją temę... skończmy jednakże. Musisz wybaczyć i mnie i mojemu urwanemu szkicowi i tak go przyjąć jak jest dzisiaj, a jeśli da Bóg doczekać szczęśliwie Kontraktów 1850 roku, mam nadzieję, iż nagrodzę sobie stratę. Materyałów nie zabraknie— oby tylko nie zabrakło wytrwania!

Zenon Fisch.

Kamienny-bród d. 15 Lutego 1849.

EFFEKT HUBIŃSKIEJ KRYTYKI.

(*List do Wydawcy:*)

Où l'on ne se plaît pas, on ne peut-être aimable,
Car la gêne du coeur réagit sur l'esprit.

Nader przyjemnie dla duszy zdawać rachunek ze świeżo odebranych wrażeń przed człowiekiem, którego się głęboko szacuje. Taka chwila jest moją obecnie.

Przeczytawszy w Tygodniku Petersburskim list p. Kraszewskiego pełen drwinkowania z Rocznika literackiego i jego wydawcy, pomyślałam sobie: — mój Boże! dla czegoto człowiek oddany autorstwu z powołania, ów kapłan narodowych świętości, uprzywilejowany organ prawdy, staje w obec jednego z młodszych swych braci, czynnie zajmujących się literaturą, nie jako sprawiedliwy i wyrozumiały sędzia, lecz jako adwokat przebiegły, chcąc go przeprowadzić przez czyscowy ogień swego jaskrawego dowcipu? Wszakżeto p. Kraszewski, jako autor zasłużony, jako ten, którego czytają nawet przy łojowych niedogarkach, wyraźnie

ubliża charakterowi swemu, kąsając choćby najdowcipniej człowieka, starającego się na drodze przez siebie obranej być użytecznym swojej współbraci, — człowieka, który już przez to samo wart jakiegoś względu, że nienależy, usiłuje nienależeć do tych *anti*, *anti*, co to odzywają się u nas dość często, ale niewiadomo zkąd i do kogo? — Stroić żarciki i śmiać się, że cała rodzina pp. Podbereskich pisze, że jest ich kilku i jeszcze przybył jeden; naśmiewać się, że pracują jak mogą i umieją, — to niedowodzi żadnego taktu w pisarzu; według mnie ten jest najśmieszniejszy, kto się z takich rzeczy śmieje. Nie wchodzę ja tu w wewnętrzną wartość Rocznika, zostawiam na stronie teorye i wszelkie wymagania literacko-naukowe, ale mając pobudki do prawdziwej pociechy, gdy widzę ludzi ochoczo pracujących na niwie ojczystej umysłowości, szczérze przyznaję się Panu, że mię najnieprzyjemniej zdziwiło złośliwe dowcipkowanie p. Kraszewskiego, który, jako sprawujący kapłaństwo krytyki, wiedziećby przecie powinien, że to, co może zbawiennie wpływać na umysł i serce młodych pracowników, dalekiém jest od wszelkiej ostrości satyrycznego ducha i że w literaturze tak samo jak w pospolitém życiu, o ile miłością i dobrémi intencyami budujemy, o tyle obojętnością i złą wolą zrządzamy szkody. Zgadzam się, że Rocznik p. Podbereskiego mieści w sobie niemało wad, niemało niedostatków literackich, aleź obok tego nadto są jawne dobre chęci Wydawcy, szczére jego usiłowania ku podniesieniu wartości swego zbioru; niewieje też z Rocznika żaden skandal, niezaleca on ślepego posłuszeństwa starym przesądom, nieoddycha obskurantyzmem, a co większa, nie nosi na sobie barwy tego pseudoduchowieństwa, które już i z Rzymu nawet wywoła-

ne zostało. Nieobejmuje on wprawdzie genjalnych płodów pierwszorzędnych, wsławionych już, naszych pp. autorów, ale pozbierał skrzętnie rosnące na swojej drodze kwiatki, kwiatki nie bez wdzięku, które mogą wydać owoc, a owoc wyda ziarno rozradzające się stokrotnie. Czyż za to, że ktoś ochoczo bierze się do pracy, że chce młody rozsadnik wystawić na działanie dobroczynnych promieni bratniej miłości, za to go nielitościwie kijem po łbie uderzać i potém jeszcze naigrawać się szydercze? — To rzemiosło boxerów i opryszków, ale nie autorów, tych ludzi sumiennych, apostołów prawdy, którzy naprzeciw młodszych braci swoich w jakimkolwiek publicznym zawodzie pragnących tylko światła rozsądku i przekonania, tylko słów pokoju i miłości, a nie bicza ukręconego z pakuł lichych jakichś namiętnostek, używać zwykli. Na tym burzliwym oceanie XIX wieku, przy poczuciu się indywiduów do samodzielności, coż naszą przewodniczą gwiazdą być powinno, co nas zabezpieczyć zdoła, jeżeli nie to, co stanowi istotę, duszę naszej religji? — Ach! czujmy i postępujmy, jak prawi Chrystusa naśladowcy, wyrażając uczucia bratniej miłości w słowach i czynach naszych!

Jest pewna godność w myślącym człowieku, co odblaskiem swoim błogie w około siebie rozlewa uczucia, budzi szlachetne zapały do pracy, do poświęcenia się na korzyść ogółu; ta godność wciela się niejako w rzeczywisty byt autora-wieszcza, tchnie życiem w każdej jego myśli, w każdém słowie, i ozdabia go jak pomazańca Pańskiego promiennym kręgiem aureoli. Z żalem wyznać muszę przed Panem, że tej godności niedopatrzyłam się ja w znakomitym naszym autorze p. Kraszewskim. W pismach jego prezentuje się po więc-

kszej części taka strona bytu czyto indywiduów czy towarzystw pewnych, od której człowiek lepszego smaku oczy odwracać musi; złośliwe zaś koncepta i drwiny, o jakich tutaj nadmieniłam, są zwyczajną zaprawą jego pióra: — a te szumowiny mózgowe, wzdymane powiewem nieczystego interessu, chociaż rozbiwszy się o skałę zdrowego sądu powszechności wracają do nicestwa, z którego powstały, wytykać je atoli potrzeba rażnie, energicznie, bo w obecnym zwłaszcza czasie, kiedy idea miłości chrześcjańskiej z każdej stronicy dziejów przemawia do serc naszych, wydają się one, jak brzydkie plamy, jak grzechy śmiertelne w życiu człowieka. P. Kraszewski zaczęsto widzi ujemną stronę ludzi, widzi wszędzie niedołęztwo, choroby, gangrenę, nigdzie prawie zdrowia, serca i okwitości ducha. W powieściach jego szukam chciwie życia ogrzanego wyższém uczuciem moralném, szukam tego, co stanowi piękno estetyczne, i nigdzie niestety, nigdzie go nieznajduję! Pod jego piórem odartém z puszku młodzieńczego wylewają się zwykle myśli ujemne, myśli jakby spekulanta, jakby starego Francuza, nieprawego syna któregoś z przeszłowiecznych encyklopedystów. W jego pismach prześwietla się sztuczna jakaś natura, jakiś świat mozaikowy, w którym iskry bożego ducha niewidać. O gdyby p. Kraszewski zwrócił się sercem swojém na drogę prawdziwego postępu i zapragnął uszlachetnić swój zawód autorski godném użyciem tego pięknego talentu, który mu się dostał w podziale, gdyby mówię wolny od drobnych przywar światowej rzeszy przemawiał do nas tym głosem chrześcjańskiego wieszcza, co prosto idzie do serca; — jak niebo pogodne okrywa się gwiazd brylantami i rożnobarwą szatą obłoków, tak on okryłby się szacunkiem i miłością ogółu.

O pracach czysto-literackich p. Kraszewskiego niedaję sądu, ale wyspowiadać się z odebranych wrażeń może każdy, kto serce posiada. Otoż mnie zawsze, czytając powieści p. Kraszewskiego, kurczyło się serce ze smutku, a nigdy niezadrgnęło radością; zawsze po przeczytaniu chłodno mi się robiło i byłam usposobioną do okazywania otaczającym mię współbliźnim pewnego rodzaju wstrętu, pogardy, czułam jakieś rozjątrzenie ztąd, że oni są tak próżni, bezduszni, nędzni! W pismach p. Kraszewskiego darmoby kto szukał piętna wieszczego entuzyazmu, odgłosu żyjącej dzisiaj w ludzkości wielkiej idei chrystyanizmu i zaspokojenia wyższych pragnień z tej idei wynikłych. Musiał on jaźnią swoją gościć zbyt długo w tej jałowej krainie ducha, gdzie gorzkie tylko piołuny i kolące krzewią się bodiaki, bo niedbając o istotny cel i godność autorstwa igrać zdaje się talentem swoim jak dziecko złośliwe.

Człowiek w prostocie duszy, nic nieumiejąc, samym instynktem osądzić może od razu, co prawda a co fałsz; — otoż i ja czytając list p. Krasz., w którym szpilkami kole p. Podbereskiego i jego siostry — kobiety, zrozumiałam, że muszą zachodzić pewne osobiste urazy, chociaż nasz krytyk stara się wmówić ludziom, że one nieistnieją i że ma za nic tak Rocznik, jak jego wydawcę. Ale czyżto trzeba aż kilkadziesiąt tomów napisać, aby wiedzieć, co maska a co twarz ludzka? — Można ani litery niewydrukować, ani jednej niewyszydzić osoby, a być przecie zdolnym do odróżnienia pozoru od istoty. — Powiada szyderczo p. Kraszewski, że ledwo mógł przebrnąć przez *gęste zarośle* prenumeratorów Rocznika: — ach! jako dobrze myślący ziomek, jako prawy zwolennik postępu w samej praktyce a nie w marnej tylko teoryi, zamiast dowcipkować w tym

punkcie, powinien był raczej zawdzięczyć tym wszystkim, co radzi są odtętniać każdy odgłos życia i wspierać bratniém ramieniem tych z pomiędzy siebie, których puls moralny objawia się jeżeli nie w czynach, to przynajmniej w dążeniach i zabiegach sprzyjających rozwojowi uczucia społecznego. Człowieczeństwo, ludzkość nie na tém nietraci, kiedy kto niewprawnie, nie po mistrzowsku pisze, ale gorszy się tymi, co działać chcą wbrew postępowi ducha, co wprowadzają chociażby najdowcipniejszą ale zawsze chińszczyznę tylko!

Prawda i serce zrosłe są z życiem i stanowią nierozdzielność moralnego bytu człowieka. Prawda rodzi się w różnych postaciach, grunt jej tylko zawsze ten sam; rodzi się ona w postaci czynu, pieśni, xiążki, czémkolwiek musi ona wyrazić się w dziejach żywota ludzkiego, ale rozwodzi się na zawsze z dowcipem, ironją i osobistym interessem. Serce ma także rozmaite jawiska, zawsze atoli zlewa się w ogólną harmonję miłości. Serce jestto słońce, co niezna zachodu i zawsze w pełni świat opromienia. Kiedy prawda założyła swój ołtarz w sercu myślącego człowieka-autora, kiedy go podniosła na godność kapłańską, to znak, że go już rozdzieliła na zawsze z mistrzynią fałszu i ciemnoty, z ironją; tymczasem p. Kraszewski, chociaż autor, poślubił sobie albo raczej obrócił w swoje poddaństwo tę pogankę i zdaje się być zadowolony z każdej zręczności do śmiechu i szyderstwa, zadowolony, kiedy pochwyci tę machinę piekielną i wywijając nią na wszystkie strony uderza nawet słabe, bezbronne kobiety! Nic łatwiejszego, jak upatrywać śmieszność w rzeczach, można tém nawet niejednemu się podobać, bo każda małostka musi mieć na poziomie swoich hołdowników; ależ rzeczą autora-wieszcza jest właśnie brzy-

dzić się wszelkim tego rodzaju hołdem, jego cel daleko wznioślejszy, cel główny, aby ukazać pospolitemu oku skarby kryjące się w moralnej idei postępu, dać poznać, jak uzacnić życie, jak pojąć, co jest prawdziwie ludzkie, godne wyższej, niematerjalnej naszej przyrody. Wydrwić chwalebną jaką dążność, podciąć młode skrzydła w locie archanielskim potrafi lada partacz — wodewilista; takie postępowanie o ile sprzeczne jest z zasadą budzącego się ducha wieku, o tyle niegodne, przeniegodne człowieka poczuwającego się do umysłowego przewodnictwa. — P. Kraszewski nastaje na małą objętość, na nicość *Pamiętnika Chłopickiego*, którego wydawcą jest p. Podbereski. — Prawda, że xiążeczka to szczupła, mało znacząca, ależ ona swoja, rodzima, ziomek opowiada jak umie, co cierpiał, co doświadczał, — wprawdzie ten ziomek nie bohatér, nie generał, ale gdyby tylko ptaszek z ojczystej zagrody poleciał gdzieś daleko po ziarnko dla swoich piskląt, a potém wrócił i mógł wyczyrkać swoje przygody, to mnie się zdaje, że i to byłoby miłe dla ucha ziomka! Wszystko, co swoje, tak drogie jest, tak sympatyzuje z sercem! Naprzykład listy Bułhakowej w Roczniku literackim, pisane prosto, naiwnie, bez cienia autorskiej prezumpcyi — a jakaż w nich tkliwość uczucia! jakie wylanie się duszy, prawie zadowolonej, szczęśliwej pod brzemieniem gniotącej ją niedoli! W jej cierpieniu niema żółci, niema nienawiści dla ludzi, ale jest pokora, rezygnacya i słodycz ofiary. Autorka listów jestto ujmująca prostotą i niewinnością gołębica, jestto posłanka wyższej Woli, z której ust żywym strumieniem płyną słowa wiary, nadziei i miłości; to jej duchowy żywioł, to oś moralna, na której obraca się cała jej przyszłość. P. Kraszewski, jako pełen doświadczenia i zasłużony

już lekarz, powinienby zachęcać uprzejmie świeżo praktykujących, polewać ich mózgi balsamem bratniego współczucia, zaopatrzyć młode ich serca w błogie, szlachetne popędy; — a tu przeciwnie, postępuje on jak urzędnik zniszczenia, lejąc na nich witryol z żółcią! i chce być miany za promotora postępu, za przyjaciela ludzkości!

Szermierstwo literackie w tej epoce przejścia smutnym jest fenomenem; jeżeli komu, to nam szczególniej, których rodzime godło »*kochajmy się*«, — rumienić się potrzeba za wszystkie powody do umysłowych nieporozumień i kłótni. Samodzielność zbudzona w myśleniu i życiu powinna odepchnąć ironję, jako pierwiastek zgubny, jako chorobę przeszłości, w której wojowali samym tylko dowcipem i byleby naśmieszyć publiczność zadawał brat bratu najdotkliwsze ciosy. Każdą chęć dobrą, każde zamiłowanie rodzimego promyka powinniśmy przyjąć sercem, powitać życzliwie, po macierzyńsku, bo u nas tak jeszcze ciemno i chłodno, tak tchnie w około pustkowiem! A tu niekterzy, otoczywszy się wałem przesądów, zkamieniawszy w złowrogą kastę, mącą swoim oddechem tylko co poczęty strumień życia i chcieliby go pleśnią brzydkiego egoizmu, kałem szatańskiej ironji zatamować, zniszczyć!

Nieraz czytając powieści p. Kraszewskiego szczérze pożałowałam, że człowiek z tak znakomitym talentem nie śpiewa jak nasz słowik litewski, co melodyą swoją wkrada się do serca i budzi w niém najsłodsze uczucia zwiastując słońce, kwiaty i wszystkie barwy życiodawczej wiosny. On, jak ta ziemba przeraźliwa, zapowiada same słoty, chłód i grady, które w postaci kolczastych konceptów okrutnie spadają na młode, tylko-co wylęgłe trawki! Sądząc, że może ja niemam ser-

ca, że może płody p. Krasz. na mnie tylko słabe robią wrażenia, umyśliłam była zrobić próbkę i oto przeszłego roku na imieninach w jednem sąsiedztwie, po wesołych zabawach, gdy młode dusze zwykle są więcej usposobione do uczuć, w skutek mojej propozycyi przepędzono cały wieczór na czytaniu jego powieści. Była tam: *Maleparta* (ten potwór, co wyleciał z pod pióra, jak wrzód obrzydliwy!), *Latarnia Czarnoxiężka* i inne; czytała je młodzież pełna instynktu zdrowego serca. — I cóż? — ani jednemu niezwilgotniało oko, niezastukało serce; wstali wszyscy chłodni, obojętni, pośmieli się tylko i rzekli: »dalibóg dobrze pisze!« — I prawda, że dobrze. Sztukmistrz to nie lada, posiada on to wszystko, co zaleca wytrawnego pisarza, obfituje w postrzeżenia czysto-racyonalne, poznał na wylot słabą stronę człowieka i śmiało, dosadnie maluje zło wałęsające się po świecie w różnych postaciach. Widać w nim wiele artystowskiego uczucia, ale poglądu duchowego na życie społeczne, ale myśli, coby sięgnęła po za ziemską krainę, nader, nader skąpo; czytając Kraszewskiego niepodobna jest wznieść się do tego uczucia religijnego, które nazywam sumieniem wyższej duchowej wiedzy i zrzódłem wszelkich moralnych roskoszy. Zręcznie on, trafnie i pięknie wywiązuje się z każdego artystowskiego zadania, obrazki jego dość żywe, nadobne, dykteryjki zabawne, dowcipne, różnorodne, ale o strunach duszy jego powiedzieć trzeba, że są zawsze nizko nastrojone. Kto z niejakiém upodobaniem same tylko ciemnie maluje, kto estetykę widzi tylko w słowach i formie a nie w duchu i treści, ten próżno kusić się będzie na zdobycie tego złotego runa, które zowie się czcią i sympatyą ogółu; jako artysta wyborny, znajdzie zawsze chwalców i admiratorów, ale niczyjej on

duszy niezhołduje, nikogo sympatyą serca do siebie nieprzywiąże. P. Kraszewski plastycznie oddaje każdą sytuacyę w rzeczywistym świecie, wiąże loicznie fakta najrozmaitszej natury, drammatyzuje najpowszedniejszą prozę; słowem, wszystkiego dotyka zręcznie, umiejętnie, ale w tym swoim pracowitym pochodzie krainę serca, sferę uczucia, zawsze prawie jakby naumyślnie omija; kiedy zaś z musu czy z fantazyi do niej zawita, to daje tak lekkie, tak niepewne zarysy, że je lada podmuch racyonalizmu zetrzeć może. Autor powinien przedewszystkiém zrzec się drobnych widoków osobistych i wszelkich próżnych celów, do których miłość własna prowadzi; jeżeli chce być wpływowym, konsekwentnym, to jako zdrowy i silny członek zbiorowego ciała powinien każdym swym ruchem odtętniać moralne potrzeby ogółu, w każdym czynie jaśnieć promieniami panującej idei. Ironja, złośliwość i żądza dowcipkowania w autorze jawnym są dowodem, że się jeszcze nieprzygotował do kommunji duchowej, nieusposobił poczciwém życiem, prostotą myśli i serca do pojęcia ducha ludu, a jeszcze ludu naszego, prostego jak dziecię. Potrzeba ocenić cnotę pokory, bo ona tylko użyźnić może grunt przez pychę wycieńczony.

P. Kraszewski w swoich powieściach czyni tylko zwykle przygotowania do rozwoju kwestyj żywotnych, do spekulacyi ducha, ale najczęściéj po wycieczkach pełnych dowcipu rozstrzeli się w próżnych słowach i kończy zimnémi formułkami. I zawsze szereg jego obrazów z zewnętrznej tylko zaleca się strony; nigdy on prawdziwą pociechą duszy nienapełni, nigdy nieujmie, nierozrzewni swego czytelnika; a kiedy do cnoty, do moralności namawia, to brzęczy, jak dzwón wyszczerbiony. Co najżywiéj, co najplastyczniej maluje, to złą stronę

ludzi; a jak przyjdzie do uczucia, to dostaje ziębienia i kreśli samą ujemność ludzkiej natury. P. Kraszewski *choruje na krytykę;* wstąpiła ona w niego jak defekt i męczy go bez miłosierdzia (1)! Do prawdziwych pereł chce on zawsze dorznąć garść dętek z lichego kruszcu. Naprzykład, w zaprzeszłym roku ukazał się u nas *Jordan*, jak piękna palma na pustyni, i głęboko zapuścił swe korzenie we wszystkie młode, postępowe umysły. Każdy miłośnik żywej prawdy, każdy chrześcjanin ucieszył się tém zjawiskiem, a ś. p. Majorkiewicz, którego zgón wczesny rzucił na czoła nasze gruby cień żałoby, powiedział, że *obok Fantazyi A. Sowy giną całe tomy poezyi bez myśli i życia*, tyle w niej znalazł treści duchowej, tyle żywych i promiennych myśli. Owa Fantazya była przedrukowaną dwa razy w przeciągu roku; — a p. Kraszewski chciał wielkiego Jordana zwinąć i skurczyć w łożu Prokustowém, w małym Tygodniku! chciał promienie myśli odbijającej potrzeby wieku przysłonić łopuchem p. Przecławskiego! chciał wmówić nam przez gazetę, że Antoni Sowa pisze *talentowe wiersze* — nic więcej!! Niezmieścił się Jordan w Tygodniku, i niedziw, bo się urodził z promieni słońca i zajść w cień niemoże. Wszakże talent nie jest już dzisiaj rzeczą nadzwyczajną, dzisiaj talent posiada wielu, ale na tém niedosyć; dzisiaj nie o piękną grę słów, nie o kształt i wdzięk ladajakich opisów, ale o to idzie, aby utwory promieniły się myślą i uczuciem, oddychały poezyą prawdy. Nikt nieprzeczy p. Kraszewskiemu wielkiego talentu; tak pięknie wygładzi, wy-

---

(1) Jeżeli to nie przywidzenie, więc w katalogu *chorób moralnych XIX w.* utrzymywanym przez Wydawcę Tygodnika Pet. wypada zrobić dodatek pod literą K. (Uwaga Wyd.)

kształtuje swą powieść i puszcza w świat, niechaj się nią bawią; a czasem znowu dla rozmaitości traktuje swoich czytelników *in crudo*, niechaj się marszczą i nudzą.

Mam jeszcze jedną dla Pana zagadkę, której mój umysł kobiecy rozwiązać nie może. Co Pan rozumie o pierwszym liście p. Kraszewskiogo z Hubina umieszczonym w Tygodniku Petersburskim, którego summą jest, że Wydawca Tygodnika inny ma cel i dążenie, niż p. Kraszewski, że tenże Wydawca nieprzyjmuje do swego pisma, co z jego celem i dążeniem niezgodne, i że dla tego właśnie p. Kraszewski przestał był pisać do Tygodnika? Ktoż teraz pojmie, dla czego p. Kraszewski wszedł znowu do milicyi tygodnikowej, kiedy, jak widzimy, ani on, ani Wydawca Tygodnika niezmienił i dzisiaj swojego stanowiska? Ja tego orzecha zgryźć niemogę! Oczekując od pana wyjaśnienia tej okoliczności, przepraszam za moją ciekawość i kończę z Majorkiewiczem: »*Niech przedewszystkiém każdy człowiek wyraża ogół ludzkości, a jako szczegół będzie godnym społeczeństwa, w którém żyje.*»

Zofja K. z Brzozówki (*).

d. $^{15}/_{27}$ Kwietnia 1849 r.

(*) Otrzymaliśmy od szanownej naszej korrespondentki z Brzozówki własnego jej pióra, pełne dramatycznego ruchu i charakterystycznych opisów sprawozdanie Szambelanowej N. z podróży przez nią odbytej do Kurlandyi. To sprawozdanie pod tytułem: *Gawędka o szarej godzinie* będzie miało miejsce w N. 5 naszej xiążki.

(*Wyd.*)

Wznowione przez p. Krasz. literackie przymierze z Tygodnikiem w czasie, kiedy niepopularność tego pisma z powodu złej jego redakcyi i nader wysokiej ceny powszechnie udecydowaną została, porodziło, jak widzicie z dopiero przeczytanego listu, nader zawiłe kwestye — kwestye, których przy całém naszém sprzyjaniu literaturze w ogólności i p. Krasz. w szczególności, niepodobna jest rozwiązać na ich stronę. Jesteśmy za zgodą, za zkoncentrowaniem w pewne ognisko familijne najróżnorodniejszych usposobień i skłonności; pragniemy w naszym zawodzie patrona dobrej sprawy najrozleglejszej współki umysłowej; dążymy do okazania rzeczą samą, że poczciwe truda jakkolwiek różniących się charakterem i zdolnościami indywiduów zawsze się ztykają z sobą na drodze rozwijanej przez nas idei postępu; dla tego szczérześmy się ucieszyli czytając w Tygodniku odezwę p. Krasz., która nam wróżyć zdawała się zbawienne kryzys w exystencyi tego (rzeczywiście nader ważnego, bo jedynego u nas) żurnalu. Ale oto p. Kraszewski, w skutek zapewne podanych mu przez Wydawcę Tygodnika warunków, upadł od razu w szlachetném swojém przedsięwzięciu, bo niemając naprzód odwagi powiedzieć protegowanemu przez się, że jego redaktorskie *Objaśnienie* (poczęte w 21 Nrze i jeszcze w 50 nieskończone) złożyło się z samych nieczystych exhalacyj fałszu i złości, a potém wziąwszy się do zdawania sprawy, już to z *Rocznika literackiego* w sposób wyżej wyjaśniony, już z *Pamiętników* Edw. Marjana, których nikt czytać niechce i niemoże, już ze *Złamanej Łopaty* (sic), której autor potrzebuje jeszcze poznać się z grammatyką, już z pełnej paradoxów i złej intencyi *Gawędki* Protasza itd. itd. jak gdyby chciał przekonywać nas coraz dowodniej, że na to odzyskał swoje *poczciwe zdrowie*, aby niém służył sprawie niepoczciwej, bo prywatnemu dobru jednego zwolennika obskurantyzmu. Ileżto razy i my, czytając listy z Hubina, powiedzieliśmy z Kapelanem Fredra: »*nieuchodzi! nieuchodzi!*« — Sąto nowe zawiłości, po rozwiązanie których, już nie w imieniu tylko czcigodnej naszej korrespondentki z Brzozówki, ale w imieniu wszystkich, dbających o prawą, sumienną i dobroczynną tendencyę w naszém piśmiennictwie, udać się nam wypada i udajemy się do samego p. Kraszewskiego.

(*Wydawca*).

EXKUZA Z OBLIGACYĄ.

(*List do Wydawcy*)

Haeret in te omnis culpa.
Terentius.

Tą razą prawdziwym chcę być pośrednikiem w przesłaniu powieści do Redakcyi *Gwiazdy*. Bo pozwól sobie powiedzieć szanowny Redaktorze, że podziękowanie w N. 3 *Gwiazdy* za powieść pod tyt. *Arystokracya z warjacyami* zupełnie mi się nienależy. Tyle miałem w tém udziału, ile pocztylion, co listy i pakiety roznosi. Opieczętowany plik wręczyłem podług adresu. Nieczytałem go, bom niemiał do tego prawa. Co w nim było, nie troszczyłem się o to; wiedziałem tylko, że z za Kaukazu jakaś powiastka rzemiennym dyszlem do twojej szanowny panie Redakcyi iść miała. Skróciłem jej drogę wziąwszy ją z sobą, co z niemałą wykonałem pociechą: — rad bowiem jestem choćby najdrobniejsze owoce prac naszych współbraci zkąd można wydobywać, gdzie można zbierać i one doświadczeńszym w sprawie literackiej a znanym z gorliwości o wzrost krajowego pismiennictwa poruczać, aby ci uderzeniem swego młotka ostatni hart nowym i nieśmiałym płodom nadali, swoją plombę wycisnęli (1).

---

(1) *Redde unicuique, quod suum est.* — W parę miesięcy po rozesłaniu zaprenumerowanych exemplarzy N. 3.

Powieść, jaką teraz przesyłam, słyszałem czytaną w domie przyjacioł moich. Zmęczony pracą, dotknięty chroniczną chorobą, wyjechałem z Berdyczowa do Puzyrek na wytchnienie. Przyjaźń i uprzejmość obojga gospodarstwa zebrały miłe i liczne grono sąsia-

---

Gwiazdy otrzymaliśmy odezwy, naprzód od pana X P., mniemanego, a potem od pana J Z. rzeczywistego autora powieści — *Arystokracya z Warjacyami*. Jużeśmy mieli niejedną zręczność wytłumaczyć się ustnie z naszej omyłki przed panem X. P., którego przyjazne ku naszej redakcyi usposobienie postaramy się z czasem obrócić na korzyść ogółu, pozostaje więc tylko uczynić zadość interessowanym w tej okoliczności czytelnikom naszym, co uskuteczniamy z łatwością prostym wypisem z odezwy pana J. Z. następnych słów: »Więcej jak pewna, że pomimo łaskawego przyjęcia tej powieści przez redakcyę *Gwiazdy*, jest ona ubliżającą poważnemu pióru pana X. P., prace bowiem jego, gdy będą drukiem ogłoszone, staną się szczytném zjawiskiem w świecie uczonym i nowym blaskiem otoczą pismiennictwo krajowe. Jabym się chętnie zgodził, aby powieść ta, *przypisana panu X. P. na pamiątkę chwil spędzonych z nim w Żelaznowodsku*, została ozdobioną jego literami, jako autora; ale ubliża to jego dostojnemu pióru, jego sumienności, o której nikt z jego kolegów, nikt, kto go zna, wątpić niemoże. Dla tego upraszam redakcyę o odwołanie podpisu X. P. « — Przywracając tedy pana J. Z. do jego rodzimej w literaturze własności (niecofając wszakże oświadczonego przez nas p. Kaczkowskiemu podziękowania, gdyż wartość powieści, o której mowa, tak w obyczajowym jak i artystycznym względzie większością głosów uznaną została) prosimy go już bezpośrednio, aby talentem swoim nieprzestawał nadal opromieniać naszej redakcyi, chociażby dla uczczenia tém pamięci dostojnych swoich współtowarzyszów Władysława, Tadeusza i Stanisława, tych niestety w kwiecie wieku zgasłych żołnierzy - poetów, których pierwsze i ostatnie pienia tchnęły gorącą miłością tych samych principiów, z jakich poczęło się i na jakich byt swój ugruntowało literackie nasze ognisko.

(*Wyd.*)

dów i krewnych. Pogadanka snuła się jednym ciągiem. Po obszernej niwie przeszłości zrywaliśmy to niezapominajki, to różnobarwne pełne woni kwiaty, to piekące i jakby jadem zaprawne rośliny, to gałązki cyprysu, to wreszcie z poplątanej na drodze tarniny suche a kolące wieńce wspomnieniom oddawaliśmy. Wyszły potem na plac, jakby dla zkoncentrowania rozstrzelonych odrębnymi szczegółami myśli, tradycye miejscowych okolicznych wydarzeń. Zaczęto składkę coraz zwiększać. Tu pan Józef rzucił wzmiankę o wypadkach w powiecie Machnowieckim. Dalej mogiły tak obficie w tych stronach sterczące występowały jedne po drugich i przeciągały przed nami jakby skielety w grobowym pochodzie. Dotknęliśmy słabą, niedoświadczoną ręką okruszyn podań o starych kurhanach. Uczeńszemu kołu zostawiliśmy kilku wieków gruzy na obfite plony. Niechaj rozkoszują w domysłach, niech je prawdą ochrzczą, spierać się o to niebędziem: — tak na naszej przyjacielskiej sessyi stanęło. I napastliwego Tatarzyna wydatne ślady historykom oddaliśmy. Ale przy całunie, jaki Koliszczyzna nad częścią naszych krain rozciągnęła, ale przy rozsypanych grobach nie o wiele przodków naszych, chcieliśmy stanąć z pochodnią w ręku i wspomnieniami jakby *wieczny odpoczynek* odśpiewać. Pan Józef począł nam o *Kozaczej mogile przy Samorodku* opowiadać; ale że już pożno w noc było, odezwał się gospodarz: »Ot panie bracie, piszesz prędko, połap swe myśli jak najskrzętniej i jutro bądź nam Prezesem naszego przyjacielskiego Komitetu.« — Prosimy! zawołaliśmy. »Zgoda — odrzekł p. Józef — ale zacznę od mogiły nowoczesnej mnie dobrze znanej, o której wam na początku wieczora napomknąłem. Obstalowujecie robotę za 24 godzin; źle złożoną, źle uszytą wam przyniosę. Ko-

zacza mogiła na poźniej. Dobra noc.« — Następnego wieczora co nam czytał, to kochanemu panu w tymże samym manuskrypcie, jaki u siebie zachowałem, przesyłam. Niema ta powieść jakichś wysokich idei, co w postępie czasu i oświaty rozwijać się muszą, jest ona tylko prostym szkicem wypadku, który przeraził był całą okolicę, którego pomrok czasu niezatarł jeszcze a barwą tylko łagodniejszego wspomnienia przyodział. Znajdziesz szanowny panie w tej powieści wrodzoną zdolność do opowiadania potocznych zdarzeń; a chociaż sztuka nieubrała ją w ozdobne swoje suknie, za to wyrazitszymi są obrazy cichych cnót człowieka w domowém jego życiu, błogie zaś religijne uczucia prostémi oddane słowy mile zawsze ujmują słuchacza (1).

W kilka dni potem czytał p. Józef o *Kozaczej mogile*. Słuchaliśmy go wszyscy z wielkiém zajęciem. Kiedy skończył, niechciał oddać w moje ręce rozrzuconych kartek, ale obiecał przesłać mi tę powieść później. Mając przeto prawo upomnienia się o ten dług honorowy, niezaniedbam tego uczynić, a następnie po otrzymaniu skutku miło mi będzie podzielić się nim z panem, dla którego pełen jestem życzliwości i przyjaźni.

Karol Kaczkowski.

Odessa,
d. 10 Września 1848.

---

(1) Kogo ta literacka rekommendacya szanownego naszego korrespondenta zainteressowała, ten zaprenumerować musi następne numera naszej xiążki. Aż teraz chyba wyzwie się ktokolwiek z Machnówki na Kollektora, bo w dalszym ciągu będzie umieszczona powieść pana Józefa o okropnościach zaszłych onego czasu w Machnowieckim powiecie — powieść pod tytułem. *Dwa groby jednego ciała*. Zaczynamy niby spekulować — a cóż w tém jest złego? (*Wyd.*)

Z powodu *Exkuzy* w tym liście zawartej niech nam wolno będzie oświadczyć, że ta, co na nas spada, wina za przyjęcie i umieszczenie w naszej xiążce powieści *Arystokracya z warjacyami*, nietylko nie cięży nam na sumieniu, ale owszem zaspokaja nas, jak dobry uczynek. Mówiono nam, że fakta w tej powieści wystawione są prawie współczesne, że nawet osoby dotknięte nią żyją jeszcze: — tém lepiej! tém lepiej! My właśnie uczyć się chcemy z żywych wzorów, z natury, a nie z fantastycznych widziadeł, albo ladajakich zlepków cuchnących trupim kunsztem. Gdyby ta metoda, wprowadzona w literaturę jeszcze przez ŚŚ. Apostołów, godnie naśladowaną była przez tych wszystkich, którzy czuli w sobie powołanie do nauczania współbliźnich mową i pismem, to kto wie, ilubyśmy się błędów już pozbyli tak w publiczném jak i prywatném życiu! — Bo człowiek gotów jest zły swój uczynek powtórzyć dla tego właśnie, że nie było, ktoby mu go w naturalnej jego szkaradzie wytknął na oczy, że nikt mu ohydnego nazwiska tego uczynku głośno niewymówił. Któryż chrześcjanin, czujący moralną swą godność, może obrażać się za prawdę choćby najprzykrzejszą, prawdę, wyrzeczoną przez jego anioła-stróża, dla jego upamiętania, poprawy, zbawienia? A jeżeli uwierzymy raz na zawsze, że zupełnie złych ludzi niema na świecie, że to, co złymi ich wystawia w naszych oczach, prędzej czy później poprawić się i wykorzenić daje; to ani autora *Aryst. z war.* za człowieka zdolnego do pisania paskwilów, ani nas, usilnie starających się o podobne z realnych żywych sytuacyj utwory, za niepojmujących ducha moralno-naukowej publikacyi, nikt zapewne poczytać niezechce. Wiele już i bardzo wiele pisano dla samej zabawy, sprobujmyż jeszcze pisać dla pożytku.

(*Wydawca*).

LISTY KONWERSACYJNE

WANDALINA HABDANKA

DO

REDAKTORA GWIAZDY.

LIST I.

. . . . . szki, *16 Stycznia 1849.*

Il faut regarder comme dans un miroir, dans la vie des autres, et apprendre par leur exemple à faire le bien et à fuir le mal.

Scribe ergo quae vidisti, et quae sunt, et quae oportet fieri post haec.
Apocal. B. Joannis Ap. C. 1. v. 19.

. . . . . (*). Nie jestem już młody (ani też stary jeszcze) i mam trochę pretensyi do daru obserwacyi, który mię dotąd na drodze sympatyi lub repulsyi, mogę sobie po-

(*) Opuszczamy wstęp dosyć obszerny, który jest zarysem wywołanej przez nas korrespondencyi P. Habdanka, bo zamierzamy dzielić się nią nieprzerwanie z czytelnikami naszymi.
(*Wyd.*)

chlebić, niezawiódł jeszcze w sądach o człowieku, z którym bywam zetknięty. Sposób mojego życia ztajemniczył mię z dość sporą liczbą znajomych, pomiędzy którymi wszakże, przyznam się otwarcie, pierwszego napotkałem Pułkownika N., który po nabytém już przezemnie doświadczeniu odpowiadał wszystkim warunkom dzisiejszego pojęcia typu obywatela. Jest on dla mnie skalą, do której przymierzam innych ludzi, i bądź Pan pewien, że choćbym bardzo wiele o jego charakterze i przymiotach duszy prawił, jeszcze małobym powiedział. Powiem tutaj o nim tyle tylko, ile potrzeba do głównej myśli tej gawędki. — Pan N., Pułkownik b. w. p., pod względem umysłowo-moralnym, o którym tu tylko piszę, zupełnie odpowiada potrzebom czasu i jest niejako urzeczywistnieniem idei prawego ziemianina-obywatela. Jestto człowiek światły, dość obeznany z praktycznémi nauk wiadomościami, gruntownie pojmujący moralną godność i prawdziwe powołanie człowieka na ziemi; zasad najczystszych, charakteru otwartego, prawości nieposzlakowanej, surowy sędzia własnych swych czynów, pilny w wykonywaniu swoich obowiązków, wzorowie porządny, sprawiedliwy, bezstronny, słowem, żywa antitheza największej części w około żyjących obywateli, o których pomyślawszy westchnąć musisz, że tak niegodnie zużyli czas i zdolności swoje dane im dla uszlachetnienia, dla podniesienia moralnego biednej społeczności. Ale podobno to tak wszędzie się dzieje i dziać, niewiem jak długo jeszcze, będzie. Pułkownik N. najlepszym jest przykładem doskonałego we wszystkich względach obywatela. Jako głowa familji, może posłużyć każdemu za wzór pod względem tkliwości, delikatności, obyczajności i rozsądku w pożyciu małżeńskiem, a skrupulatności, bezprzesądności i ścisłej konsekwencyi

w wychowywaniu dzieci swoich na ludzi. W pożyciu społeczeńskiém posiada te rzadko z sobą w parze chodzące przymioty — rozumną oszczędność i miłą gościnność — przymioty, których skrzywienie albo przesada tyle utrapień i klęsk sprowadzają nietylko na rodziny ale i na kraj cały! Co wszystko zaprawione światłym umysłem, uczuciem indywidualnej zacności i właściwym mu, pełnym najdelikatniejszego smaku taktem (bo nic prawdziwszego nad zdanie, że *dobry gust wypływa z dobrych obyczajów*) czyni towarzystwo z nim nader zajmującém, nader wpływowo-zbawienném dla serc, umiejących cenić te rzadkie skarby naszego duchowego żywota. Śmiało powiedzieć mogę, że niewiele mamy takich, tak zgodnych z potrzebami naszej cywilizacyi ludzi. Zastanawiałem się nieraz, czy ta moralna siła, ta ciągła ku dobremu dążność i wytrwałość w pilném wykonywaniu przyjętych obowiązków pochodzą z natury czyli też z wychowania? — i jedno i drugie nastręczało mi się razem do rozwiązania tej kwestyi. Nic on nie czyni takiego, coby go zanadto od innych ludzi odróżniało, a przecież czyny jego zawsze są napiętnowane tą cechą wyższej szlachetności, co myśli nawet niedopuszcza o egotycznych chęciach, zamiarach. Inni jeśli podobnie coś robią, to dla tego, aby to widziano, chwalono, podziwiano; w nim najmniejszej pretensyi niema, bo wszystkimi jego krokami kieruje albo prosta chęć przyłożenia się do publicznego dobra, albo sama wewnętrzna duchowa potrzeba robienia dobrze, co uważa za naturalny obowiązek, za przeznaczenie rozumnej istoty. Dla tegoto zbierające się u niego towarzystwo czuje mimowolnie tę wyższość, tę magnetyczną tęgę ducha i hołdować jej musi, według różnych swych indywidualnych usposobień, albo szacunkiem, albo zawi-

ścią : — tak jest, zawiścią, bo czyż taka żyjąca antitheza powszedniego powszedników istnienia, może niemieć nieprzyjaciół, o jakich bajka *Fortel Sowy* wspomina? — Ale, zapytasz Pan, dla czego go z tym obywatelem zapoznaję i tak obfitym zajmuję panegirykiem? — Oto dla tego, że w dalszym ciągu tej gawędki niechcę na powietrzu budować teorycznych zamków, że miło mi będzie wskazać mój typ na dowód mającej się rozwijać prawdy. I niemyśl Pan, aby to był entuzyastyczny sąd porwanego szlachetnémi wyobrażeniami człowieka. O, nie! dwanaście już lat obserwuję ten mój typ, i obserwuję z bliska bardzo, oko w oko. Przez taki przeciąg czasu entuzyazm nieoparty na prawdzie nigdyby się ostać niemógł i skutkiem samej swojej bezzasadności dawnoby już wywietrzał, zniknął. Powiem też z pewném uczuciem zarozumiałości, że umiem dobierać *swoich* ludzi i dowierzam zupełnie tej sympatyi, która mię dotąd niezawiodła. Poznanie tego człowieka uważam za nieoceniony dar dla siebie, on bowiem w trudnym zawodzie moralno-umysłowego życia dał mi budujący z siebie przykład, ukazał pewny punkt do oparcia się w sądzeniu o najoderwańszych przedmiotach i, rzec można, dopełnił praktycznie kursu mojego wychowania. Taki tedy człowiek mógłże niepowitać z najżywszą radością myśli zawartej w *Gwiazdzie* — myśli, wyklutej z czysto-moralnego pierwiastku dzisiejszych potrzeb cywilizacyi? W jego to imieniu udałem się był do Pana z prośbą o nadesłanie kompletu *Gwiazdy*; onto pierwszy zapragnął czynnie wpłynąć na rozkrzewienie postępowych wyobrażeń w tych stronach nieznających prawie pańskiej publikacyi i nierozumiejących jej myśli. Teraz oto ja w W. a pan N. w R. staramy się

propagować nasiona rzucone nam dobroczynną ręką p. Dołęgi (1).

Aby dać panu jeszcze jakiś szkic tego obywatela w jego pożyciu z ludźmi, rzucę tu kilka rysów czasu przepędzonego zeszłych Świąt B. N. w jego domu. Znasz Pan dobrze sposób zabijania czasu przy trywialnych, często nawet obscenicznych gawędach, lub przy zielonym stoliku większej części towarzystw. Daszże Pan temu wiarę, że przez pięciodniowy pobyt nader licznego towarzystwa płci obojej w jego domu ani pomyślano o kartach? ani spostrzeżono, jak ten czas zeszedł? — Jakże ten czas był zajęty? — Była młodzież, były panny, mężatki i mężowie, matki i ojcowie. To wszędzie jest, ale byli przytem tacy gospodarze, jakich niełatwo znaleźć, w naszych osobliwie stronach. Więc wszystko, co się robiło, niemogło być bezmyślnem zabiciem czasu, bo było zaprawione tą czysto-duchową z uczucia etyczno-estetycznego płynącą ambrozyą, która takim urokiem napełnia każdą zabawę towarzyską i która tak pojętną jest dla wyższych umysłów psychologicznych a instynktowie zniewalającą dla reszty serc poczciwych, co nieumieją sobie zdać rachunku z uczuwanej przyjemności. — Była więc muzyka instrumentalna i wokalna, były gry towarzyskie i tańce, ale nadewszystko, była gawędka z Gospodarzem, każdy prawie przedmiot z właściwego mu stanowiska oceniającym.

(1) Robimy tutaj znaczną szczerbę dla uniknienia jedynie amplifikacyi, następne bowiem miejsce (wyjątek z listu p. Pułkownika N.) jest powtórzeniem tych zdań pochlebnych o *Gwiazdzie*, które już są znane czytelnikom naszym z listów jednego Kaukazkiego i dwóch Odesskich naszych korrespondentów.

(*Wyd.*)

Dziwniebo też zajmującą i nauczającą jest jego rozmowa. Ten człowiek różnostronnego doświadczenia, przed którego oczyma wiele niezwyczajnych wypadków przeszło, posiadając piękny dar łatwego i jasnego tłumaczenia się, a przy swoim szóstym krzyżyku duszę nieostygłą i serce tkliwe, jest prawdziwym fenomenem wirtualności pośród dzisiejszego pokolenia młodzieży, której stan oziębłości i oschłości powszechnie zauważany i prawie już endemiczny w naszym kraju gwałtownie domagać się zdaje nowego Messyasza, Zbawiciela. Sympatyzuje on z dobrą, szlachetnych skłonności młodzieżą i rad z nią obcuje (mając już syna w Dorpackim uniwersytecie); ona też, smakując w światłej rozmowie, ochoczo zawsze garnie się do niego. Dyskussye literackie, krytyczne uwagi nad niektóremi dziełami naszych pp. autorów, tudzież rozmowy o głównych przyczynach obecnej demoralizacyi i o zaradczych na nią środkach najmilej czas nam zajmowały. Ja, w czasie najżwawszej rozmowy, wtrąciłem był złośliwie zapytanie: czy nieraczyłby kto do preferansika lub do wisto-preferansa zasieść? — Dmuchnąłem w ul! Na takie *dictum acerbum* powstała wrzawa mężczyzn i kobiet; *tandem* uczciwszy uszy jako winowajca przełożyłem pokornie, że gotów jestem za karę być zdegradowanym na stopień Lektora. — »I słusznie! prosimy! prosimy!« — A ponieważ mieliśmy w towarzystwie niemało dobrze ukształconej młodzieży i ponieważ w uprzedniej naszej rozmowie pomiędzy literatami wpływającymi na publiczność niepoślednie zajmował miejsce i pan Dołęga z powodu ducha swojej redakcyi, więc dla zrozumienia go i objaśnienia lepiej, czytałem z Lewiatana artykuły: *o korzystaniu z młodości* i *o kłamstwie*. Pocieszniето było patrzeć na miny pewnych osób podczas tego czyta-

nia, osób, które spodziewając się znaleźć w domie Pułkownika liczne zgromadzenie, przybyły właśnie w celu korzystania z własnych swych, nabytych przy zielonym stoliku usposobień, a nie z jakichś tam naneczek Redaktora *Gwiazdy*. Podziękujże mnie panie Dołęgo za energiczne wydeklamowanie twoich szlachetnych myśli, bo ja byłem dobrym lektorem, a moi słuchacze dobrymi kommentatorami. Ale co mówię? my to raczej obowiązani jesteśmy Panu i niesiemy mu serdeczne dzięki za intencye zbawienne, za śmiałe wystąpienie przeciw zepsutej i psującej się coraz moralności, życząc z duszy, aby Bóg pobłogosławił dobremu ziarnu obfitym z niego urodzajem. Płeć zaś piękna, której odczytałem także bezbożny, nowo-heglistowski *Epilog* Innocentego z nad Tybru, sarkastycznie użalając się nad nim, że tak prędko potracił Penaty swoich wierzeń, przesyła ci malutką uwagę do twego dopisku panie Dołęgo, jakoby p. Innocenty *krążąc około Prawdy ugodził ją w same ognisko*,— uwagę, że to ognisko ułożył ten pan Nadtybrzański w stos wielki z nader brudnych palnych materyałów i sam oszałomiony został mefitycznym ich pierwiastkiem, nie więc dziwnego, że osmalił skrzydła upadłszy na to ognisko, i wyraźnie powiedziała, że już w żaden sposób powstać niemoże, bo *kto z kim przystaje* i t. d. *wart Pac pałaca* i t. d. (1); ja zaś od siebie przytoczę tutaj nader słuszne zdanie z Szyllera:

Es liebt die Welt das Strahlende zu schwärzen,
Und das Erhabene in den Staub zu zieh'n;

---

(1) W interesie samej Prawdy przypominamy naszym niepięknie gniewającym się czytelniczkom, że w Epilogu, o którym mowa, najświetniej uczczoną została płeć piękna w osobie,

Doch fürchte nicht! Es giebt noch schöne Herzen
Die für das Hohe, Herrliche entglüh'n!
Den lauten Markt mag Momus unterhalten
Ein edler Sinn liebt edlere Gestalten.

Taż płeć piękna (a była to szlachetna płeć piękna:) kazała ci panie Dołęgo zasłać podziękowanie za dążenie

---

której dar przyjacielskich uczuć wiecznie chronić się ma przy sercu autora, czy też w wędrownej jego torbie, w tej torbie, z której wszystkie inne pamiątki ustąpić musiały dla zrobienia miejsca sucharom. Uwaga też z tej poezyi wyprowadzona o upadku naszego poety bez powstania, daleką jest od ścisłości logicznej; nam się owszem zdaje, że on tylko zwinął skrzydła dla wytchnienia po długich a marnych wędrówkach w krainie ułudy i sztucznej sentymentalności, — zwinął, gotując się do wspanialszego lotu po tej czystej przestrzeni, kędy blask sieją gwiazdy moralnego naszego odrodzenia; co bardzo podobném jest do prawdy, bo ostatni list jego tchnie niepospolitą siłą moralnego zdrowia, jak to zauważyć można z tego np. drobnego wyjątku: — »Jeżeli gdzie, to osobliwie u nas każde zdzbło wschodzące na rodzinnej niwie potrzebuje ochrony serdecznego współczucia. Praca i miłość wspólna są błogosławieństwem i rozmnożeniem plonu. Gwiazda czy Lewiatan, Rubon czy Rocznik, Biblioteka czy Athenaeum, wszystko to działki nasze, dla których nie nam przystało być Herodami. Wyższy nad drobne, powszednie namiętnostki powinien być pisarz-obywatel. Areopagiem jest czucie i wiedza ogółu. Ten sąd prędzej czy późniéj nastąpi, a jest zawsze potężny, straszny i sprawiedliwy. Chcecie dowodów? — Patrzcie na dumny niedawno tryumwirat naszego piśmiennictwa, otrąbiany tłuszczą heroldów, dźwigany na barczystych plecach ciemnoty. — Oto stoi w obliczu świata pod pręgierzem zasłużonej hańby i niezejdzie pierwej z rusztowania, póki mu kat opinji nie wyciśnie ohydnej pieczęci! Cóż już mówić o wydawcy Tygodnika — o tym żuku, którego przeznaczeniem jest żyć w exkrementach pseudo-filozofów i pseudo-estetyków? Prawdę mówiąc, kabalistyczna mądrość nieszczególnie przysłużyła się temu panu odradzając go na takie paskudne życie!« — A co? widzicie szanowne Litwinki, że Innocenty, to ptak zdrowy i

twoje ku przedsięwzięciu obrony upośledzonych u nas moralnych obyczajów, za myśli w twoich wymienionych artykułach zawarte. Nie zasypiała ona, nie, podczas mojego semunonicznego *ex cathedra* czytania. Po fizyonomjach naszych kobiet ja zawsze sobie przypominam autora *pieśni o ziemi naszej*. Rozumno-sercowe pojęcie potrzeb naszego czasu czyściej w ich łonie przebywa, niż w naszém. Ale o tém odkładam gawędę do swego miejsca, gdzie odpisywać będę na treść pańskiego listu.

Czytałem także *Marę* Nowosielskiego. Ileż ona entuzyazmu, ile sympatyi, ale razem i zapłonienia się wywołała! Przyznam ci się p. Dołęgo, że byłem w upałach czytając zdarzenia Pułkownikowej i jej córek, i musiałem niektóre miejsca opuszczać, bo były w naszém kole młode panienki. Co się tycze wewnętrznej wartości, czyli moralnej nici snującej tę powieść, nie wszędzie ona jest jednakowej mocy, za nadto idealizując męczyznę, a na odwrót zanadto karykaturując kobietę. To nienaturalnie i niekonsekwentnie. Zresztą, co do pojedyńczych obrazów, wielką jest rzutkość i dyalektyka postępowego ducha autora.

Między innémi czytaliśmy i recenzyjkę pańskiego Korrespondenta z Kaukazu — *de Astro Kioviense*, która nas szczególnie zastanowiła uwagami swémi nad *Latarnią* p. Kraszewskiego (Odd. 1.). A ponieważ mieliśmy pod ręką to dzieło, właśnie świeżo nam wtedy na-

---

krzepki, pełen poetyckiej werwy! A gdy tak jest rzeczywiście, to czyż nie naturalnie postępujemy, prosząc was z naleganiem, abyście uwagę o zupełném jego niedołęztwie, podyktowaną chwilowém waszém nieukontentowaniem, zastąpić raczyły poważniejszym na *Epilog* poglądem?

(*Wyd.*)

desłane, więc wzięliśmy się następnie z Pułkownikiem do odczytania jego. — I otóż powiem Panu, że wcale nieznaleźliśmy słusznémi tych uwag recenzenta, jakoby autor *objawiał skutki bez wykrycia głównej przyczyny, bez zbadania zła w samém jego zrzódle;* jakoby *objawiając złe w panach, zawsze je tak swoim talentem ubarwiał, że się takiém jak było rzeczywiście niewydało, a przeciwnie co do braci szlachty nieżałowano pracy do oddania jej w kolorach ostatniego poniżenia, w jakiém może się ona i nieznajduje;* jakoby wreszcie *Wołyń cały fałszywie przedstawiony w tej Latarni*. Na te zarzuty króciuchno odpowiadamy. Pan Kraszewski owszem zło zbadał, kiedy je tak dystychicznie, zwięźle w mistrzowskich swoich obrazkach przedstawił. Latarnia *per excellentiam* z natury swej jest mozajkowaném malowidłem, którego właśnie celem wytknienie nienormalności społeczeńskich, a nie pedagogiczny wykład etycznego kursu: zkąd zło się wzięło i jak je przytłumić, wykorzenić? Są dzieła, co taki cel przedsiębiorą, ale te właściwie odnoszą się do elementarnego kursu moralnej nauki. Moralnemu artyście chodzi o wskazanie zła i przedstawienie go w mocnych a prawdziwych kolorach; moralista zaś filozof, pedagog niechaj z tych odkrytych symptomatów wyciąga i rozbiera przyczyny i zaradza na przyszłość środki przeciw zepsuciu wychowującego się pokolenia. Bez obserwacyjnego i wszystkie odcienia towarzyskich obyczajów czuć zdolnego ducha niepodobna pochwycić prawdę żywcem, czyli jak mówią, na gorącym uczynku, a pan Kraszewski ciągnąć sążnistych morałów nielubi, chociaż zło oczywiście dostrzegł i dostrzegłszy musiał zbadać jego przyczynę. Sztukować się także nielubi i idzie zawsze za głosem swojej artystowskiej weny, dalej a dalej bez

odpoczynku i bez znużenia prawie; a czyja wola, niech sobie korzysta z wyświeconych obrazów. Pan Kraszewski swojego założenia w Latarni (mówię o 1. seryi, bo drugiej jeszcze nieczytałem) wyśmienicie dowiódł w wielu miejscach. Stanął on z ostrą swoją siekierą około nader sękowatego jeszcze kloca naszej społeczności i puściwszy ją po znakomitszych garbach dość regularne cięcia porobił. Cóż zaś łatwiejszego, jak główną przyczynę zła pojąć? — o tém tyle a tyle już razy mówiło się i mówi. Powtarzam, że to jest sprawa moralisty a nie sztukmistrza. Co do samej sztuki, tej powolnej służebnicy p. Kraszewskiego, jużci ona żyjące, rzeczywiste musiała brać wzory, kiedy one tak są prawdziwe. My, cośmy to czytali, widzieliśmy jak na dłoni żywe i dobrze znajome typy przedstawionych osób. Chcecież, aby dla jakiejś tam przyzwoitości, czy sztucznego effektu sztuka uciekała się do pustych urojeń, marzydeł? — o nie! dosyć już tego tworzywa z własnej wyobraźni. Niech sobie co chcą mówią, a ja to uważam za niegodne dzisiejszego artysty. Twór imaginacyi nieoparty na niczém realném, faktyczném, zawsze nazwę kłamstwem. Prawda jest najszczytniejszą poezyą i najokazalszym artyzmem. A kiedy Kraszewski wyświecił prawdę w swojej Latarni, kiedy ukazał oczom naszym to, na cośmy wprawdzie patrzyli, ale niewidzieli, to i odpowiedział godnie swojej artystowskiej wenie. Dzieło to, na najczystszej moralności i duchu postępu oparte, pospiechem wprawdzie trochę grzeszy, ale celem bynajmniej. Krzycząca tam prawda! słona prawda! — A kiedy prawda, to my naturalni wrogowie fałszu, my, *antimikrosy*, na odwrót chodzić nieumiejący, powinniśmy, uderzywszy się w piersi, czoła przed nią uchylić.

Dalej niepojmuję, gdzie mianowicie w Latarni upatrzył recenzent, że zło w panach osłonięte zostało płaszczykiem jakichś osobliwszych względów w stosunku do szlachty, którą jakoby w odstręczającej jej nagości rażnie, bez żadnych skrupułów przedstawiono; niepojmuję, dla czego posądził autora o jakąś, wcale nie artystowską, sympatyę ku panom, kiedy tu przeciwnie jak wół stoi moralna ich nicość? — gorzej jeszcze, bo ostateczne upodlenie i wyzucie się do krty ze wszystkich przymiotów moralnych odcechowują tutaj charakter pp. Hrabiów? Być może w obec takiej massy cierni zgromadzonych nad głowami panów stracą swą barwę posępną wszystkie te łotrowstwa nieokrzesanej naszej szlachty, jako wymówić się dające moralném zaniedbaniem? — Nawet nie *może*, ale rzeczywiście. A ktoż winowajcą tego zła u szlachty? a ktoż temu winien u panów? hę?.. Wołyń ten taki poczciwy, a tak niegodziwie, w tak fałszywych przedstawiono kolorach!? — Dajcie pokój panie recenzencie podobnym zarzutom. Wołyń, Podole, Litwa, Mazowsze — wszystko to są poczciwce z kościami, ale mają i muszą mieć niestety swoich niepoczciwców. Nie mniej zapewne od recenzenta przywiązany jest do Wołynia pan Kraszewski; a jeśli brał z natury takie ciemne, rażące moralną brzydotą obrazki, to coż znaczą te kilka indywiduów w stosunku do summy reprezentantów wyższej oświaty którejkolwiek krainy? — Nie w tychto miejscach Latarni, które recenzent wymienił, dopuścił się grzechu p. Kraszewski; zgrzeszył on raczej tam, gdzie trochę za arbitralnie wystąpił z ogólnym sądem o wszystkich prowincyach, uosobiając ten sąd w pewnych jednostkach nie nader korzystnie siebie przedstawiających. Bo nie trudnoby było okazać autorowi gromadnie w każdej pro-

wincyi wbrew przeciwne jego twierdzeniu przykłady. A tymczasem szali na ważenie dobrego i złego nieposiadamy jeszcze tak pewnej i doskonałej, aby można było absolutnie zawyrokować: tu jest tyle tego, a tyle owego; bo te rzeczy, jak wszystkim wiadomo, są ruchliwe i zależne równie od czasu, miejsca, jak i okoliczności prawie codziennych. W tém to jest pobieżność.

Natalja — ten typ niezwykły piękności moralnej, typ niegodzący się w niczém z powszechnémi prawie u nas pojęciami o wyższych zaletach płci pięknej — czy niejestto tylko dowolna, szlachetnie przez autora poczęta kreacya w odwet tym cudackim zagranicznej metody wymaganiom, znanym pod nazwą emancypacyi i usamowolnienia? Ale nie, i to nie czczy ideał, to także obrazek zdaje się z natury, tylko zanadto wygładzony miękkością sybarytskiego wychowania. Obawiam się o bezcelowość podobnego życia, a raczej wychowania, ale podobam sobie w miłej naturalności tego dziecka rodowitego naszego piękna, pewnym będąc, że zawsze znajdę w miękkiém sercu charakter mocny, jeżeli go znajduję w sobie. Coś podobnego nawet znam ja rzeczywiście, a jeszcze lepiej pojmuję, rozumiem ten charakter.

Szczęście twoje panie Dołęgo, że nieczytałem jeszcze 2 seryi Latarni, a to tę nieznośnie długą gawędę bardziejbym jeszcze rozciągnął, zwłaszcza, że (jak słyszałem) coś tam niebardzo pochlebnie o Krzemieńcu powiedziano.

Gryf był przyjęty w naszém kole według ważności swojej dyscyplinarnej polemiki. Winszowaliśmy z duszy polotowi jego orlej mości. Gruba to zwierzyna i wcale niechwytna dla panów polujących *ex professo* na błoniach empiryzmu. Trudno go dojrzeć lecącego, a

jakżeby tu pojmać, usidlić i przyknć go do poziomu empirystów, wiecznie dla utrzymania siebie przeżuwających fakta? Dzielny! dzielny jest swoją siłą, swoim polotem do słońca prawdy!

Nie sądź więc zupełnie zle o Żmudzi panie Dołęgo, kiedy towarzystwa jej znajdują upodobanie w podobném spędzaniu dni rozrywkowych. A nie w jednym tylko domie Pułkownika N. tak się dzieje; jest chwała Bogu więcej tam młodzieży pojmującej postępowo-moralny cel życia. Jednego z tego grona może Pan poznasz wkrótce, bo w tych czasach ma się udać do uniwersytetu Kijowskiego z Dorpackiego, gdzie zostawał dotąd.

Takito jest, acz dość rozwlekły ale tylko drobnostkowy, rys mojej ćwierć-literackiej na Żmudź wyprawy. Wszedłszy z Panem (za wyraźném jego upoważnieniem) w ciągłą korrespondencyę, czuję się niejako obowiązanym przesyłać mu charakterystyczne opisy moralnego usposobienia tych strón od niego odległych.— Żmudź rzeczywiście, osobliwie w R. i K., wyższą jest pod względem oświaty od W., gdzie obecnie stałe mam mieszkanie. Tutaj pustynia straszna i bardzo chłodna w pojęciu idei cywilizującej. Jest tu pewna partya jezuickiego pociągu składająca się z arystokracyi miejscowej; reszta zaś, nasza bracia, niema dostatecznego pojęcia celu życia. Różnorodne te osobliwości dokładnie już są opisane w *Parafjańszczyznie*. Ja np. nietylko nieznajduję tu, ale nawet nieprzeczuwam kogo bądź, z kimbym mógł zrozumieć się, zbratać duszą; a przecież do osób odśrodkowych, czyli *szustowych*, mówiąc po prostu, nienależę. Cóż robić!..—Powiaty W. i P. walczą o prym z sobą w bohaterstwie około zielonego stolika. Po domach, gdzie się zbierają towarzystwa

(ale gdzież się one nie zbierają?) ciągła prawie szulerka. Powróciwszy ze Żmudzi dowiedziałem się o nader przykładnym postępku naczelnika tutejszego duchowieństwa. Jestto żywiusieńkie powtórzenie przez Ojca Dziekana owej rozmowy w zakrystyi (*Mara* Nowosielskiego) po kazaniu O. Pachomiusza. Dam Panu niektóre rysy naszego Dziekana.

Nasz X. Dziekan jestto figura nielada; ma wielki i grzmiący bas, którym się szczyci w chórze, i basiste z góry spójrzenie, którém protekcyonalnie częstuje uboższą szaraczkową szlachtę, — a spojrzenie to i wyraz twarzy utremifasolują w styczności z osobami różnego stanu według skali swojego diapazonu, tak, że w domach wysokich panów, jaśnie wielmożnych hrabiów i innych znakomitszych protektorów, fizyonomja jego spada *decrescendo* do ciehutkiego i pełnego uszanowania — *mi*. Ale zato z podwładném sobie duchowieństwem młodszém obacz, jak *risoluto* postępuje! do jakiegoto kontraltu wznosi się ten bas, kiedy za lada fraszkę powstaje na subalterna i rozkazuje mu stać u progu! — Albożto złe? — To utrzymuje karność i porządek.

Obaczcież, co u X. Dziekana świeci na twarzy, kiedy przed nim głośno chwalą podwładnego mu kaznodzieję za jego pełną godności i onkcyi religijnej wymowę? — Coś tam niedobrego, niechrześcijańskiego wtedy wygląda z tej twarzy, coś tam i w duszy musi być nieodpowiednego uczuciu apologistów, kiedy bas jego na same tylko pogardliwe zdobyć się może słowa. Ale cóż w tém jest złego? to utrzymuje w pewnej ryzie talent mającego się ćwiczyć w cnocie pokory i małego o sobie rozumienia kaznodziei, zwłaszcza, że sam X. Dziekan wie, jak trudna to jest sprawa kaznodziejska,

bo wstąpiwszy na kazalnicę darmo rozkazać chce nadętym swoim słowom, aby weszły do serca słuchaczy.

Obaczcie także, jak X. Dziekan kaptuje sobie benewolencyę starszych urzędników powiatowych; jak się koallizuje i w jeden interes łączy z niektórymi, aby swój wpływ obrócić przeciw jednemu biednemu kancelliście, który sumienną a długo-letnią służbą, ubogiém a poczciwém życiem, porządném a umiejętném prowadzeniem swego obowiązku zasłużył na względy swoich zwierzchników, że ci za odkryciem się wakansu podnieśli go na urząd zapewnić mogący przyszłość biednej jego rodzinie. A gdy mu ten urząd był już poruczony, obaczcież, jak X. Dziekan wojował przeciw temu poczciwcowi forytując drugiego, uczciwego też człowieka, ale za którym, jako za kandydatem do stanu małżeńskiego, cała prawie miasteczkowa płeć żeńska była, bo on umiał się zalecić, przypodobać! Alboż wreszcie niewiecie, jakie u nas zabiegi o miejsca robić potrzeba, — podczas, kiedy nasz chudopachołek ani pomyśleć mógł o tem, bo u niego niestać na to, bo na Boga zdał swój los, mówiąc: szkoda czasu i atłasu na te zabiegi, kiedy zupełnie kogo innego mogą przysłać z gubernskiego rządu. Jakoż zgadł, bo pomimo zatwierdzenia go przez miejscowy komplet sądowy, został usunięty od urzędu, został takim znowu jak był biedakiem.— Cześć wszelkiej sumiennej i poczciwej pracy! — Dziwił się tylko nasz biedak, że X. Dziekan, któremu zdzbła do wody nigdy nierzucił, który go nawet za przykładne i uczciwe życie chwalić był zniewolony, tak nieżyczliwie przeciw niemu występował! — Albożto źle Xiędzu mieszać się do ziemskiej opatrzności w losach człowieka? — zawsze to jest pewna derywacya od niebie-

skiej Opatrzności, której on z powołania, z obowiązku swego powinien być organem.

Obaczcie jeszcze, jak X. Dziekan umie krotofilnie opisywać w listach wady i ułomności powierzchowne tych owieczek, które się jemu niepodobają; jak umie satyrycznem piórem oczerkiesić całą uczciwą rodzinę, z pomiędzy której wypadkiem chorób i operacyj lekarskich ten np. został z przykurczoną szyją, ta ze skazą na oku, owa ze skrofuliczną bladością i t. d. — jak on umie nazywać to *menażeryą* i ubarwiać opisy swoje komicznymi epitetami! — Alboż to złe? Czyżto nie pobożnie jest, chcieć widzieć swoją trzódkę gładką, foremną, tłustą? — to wcale *dodatni* przymiot w pasterzu. Ale potrzebaż, aby ten pasterz i w tej samej okoliczności został potężnie zkonfundowany przez jakiegoś dzikarza, barbarzyńcę leśnego, który na piękności jego okrągłej a nadętej postawy poznać się nieumiał! Tak się stało rzeczywiście, bo kiedy mu X. Dziekan w poufałém swojém gronie odczytywał te swoje burleszki, ten gbur, nieznający się na rzeczach, śmiał zrobić konfidencyonalną uwagę w tych słowach: »Ależ kochany Dziekanie! gdybyś sam sobie się przypatrzył i umiał sprawiedliwie siebie z powierzchowności osądzić, tobyś przecie widział, że zupełnie jesteś podobnym do dulki z ciasta wziętej w kułak i przez palce wyciśniętej.« — Wszyscy w śmiech, a nasz X. Dziekan padł jak długi od tej broni, którą sam wojował.

Nasz X. Dziekan rej wodzi między niewiastami. Bo też to i prawda, że nabożeństwa w Kościele okazałe i porządne; że co niedzielę miewa do ludu w miejscowym dyalekcie *nieporównane*, jak mówią, kazania; że prócz tego po kazaniu zawsze pracuje nad ludem opowiadając mu i tłumacząc główne zasady wiary. To

wszystko bardzo chwalebnie i przykładnie. — Ale czemuż niestety nie wszystko idzie w nim równie do przykładu! Patrzcie, jak go otacza tłum naszych pobożnych niewiast, jak on wie, na którą protekcyonalném, a na którą hardém czy pogardliwém rzucić okiem! Pobożne zaiste dusze! wiele z nich czyni to dla uszanowania tylko świętej sukienki duchownego, ale inne, chociaż tak mówią, zostają rzeczywiście pod bezpośrednim wpływem Xiędza. To jednakże jest do zauważania, że X. Dziekan szczególniej piękne panienki proteguje i rad zawsze dyskuruje z niemi. A coż w tém jest złego? czyż to zawadza obyczajności?— bynajmniej! Czyżto raz wyszło z ust X. Dziekana przysłowie: że sukienka duchowna a panieńska, to wszystko jedno, to są siostrzyce niewinności? Zatoż do tego stopnia posiadł on zaufanie panienek, że go one obrały nawet za cenzora obyczajności w czytaniu xiążek polskich, pytając się: »X. Dziekanie! a te xiążki dane mi od pana N. czy można czytać?« — a X. Dziekan podług głębokiego swego znawstwa literatury daje wyroki i pozwala czytać, albo nie. Coż to złego? I owszem, ja szczérze powiadam, że taka opieka moralno-obyczajowa ze strony kapłana nader jest chwalebna, jak znowu podobna powolność ze strony panienek nieufających w swoje duchowe ukształcenie, a więc potrzebujących moralnego stróża, nader zbawienna; ale to wtenczas, kiedy jedna strona czynami swymi dowodzi, że zostaje na wysokości swego powołania, a druga przeświadcza taktem obyczajowym, że więcej ufa w swoją przyrodzoną skromność. — Cożkolwiek bądź, przy tej zręczności niezawadzi poczęstować duchownym obroczkiem polskich naszych pisarzy, aby oni zawsze tak pisali, żeby dając do przeczytania ich dzieła kobietom, nietrzeba było po-

tém rumienić się za nie. Jużto dawniej, podobno gdzieś w *Studyach* Kraszewskiego, było powiedziano, że pisarz polski czuje ten wrodzony mu wstyd niepopisywania się w dosadném określaniu obsceniczných wypadków, jakimi francuzka literatura grubo się odznacza. Życzyłbym naszym pisarzom zawsze się rządzić tym przyrodzonym słowiańskim sromem a niekorzystać nigdy ze zdolności i chętki do wybryków antimoralnych. Wszak lepiej, kiedy literatura nasza nosić na sobie będzie piętno tej miłej a poważnej obyczajności, która tak nam do twarzy i do serca przypada? — Ale powróćmy do Dziekana.

Nasz X. Dziekan jest *per excellentiam* bohatérem zielonego stolika. A ponieważ na placu tej walki zwyczajnie ślepy los rządzi, więc ufny w powagę swego urzędu i w swoje szczęście, zasiada z onkcyą do stolika i każe ślepej fortunie przychodzić do siebie. Zbłądziła biedaczka, jako ślepa i ominęła ulubieńca swego. To przegrywał, to wygrywał, rozmaicie się zdarzało. Aż oto w ostatnich czasach, niewiem co sobie pomyślał X. Dziekan, może i to, że teraz prebend i synekur niema, że dochody niewielkie, że się przegrało dużo, że jedném słowem potrzeba pieniędzy jak najwięcej, otoż dla tego (рискъ благородное дѣло) trzebaby zaprobować szczęścia i niezrażając się pierwszém niepowodzeniem stawiać a stawiać, dublować, tryplować, mazonować, toż niepodobna wreszcie, aby nieubłagany los choć raz niedopisał. Z takiémito albo tym podobnémi myślami zasiadł nasz Dziekan między rycerzami zielonego stolika, którzy może lepiej od innych umieli niweczyć mistrzowskie jego plany. Gra tedy X. Dziekan, ale zle! karty ciągle *chucha* dają! Nicto! gra dalej i dalej, dubluje heroicznie — zle, karty wciąż

krewią! Przytomni przypatrują się dramatyczności oblicza X. Dziekana. Jedna dewotka wzdychając mówi: »Ach! ja wzdycham do Pana Boga aby X. Dziekanowi poszło szczęście w kartach.« — »Moja Pani, Pan Bóg do takich rzeczy się nie miesza.« — słusznie odpowiada Dziekan i gra dalej, ale gra zawsze źle, coraz więcej przegrywa. Obecni, poważniejsi urzędem i wiekiem, zaczynają odciągać zapędzonego w grze kapłana, namawiają go, miarkują, reflektują — nic z tego! Gniewa się, irrytuje, pożycza pieniądze i gra dalej, a im dalej, tém gorzej, bo przegrywa i grubo przegrywa — Co tu robić? Tak, bez uwagi, zapamiętale, brnąc coraz dalej w przegranę, puszcza się wreszcie na wybieg, zaczyna odgrywać komedyę, udawać nieprzytomnego, obłąkanego, — rzuca rękami, bredzi słowami. — To już mizernie!! Mówią o różnych tam dziwacznych scenach tej kartowej X. Dziekana *deszkiepcyi*, że doszło aż do koni i powozu, że.... Ale porzućmy lepiej tę nędzotę w opisywaniu, a zastanówmy się nad nią w skutkach.

Więc podług zasad moralności pp. Karciarzy nie szydzić, nie naśmiewać się należy z tego niefortunnego wypadku, ale raczej litować się nad nim, ubolewać, pomnąc na to, że *hodie mihi tibi cras*? — My też nie naśmiewamy się bynajmniej, a jeśli uśmiech politowania pokazuje się zewnątrz, to wewnątrz gorżki smutek zalewa nam serce, i to nie dla tego, że X. Dziekan zgrał się, że X. Dziekan taki niekonsekwentny, niewstrzemięźliwy, ale że moralność publiczna na takie szczerby narażoną została, że do takich jej nadużyć śmią dochodzić te właśnie indywidua, które ze świętego obowiązku nietykalności jej przestrzegać winny! Czyż to nienajdotkliwsza obraza wszystkich czujących swą godność ludzi? — Że szulery z professyi nieczują i nierozumieją obrazy opinji pu-

blicznej, to mniejsza jeszcze, — chociaż i tacy ludzie w dobrze urządzonej społeczności cierpiani być niepowinni, bo to są złodzieje publicznej wstrzemięźliwości! — że oni z nędznej swojej professyi ciągną ów synkopowy astmatyczny byt swojej kieszeni okradając czas razem z rozumem u młodych ludzi; to na zwyczajnej wygórowanych namiętności drodze opinja ma się z nimi rozprawić i dać wyrok o ich przyszłości. — Ale że ta zgubna dla naszych licznych próżniaków namiętność gnieździ się i prostytuje moralność pod sukienką naszego duchownego, tego uprzywilejowanego Apostoła i Orędownika dobrych obyczajów w swoim okręgu, to w żaden sposób spokojnie tolerowaném być niemoże, niepowinno! Niech takie towarzystwo, co dopuściło wylęgnąć się u siebie takiemu potworowi zgorszenia, nosi wstyd na swojém czole! W cóż bowiem obracają się nasze święte zasady, nasz charakter narodowy; nasza religja!? Jakiżto przykład!!?..

Panie Dołęgo! przedsięwziąłeś stale i energicznie powstawać przeciw podobnym nadużyciom skarbu naszej moralności. Zostawszy tłumaczem opinji publicznej, ująwszy w silną dłoń swoją wodze narodowego Sumienia, tém samém zyskałeś prawo do powszechnej u nas wdzięczności. Wszystkie prawe a szlachetne dusze podają ci ręce, by dopomagać do wykrycia i zgnębienia fałszu pod rozmaitą jego maską. Ja należę do tych bezwarunkowych czcicieli Prawdy, sympatyzując całém sercem z główną myślą twojej redakcyi, z twoim charakterem. Ani wątpić możesz, że te słowa moje są wiernym objawem uczucia ogółu. Niechaj Bóg błogosławi i utrzymuje poczciwy nasz zamiar stawienia śmiałego czoła przeciw tak okropnie zagęszczonemu naduży-

ciu skarbu moralności publicznej. To, co dopiero opisałem, jest właśnie takim materyałem (1).

LIST II.

.....szki, 25 *Stycznia 1849.*

La meilleure et la plus sûre politique est, de n'employer jamais la ruse, les detours et les petites finesses, et d'être, dans toutes les circonstances de la vie, également droit et sincère.

.... Cierpliwości! cierpliwości! szanowny Dołęgo. Takito główny warunek bytu naszego na tym świecie, że musimy się troszczyć, męczyć, mozolić, nim jakąś cząsteczkę prawdy, nim okruszynę dobrego zdobędziemy. Otoż i z tą gawędą moją plotącą się z rozmaitego chrustu rzecz się ma podobnie, że musisz cierpieć, nim się

---

(1) Podobne, a nawet bezecniejszej jeszcze treści mamy w ręku materyały do charakterystyki jednego Plebana z naszej prowincyi. Wstrzymujemy się na ten raz z ogłoszeniem ich, bo chcemy, aby społeczność tej parafji, w której ten niegodziwiec założył siedlisko Donżuańskich swoich nierządów, poznała się sama, jak dalece hańbi ją łotrowskie postępowanie osoby, przeznaczonej na stróża jej sumienia; chcemy mówię, aby głośną, tubalną swoją protestacyą sama położyła kres ciągle powtarzającym się przykładom sromotnego życia, niewalając tém Władzę do powierzenia duchownego swego steru osobie, któraby przecie godną była zwać się sługą Chrystusa, Kapłanem.

(*Wyd.*)

doczekasz końca mojej dyalektyki, nim lepszą i użyteczniejszą tyczynkę w moich myślach namacasz: — i czy tylko namacasz?.. — My tu się z sobą zapoznajemy, więc powinniśmy być otwarci. Sam Pan wyraziłeś się, że potrzebujesz *bezwarunkowej ufności od takiego korrespondenta jak ja* (co było stosowane do Anonymów); a więc mówmy o podobnym korrespondencie.

Choćto praojciec myślicieli Sokrates powiedział, że znać siebie samego rzecz trudna a bardzo pożyteczna, przecież na drodze poznawania siebie ja dosyć postąpiłem, bo widzę w sobie mnogie wady, a z nich wybrnąć niemogę. Ważniejszą więc daleko jest rzeczą umieć przemódz i wyrwać postrzeżone w sobie wady; — do czego ja nie majster, otwarcie się przyznaję. A od mniejszych przechodząc do większych rzeczy i zastanawiając się nad naturą naszych społeczeństw, codziennie widzimy, że wielka jest różnica między mową a postępkami naszymi; że wszyscy prawie znamy obowiązujące nas zasady moralności i dobra wypływające z religji, z sumienia, wielu nawet krasomownie dowodzi ich wysokości, świętości, konieczności, niespełniając ich przecież dość często w praktyczném swojém życiu. Znak to nadzwyczajnie silnego człowieka, postępować według raz uznanych zasad tak, aby od nich żadne względy, żadne wypadki i okoliczności ani na chwilę odwrócić niemogły. Niewiem nawet, czy znajdzie się gdzie podobny. Wszakżeto taka natura ludzka. Wszak musiał ten niemało i sam doświadczać i uczyć się z doświadczenia drugich, kto powiedział, że *wielki człowiek w oczach świata, nie zdaje się być takim w oczach swego służącego*? — A więc *znać siebie*, potrafi jeszcze człowiek przy pewném moralném ukształceniu, ale *zwyciężać siebie* w skłonnościach ku złemu, rzadko, rzadko który

potrafi. Z tejto temy myśl mojej gawędki na dalsze rozdziały, traktujące trochę o wychowaniu, rozchodzić się będzie; teraz zaś powrócimy do Anonymów.

Przyznasz sam panie Dołęgo, że większa część piszących, zwłaszcza młodych, prosto, płaci tylko daninę pawiej swojej naturze puszczając się w zawód autorski; że jedni piszą dla pewnego tylko odznaczenia się i czczej parady, drudzy dla zarobku i zysków materyalnych, a inni dla innych bardziej jeszcze nieszlachetnych celów pochlebstwa, bałamucenia, fałszu i t. p. Ja mam inne zupełnie pojęcie i przekonanie o autorstwie. Kiedy ujrzałem zacnego Gryfa z takim zasobem zdolności i nauki, a ciebie panie Dołęgo z taką sumiennością i czystym sądem pracującego około dzieła noszącego na sobie cechę najzbawienniejszej idei postępowej; kiedy ujrzałem tę piękną rodzimą pracę, jako składkę duchową, poświęconą celowi publicznemu, na wsparcie współbliźnich ubogich; wówczas wewnętrzne moje zadowolenie było u swego kresu, i nie dziwnego, że od razu najżywsza sympatya połączyła mię z tą waszą poczciwą publikacyą, której zjawieniu się, jak tęczy nowego z Niebem przymierza z całego serca pobłogosławiłem. Wówczasto zaraz zapytałem siebie, czy niepoczuwam się obowiązanym do przyjęcia czynnego udziału w tém waszém arcy chwalebném przedsięwzięciu? zapytałem mojej jaźni pewném doświadczeniem umysłowego życia zasilonej, czy będzie mogła choć jedną cegiełkę, ale cegiełkę ważną, dobrze wypaloną, dorzucić do tej tak pięknie dla wspólnego użytku poczętej budowy — bo przecież nie dla samych poziomych celów, nie dla przeżuwania tylko pokarmów i spania na ten świat posłani jesteśmy? — I cóż? wewnętrzna, sumieniem podyktowana odpowiedź niebyła korzystną dla mojej miłości wła-

snej, bo aby stanąć obok takich pracowników; trzebaby mieć tę pewność siebie, jaka wynika z wszechstronnego ukształcenia; trzebaby śmiało, od razu wziąść się do objaśnienia głównej swojej idei w jakiém poważnofilozoficznėm, mistrzowskiém dziele. Otoż właśnie do takiego jam niezdolny i nader mało mam czasu. Przyznaję się jednak, że mam w duchu coś *kunktatorskiego;* że wyrób myśli mojej odbywa się powoli, kategorycznie; że pomimo temperamentu w młodości żywego, a zatem (jakby wnosić należało) czynów pospiesznych, dzisiaj stałem się przeciwnikiem wszelkich nagłych, dorywczych robót. Pan wiesz, że rozmaite są usposobienia indywidualne; otoż, źle czy dobrze, jestem stronnikiem sumiennego przekonania i istotnie a oczywiście dowiedzionego pożytku. Gdy zaś wszelkie ważniejsze zagadnienia w sprawach tego świata tak są powiązane z zawadami i trudnościami, że najczęściej, nieoczekując dalekiego przekonania, niecierpliwość ludzka przecina je mieczem Alexandra W., niewiedząc, czy na złe, czy na dobre to wyjdzie; więc ja do tej inicyatywy raptownego dobra przychylam się wtenczas tylko, kiedy niema innego środka znalezienia sprawiedliwego sądu. A porwany prądem tej inicyatywy dziwić się muszę dobrowolnej ślepocie ludzi, jak jedna ich część ma to za dobre, co druga za złe uważa, i przeciwnie? Tak. I tak się dzieje rzeczywiście postępując od ogółu aż do najdrobniejszych szczegółów, bo wielka to jest prawda, że *nic niema w człeku absolutnego.* W mojej więc idei chodzi o to, aby poznawszy charakter natury ludzkiej i przyjąwszy za dobro to, co od wieków ludzkość na religji oparta za dobro przyjęła, dążyć do tego, aby samą główną arteryę typu myśli człowieka, wyradzającą czyny codzienne, sprowadzić do pewnej normy, która-

by mogła zespolić te dzisiaj zbyt rozpierzchnione i bez związku z sobą zostające wyobrażenia, wprowadzić ład w chaotyczny stan bytu społeczeńskiego i sprawić decydującą przewagę dobra nad złem. A wszystko to, ma się rozumieć, o tyle, o ile być może; bo sprawiedliwość musi przypuszczać konieczne zło w naturze człowieka, kiedy każde indywiduum winno mieć się na ciągłej baczności przeciw własnym swym skłonnościom i rządzić się cnotą wstrzemięźliwości. Chodzi mi o to, aby przez wychowanie młodego pokolenia wszczepić niejako w krew jego tę dawno wiadomą zasadę: *nic nadto*, i tę drugą, opartą na podwalinach nauki Chrystusa: *pracuj i przestawaj na swojem*. To jest główne jądro mojej pedagogicznej idei, na urzeczywistnieniu której polega, mojém zdaniem, możebna poprawa obyczajów naszej społeczności. Jak Pan widzisz, małej rzeczy mnie się zachciewa. Ale wolno mi przynajmniej marzyć o niej, jeżeli niemam ją widzieć w skutku. Przyzwalając na taką ideę, zgodzisz się Pan, że *kunktatorstwo* jest rzeczą konieczną do porządnego działania; wszystkie bowiem raptowne, chociażby najlepsze, reformy muszą wywołać pewną gorączkową reakcyę zła, która przy nieostróżném traktowaniu łatwo wyrodzić się może na gangrenę. Na wszystko, na wszystko potrzeba zwracać uwagę i, naśladując nieustanną czujność żywotnej siły w naturze, postępować według prawidła wyrażonego słówkiem: *festina lente*. Chciałbym w tych myślach jasno i kategorycznie rozmówić się z Panem, ale czy nie będą ku temu zawadą czas i zdolności moje? W tymto rzeczywiście celu zawiązałem niniejszą gawędkę i z tego punktu wychodząc rzuciłem był w pierwszym do Pana liscie myśl o *rehabilitacyi kobiety*. Pan wyzwałeś mię do przedstawienia tej myśli w zarysie historyczno-fi-

lozoficznym; lecz aby odpowiedzieć godnie temu zadaniu, trzebaby mieć pod ręką zapas potrzebnych materyałów i dosyć czasu wolnego, a tego obojga właśnie na teraz mi brakuje. Niebyłby ten przedmiot nad moje siły, czuję nawet, że zarys, jakiego Pan zażądałeś, mógłbym uskutecznić z pewném zastosowaniem się do wyższej literacko-naukowej metody, ale ponieważ trudność obecnie zachodzi z powodu wymienionych dopiero niedostatków, dla tego obrałem sobie formę listowej gawędki, jako najswobodniejszą, w której uwolnić się można od ścisłości specyalnego traktatu. Wtej formie mogę, bez pretensyi autorskiej, swobodnie przechodzić od jednego przedmiotu do drugiego, niespuszczając wszakże z oka mojej idei, a raczej, pisząc tak, aby wszystko w moich gawędkach było nanizane na tę nić główną. Upewniam przeto Pana, odnosząc się do jego listu, że posiadam rzeczywisty a nie idealny typ kobiety naszej, typ zupełnie odpowiadający potrzebom naszych czasów; i gotów jestem stanąć do walki nietylko z pp. Protaszem i Józefikiem, ale i z każdym, kto tylko głośno oświadczy się przeciwnikiem tej mojej idei. Mój Boże! możnaż tak dalece rozmijać się z' Prawdą?.. Ale o tém w późniejszych gawędach, teraz powracam do anonymów.

Jestem takiego usposobienia. Kiedy nas zbierze się pewna liczba na polowanie, to wszyscy uganiamy się, naprzykład, za zającem i pracujemy, aby go wziąść strzałem lub psami; dla mnie nie wielka w tém różnica, jeżeli go nie ja ubiję, a kto drugi, byle tylko był ubity, byle nasza wspólna praca daremną niebyła. I to szczérze Panu mówię. Tém bardziej w krainie umysłowości, kiedy się uganiamy za jakąś ideą, za iskierką prawdy, mnie wszystko jedno, czy ja, czy kto drugi

ją zdobędzie i światu przedstawi. Wszakże ta zdobycz idzie na wspólną korzyść lepiej jeszcze, niż zając? I owszem, gotów jestem cieszyć się po kodrusowsku, jeżeli kto pierwej i zręczniej odemnie sprawi się na polowaniu A kiedy zazdrość tak nieszlachetnie błyszczy w oczach myśliwca, jakże daleko nieszlachetniejszą jest zazdrość człowieka wyższej oświaty, zazdrość autora! I cóż mnie ma obchodzić, czy moje imie błyszczy na podpisie, czy nie, kiedy mię głównie zajmuje to, aby myśl moja dobra weszła w obieg na korzyść ludzkości? Alboż znamy autorów wielu mądrych i powszechnie użytecznych zdań zawartych w przysłowiach i pieśniach ludu? Mniejsza o to, byle tylko ludzkość posiadła choć odrobinę prawdy. Norwid, poeta filozoficzny, dziwnie myślami swémi zgadza się z naturą moralnego uważania rzeczy, ja z nim sympatuzuję, zupełnie, kiedy mówi:

Na wsi słowik jest piewcą; on tam niedba wcale,
Czy go wpośród oklasków przyjmą okazale.
On w nocy pod okienkiem siadłszy na kalinie
Nawet o tém i niewie, że śpiewa dziewczynie.
On wesół skubie listki wonnego jaźminu,
Bawi się niemi gęślarz swobodny, szczęśliwy,
Bo dla niego liść każdy jest listkiem *wawrzynu*.

A więc, kiedy ja tak solennie przemawiam za Anonymem, to o cóż ci chodzi panie Dołęgo? Czy mój przyjaciel A, czy B, czy ja sam wreszcie pisałem te artykuły, które łaskawie przyjąłeś do swojej teki redaktorskiej, to wszystko jedno, aby tylko one były dobre, aby cenzura krajowa i wasz sąd bezstronny uzna-

ły je godnymi druku, godnymi zająć uwagę światłej naszej Publiczności (1)...

A ponieważ zahaczyłem coś o autorach i autorstwie, więc przebaczysz panie Dołęgo dywagującej myśli, że pójdę za moją wadą rozwlekłości i wynurzę tutaj moje w tym względzie przekonania. — Kiedym pewnego razu wszedł do najobfitszej xięgarni, napadła mię jakaś uczuciowa hipochondrya, którą nazwę po prostu *Chandrą*, wyrazem, jakim lud Ukrainy oddaje te usposobienia umysłu, co w zwyczajnym trybie towarzyskich obyczajów wydają się oryginalnością, dziwactwem. Chandra ta, niemająca nic wspólnego z excentrycznością, która owszem swobodnie wylewa się na zewnątrz pełném nieumiarkowania postępowaniem, wzbudziła się we mnie na widok takiego mnóstwa xiąg ściśle po półkach od stropu do podłogi rozmieszczonych. W takiém usposobieniu człowiek do nikogo niemówi, a nieodpowiadać na kilkakrotne grzeczne zapytania samego xięgarza albo jego pomocników i tylko wodzić okiem po czterech ścianach — domyślicie się, czém to trąci? Czyż mało jest dziwaków, pół warjatów, zwłaszcza w ludném mieście? Do nichto bez wątpienia policzony zostałem. A są chwile, w których niedba się o opinję ludzką mając do pomówienia z samym sobą. Potrzebowałem wówczas bardzo zdać sobie sprawę ze swoich uczuć, rozmówić się niejako z moją chandrą, i dla tego nie-

---

(1) Tę gawędę na pochwałę anonymów, ciągnącą się jeszcze przez parę stronic, urywamy tutaj, bo na coż ona, kiedy my, jak wiadomo czytelnikowi, pomimo wszystkich tych argumentów, postawiliśmy na swojém, nazywając naszego korrespondenta wprawdzie nie pospolitém, ale zawsze właściwém jego nazwiskiem?

(*Wydawca*).

odpowiadając wyszedłem. Spowiadam się przed tobą panie Dołęgo z tego mojego monologu, którego osnowa była następna.

Wielkim i potężnym jest wynalazek druku;— uwiecznia on myśli ludzkie i myśli Bozkie wcielone w ludzkość. Otoż i początek uwiecznionej wojny w społeczeńskim bycie człowieka! Ludzkość zna to i czuje, że jej przeznaczeniem jest kroczyć po drodze postępu do jasnych przybytków prawdy, ale to kroczenie, bez innych nawet przeszkód nad te, co z istoty przyrody ludzkiej wynikają, musi być samo przez się powolne, jako prowadzące w górne krainy ducha; a staje się ono tém powolniejsze jeszcze, gdy rozum badawczy natrafi na rzucone w poprzek swej drogi stosy myśli ludzkich obleczonych w formy praw, zwyczajów i opinji obowiązujących, — powolniejsze mówię, bo musi troskliwie i mozolnie oczyszczać myśl każdą z brudów cieleśnych, musi dochodzić, dokopywać się motyką analizy istoty każdej myśli, i mieć się wciąż na baczności, azali wśród tego tłumu cieni nagromadzonych fałszem i złością ludzką sam niezbłądził i niezeszedł z właściwej swojej drogi? — Smutny to zaiste udział! ale udział *sine qua non* historycznego bytu ludzkości. Aryman z Oromażem wiecznie wpływać muszą na wszystkie sprawy ludzkie.

Xięgarnia! Xiążnica! — Wszakto ogromny magazyn myśli gromadzących się od wieków! Wszak to jest siaki taki, wyższémi zdolnościami ludzkiemi wykonany i, jakby w długu przez stworzenie u Stwórcy zaciągnionym, samemu Bogu poświęcony wizerunek Przeszłości!.. Xięgarnia! Xiążnica! Xiądz! Xiąże! — wyrazy jednego żrzódłosłowu w naszej słowiańskiej mowie, reprezentujące duchowe i materyalne zwierzchnictwo! wyrazy w starém pismie literą X znaczone! — Jakaż

ztąd konsekwencya? Ta, że Kopernik myślą polską obrachowywał obroty ciał niebieskich i matematyczne swoje X tak potrafił rozjaśnić przed światem uczonym, że ten z zupełną wiarą przyjął jego teoryę, przyjął jako gwiazdę świetną, wskazującą ludzkości drogę postępu do królestwa Prawdy. A ja, uważ tylko panie Dołęgo, ja zastanawiając się nad tym polskim źrzódłosłowem mam rozwiązywać, objaśniać moje X wychodząc z Xięgarni!... Ale mniejsza o X, mnie chodzi przedewszystkiém o to, abym niezbyt antypodycznie stał do Kopernika podczas, gdy oto zamarzyło mi się stanąć tuż obok niego z czołem ku tejże samej Prawdzie zwróconém. Wszak i szkło zyskuje leżąc przy brylantach.

W istocie jestem tylko komarem, a była chwila w xięgarni, w której gotówem był pogodzić się z Omarem, w której pragnąłem sam nim zostać i mieć jego duchową i materyalną potęgę, być xiędzem dusz i xięciem ciał! Na takiém stanowisku ja zmieniłbym postać rzeczy, a zmienił na dobro powszechne. Czyż Omar paląc Alexandryjską Xiążnicę chciał zło wyrządzić ludom swoim? ja temu niewierzę, on tylko dobro po swojemu, po bisurmańsku pojmował, jak ów król Angielski w powieści ludowej, coto wszystkie machiny, odbierające chleb klassie wyrobniczej, zniszczyć rozkazał (1). Jakże tu się zgodzić z Postępem!?...

---

(1) Dzisiejszy stan Zachodu pod względem konkurrencyi i rozdziału pracy przy machinach wykrywa ekonomistom niedostateczność społeczeńskiej organizacyi ztąd, że ubóstwo zadziwiającym sposobem wzrastać poczęło. Rzeczywiście machiny, usposabiając umysły do niecierpliwości, posłużyły bogatym za środek do rychlejszego pomnożenia ich bogactw, a konkurrencya także przynosi pewne korzyści samym tylko bogaczom.
(*Autor.*)

Patrząc na te półki zatarasowane xiążkami potrząsałem głową myśląc, ileżto na nich mieści się lichych ramot! ileż tam komarów obok jednego Kopernika! ileż płaskich i nikłych próżności, ile fałszu i bałamuctwa, obok rzadkich owoców sumiennego trudu! Nie jednego efemeryczne dziełko dla tego tylko weszło do tego składu, że on chciał zostać autorem. Inny drukował swoje piśmidła, bo zawyrokowano *ex cathedra*, że literatura potrzebuje młodych pracowników, że światła publiczność powinna być teraz pobłażającą dla poczynających i że apologje nietylko do wzrostu ale nawet do wzbudzenia talentów dzielnie się przyczyniają. Tej oto kompanji dzieła pompatycznie zapowiedziane, roztrąbione na wszystkie cztery strony, jako światła rodzimej literatury, po swojém zjawieniu się niezadowoliły nawet widzów chwilowym effektem sztucznych ogniów. Tam prawdziwy talent na krzywej interessu albo stronnictwa drodze, a tam mierność paradująca kupionymi albo pożyczonymi pegazami. A koterye, a fakcye, a butność w poczciwej naszej szlachcie nieprzestają dokazywać na każdém polu, a więc i na polu literatury, gdy niemożna gdzieindziej. Lecz otoż tu i owdzie pojawił się prawdziwy talent, lub nawet, pozwólmy, genjusz. Czyżeście niebyli świadkami, albo nawet i uczestnikami wrzasków, anatem, szyderstw? Nie wiem dla czego, ale kiedy nasz, to tém gorzej traktowany od nas. Zawszeto od czasów Sokratesa poją cykutą i kamienują swoich proroków. Niewiem dla czego, ale zamiast cieszyć się ze zjawienia się prawdziwego talentu, uczuwamy coś w sobie nakształt obrazy miłości własnej. Uderzmy się w piersi! Nas, wychowanych w wierze chrześcjańskiej, nie chrześcjańskie częstokroć unoszą zapędy. Tak było, tak jest, ale sumienie mówi:

tak być niepowinno! Dziwneżbo są kontrasty w naturze ludzkiej, wieczna walka, wieczne zcieranie się szczytnych zasad religji i moralności ze skłonnościami do złego! *Prona animantia!!* wołam z Gryfem. I tu pozwalam sobie przytoczyć jedną z myśli Paskala, w części tylko według mnie sprawiedliwą, w części choćby dla tego tylko, że myśl nie jest punktem matematycznym, aby ją jednocześnie ze wszystkich strón objąć było można. »Le *moi* (powiada Paskal w swoich *Pensées* — *Par. 1. Ar. IX.*) est haïssable: ainsi ceux qui ne l'ôtent pas, et qui se contentent seulement de le couvrir sont toujours haïssables. Point du tout, direz-vous; car en agissant, comme nous faisons obligeamment pour tout le monde, on n'a pas sujet de nous haïr. Cela est vrai, si on ne haïssait dans le *moi* que le deplaisir qui nous en revient. Mais si je le hais parce qu'il est injuste, et qu'il se fait centre de tout, je le haïrai toujours. En un mot, le *moi* a deux qualités: il est injuste en soi, en ce qu'il se fait centre de tout; il est incommode aux autres, en ce qu'il veut les asservir: car chaque *moi* est l'ennemi et voudrait être le tyran de tous les autres. Vous en ôtez l'incommodité, mais non pas l'injustice: vous ne le rendez pas aimable à ceux qui en haïssent l'injustice: et ainsi vous ne le rendez amiable qu'aux injustes, qui n'y trouvent plus leur ennemi; et ainsi vous demeurez injuste, et ne pouvez plaire qu'aux injustes.« — Skromne cenienie swojego *ja* wypływa z najpoważniejszych źrzódeł, to jest z religji i filozofji. Pawienie się bynajmniej nieprzystoi ludziom powołanym do rozkrzewiania oświaty. Niemasz nic nowego pod słońcem i wszelka myśl zbawienna jak się poczyna od Boga, tak w Bogu musi mieć swój koniec. Czyto z Pawła, czy z Jana ust ona wyszła, od wieków ona była złożona w ludzkości, była gotowym skarbem do wzięcia na uży-

tek powszechny; nie adorujmy więc ani Pawła ani Jana jako wynalazców, ale Boga jak Stwórcę. W ten sposób, w duchu chrześcjańskim wszyscybyśmy się pogodzili i pracowali wspólnie dla swego i swojej czeladzi dobra, dbając tylko o święty cel Prawdy, a brzydząc się niecną maroderką i wszelkim ubocznym interesem.

Postępujemy bardzo często według zasad szkoły francuzkiej rozwijającej do wysokiego stopnia egoizm. Pan Juliusz *Janin* opisując początkowy zawód autorski, powiada: »Przychodzi siaki taki chudopachołek do stóp Parnasu i, rozumie się, widzi cały górny szaniec szczelnie najeżony bateryą autorskich zębów. Ha! cóż robić, myśli sobie, trzeba szczęścia poprobować — bez pracy nie będzie kołaczy — więc dalejże drapać się do góry; a przebywszy pochyłość mimo groźnych warków i syków, gdy się poczuł dość silnym do walki, nuż wtedy z całą zaciętością kąsać się w prawo i w lewo dla zrobienia sobie miejsca między laureatami. A im rana była głębsza, im krzyk ofiary donośniejszy, tém więcej on potem będzie szanowany i lepiej umocniony na swojej posadzie, którą z kolei musi on także bronić, gdy nowemu jakiemu śmiałkowi przyjdzie ochota sprobować się w bójce.« — Prawda, że do swych płodów umysłowych zbyt samolubny autor tyle ma przywiązania, ile ojciec do dzieci swoich i żadnego w nich podziału lub nadwerężenia cierpieć niechce; a nawet, gdy język myślom niekłamie, te dzieci poczęte z ducha, a więc pełne żywotnej prawdy, tak bywają umiłowane rodzicielskiém sercem, że dla wszystkich nieswoich zostaje tylko antypatya i wzgarda. To właśnie próżność, wielka próżność; bo w sferze ducha, biorącego swój początek z Prawdy, przyrodzoną jest harmonja, łatwe zlewanie się wszelkich tonów. Wszakże między moralnie

ukształconymi macoszyna zazdrość miejsca mieć niepowinna. Kto godło Chrystusa — braterstwo stara się ożywiać mową i czynem, ten buduje, a kto do swarów i niezgody przyczynia się, ten rujnuje. Patrząc na te tak ogromne rozróżnienia w pojęciach i w dążeniu, zdaje się, niepodobną już jest rzeczą, aby ten harmider obyczajowy przybrał kiedykolwiek charakter spokojny, jednocelowy; a jednakże tak być niepowinno.

We Francyi, powiadają, wielka jest liczba takich pp. autorów, którzy po towarzystwach wyższego tonu umyślnie czatują na dowcipy, na te *bons-mots* lejące się z ust obcych, aby je potem za swoje podawszy na swoją obrócić korzyść. — Mizerna to, niegodna szlachetnego umysłu spekulacya, pomimo nawet przestrogi zawartej w przysłowiu: *diseur de bons mots, mauvais caractère*. To tylko ma za sobą podobny *exploatator*, że będąc niesumiennym w użyciu swojej zdobyczy, wydarł przynajmniej zapomnieniu coś istotnie czasem dowcipnego. Ale o jakże jest nieszlachetnym autor, sztukujący się obcémi myślami, cudzą pracę podający za swoją! ileżto tych nic wartych liczmanów, ile plagjatów w każdej mieści się literaturze! Dobrzeby było wyśledzać pilnie i na wstyd publiczny wystawiać te rzemieślnicze indywidua. Mnie to oburza najmocniej, gdy kto cudzą myśl żywcem przekopjowawszy ogłasza się jej autorem. Po cóż ten fałsz brzydki? ta niecnota? Czemużby na polu literatury nierządzić się miłością samej prawdy, powagą sumienia? Niechby ten, komu fatalność jakaś kazała puścić się w zawód autorski, pomimo, że nic z siebie oryginalnego wydobyć niemoże, niechby przynajmniej popisywał się pretensyami swémi, a nie ukrywał się, nie maskował. Prawda, że to wielka osobliwość zostać tuzinkowym autorem! Niema co

mówić . . . Jako pewny przykładzik dla zajmujących się u nas literacką krytyką, powiem tutaj, co mi się raz wyśledzić przytrafiło. Nic ważnego wprawdzie taka defraudacya, ale zawsze, jako defraudacya, jako *pawie piórko na kawce*, zasługuje na publiczne wytknięcie. — Czytałem w rossyjskiém pismie peryodycznèm pod tyt. *Библiотека для чтенiя*, zdaje się z r. 1835, jedną powieść, w której prześliczny był opis pożaru. Nawet cały ten peryod wypisałem był sobie na kawałku papieru, a więc pamiętam go bardzo dobrze, pamiętam, że się zaczynał od słów: »*Нѣсколько домовъ облитыхъ было пламенемъ*« — a kończył słowami: »*улицы кипѣли народомъ*.« — Otoż zdarza się potem, że czytatając *Athenaeum*, podobno z r. 1846, znajduję tam w jednej powieści pomieniony opis pożaru umieszczony słowo w słowo, jak w rossyjskiém. — I powieść ta podaną została za oryginalną przez . . . . Nieprzypominam sobie nazwiska. Ktoż zaręczy, że reszta tej powieści niejest złożoną także z gotowego materyału? Ale mniejsza o tę powieść, która i z treści i z formy podobna jest do bardzo wielu innych; nadmieniłem tu o tém mojém postrzeżeniu dla tego tylko, że sam brzydząc się takiém tandeciarstwem sądzę, iż ono w porządném pismiennictwie bezkarnie uchodzić niepowinno. Co innego zupełnie, jeżeli myśli autorów w pewnych zwrotach, analogjach i wyrażeniach zgadzają się z sobą! To się zdarzać może nawet nierzadko; bo i rozwój intellektualny w indywiduach jednakowego usposobienia może być zupełnie podobny, jakby familijny, jakby (że użyję wyrażenia Trentowskiego) *pochodzący z jednego powiatu*. Naprzykład oto, kiedy czytałem w towarzystwie *Marę* Nowosielskiego, pewne osoby zrobiły mi w kilku miejscach uwagę, że te a te myśli były im już dawniej

przezemnie objawione. A cóż to dziwnego? Nie dwóch, ale trzech i więcej pisarzy mogą zejść się z sobą oko w oko na psychologicznej drodze. To rzecz naturalna.

Znakomitsi nasi pisarze, których nie wielu, dali nam poznać wybitne cechy literatury czysto swojskiej; oni to rozumieją, gdzie są złożone skarby ogromne tej rodowej oryginalności, tak niesłychanie wyższej od wszelkiej obczyzny i na tak szlachetnym osadzonej pierwiastku, że bez cienia niesłuszności każdy może uczuć i przyznać moc jej zachowawczą większą, niż gdzieindziej. Ale smok niezgody trzyma dotąd zaczarowaną tę jaskinię i niepozwala zbliżyć się do jej skarbów. Tymczasem zalewają nas potopem piśmideł lichszych jedno nad drugie, tak, że od nich prawie jak od napadu os niepłodnych musi opędzać się każdy, kto do swojego czasu jakąkolwiek przywiązuje cenę. A gdy już, pomimo opędzania się, wpadło ci w ręce i zmuszony byłeś przeczytać jaką xiążkę, to (ach!) pomyślawszy o przeznaczeniu prassy drukarskiej, o powołaniu publicznego pisarza, o cenzurze obyczajowej, wzruszysz ramionami i powiesz z goryczą, że moda teraz każe drukować rozumne głupstwa!— Bo rzeczywiście, jak gdyby to dzisiaj było przeznaczeniem prass drukarskich; im o to tylko chodzi, aby w ciągłej były czynności, aby zapłacone były. — Probują sił swoich młodzi autorowie? — dobrze. Ależ na to jest pewny środek, użyty bardzo skutecznie przez jednego z najznakomitszych pisarzy; można więc tu wierzyć w słowo mistrza. Gete wszystko to, co w młodości swojej napisał, pomimo prośb i nalegań swoich przyjacioł, wrzucił w ogień. Gdyby przeto w takiej pokorze chrześcjańskiej postanowił sobie każdy, szczególniej niewysokiego polotu pisarz, czekać pełniejszego rozwinięcia władz intellektualnych i niekwapił się z dru-

kowaniem swoich próbek, to sumienna praca kształcąc stopniowo smak psychiczny, wzbogacając umysł i serce wyrobiłaby w nim z czasem sąd gruntowny, sąd, oparty na mocniejszych podwalinach, niż na dwudziestoletniém przekonaniu. Wtedy obrona indywidualnych swoich zasad wypływałaby z dobrze pojętego i wyrozumowanego celu, i niebyłoby tyle pstrocizny na domowej sukni. — Proszę mię niewziąść za propagandzistę chińszczyzny, kiedy, myśląc o naszych chudych rozmaitościach, powiem, że mi się chwalebném poniekąd wydaje prawo w Chinach zakazujące ogłaszania pism swoich drukiem przed skończeniem czwartego krzyżyka. Niechaj wreszcie będzie i trzeciego. Czyż to bowiem oznacza postęp literatury taka mnogość dzieł bezcelowych? Dziś nasza literatura samodzielnie i bez żadnej prawie wyraźnej dyrekcyi rozkwita; właśnież te, pojawiające się tu i ówdzie, arcyśliczne płody pokazują, czémby ona przy umiejętném skierowaniu jej prądu, przy pochodni krytyki estetycznej stać się mogła. — W innych krajach powstają, krzyczą na Cenzurę, a naszém zdaniem ona jest koniecznie potrzebną, potrzebną szczególniej pod względem obyczajowym. Jakież bowiem zabezpieczenie naszych cnót domowych od zamachów niekrępowanych niczem namiętności, od swawoli i wszelkich excessów tego tłumu pisarzy bez powołania, ktorzy imają się pióra dla tego tylko, aby rozsiewać zgorszenie, krzewić demoralizacyę?— A gdy przekonani jesteśmy aż nadto, że nasza publiczność miałkiego usposobienia z większą lepkością chwyta się nędznych tłumaczeń Pawła Koka i kompanji, niż własnych autorów, których po większej części nie zna; to czyż dla uzyskania popularności potrzeba zniżać się do naśladowania niepoczciwej maniery i pisać w celu obrzydzenia wszystkiego, co zacne

i święte w naszych obyczajach? Ktoż potrafi obliczyć, ile nam złego naniosły te rzemieślnicze wyroby naszych panów autorów? Ileżto tego plugawstwa mieści się na półkach każdej Xięgarni! Xięgarz temu niewinien, bo on jako handlarz musi pilnować zysku, musi korzystać ze smaku swojej publiczności; winien tu naprzód autor, a potem Cenzura. — Pan Kraszewski w swoich *Studyach* i wielu innych po swoich pismach jasno odkreślili obowiązek pisarza-Kapłana. O gdybyżto nasi pp. literaci wzięli się kiedy szczérze do wypełnienia tego obowiązku, do zrozumienia istotnego celu i prawdziwej kapłańskiej godności swojej professyi! Dopókiż te zbawienne myśli będą tylko *pia desideria* serc uczciwszych i głów rozsądniejszych?.. — Nam się zdaje, że to jeszcze tak długo trwać będzie, dopóki autorstwo będzie płatne i popłatne, dopóki urząd pisarza będzie, jak wiele innych, miejscem podającém sposoby do coraz większego gromadzenia pieniędzy. Czyż wszyscy przed pieniędzmi są uczciwi?—Nie! ja będąc autorem zaniebym się niezniżył do sprzedawania moich myśli, a tém bardziej do ulegania duchem niesłusznym częstokroć wymaganiom, do stania się niejako chorągiewką ladajakich gustów płaczącego. Jestto to samo, co adwokactwo w niesłusznej sprawie. Publiczny pisarz, to prawdziwy kapłan u ołtarza ludzkości w etyczném i estetyczném znaczeniu, to objawiciel i kierownik ducha swojej społeczności, ale powinien być wierny świętym jej zasadam i najściślej z nią połączony żądzą moralnego udoskonalenia, interesem czysto-duchowym (1). Gdybyżto wszyscy pi-

---

(1) Śmiało powiedzieć można, że wszystko, co prawdziwie pięknego i szczytnego posiadamy w naszej literaturze, winniśmy tym przykładom bezinteressowności autorskiej, jakich ża-

szący jasno pojmowali święty cel literatury, to jest, gdyby byli prawdziwie chrześcjańskiego wychowania, to mając przed oczyma raczej niemoc i ubóstwo swoje, niż urojone siły i dostatki, nieważyliby się występować z lada ramotką i tumanić publiczność swojém autorstwem.

Zrozumianoż dziś ogólnie charakter naszej czysto-swojskiej literatury? W znakomitszych tworach dzisiejszych naszych pisarzy przejawiła się już wyraźnie ta słowiańska fizys; widzimy jej niektóre rysy w estetyczném świetle i po sympatyi, jaką w nas obudza, poznajemy, że z naszej przyrody powstała, do nas należy. Widzimy, że odwieczna bozka idea, spoczywająca w największym konarze drzewa ludzkości, poczęła przybierać kształty, oddychać życiem. Ale kolosalny ten monument słowiański przenajcudniejszych form ducho-

---

dna inna literatura okazaćby niemogła. Ale czyż niewidzimy, że duch zagranicznej przemysłowości począł już głęboko wkradać się w serca naszych pp. autorów? czyż nawet nie przekonani jesteśmy, że te myśli p. Habdanka (które, pomimo niepraktyczności swojej, są i powinny być wspólne wszystkim chcącym mieć czynny udział w Gwiazdzie) wydadzą się nie jednemu dziecińskiem, godném szyderczego śmiechu? Trzebaby tym, co psują pojawiające się u nas talenta zarażając je jadem materyalnej chuci, trzebaby mówię naszym pp. Wydawcom, niewstydzącym się wchodzić w kupieckie targi z pisarzami, co się już niejakiej dorobili wziętości, dawać głośne, bardzo głośne rady, aby afferyzmem swoim zwrócili się raczej do przedmiotów czysto-materyalnego użytku, chociażby do tych, bez których pomysły autorskie uzmysłowić się niemogą, aby, wierni handlarskiemu swemu powołaniu, fundusze swoje obracali na nabywanie takich produktów, które samą swą naturą wskazują, że nie na użytek ducha są przeznaczone; aby, jedném słowem, zostali *de nomine*, jak są *de facto*, kupcami; bo inaczej, te o których wspomnieliśmy, przykłady stracą cały swój duchowy urok i wiecznie, ze szkodą najdroższego interessu narodowego, po-

wych od wieków podlegał i podlega oklajstrowywaniu obczyzną, oszpecaniu wzorzystych tafli rodzimego granitu bladą barwą cudzoziemskiej wyobraźni. Takato niezbędna kolej w dziejach człowieczeństwa, i kto wie, czy ta doczasowa bierność narodów niejest jednym z loicznych kroków wytkniętego od przeznaczenia postępu? Patrząc bowiem na bieg, na snujące się nieprzerwanie pasmo humanitarnej cywilizacyi, postrzegamy pewny, dosyć regularny kierunek w tym postępie. Od Indyi, Egyptu, Fenicyi, około tego staroświeckiego jeziora, począwszy od Grecyi, ocierając się o Słowiańszczyznę, cywilizacya postępowała przez Włochy, Hiszpanję i ztamtąd znowu od Atlantyku napowrót od Francyi i Anglji zdaje się ku nam dążyć, może na powrót do swego początku. Rozwiążeż kto pytanie, dla czego tak, a nie inaczej? dla czego te a nie inne narody wprzódy oblewały się światłem cywilizacyi? W tym więc processie naturalnie i na nas przyjdzie kolej do czynu. A gdy ten czyn musi

---

zostaną bez naśladowania. Mówiono nam, że jeden z konstellacyi *patentowanych* naszych pisarzy, przedsiębiorąc obecnie wydawanie w Kijowie zbiorowego pisma *en gros*, jak Athenaeum i Biblioteka Warszawska, oświadczył pompatycznie, że będzie płacił kollaboratorom swoim *sowite honoraria!* Czegoż chcecie? Praca umysłowa uważa się już poniekąd za towar sklepowy, kiedy zasadą i warunkiem redaktorskiego powodzenia mają być *pieniądze*. I pytam, któryż z licznego tłumu hołdowników Plutusa mógłby się okazać głuchym na te tak czarodziejsko brzęczące, tak *estetycznie* wymowne oświadczenia nowego Wydawcy? Strach nawet pomyśleć, jakato ogromna wzbudzi się emulacya! Jeszcze chwil kilka i Kijów niebędzie miał czego zazdrościć Kalifornji! Od blasku złota cudnie, przepysznie zajaśnieje literacki nasz horyzont! A cóż się wówczas stanie, z biedną naszą, niczém nieuposażoną Gwiazdą?.. *eheu! miserere nobis Domine!*

(*Wyd.*)

mieć właściwy swój, wybitnie od innych odznaczający się charakter, przeto i uczucie czyli przeczucie jego osadzone na najszlachetniejszych własnościach słowiańskiej przyrody powinno być całkiem od innych odmienne, to jest, czysto-słowiańskie. Zadaniem tedy kształcących się i kształcących naszą społeczność wszelkiego powołania indywiduów, jako to: teologów, filozofów, pedagogów, historyków, poetów i artystów, jest; przejąwszy się wielką ideą swojskiej cywilizacyi, oskrobywać nasz monument z tego ciasta cudzoziemskich narośli i stopniowo ją przyprowadzać do życia we wzniosłej naszej słowiańskiej mowie, w naszych obyczajach i zwyczajach, zkąd ona naturalnie jak w czystém zwierciadle odbije się w naszej ojczystej literaturze. Takowe wychowanie narodu wieków potrzebuje, a pozbycie się mnóstwa wad nabytych lub rozrodzonych zostawione tylko czujnej macierzyńskiej pieczy nad wychowaniem nowego pokolenia. Ale to wchodzi w zakres innych oddziałów naszej gawędki, do których przy pomocy Bożej przystąpimy z kolei.

Otoż kiedy tak zdolny i pracowity pisarz, jak p. Kraszewski, zakreśli właściwym sobie talentem szkic obyczajowy, to prawda przedstawia się częstokroć naszym oczom w żywym obrazku i cel artyzmu, mniej więcej donośny, otrzymuje się w bezstronném uważaniu rzeczy. Powiedziano już ze sto razy przed nami, że w sądach o wartości artystycznych tworów umysłowych niemożna rządzić się swojém indywidualném *widzimi się*. Norma krytyczna powinna opierać się na stałej, uzasadnionej świadomości dobra i piękna, i tę normę przyjmuje ludzkość za pewny gatunek absolutu, do którego bez apellacyi odwoływać się należy. (Mówię, za pewny gatunek dla tego, że absolut wewnątrz czło-

wieka w żaden sposob pojęty być niemoże, a tylko po za granicami jego intelligencyi; tam on jest umieszczony, *jako on jest.*) W rzeczach takiej wagi sąd człowieka, zależącego od tylu różnorodnych wpływów fizycznych i moralnych, gruntujący się na jakichś drobiazgowych faktach, na dowolném wyrozumowaniu, na jednookiej empirycznej jaźni, nie może nikogo obowiązywać, bo ta podstawa z samej natury swojej jest wątła, krucha. Czyż można zgodzić się na wielorakie pojmowanie dobra i piękna? na dwojaką prawdę? — Kształćmy się więc jednocelowie, abyśmy się nierozmijali na tej jedynej do światła prawdy drodze i zamiast postępować naprzód w tył się niecofali. Otoż p. Kraszewski przyjął, a raczej rozważył społeczność naszą tak, jak ona w sobie jest i wiele już faz jej z właściwym sobie talentem prawdziwie przedstawił; tym sposobem wiernie on wywiązuje się z przyjętej na siebie professyi malarza, niewdając się bynajmniej w professyę filozofa-pedagoga, bo do tego, wiecie panie Dołęgo, czego potrzeba? — potrzeba zaparcia się siebie, zrośnięcia Chrystusowém sercem ze swoją społecznością, przyjęcia odważnie swojego krzyża, jedném słowem, potrzeba ofiary, a ofiary, jakiej budujące przykłady stawią nam Pestalozzi, Boduin, Staszyc, Czacki i t. p. — Byliśmy wszyscy świadkami powodzenia p. Kraszewskiego na stanowisku, jakie sobie obrał. Te kilka słów, które zaraz powiem, będą wyrazem pewnej o nim opinji nietylko własnej mojej, ale i znacznej części naszej publiczności.

Pan Kraszewski w jednym prawie czasie z p. Korzeniowskim ukazał się na polu ojczystej literatury i oni są właściwie, według porządku, pierwszymi u nas pisarzami ostatniego dwudziestoletniego okresu. Okres

ten nowożytny ma swoją istotnie odrębną fizyonomję, która się złożyła z charakterystycznych wydatności pewnych myślących indywiduów; możnaby go nazwać okresem koteryjnych diwersyj i nieporozumień, które zdają się już być u swego kresu. Ale nie do nas należy wyrokować o czasie tego przesilenia, to sprawa głębszych filozoficznych umysłów; my tutaj zastanowimy się w krótkości nad tém tylko, co się już we wspomnionym okresie naszego piśmiennictwa dokonało i zamknęło.

Kiedy pierwsze literackie płody p. Kraszewskiego ryczałtem jedne po drugich ukazywać się poczęły, byliśmy świadkami zdumienia się Publiczności nad tą niezwyczajną jego płodnością, bo też rzeczywiście żaden jeszcze autor u nas niesypał tak obficie umysłowymi przysmakami. Po zdumieniu się, jak zwykle, nastąpiła obserwacya, do której nie w jednej piersi przyłączyła się żyłka zazdrości i nieukontentowania. Było wielu *za*, wielu *przeciw* autorowi, ganiono nawet więcej niż chwalono. P. Kraszewski na to nieźważał, pisał a pisał prosząc tylko o czytanie, bo czuł swój talent, czuł, że z pod jego pióra wychodzą pełne życia i prawdy obrazki. Gdyby p. Kraszewski wystąpił był od razu z jakiém mistrzowskiém, sumiennie wypracowaném dziełem, to niezawodnie byłby obudził ogromną wrzawę, która możeby się w końcu rozstrzygnęła nie na jego korzyść; ale on nakształt młodego orlika zwolna chociaż śmiało wprawiał się do lotu na niższej przestrzeni, a raczej, jako sposobiący się sztukmistrz, bawił wprzód oczy pojedyńczo ciskanémi rakietami, nim się na wielkie, wspaniałe zdobędzie widowisko. Słusznie też bardzo w tym emblemacie pierwsze swoje twory nazywał *fantastycznymi*. I słyszeliśmy wówczas często mówiących, że w tych tworach wielka jest łatwość i

naturalność stylu, niepospolita lekkość i zręczność przedstawienia, jakaś beztroskliwość i razem coś wiejącego chłodem kunsztownej grzeczności, coś z francuzka polskiego. Co do mnie, z tych pierwszych utworów p. Kr. najwięcej mi się podobały powieści: *Całe życie biedna* i *Świat i Poeta*, chociaż w tej ostatniej niemało przesady i excentryczności (1). Ale oto ukazały się poważniejsze i większego rozmiaru prace p. Kraszewskiego. Niepowiem nic o historycznych, bo się nieczuję kompetentnym do tego sędzią. Co się tycze *Anafielas*, tej uroczyście zapowiedzianej Trilogji epicznej, czekaliśmy jej z natężoną ciekawością — I cóż Dołęgo? wolę być o nieuctwo, niż o nieszczerość posądzonym — Anafielas, pomimo niezaprzeczonych swych zalet, nieodpowiedziało naszemu oczekiwaniu: *Witol*, *Mindows*, *Witold* — to bardzo loicznie, bardzo konsekwentnie obmyślany poemat. Z mytycznych, zamierzchłych czasów w Witolu, gdzie umiał p. Kr. naiwnie oddać podania i pieśni dawnej Litwy, przechodzimy do tych jej historycznych czasów pod Mendogiem, kiedy światło chrystyanizmu zaczęło galwanizować jej poganizm. Amalgamatem tym polityczno-religijnym został tknięty sam

(1) Te same przedmioty brał na swój warstat pisarski p. Edward Maryan dla pokazania (jak się wyraził nadsyłając nam do Gwiazdy część swojej powieści — *Całe życie biedna*) że *rad jest traktować żywiej pomysły mdło czasem przez p. Krasz obrabiane*. Literat nie z professyi, jak p. Habdank, mógł o tém niewiedzieć, i to nas bynajmniej niezadziwia; ale że p. Kraszewski, mając zapewne oddawna przed oczyma dane sobie umyślnie przez p. Maryana mistrzowskie wzory do pisania, jak pisał tak pisze do dziśdnia po swojemu, to jest, *mdło*, *bez życia*, *bez entuzyazmu* — tego my pojąć, tego wytłumaczyć sobie żadną miarą niemożemy!

(*Wyd.*)

Mendog, ale lud jego wyrwał się raz jeszcze z objęcia posłanki prawego Boga, wyrwał, aby już pod chrześcijańskim Witoldem zaświecić w białej katechumenów sukni energicznymi swoich dzieci czynami. Ta tendencya do indywidualności narodowej, której Witold heroicznym był przedstawicielem, zostaje bezowocną pomimo usilnych jego starań i zabiegów. Interes pojedyńczej, odrębnej Litwy zwyciężony jest interesem chrześcijańskim Litwy połączonej, pomimo wszystkich knowań Krzyżaków i Cesarza Niemieckiego, pomimo potężnej woli butnego Witolda! Wielkie to szranki dla poety! wiele tu rozlicznych materyałów do postawienia olbrzymiego monumentu! — Czy pan Kr. wywiązał się z tych *danych*? — Może gdzieindziej tak sądzą, ale w stronach, gdzie mieszkam, ta jego poświęcona Litwie praca nieznalazła takiego współczucia, na jakie on mógł rachować z wielu względów, nieznalazła u znarowionych szczytną poezyą naszych Mistrzów. Taki przedmiot domagał się od autora, aby całą swą treścią przylgnął do serca i pamięci tych, którym został poświęcony. Można wszakże śmiało powiedzieć, że publiczność wdzięczną mu jest i za to usiłowanie. — W pierwszym więc peryodzie swoim p. Kraszewski okazał się lekkim i zdolnym, a w drugim głębszym ale ciężkim. Dopiero w trzecim stanął on na takim gruncie, gdzie każdém stąpieniem swojém powszechną uwagę zajmować może. Dla czego? Oto dla tego, że się znalazł we właściwym swoim żywiole wiernego malarza objawów życia społecznego. Tu się znalazło i serce, którego w nim dawniej niedostrzegano, tu się znalazł i bogaty pęzel i właściwy jemu koloryt i ręka mistrza. W dziełach swoich, jako to: *Latarni*, *Pamiętnikach nieznajomego*, *Sfinxie* i innych rozwinął wielki talent, dowcip,

rozsądną krytykę, a co najwięcej, niezboczył nigdzie z drogi prowadzącej do celu artystyczno-moralnego, do odsłaniania na czysto ukrytych albo niedostrzeganych dotąd skarbów narodowej estetyki. — U dzisiejszej Publiczności p. Kraszewski jest bardzo zasłużony, wielce poważany, ale niedostał jeszcze przydomku *ulubionego autora*, jakim się szczyci p. Korzeniowski. Pomimo ogromnej swojej pracy niezdołał jeszcze uzyskać powszechnej sympatyi. Możnaby powiedzieć, że p. Kraszewski reprezentuje na swojém stanowisku tę część pracowników, którzy ufni w indywidualne swoje siły, potężni uczuciem swego talentu, zimno-spokojni w loicznym trybie swoim, postępują, że tak się wyrażę, po środkowej żyłce obosiecznego miecza niedopuszczając poufałego do siebie zbliżenia się ni z prawa ni z lewa; bo też rzeczywiście Redaktor *Athenaeum*, do żadnej nienależąc partyi, własną swą zawsze odznacza się barwą.

Pan Korzeniowski również w początku swego literackiego zawodu zciągnął był na siebie krzyki; nazywano go pisarzem *exotycznym* dla tego, że w dramatycznych swoich próbach nie swoje rodowite, a konwencyonalne jakieś figury przybierał. Możnaby dzisiaj ne te dawniejsze hałasy odpowiedzieć sarkastyczną uwagą, że p. Korzeniowski niepotrzebował udawać się gdzieś daleko za granicę dla dostania owych konwencyonalnych typów, mając je tuż przed sobą, pośród naszych *zlafiryndziałych* towarzystw, i że w jego dramatach niebyło nic nienaturalnego, jeżeli tymi typami chciał dowcipnie wyszydzać nasze niepolskie obyczaje. Ale koniec końcem p. Korzeniowski z pomiędzy tego harmideru krytyki, z pomiędzy tych szumiących od lada powiewu trzcinowych i tatarakowych zarośli namiętnostek wypłynął spokojnie a poważnie na czyste błękitne

wody rodzimej rzeki, jak piękny biały łabędź. W tymto kształcie naszego ulubionego autora jest miła powaga, jest wdzięk szlachetny, jest zniewalająca słodycz, jest mówię ten charakter swojskiej łagodności, który jawnie pokazuje, że przyroda jego aż nadto oswojona z tém hałaśliwém pełném dyzharmonji szermierstwem nadbrzeżnego ludu, pokazuje, że żywi w sobie niepłonną wiarę, iż ten lud, pomimo obecnej niedbałości swojej na liczne wdzięki własnej swej przyrody, a w tej przyrodzie, na nauki, na szlachetne i użyteczne zatrudnienia, na rozsądne urządzenie i poprawę trybu familijnego życia, na potrzebę wykorzenienia tylu dzikości, przesądów i śmiecisk naniesionych mu do domu obcą powodzią, skłonny jest do przyjęcia w siebie wszystkich żywiołów moralnego udoskonalenia; — że mówię wierzy najmocniej, iż przyjdzie na ten lud chwila opatrzenia się, w której on uroczystą przejęty skruchą chętne nakłoni ucho na głos jego, na ten głos nieziemskiej melodyi, który, jako ostatni w życiu wieszcza - łabędzia, mógłby być nastrojony jedynie na ton modlitwy, dziękczynienia i błogosławieństwa, gdyby ten lud rozumny, odrzuciwszy na stronę wszystkie niesnaski, w silném uczuciu bratniej miłości zebrał się gromadnie około tej rzeki postępu i słuchając go, usłyszał i zrozumiał w nim głos swego sumienia! — Taki jest charakter, takie moralne stanowisko Korzeniowskiego. Ktoż z rodaków prosto a poczciwie sądzących niepodziękuje mu z duszy za *Spekulanta*, *Kollokacyę*, *Wędrówki Oryginała* i ten szereg miłych a moralnych na teatrze zabaw? Może mozaikujący swoją piękność estetycy będą mu zarzucać podług prawideł sztuki już to, już owo? Ale my oświadczamy raz na zawsze, że nam niepotrzeba takich ideałów, które niemają żadnego związku z naturą; my chcemy pię-

kności, coby nam przypadła do serca, piękności rzeczywistej, to jest, pół ziemskiej, pół duchowej, jaką właśnie znajdujemy w dziełach ulubionego naszego autora.

Po tych dwóch świecznikach naszego okresu następuje w porządku swego zjawienia się autor *Mieszanin obyczajowych*, *Pamiętników starego Szlachcica*, *Listopada*, *Zamku Krakowskiego i Kalejdoskopu filozoficznego*, Henryk hr. Rzewuski, który się nazwał Jaroszem Bejłą. Głośnyto dzisiaj pisarz i wielce popłatny; poruszył on silnie naszą publiczność wprowadzając w nią jakiś pierwiastek dualizmu, pewny gatunek umysłowej *aquae-fortis*. Lecz kto się wyniósł w rozumieniu swojém nad wszystko, co ludzkość obchodzi, ten naturalnie potrzebuje mieć swoją miarę, aby każdy fakt dziejowy przymierzać do siebie, tłumaczyć, kommentować stosownie do osobistych swych potrzeb, pretensyj i upodobań. Ztądto pisarz, o którym mowa, wysnuł szczególną, jemu tylko właściwą logikę, która zalecając się niezwykłém szermowaniem myśli, krąży (że użyję wyrażenia pańskiego) około dwóch ognisk prawdy i fałszu. Jakoż, wychwyci on niekiedy z pierwszego ogniska żywy pałający węgiel dla pokazania, ale też i bardzo często (niewiem, umyślnie czy przypadkiem) pokazuje nam xiężycowy, trupi węgiel fałszu i sążniste nad nim pali sofizmata. Co to jest? co to za zjawisko? pyta publiczność. Pan Albert Gryf, jak sam zeznaje, podjął się szacownego trudu wytłumaczyć nam ten fenomen, i zdaje się nam, że trafiła kosa na kamień, bo potężne z tego starcia się sypią iskry. I owszem, taka polemika nader pożyteczna. Niech p. Gryf wyższą filozoficzną metodą nieprzestaje rozbierać umysłowych płodów p. Rzewuskiego, to łup, jak widzimy, na jego siły; co do mnie, ja jako proste echo zacnej publiczności miejscowej, wy-

nurzę tu bez wielkich uczonych zachodów zdanie jej we względzie niektórych tylko odrębnych myśli pana R., niewdając się w systematyczny wykład jego autorskiej missyi, co do p. Gryfa należy. — Za introdukcyę do tych kilku słów o panu R. biorę następne jego zdanie z Kalejdoskopu filozoficznego: »*Proszę uważać, że Publiczność jest wielce sprawiedliwą dla swych pisarzów, bo każde zbiorowe ciało ma instynkt nieomylny do oszacowania tego, co dlań jest pożytecznem. W każdym innym zawodzie przez zręczność i pochlebstwo można zostać popularnym: w literaturze nikt popularności nieotrzyma, jeśli na nią rzeczywiście nie zasłuży.*« Jeżeli to nader słuszne zdanie mamy zastosować do pana R., które, jak się zdaje, myśląc o sobie napisał, to zauważyć wypada naprzód, że dzieła jego już przez to samo niemogą uzyskać popularności, że nabyć je trudno dla zbyt wysokiej ceny; a powtóre, że pisząc i wydając jedne po drugich dzieła można stać się tylko głośnym, a nie koniecznie popularnym. Wszakże czy z dobrej czy ze złej strony stanie się kto głośnym, zawsze wyjdzie na to, że publiczność wielce jest sprawiedliwą dla swoich pisarzy. Otoż na pierwszym zaraz kroku poznajemy autorską taktykę pana R., taktykę, którą właściwie nazwaćby można *dyasyrtyczno-dyplomatyczną*. Ujmuje on i wyprowadza na widok tak zbliska obchodzące naszą społeczność kwestye, że bardzo słusznie nazywa je *dodatniemi*, ale niechże tylko przeciągnie je przez retortę swojej logiki, wnet nabywają własności *ujemnych*. Znakomity i prawie niezrównany mistrz w ubieraniu starodawnych naszych postaci, umiał on zamierzchłą przeszłość oddagerotypować w najwidniejszych rysach; ale cóż, kiedy w tym swoim artyzmie główną swą osnowę dotyla napoił wonią i smakiem

jezuickim, że się zdaje, jak gdyby zapomniał, w jakim czasie żyje, i że pragnąłby całe dzisiejsze pokolenie zapalić tém szczególném amatorstwem, aby je wepchnąć do wielkiej trumny przeszłości i wieko nad niém zamknąć. Najuniżeniej dziękujemy panu R. za podjęcie trudu prowadzenia nas tam, gdzie niechcemy. Osobliwsza byłaby to pretensya i zbyt dumna zarozumiałość! *Napróżno! czasu niepodobna cofnąć w biegu, musimy dalej płynąć a płynąć* (1) i pan R. z nami. Z tegoto roztargnienia zdają się wypływać niektóre małe pomyłki pana R. Powiada on naprzykład, że »*przysłowia ludowe* »*zawsze się ziszczają w rzeczywistym świecie*, *podczas* »*gdy axiomata filozoficzne*, *skoro tylko przechodzą* »*szranki istotne*, *ledwie nie zawsze rozwiązują się naj*»*większemi absurdami praktycznemi*.« Pomimo empirycznego i dowolnego przystosowywania przysłów my w tém miejscu nakształt Fabrycyuszów będziemy wojowali własną bronią pana R. Kiedy przysłowie mówi: *vox populi*, *vox Dei*, to niech pan R. wierzy, że głos ten zawsze jest przeciw niemu, ilekroć chce prowadzić czytelników do swego gabinetu na kurs antykwaryuszowstwa i okadzać ich swądem dawno już pogrzebanego trupa. Żyjąca istota potrzebuje świeżego powietrza, a myślący człowiek lubi podumać nad ubiegłémi scenami życia swoich przodków, które mu zdolny jak np. pan R. artysta przedstawi, aby ztąd zbawienną dla siebie wyciągnąć naukę; ale odbywać życie według dawnego trybu, stąpać w ślady zostawione przez poprzedników w żaden sposób niepotrafi, bo to jest przeciwne odwiecznemu porządkowi rzeczy. Jeżeli pan R. tak dba o spo-

---

(1) Z improwizacyi Tomasza Olizarowskiego przy rozstawaniu się z kollegami w Krzemieńcu.

łeczność, w której żyje, jak pisze, to ani *nagany jej tyle gniewać*, ani *pochwały tyle oburzać* go niepowinny, wszak wiadome mu zapewne prawidło, że przyjaciela należy kochać razem z jego wadami i niezbyt ściśle się z nim rachować, aby się nie przerachować. Przytém taż społeczność oświadcza się panu R. dość zrozumiale, że *krzycząc na niego i znając jego talent*, a nawet i *szacując go* wówczas, gdy nie siebie ale ją raczy słuchać, *niema po co udawać się do niego w potrzebie z uniżonością, kiedy z nią żyć w zgodzie nieumie*, bo ma zawsze gotowych na swoje usługi, którzy w zupełnej zgodzie z nią żyją, bo pewną jest, że w jej łonie w każdym czasie mogą się znaleźć dostojni jej reprezentanci. Niech przeto pan R. umniejszy sobie nieco troski, bo rzeczywiście *jego milczenie nie tak będzie wielką klęską*, jak sobie wyobraża.—Uważmy jeszcze to zdanie: »*Wyraziciel pismienny swojej społeczności musi w sobie rozwinąć wszystkie żywioły swojej społeczności w niej istniejące i pod tym względem nic ją obrażać niepowinno*.« Cóż to jest? wszak to wychodzi na to samo, co nieograniczona i bezwarunkowa wolność druku, gdzie można ogłaszać wszystko, co jest najgorsze, najniegodziwsze! Złe to zdanie pana R. i właśnie musiałoby w praktyce rozwiązać się *największémi absurdami*, gdybyśmy je za obowiązujące uznali. Toćby największych herezyj i bezprawia w państwie intellektualném dopuszczać się można było, i dopuszczać bezkarnie, kiedy publiczność niczém obrażać się niepowinna! Wszakże w każdej ludzkiej społeczności są, jak wiadomo, żywioły zła i dobra; więc można i bardzo naturalnie zło sobie upodobać, bo pozór jego ponętny, przyciągający; można go zręcznie i najzaletniej ubarwić, jak tego dowiedli niektórzy pisarze francuzcy robiąc

przedmiotem powszechnego zajęcia istoty jawnym bezwstydem i wszeteczeństwem skalane ; — i to zło chciałby pan R. podawać czytelnikom swoim, jako wzór do naśladowania ! ? Tak wypada z prostego zastanowienia się nad jego zdaniem. Ale to nie nowina dla nas, że kunszt dyalektyczny zwykł wiele dokazywać w sferze umysłowej ; że rozum adwokacki potrafi czasem jawny fałsz ubrać we wszystkie pozory prawdy; poznano się już na tém oddawna, poznano, że na każdém stanowisku znaleźć można indywidua, których nietylko pewne myśli, zdania i postępki, ale nawet czyny całego życia są samym blichtrem, obłudą, kłamstwem. Kardynał *Richelieu* czuł dobrze możność nakręcania słowa do swego widzimi się, kiedy oświadczył komuś : »*niepotrafisz trzech najpospolitszych słów powiedzieć, któreby mi niedały powodu do obwinienia ciebie o zbrodnią stanu*.« Sławny też z dyalektycznej siły minister Tallejrand mawiał, że *słowa mają ludzie dla pokrycia swoich myśli*. — Ale idźmy dalej. Powiada pan R. w swoim Kalejdoskopie: »*Musi być on* (pisarz) *jak ona* (społeczność) *istotą cierpiącą, gniewliwą, często przesadną w swoich wyobrażeniach. Czasem rzuci jej coś ostrzegawczego i choć jest ciemnym, niechce być wyrozumiałym, że go odgadnąć niemoże, wtedy sarkastycznėm szyderstwem zacznie dręczyć tych, za których chętnie żywotby położył* (1). « Wiemy to już dostate-

(1) » Qu'on ne juge pas de la dureté de mon coeur par l'inflexibilité de ma raison. Quant à mes écrits, si sombres qu'ils paraissent, ils ne sont après tout que l'expression de mes sympathies pour tout ce qui est l'homme et qui vient de l'homme. « Są to słowa głośnego dzisiaj sofisty p. *Proudhona*. Któż w nich nieupatrzy blizkiej styczności z tém, co dopiero przytoczyliśmy z Kalejdoskopu ? (*Autor.*)

cznie z artykułów p. Gryfa, jak często pan R. sprzeczny bywa sam z sobą. Czytaliśmy w introdukcyi do tych kilku słów o panu R., że każde zbiorowe ciało ma *instynkt nieomylny do oszacowania tego, co dlań jest pożytecznem;* prosty więc wniosek, że gdy go nieoszacowało, nieodgadło, to sam tego pragnął. A czyż się godzi ostrą bronią satyry dotykać tych, którzy od najbliższych krewnych, nawet od ojca i matki droższymi być powinni, za których, jak sam wyznaje, *chętnieby żywot swój położył?* Cóż go więc pobudza do takiej z siebie ofiary? Wszak napisano: »*Ofiara Bogu miła jest duch strapiony, serce uniżone a skruszone.*« A co jest miłe Bogu, to zapewne miłém będzie i ludziom, jeżeli z nimi po chrześcijańsku w zgodzie i miłości żyć będziemy. — Widzimy ze wszystkiego, że p. Bejła-Rzewuski bardzo trafnie nazwał swoje produkcye umysłowe *Mieszaninami* i *Kalejdoskopem.* Są tu czyste, piękne i drogie kawałki pomieszane z lichymi, brudnymi i niekształtnymi, zupełnie jak w przesypie mieszanin, jak w przesuwie Kalejdoskopu, gdzie od wpływu lustrowych blasków liche kawałki zdają się tak samo świecić, jak i najkosztowniejsze. Gryfowi to zostawiono przez ten labirynt cieni i światła dójść aż do kryjówki Minotaura; nowy Tezeusz wiernym być powinien swojej Aryadnie, która mu nić do tego podała.

Przyznam ci się zacny Dołęgo, że w tym zbiorze mieszanych myśli dwa szczególniej paradoxa uderzyły mię swoją osobliwością i ubawiły, jak żadne najpocieszniejsze widowisko. Przypomnij sobie ową sławną alluzyę podkowy z konia Chodkiewiczowskiego pod Kirchholmem do któregokolwiek z prawych potomków tego bohatéra, alluzyę, wypadłą z desperackiego uczucia lekkomyślności dzisiejszego pokolenia, że ono już dla

pięknych imion, tytułów i przywilejów żadnego niestety respektu niema, że śmie lada podkowę, którą w każdej kuźni za 20 kop. dostać można, przekładać nad człowieka pochodzącego z rodu jaśnie wielmożnego!!. Ale już tę śmieszność dostatecznie wykazał p. Gryf w 2 N-rze *Gwiazdy*, poprzestaję więc na tém prostém wspomnieniu. Do zwiększenia śmieszności drugiego parodoxu przyczyniła się niemało pewna okoliczność, którą objaśnić muszę. Wiadomo ci panie Dołęgo, kto jest ów głośny dzisiaj we Francyi i w Europie Proudhon; ów kolos dzisiejszych socyalistów wzniesiony na gruzach sęsymonizmu, furjeryzmu, i warstatyzmu Ludwika Blanka; ów arcymistrz wszystkich utopistów, olbrzym w krainie nadobłokowej, co zamieniwszy w gruzy liczne doktryny przez szaleńców pobudowane sam stanął na czele manionautów płynących na okręcie głupstwa przy złamanym rudlu zdrowego rozsądku do chaotycznego kraju przyszłości; ów gorliwy zwolennik i propagator nowo-heglowskiej ateuszów szkoły, której przedstawicielami w swoim kraju są Feuerbach i Stirner, a apostołem we Francyi własnyż jego prywat-docent Karol Grün; ów nieogarnionej płodności autor dzieł o Socyalizmie, dzieł *o utworzeniu porządku w ludzkości vel zasady organizacyi politycznej i o systemie ekonomicznych kontradykcyj*, *vel filozofji nędzy*; wynalazca nowej logiki, przez którą wypadło u niego z rozumu przewróconego w głowie, że *każda własność jest kradzieżą*, że *ludzkość jak Ewa Miltona przegląda się w przezroczystém zwierciadle wód i ztąd przyszła do idei Istoty Najwyższej*, że wreszcie *wszystkiemi siłami i w każdej chwili walczyć należy przeciw Najwyższej Istocie!!* — słowem, ów zepchnięty z właściwej drogi rozumowania zasadniczego szalenice-sofista, który

budując na heglowskiej kojarzni dwóch przeciwieństw, swoją metodą w syntezie, swojém uszykowywaniem serji myślenia doszedł do najzawikłańszego chaosu myśli, do najdziwaczniejszych absurdów, do ciągłych sprzeczności z samym sobą. — Otoż, pociesznie bardzo było, gdy natrafiłem na jeden artykulik pana R., w którym on oko w oko zeszedł się z Proudhon'em. A jeśli mówię o jedności wyobrażeń tych dwóch osób tyle różniących się pomiędzy sobą krajem, obyczajami i umysłową dążnością; to pod tém nietrzeba rozumieć, że jedno i toż samo napisali, ale że sofistyczna ich logika prowadzi do jednakowych absurdów. I rzeczywiście bardziej mi się wydaje śmieszném to ich mimowolne zejście się, niż gdyby byli zpowinowaceni z sobą zasadami jednej doktryny. Ale idźmy już do tej osobliwości. Kto tylko czytał Kalejdoskop, musiał natrafić w nim na następny artykulik. — »*Wolność przyznana wszystkim, jako dar przyrodzenia, jest tylko abstrakcyą, żywiołem rozpraw ustnych i xiążkowych, ale niemająca żadnego dodatniego wpływu na społeczeństwa, jako rzecz praktyczna. Dopiero kiedy wolność staje się przywilejem danym niektórym, wówczas staje się jakąś rzeczywistością. Bo skoro się coś daje wszystkim, rzeczywiście nikomu nic się niedaje. Żeby wszyscy byli bogaci, toby było to samo, jak gdyby wszyscy byli ubodzy. I w tém niema żadnego wyłączenia w rzeczach tego znikomego świata.*« — A co? czyż nie osobliwość!? To arcy wyśmienity syllogizm, któremu zapewne stanie do usługi historya na indukcyę, a filozofja z religją na zaokrąglającą syntezę! Potężnie się więc uśmiałem nad burleszkowatym sensem tego zdania, bo rzeczywiście nieumiałem siebie do żadnej kategoryi stworzeń na świecie policzyć; nawet do mięczaka niewiem

czy byłem podobny, bo chociaż miałem nos, oczy, uszy, nogi, niepewny jednak byłem, czy je mam, gdyż je wszyscy mamy. Bo kiedy wszyscy dostajemy od Boga pożywienie i opatrzenie, to rzeczywiście żaden nie niedostaje — cha, cha! Tak nas uczy pan R., jeden z tych pisarzy, co siebie do kategoryi *religijnych* zaliczają! Cóż robić, rzekłem zanotowawszy ten sławny artykulik, jakoś to nam przecie żyć potrzeba tém, z czego obowiązani jesteśmy zdawać rachunek przed ludźmi i Bogiem, żyć własnym swoim rozumem, sumieniem i wolą, pomimo że pan R. odmawia nam tego wszystkiego; a tymczasem będę czekał, aż mi kto objaśni ten dziwny, najdziwniejszy fenomen w świecie umysłowym. I byłbym się wówczas o niewiedzieć co założył, że ten pomysł ukazał się po raz pierwszy na świecie, że jest oryginalnie oryginalny i musi należeć do samego pana R., który go we własnej swojej jaźni począł i wyrobił na pożytek XIX wieku. Tak myślałem, takiego byłem przekonania, aż oto po niejakim czasie ni ztąd ni zowąd spada jak piorun ów zapamiętalec Proudhon i woła *furioso* do assystentów swoich Greppa i Kotty: » Ścigajcie, chwytajcie autora Kalejdoskopu! to złodziej! on chce na własność obrócić najtłuściejsze kawałki swoich obrotów filozoficznych! czy słyszycie — na własność!? wszak to jest moje, to do mnie, do mnie jednego należy! « — Dołęgo! znasz przysłowie — siła złego dwóch na jednego? Bądźże łaskaw z czystej miłości chrześcjańskiej odszukaj tam drogą swojej redakcyi pewny jaki organ i przezeń zanieś dobrą radę panu R., aby się on zrzekł swego pomysłu na rzecz tego rabusia Proudhona, zrzekł całkiem, chociażby on był najkonkretniejszą jego iścizną i że, kiedy mu już podobało się zaciągnąć na obowiązek umysłowego kuchmi-

strza u naszej publiczności, dobrzeby zrobił, aby nas karmił zdrową a posilną strawą, strawą naszego smaku — barszczem i pierogami, zrazami i kaszą — a nie jakiemiś blamanżami, wybitémi z pustej pianki hrabiowskiej fantazyi, po których tylko nieznośna ckliwość na podniebieniu, a w żołądku czczość zostaje. Proszę, bardzo proszę mieć to na pilnej uwadze. — Co do owego rabusia Proudhon'a, o nim dowcipny recenzent dzieł jego p. Saint-Réné-Taillandier dosadnie się wyraża w artykule *o Socyalizmie francuzkim* i t. d. (Obacz *Revue de deux mondes* pod d. 15 Październ. 1848), jakoby i on nawet niemiał zasługi wynalazku w tak głupiej jaką przedsięwziął oryginalności (straszliwie głupiej, kiedy zamarzyło się opętanemu dowodzić nieudolności Bóztwa!!), bowiem jeszcze Cycero w dziele *de natura Deorum*, a z niego następnie Kotta dowodził, że Bóg będąc nieskończonym niemógł tak czuć, myśleć i działać, jak istota skończona, a zatem nic niewiedział, nieczynił i nic niemógł w obrębie tego świata, na którym żyjemy. Taka sama właśnie logika Proudhona, zapomocą której, według słów w *Logice Port-Royal'u* objętych dochodzi się do rezultatu, że *Bóg niema pojęcia, bo nic mu niejest skrytém; nic niewidzi, bo widzi wszystko; nic niema, bo wszystko posiada!!* A czyż to niewychodzi na to samo, co pan R. w Kalejdoskopie powiedział? — Ktož nieprzyzna słuszności Paskalowi, który mówi: »Przyrodzoną jest wadą człowieka wierzyć, że posiada prawdę bezpośrednio, i ztądto ciągła jego skłonność do zaprzeczania wszystkiemu, czego rozumem swoim ogarnąć niemoże.«? Smutny jest stan takiej umysłowości, gdzie się przebija sama tylko próżność, sama pycha i złość ludzka. Widzimy dotykalnie, co przewodniczy Proudhonowi w jego zawrotach logicznych. Żądza odstry-

chnienia się całą przepaścią od szeregu istot myślących, żądza oryginalności, nowości, niesłychaności — oto bodziec, oto *perpetuum mobile*, za którém na złamanie karku lecą dzisiejsi socyaliści francuzcy! Oni lecą, aby wyprzedzić wszystkich, bo szatan pychy podnieca ich ku temu, bo oni chcą pracować dla ludzkości bez Boga w sercu; tymczasem Słowianin spokojnie patrzy na tę rzucającą się w bolach płodowych górę niemyśląc bynajmniej o współzawodnictwie, bo wierzy najmocniej, że tylko praca w pokorze i miłości chrześcjańskiej podejmowana zbawienne dla ludzkości przynosi owoce. Tu jeszcze dla zmodyfikowania nieco excentrycznej myśli pana R. powiem z Paskalem: »Gdzie wszystko zostaje w ruchu, tam na pozór nic się nierusza, jak np. na okręcie. Tak samo, kiedy wszyscy biegą do bezrządu i rozpusty, to zdaje się, że nikt niebieży; a kto się zatrzyma jako punkt stały, ten jest wskazówką zapędu i uniesienia się drugich.« Zacnie więc i szlachetnie jest wyłączać się niekiedy z pospolitego biegu, aby być użytecznym drogowskazem rozbujałym namiętnościom; ale kto się ogłasza przeciwnikiem postępu ku moralnemu udoskonaleniu, ten wyraźnie daje poznać, że obrał sobie siedlisko na okręcie bezprawia. Pan R. zasłużywszy na imie pisarza wielkich zdolności, wiedziećby powinien, że kto się odważa iść przeciw prądowi dobrze zrozumianego postępu, ten naturalnie staje się sprawcą silnej reakcyi, a reakcyi nie na swoją korzyść.

Postrzegam się, że moja gawęda urosła aż do zniecierpliwienia ciebie panie Dołęgo. A przecież ani w połowie niejestem co do mojego zamiaru rozmówienia się z panem otwarcie w rzeczach naszą miejscowość obchodzących. Zaledwie trzech z naszych znakomitszych piórzy dotknąłem pobieżnie objawiając o nich opinję Pu-

bliczności, której cząstką jestem, a już się tyle nagryzmoliło. Wypadałoby jeszcze powiedzieć coś o Pantoflu, owym patronie hallucynacyi i wizyomanów; o Żegocie Kostrowcu, jako antagoniście Krzemieńca i błogosławionej myśli Czackiego; o homurystyce Dycalpa zbladłej jak jego upior Bielehradzki; o Tarszy, jako o nabrzękłej chmurze, z której kropelki deszczu doczekać się niemożna; o Mikrosie, tym kalafaktorze dzwoniącym sakiewką do szkoły jezuickiej i o wielu a wielu rzeczach związek z tymi panami mających;— dziękujże losowi panie Dołęgo, że tych wszystkich specyałów niedotykam i ciebie nudzić przestaję, bo jestem także urzędnikiem i mam czas ograniczony zatrudnieniami *ex officio*.

A o głównej treści korrespondencyi naszej, o tym typie polskiej kobiety mającej być rehabilitowaną? zapytasz Pan. — Oho, panie Dołęgo! to kość z kości moich, to pryncypalny żywioł mojej jaźni ta myśl o rehabilitacyi, albo raczej o poprawie obyczajów naszych zepsutych towarzystw przez rehabilitacyą kobiety, przez przywrócenie hołdów powszechnego szacunku naturalnej piastunce najdroższego skarbu moralności, a tém samém podniesienie zbyt upośledzonych wyobrażeń o rzeczywistych elementach towarzyskiego życia, sprostowanie wielu uchybień w praktycznym kursie wychowania naszej młodzieży i urzeczywistnienie w obyczajach naszych tej idei piękna i dobra, która wrodzoną zdaje się być słowiańskiemu szczepowi. Tego wszystkiego sądzisz Pan, że się już pozbędziesz, kiedy niepiszę teraz? Nieciesz się Pan zawczasu! Pomimo, że mię chciałeś niejako wyrugować z mojej placówki umyśliwszy wtłoczyć mi na barki szacowny ciężar obrobienia tego przedmiotu dłótem historyczno-filozoficznym, ja, aczkolwiek nie

artysta i w potrzebne do tego akcessorya niebogaty, trzymam się mocno na miejscu i myślę, tak jest, myślę serio postąpić z mojém *X*, jak Kopernik ze swojém, nadać mojej idei pewne zewnętrzne kształty, ruch i życie, wylegitymować jej pochodzenie z najczystszych pierwiastków słowiańskiej naszej przyrody i dowieść matematycznie, że od wcielenia jej w nasze obyczaje prawdziwy postęp zależy; — ale to tylko w zakresie naszej potocznej konwersacyi, którą zamierzam przyprowadzić do pewnej peryodyczności numerując każdą Gawędkę i t. d.

LIST III.

..... szki, 20 Kwietnia 1849.

— Meine Ideen, mehr aus dem einsförsnigen Umgang mit mir selbst als aus einer reichen Welterfahrung geschöpft oder durch Lectüre erworben, wer den ihren Ursprung nicht verlengnen, werden sich eher jedes andern Fehlers als der Sectirerei schuldig machen, und eher aus eigener Schwäche fallen, als durch Autorität und fremde Stärke sich aufrecht halten. — (*Schiller-Briefe über die Aesthetik.*)

Obiecałem Panu w przeszłych listach pisać o Cyprynie Norwidzie; a że upoważniony zostałem jego zachętą do kontynuacyi moich Gawędek, przeto wybaczysz Pan łaskawie, kiedy mu się zdarzy trochę zniecierpliwić z powodu mojej rozwlekłości. Dziś posyłam

Panu te, jak się zwykło skromnie mówić, słów kilka, chociaż ich tutaj nazbierało się do kilku tysięcy. Myśl i sąd o tém, co napisałem, oddane są dostatecznie w epigrafie z Szyllera.

Otoż, nim będę mówił o samym Norwidzie, winienem wprzódy rzucić słów kilka objaśniających sposób mojego zapatrywania się na poezyę, zwłaszcza, że to ma służyć niejako za prolegomena do pojęcia, dla czego utwory Norwida tak silnie na mnie wpłynęły.

Przyszliśmy dziś do innego zupełnie pojęcia natury poezyi, niż to było do czasu, kiedy duch oświecenia i życia naukowo-umysłowego Polski zaczął pod rządem błogosławionej pamięci Alexandra I. powoli przychodzić do siebie z przebycia ostatnich katastrof Napoleońskiego okresu. Mickiewicz u nas wygrał stanowczą bitwę przewodząc młodemu pokoleniu romantyków przeciw klassykom słowami: —

Martwe znasz prawdy nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu,
Miej serce — i patrzaj w serce!

Rozumiem, że w pojęciu różnicy romantyzmu od klassycyzmu nie należy uważać tylko różnicę formy w objawach przedmiotów poetycznych, bowiem jest tam głęboka różnica samej treści, samego żywotnego rdzenia tej części życia duchowego, osadzona na konieczności postępowej rozwoju powszechnego ducha w ludzkości. Mickiewicz przeto, bez żadnego sporu, jako mistrz, jako naczelnik tego postępu w poezyi i literaturze polskiej staje, bo żaden do jego czasów tak płodnego, tak elektryzującego, tak energicznie dźwięcznego wpływu na literatu-

rę naszą swoją indywidualnością niewywarł. Ujął on, aby tak rzec, rozpierzchnione i ulatujące końce wodzów poetycznych z przeszłości potężną swoją dłonią i jak gromowładczy Jowisz rozpuścił te wodze z dłoniowego węzła nowym prądem na przyszłość. Odtąd polał się potok srebrno-harmonijnych dźwięków na lutni domowej wydanych biegłą ręką tylu sług Apollina.

Do czasów Mickiewicza charakter narodowej poezyi zaledwie zaczął się wyzwalać z naśladowniczych form klassycznej rutyny, któremi napoił się za czasów Stanisławowskich pisarzy. Najświetniejszym przedstawicielem onych był bez wątpienia obfity a dowcipny Krasicki, xiąże poetów, pod którego jednak panowanie zastęp dzisiejszych pisarzy niechciałby się zaciągać. — Jak wiadomo, akolitami Krasickiego, każdy w odrębnej swojej indywidualności, byli: polerowny Trembecki, rubaszny Niemcewicz, cyniczny trochę Węgierski, idylliczny Karpiński, jędrny Woronicz, rzewny Kniaźnin, grzeczny Szymanowski, oraz znakomici tłumacze Dmochowski i L. Osiński i kilku innych mniejszych. — Przejściem zaś z jednego do drugiego okresu, owym progiem rozdzielającym charaktery polskiej poezyi, są: Niemcewicz z Felińskim patrzący ku wewnętrznej stronie przeszłości, a Malczewski z tkliwym Brodzińskim zwracający się twarzą ku przyszłości naszej poezyi. A gdy po zjawieniu się *Dziadów* Mickiewicza Ludwik Osiński na publicznej prelekcyi wdał się w krytyczny ich rozbiór i przeczytawszy pompatycznie: —

— »Ciemno wszędzie — głucho wszędzie. Co to będzie? — Co to będzie?« —

odpowiedział pokiwawszy głową »głupio będzie« (1)

(1) Historyczne.

to tą odpowiedzią, sprowadzającą na niego tłum sykań, wyraźnie dał poznać przeszłość, przejście klassycznych tradycyj i nierozumienie ducha romantyzmu. W tymto bowiem czasie zjawiony Mickiewicz zestrzelił w jedno ognisko duchy i namaścił je, przez potężny swój wpływ, chryzmą nowego pojęcia polskiej poezyi. »I w tym czasie, powiada Rzewuski, Bóg pobudził wieszczów, zja»wisko *zupełnie nowe* na naszej ziemi, a za nimi sze»reg pisarzy z wdziękiem uprawiających literaturę.« — *Zjawisko zupełnie nowe!* powiada p. Rzewuski — i wielką w tych słowach zamknął żywotną prawdę, która mi pomoże do jaśniejszego wystawienia charakteru teraźniejszej poezyi.

W szczegółowy rozbior poezyi polskiej wchodzić tu nie miejsce. Dział jej na szkoły: Litewską, Ukraińską itd. jak u pp. Tyszyńskiego i Grabowskiego, oraz dział na poezyę myśli, czucia, imaginacyi, wyrażenia i harmonji, jak u p. Rzewuskiego, do mnie tu nienależy; mam tylko zamiar rzucić ogólny wzgląd na znaczenie poezyi, na jej jednolitość z bytem doczesnego społeczeństwa, a zatem na jej ścisły, nierozerwany związek z nauką ducha ludzkiego czyli z filozofją.

Le style c'est l'homme, powiedział *Boileau* i bardzo naturalnie. Rzewuski zaś nieraz powtarza, że żywioł każdej społeczności musi koniecznie wyrazić siebie czynem, i że co istnieje w społeczeństwie, wyraża się fenomenalnie stosownie do stopnia potęgi tego istnienia. Z tegoto powodu fizyognomja czasów przeszłych poznaje się po zewnętrznych rysach literatury. Wyraz tej twarzy społeczności z czasów Stanisławowskich ma też stosunkową odpowiedność z wewnętrznym jej bytem ówczesnym. Społeczność tę chaotyczną, bezładną, bezrzadną, wyszłą tylko co z pod pręgierza kosmopolityzmu

jezuickiego, posiadła kohorta Stanisławowskich pisarzy ukształconych na duchu łacińskim i na wyobrażeniach poczęści francuzkich. Ztąd też ich utwory powiększej części odbijają jakiś blask chłodny i niepłodny, który był wierną emanacyą ówczesnego bytu. A jak w rozpustnym i wyzutym z dawnej swej wirtualności Rzymie podejmowali głos satyryczny na zepsucie obyczajów Juvenalis, Horacy i inni, tak i u nas w anarchicznej Polsce podjął jędrny i szydzący głos Krasicki, Naruszewicz, Minasowicz i inni. Już wówczas duch umysłowości polskiej zaczął przecierać oczy z letargicznego uśpienia, w którém był pogrążony przy monotonicznej pieśni kołyszących kolebkę wychowania jezuitów, i począł uczuwać potrzebę odrodzenia. Usiłowania Stanisławowskie we wskrzeszaniu nauk i kunsztów nie pozostały bezskutecznémi, tylko ta nadzwyczajna skwapliwość cywilizowania narodu na sposób francuzki przyrodzoną lekkomyślność bogatych na zły tor powiodła. Poezya w artystycznych onego wieku klassycznych obrazkach dobitnie przedstawiła zewnętrzne rysy społeczeństwa; a charakter jej, by tak rzec, nosi na sobie plastyczną barwę nie wnikając do głębin estetycznego ducha. I nie dziw, bo wychowanie narodowe niebyło osadzone na myśli prowadzącej do tego celu. Nauka rozwoju myśli, przyrodzona loika pojętego bytu życia publicznego, czyli praktyczna filozofja nieprzewodniczyła, niekierowała tém wychowaniem. Na plac tego próżnego, bezcelowego ówczesnej duchowości życia wpadły dwa pierwiastki, a raczej przybyły z modami, z duchem czasu; błyszczący ogładą, drwiący i bezbożny pierwiastek cywilizacyi francuzkiej spotkał się z prostym, dobrodusznym, dość nieokrzesanym, lecz zacnym i pobożnym pierwiastkiem domowym. Walka ztąd i mieszanina rozprysła po umy-

słach tysiące skrzywień, tysiące nowych zwrotów myśli. To, cośmy dobrego i to, cośmy złego z tej skłonności ducha czasu wynieśli, nie miejsce tu wyszczególniać; winniśmy tylko przyznać, że cokolwiek się dzieje w sprawach ludzkości, to było przygotowaném poprzednią przodków wolą, która ma prawo po rozsądnej, lub nie, drodze postępować, ale która nieodmienny wyrok konieczności, kierowany przedwieczną wolą, za sobą sprowadza.

Musi być dobre, co było do wczora,
Inaczej bowiem przyganim Świętości ; —
I choć kto dzisiaj jest z licem upiora,
To będzie dobrém dla czyjejś przyszłości. —

Z tego więc, co się stało, rozum ludzki winien wyciągać naukę na przyszłość; a poezya, ta najpiękniejsza z najpiękniejszych sług prawdy, trzyma wierne zwierciadło, którém chwyta raz poraz czyny ducha i ciała i błyska raz poraz oczom śmiertelników artystycznymi faktami, które są cegiełkami doświadczenia i uczucia tego doświadczenia w ciągle wznoszącej się świątyni filozofji na cześć Bogu i na pożytek ludzkości. —

Można zrozumieć pojmowanie poezyi za czasów Krasickiego, gdy ten mistrz sztuki swojego czasu wyrzekł:

Był nakoniec poeta, co nigdy niezmyślał.

Jeśli Krasicki wówczas to za bajkę uważał, to czasy dzisiejsze przywodzą bajki i marzenia czasów przeszłych do bytu rzeczywistego — tak dalece sąd ludzki jest sądem ludzkim! Wierszopistwo i rymoklectwo było powiększej części uważane za poezyę. I chociaż dzieła klassyczne owego czasu noszą na sobie piętno talentu, szczytności i prawdy, wszelako charakter poezyi do

końca zeszłego stulecia niemiał jeszcze tego piętna, któróm się przyozdobił w naszym wieku.

Dopiero właściwie od Mickiewicza poczyna się epoka nowej polskiej poezyi i szereg naszych pisarzy, *zjawisko zupełnie nowe*, jak mówi p. Rzewuski. Dla czegożto tak nowe, kiedy widzimy znakomitych przed jego czasem pisarzy? — Oto dla tego, że Mickiewicz i z nim współcześni znakomici pisarze, będąc wieszczami ducha postępu, wyłonili myśl i znaczenie prawdziwej poezyi, daleko odskoczyli od form swych poprzedników i zagłębiając się w samą treść piękna, potężnym swoim talentem pochwycili prawdziwą poetyczną stronę tego piękna. Mistrz poezyi polskiej wzniósłszy się na skrzydłach swego ducha objął orlim wzrokiem całą dziedzinę estetyczności wychowania poetycznego, uczuł, gdzie żrzódło tej rodzimej piękności spoczywa i z nieopisanym dźwiękiem i wdziękiem wysnuł myśl zawartą w pieśni gminu. Tacy, jak Mickiewicz, Zoryan Chodakowski, Zaleski, Kraszewski i inni badacze skarbów przeszłości, natrafiając gdzie mogli na te zagrzebane pyłem dyamenty w koronie bytu domowego i tłumacząc ich donośny blask, cel i znaczenie, poruszyli zastałe lub stęgłe już uczucie piękna, wzbudzili ruch i dążenie do rzeczy wyższych i przez to stworzyli niejako nową przyszłość literaturze, to jest domowemu ukształceniu ducha. Znakomici nasi pisarze aż do dziśdnia w pokazujących się raz po raz mistrzowskich utworach naszej intellektualności rozjaśnili coraz więcej znaczenie i cel poezyi i nadali ten żywotny wdzięk literaturze, który jest rdzeniem dzisiejszego stylu.

Lecz pomimo tak postępowych i znakomitych robót na tle ducha estetycznego osnutych, jedność i cel poezyi nie są jeszcze, ile mi się zdaje podług mego sposobu

widzenia rzeczy, powszechnie pojęte. To jest, że estetyczność wykształcenia duchowego nietylko że nie jest uniwersalnie pojętą, ale, że jest li zastosowywaną do uprzywilejowanych tylko form utworów literatury i sztuki, i że ten duch poezyi, rozlany w naturze, nie jest właściwie rozumiany. Celem tedy niniejszej rozprawki jest, wytłumaczenie się moje, co jest właściwie poezya, jak ją pojmuję, a ztąd szereg wniosków i uwag akcessoryjnych, któryby mógł praktycznie poprzeć to, co teorya rozwija.

W następującém sprawozdaniu proszę bardzo wnikać w duch traktowanej materyi, bo litera nie zawsze jest w stanie dokładnie objaśnić i bardzo często w opacznéın może bydź wzięta znaczeniu. Bo uprzedzam, że dobre pojmowanie tej mojej materyi, nie na żadnej bałamutnej idei nowoczesnej, ale na pewnych zasadach chrześcjańskiej moralności opartej, potrzebuje całkowitej uwagi i jakby religijnego usposobienia umysłu.

a.) »Trzema drogami zstępuje na człowieka objawienie: sercem, wyobraźnią i rozumem i głębią ducha jego rozświetla myślami, których pochodzenie jest boskie. Na odwrót témi samemi trzema drogami duch w utęsknieniu swojém do Boga występuje na zewnątrz, rozwija wiarę, ideały i pojęcia i w trzech wielkich uzewnętrznia się postaciach duchowych: w religji, w sztukach pięknych i umiejętnościach. W tém trojgu leży Apoteozis ludzkości. W każdém odbywa się służba Boża. Sztukmistrze, miłośnicy nauk, równie jak słudzy Boży, są kapłanami Najwyższego, a potężniejsi z nich połyskują światłem ducha, niby mieczem Archanioła, stoją jak Cherubinowie i Serafinowie najbliżej tronu majestatu Jego.«

b.) »Natchnienie jest najwyższém uczuciem i staje się dopiero myślą i wiedzą, gdy je wyobraźnia w kształt pewny przybrała i w tym kształcie duchowi ukazała człowieczemu. Przejściem więc od uczucia do myśli jest wyobraźnia, a ztąd przejściem od religji do filozofji są sztuki piękne, które będąc płodem twórczej wyobraźni razem na uczucie i na myśl działają, będąc wynikiem jednego i drugiego. Gdziekolwiek przeto powstał duch wiedzy czystej niby słowo Przedwiecznego, tam mu torowały naprzód ścieżki i drogi poezya i sztuki piękne.«

c.) »Poeta i sztukmistrz jak wieszczowie uczuciem przeczuwają prawdę, która się ma światu objawić w promiennćm świetle wiedzy. Mają jej jasnowidzenie, ale jak każdy jasnowidzący niemają jej pojęcia. Co przenikają duchem, wypowiadają w symbolu, w obrazie, w materyale sztuki. Możnaby rzec, że gdzie na horyzoncie narodu jakiego pojawi się poezya i sztuka, nie z naśladownictwa, ale z pierwotnych, świeżych, jędrnych czysto-narodowych pojęć wydobyta, tam wschodzi jutrzenka jego wyższej swobody w różanym blasku poranku, tam niebawem i rodzima zejdzie filozofja, tam *odmładza się życie narodu* świadczące o wielkiej treści i zasobach ducha jego.«

Sąto prześliczne słowa prawdy, wyjęte z kursu Estetyki Libelta, rozświetlające, jak niemożna lepiej, mój przedmiot, i tłómaczące, jak niemożna godniej, myśl moją. a) Poeta jest sługą i kapłanem prawdy; b) Poeta jest ślubną stułą uczucia z rozumem; i c) Poeta jest objawicielem i wieszczem wyłonionej wiedzy rodzinnej, jest jutrzenką poprzedzającą wschód żyeiodawczego słońca. Ale o jakiémże tu życiu mowa? Oto właśnie o życiu duchowém, estetycznóm, umoralnionćm, uoby-

czajoném, pojętém i przeniknioném powszechną wiedzą, z końca do końca. Oto jest posłannictwo poezyi! oto jej dążność dzisiejsza; oto charakter wyłoniony z ducha czasu, z prawdziwego pojęcia chrystyanizmu! Tak jest! Prawdziwe pojęcie chrystyanizmu, prawdziwe ucywilizowanie się zależy na zdobyciu, na przyswojeniu sobie tego piękna i dobra, które w powszechnej poezyi spoczywa. Poezyę tedy nieuważam za mistrzynię słów przez wyobraźnię; za służebnę piękna przez sztuki piękne, nie; poezyę należy uważać za rozpromienione Boga uczucie przez bytność Boga *wszędzie*; za uczucie, które i prostakowi i estetycznie wykształconemu człowiekowi (tylko w innym stopniu) może się objawić; które jest celem w sobie i dla siebie, bo po nici sympatycznej, wiążącej ducha indywidualnego z massą ludzkości z jednej, a z objawioną różnemi drogami do rozumu i uczucia wszechwładzą miłości, z drugiej strony, po tej nici przeczuciowo-loicznej dochodzimy do tego Boga, który zostawił człowiekowi wolę: albo umiłować to uczucie poezyi, to uczucie dobra i piękna w jedni, które do Jego królestwa doprowadzi, albo zeszpecić siebie do tyla, aby się zniżyć do bezrozumnych zwierząt, i pojmując zło w skutkach, zaprzeczać i przeszkadzać wzrostowi nasienia bozkiego i tym sposobem rozciągać doczesne panowanie szatana. Tak jest! posłannictwem poezyi jest przyświecać pochodnią prawdy temu nieustannemu bojowaniu białego Anioła poezyi z czarnym szatanem nieprawdy w ludzkości, a nieustannemu bojowaniu czystego, sumiennego ducha z błotném ciałem w człowieku. Celem prawdziwej poezyi jest orzeźwiać, pokrzepiać i budzić zasypiającego lub zmartwiałego ducha ludzkiego, ile razy on upadnie lub osłabnie pod przemocą lub chytrością śmiertelnego swego przeciwni-

ka, a zachęcać, podniecać i nagradzać, ile razy on się wyzwoli z więzów upadlających cielesności. Poezya tedy równie w entuzyazmie, jak w największej spokojności, równie w gorzkiém nieszczęściu, jak w najszczytniejszej radości szczęścia, równie w mocnym, jak w słabym, równie w zdolnym i potężnym genjuszu, jak w skromnym a niepolotnym umyśle, słowem, w każdym czasie i miejscu, w każdém położeniu prawego tylko człowieka, jest oną śliczną żniwiarką dusz, przygotowanych na ucztę dla Pana nad Pany! Coż więc niechłonie w siebie dla tak świętego i wielkiego celu poezya?— Wszystko! Wszystkie szczytności i wszystkie nauki człowieka toną w niej i rozpuszczają się w wonny i bozkiego smaku nektar, którym powinien przesięknąć duch człowieka dla osiągnienia wielkiego swego przeznaczenia (1). Wiara z pieśnią duszy przepływa z ust matki do duszy dziecka i rozbudza zawiązek myśli do życia w przyszłym człowieku. Myśli są niewinne, czyste, złote, niebieskie, zielone, wszystkich tęczowych kolorów. Pieśń

---

(1) Na potwierdzenie moich myśli oto właśnie pan *Quatrefages* w rozbiorze ważnego dzisiejszych czasów dzieła p. Humboldta pod t. *Kosmos* powiada, jak uczeni pracujący każdy w różnym zawodzie z podziwieniem spotkali się na wspólném polu, to jest, że na stanowisku, na którém dziś stoimy, nikt niemoże rzetelnie odznaczyć się w nauce wyłącznej, którą obrał za przedmiot swych badań, niepotrafi pojąć całego zakresu nauki, którą uprawia, jeżeli niema ogólnych przynajmniej pojęć o innych naukach. — Więcej, niż komu może się zdawać, duch poezyi jest istnący w naukach, bo wszelki zapał do badania jest właśnie przymiotem ducha dążącego do prawdy. Ta jedność, do której dążą i którą przeczuwają prawe i oświecone umysły, jest właśnie ową syntetyczną koroną ducha ludzkości, która ogarniając najwyższą estetyczność napełnia rzeczywisty świat poezyi. (*Autor.*)

jest słodka, harmonijna, domowa, chwyta za serce i dźwięk na niém do śmierci zapisuje. Wiara jest żywa, bezwarunkowa, niebiańska, anielska. Czyli to wszystko jest poezyą rzeczywistą?— nie! Ale to tylko dla dziecka nie jest poezyą. To dla ciebie tylko rozpamiętujący człowieku wówczas będzie poezyą, gdyś sobie te pamiątki zapisał na sercu dla badania w nich prawdy, bo bez świadomości, bez prawdy niema poezyi, bo jeśli dla czczej tylko tkliwości, dla bezmyślnych pamiątek, dla jakiegoś próżnego widzimi się to przypominasz; to to wszystko przeszło, znikło i zmarniało dla ciebie w doczesności, to wszystko dla ciebie zostanie fałszem, kiedy ztamtąd choć krty prawdy dla zrozumienia wieczności nie wyniosłeś. Bo uważ: wiara, która była rdzeniem twoich młodzieńczych myśli, niewzruszoną opoką, na której twe poczynające życie istniało, gdyś przyszedł do lat dojrzalszych, okazała się tylko twym przymiotem, formą twego ducha doczesną, a nie samą treścią. Bo gdyby inaczej było, to nieodstępowałbyś dla wewnętrznej pychy lub dla innych jakich ziemskich powodów nieprzechodziłbyś z jednego do drugiego wyznania, nie tworzyłbyś tyle różnic w jednym nawet domu, niebyłbyś tak interesowanym, tak złośliwym, tak niesprawiedliwym i t. d.— słowem, albo musiałbyś zostać ciągłém dzieckiem, lub Aniołem, co bydź nie może; albo przy posiadaniu swojej woli, czucia i rozumu starał się ukształcić siebie estetyczno-poezyjnie, co bydź może. I wtedybyś ujrzał duchem, jak poezya, owa najstarsza i najpiękniejsza córa Bóztwa z tkliwo-tęskném obliczem, wskazując jedną ręką na Niebo, a drugą na wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, jak ona patrząc na ród ludzki, chrześcjański, smutnie potrząsa głową widząc te spory, te różne wyznania, ten chaos niechrześcjańskich czynów tego różno-

rodnego wychowania nawet w jednej familji, w jednym narodzie! A patrząc na to poezya mówi: »A wszakże-»ście ludzie obdarzeni wolą, czuciem i rozumem, a »wszakżeście dziećmi jednego Boga objawionego oto »przez Boga - Człowieka!«

Bozki Nauczyciel wyrzekł: »*Kiedy niestaniecie się jako owe dzieci, niewnijdziecie do królestwa Niebieskiego*.« (Przypis 1). Właśnie to jest zadaniem poezyi przyprowadzić człowieka do tej skromności i prostoty dziecięcia, tylko chciejmy bacznie i korzystnie jej prawa pojąć. Religja więc, to jest, nauka ducha przez Wiarę jest pierwszą i najważniejszą mistrzynią w szkole estetycznego kształcenia człowieka i do niejto odnoszą się wszystkie etyczne nauki kształcące naszą indywidualność.

Ale takowa prawda, to jest, takowe Dobro i Piękno egotycznie tylko kształcące niejest jedynym celem człowieka, bo oto nasz Prawodawca powiada: *kochaj bliźniego jak samego siebie*, to jest, że nie tylko dla siebie ale i dla wszystkich masz żyć. Tu dopiero poezya rozkrywając przeczyste oblicza Dobra i Piękna staje na wyższym stopniu, wskazując jedną ręką na zniecruchomiałą i przed Bogiem stojącą przeszłości Historyę, drugą kładąc na sercu, jakby tém tłumacząc, ile cierpień, ile obrazy poniosła z obłąkań umysłu ludzkiego zapisanego w tej Historyi! W wieszczém jej oku błyska łza żalu, piękną jej głowę otacza glorya filozoficzna nauk i umiejętności. W jej myśli, w chęci, wyrażonej na jej postaci, jest pragnienie podniesienia choć o jeden stopień wyżej żyjącą, bytującą ludzkość; i do tego olbrzymiego usiłowania porusza wszystkie attrybuta swego Piękna i Dobra, rozsyła na wsze strony pomiędzy ludzkość towarzyszące jej religją, nauki i sztuki, aby

te uwolniwszy ludzkość z więzów brudnego ciała ziemskiego, zdołały pomódz podnieść się na ten wyższy stopień, zkąd czystsze światło, zkąd jednym krokiem bliżej do Boga!

Kształcenie się więc filozoficzne w umiejętnościach i sztukach pięknych dla powszechnej korzyści w ludzkości, kształcenie się do stopnia takiego, aby umieć pognębić w sobie zbyt przemagające uczucie ducha interessu, wyrobienie w sobie filozoficznego trudu życia, wzniosłe pojęcie ducha ofiary i zaparcie się przed własną próżnością, będzie drugim najwyższym stopniem wykształcenia estetycznego w człowieku. Mała liczba wybranych wchodzi na to podniesienie. Uczucie poezyi właśnie przygotowałoby większą liczbę zwolenników i ci potrafiliby coraz to więcej rozszerzać Dobro i Piękno na ziemi. Lecz nim takowe jednolite pojęcie ukształcenia narodowego przyjdzie do przewagi w naszém życiu, nim te obyczaje złagodnieją, nim te chropawości z naszej fizyonomji znikną, ileżto wody jeszcze upłynie do morza!

Poezya tedy sama w sobie jest Chrześcjańską.

Pojęcie takowe poezyi, do jakiegośmy dziś doszli, winniśmy właśnie temu duchowi Chrystyanizmu, który się począł od Boga-Człowieka. Zadaniem tego ducha bowiem jest oblać serca i rozumy wszystkich ludzi tym promieniem bozkiej wiedzy, który osładza, miękczy i znosi dzikość i niedolę ludzką, i jestto właśnie ów rdzenny charakter poezyi podmiotowej budujący stałą pomyślność społeczeństwa i przygotowujący błogą przyszłość duchowi nieśmiertelnemu. Najszczytniejsza, jakiej świat niewidział, poezya jest — Chrystyanizm. Poezyi wyższej niebędzie aż do końca świata. Rozszerzenie serca swego w miłości dla Boga, zaparcie się siebie aż do męczeństwa, wyswobodzenie świata cierpiącego nie-

dolę i nędzę z pod podwójnego łańcucha niewoli często tyrańskiej społeczności i własnego ciała; wszystkie najczystsze, najwznioślejsze cnoty, do których tylko duch ludzki jest zdolny: owe przebaczanie uraz dla wzajemnej spokojności w pożyciu z bliźnim, owe odradzanie się i oczyszczanie w duchu dla utrzymania swojej godności człowieka, słowem, owe wszystkie szczytności i świętości Chrystyanizmu, zaiste! jeden tylko Bóg mógł stworzyć taką poezyę! Należy nam tedy głęboko przeniknąć się zasadami Chrystyanizmu dla zrozumienia całej szczytności i niezrównanej piękności jego poezyi, aby na zasadzie tego pojęcia i przeniknienia się odbywać estetyczny kurs postępowej poezyi do wielkiego jej przeznaczenia. Przypatrywanie się tej formie niebiańskiej Chrystyanizmu napełni nas tym nieopisanym urokiem płodnej w czyny cnotliwe kontemplacyi, która coraz to nowe szczytności, coraz to nowe krainy piękności i dobra na obliczu poezyi odkrywa. Nadto idea postępowego ducha Chrystyanizmu jest wzorem dla kształcącej się estetycznie ludzkości w jej prawach, rządach, instytucyach. O ile sprawy ludzkie przybliżać się będą do tego wzoru, o tyle będą piękniejsze i lepsze, o tyle więcej będą pozbawione tych różnych przywar dzikości ludzkiej. Tę myśl prześlicznej poezyi Chrystyanizmu znajduję wybornie powtórzoną w tych słowach p. Moehlera, który pisał historyą zniesienia niewolnictwa z oblicza świata przez Chrystyanizm, pisze on: »*L'esprit* »*du Christianisme lent et mesuré dans son activité et* »*d'autant plus fort et plus penetrant*, *se créa une* »*forme en harmonie avec lui-meme exempte de vio-* »*lence et de revolution et rejetta celle qui lui etait* »*étrangère*.« Otoż właśnie owa forma jest to poezya, o której mówimy, a którą aby ocenić i zbadać, potrze-

ba być estetycznie ukształconym. Ale nadto poezya ta o tyle jest prawdą, że nawet ubogich w duchu oświeca i kształci. Wszystkie przejawy ducha ludzkości we wszystkich stanach i klassach, skoro w czynach swoich wypełnią prawdę, to tém samem przejawią tego ducha poezyi; bo poezya jest wszędzie, bo ona jest emanacya bóztwa.

Skarbnicami poezyi, owémi studniami rozlewającemi dobro i piękno na początku, w pierwszych wiekach naszej ery, były kongregacye duchownych. O ile te kongregacye katolickie powszechnego Chrystyanizmu ducha zbliżały się do celu tej poezyi, do tego szczytnego wzoru czystej piękności, o tyle były świętsze, prawdziwsze i potrzebniejsze. Lecz gdy mając posłannictwo bojowania przeciwko szatanowi pychy, interessu i skażonego ciała, poddały się z czasem same pod jego władzę, tém samém zponiewierały swoje kapłaństwo w tej służbie prawdy.

Jezuici tu występują, jako uorganizowani mordercy prawdziwej Chrześcjańskiej poezyi. Nikt niemoże zaprzeczyć wielkich zasług temu zakonowi a nawet i korzyści, jakie od niego odebrały nauki i umiejętności. Wiadomo bowiem, jakich ludzi zciągał on do siebie. Katolicyzm miał w Jezuitach wielką i silną załogę wojującego kościoła. Cóż, kiedy na nieszczęście wyrobili oni w sobie taką zasadę, która ich samych do zguby nareszcie przywiodła. Duch interessu, duch materyalnej korzyści niepochodzi z Chrystyanizmu, a to widoczne ich dążenie do owładania indywiduów, familij a nawet i rządów politycznych, niepowstało zapewne z ewangelicznego ducha naszej religji. Błędy i nieszczęścia, jakie w biegu dziejowym spadały na ludzkość przez tę ich tajemniczą politykę, oburzyły wreszcie

narody i rządy, skutkiem czego musiał zapaść wyrok nakazujący zniesienie szkodliwego zakonu. Kto na zasadzie tego powszechno-dziejowego Europy faktu, na zasadzie tego *vocis immensi populi*, opiera swoje wywody, argumenta, postrzeżenia, byłżeby w błędzie? Kto czytając i porównywając rozmaite źrzódła historycznej powagi, wszędy natrafia na jednostajny prawie objaw tego ducha jezuityzmu tak powszechnie znienawidzianego, byłżeby namiętnym i zaślepionym stronnikiem fałszu, narzędziem jakiejś niechrześcjańskiej zemsty lub nienawiści? A przecież jest bardzo wielu, i tutaj u nas spotkasz się wszędy z zagorzałymi obrońcami Jezuitów, jak gdyby oni niedosyć złego nam samym wyrządzili. Rzecz dziwna, że ci obrońcy, między którymi, jak zwykle na tym świecie, wielu jest prawych i bezstronnych, a pewno więcej interesowanych i płaszczykowatych, myśląc o bezwarunkowym katolicyzmie, opierają swoją obronę na zbawiennej użyteczności tej systematycznej falangi w czasach rozwolnienia obyczajów, jak gdyby dopięcie mniemanego zbawiennego celu mogło się usprawiedliwić niegodziwymi środkami, jakich Jezuici ze swoją konfraternją zwykle używali. Ztąd możnaby wiele wyprowadzić wniosków i spostrzeżeń, które opuścimy, powiemy tylko, że postanowienie stolicy apostolskiej przez Klemensa XIV, owa bulla *Deus ac Redemptor* jest nam niezłomną egidą przed myślą niesumiennego i zaślepionego potępienia Jezuitów; że sprawą religji mogą opiekować się najgorliwiej inni duchowni, niemający nic wspólnego z duchem jezuickim; że nakoniec chyba chcą uprawnienia chytrości i obłudy, uświęcenia pobudek do wszelkich nieprawych i sprośnych czynności ci, co nieprzestają gardłować za jezuitami? — Zapewne że chytrość, jak wiadomo wszystkim, jest częścią na-

szej natury i mniej więcej w każdym znajduje się człowieku. Nie idzie przecież za tém, aby ją uświęcać aż zakonem. Jeśli ona potrzebna w pospolitém niekiedy życiu, to obłuda i podstęp w tym, którego na stróża religji przeznaczono, jakież wyradzać mogą skutki? Z tego to punktu uważania natury ludzkiej wychodząc widzimy ludzkość karzącą samą siebie uczuciem swoich przywar i piętnującą ów układny, koci, świętoszkowaty podstęp mianem *jezuityzmu* w katolicyzmie, co ona w protestantyzmie *kantem v. kantyzmem* nazwała (Przypis 2).

O ile tedy człowiek lubi w tak świętym stanie, jak jest stan duchowny, widzieć bezinteresowność, czystość obyczajów, prawość, słowem, wszystkie cnoty chrześcjańskie; o tyle przejmują go wstrętem obłuda, chytrość, fałsz i wszystkie niecnoty praktykowane w tymże stanie. Jeżeli więc zdołamy ukochać, umiłować całém sercem wszystkie poetyczne cnoty Chrystyanizmu, jeżeli przez tę wysłanniczkę z nieba poezyę zdołamy zagłębiać się w kontemplacyi ducha ludzkiego i w niepojętej miłości Boga, to jakimże wstrętem nieprzejmie nas niszczyciel tych cnót człowieka, tego pojęcia Bóztwa przez poezyę! Co się stało, już się stało i nieodstanie, bo to było zapisane w przedwiecznym porządku. Herezye, jak wyrzekł Apostoł, istnieć będą w ludzkości po czas istnienia Chrześcjaństwa, to jest na wieki. W tém wieczném bojowaniu przeciwieństw na świecie chodzi o zdobycie przewagi dobra nad złem, ducha nad materyą. Ale w tém pojęciu i rozróżnieniu dobra od zła, praw ducha od konieczności materyi, ileż znowu sprzeczności, ile zdań różnych! Od początku naszej Ery ileżto pierwiastków palnych wpłynęło na ten wieczny ogień przeciwieństw!.. Kruszący się kolos rzymski rozwiązuje pierwsze zadanie Chrystyanizmu, który z wyższego ko-

nieczności przeznaczenia powinien był zrzucić ten stary typ pogaństwa i w porodzie mniejszych narodowości odrodzić ludzkość.— Tam znowu Karlomanowie zachodni podnoszą typ zachodniego Cesarstwa, które się prędko kruszy.— To zjawisko nowej religji Mahometa i to parcie na nią Europy wojnami krzyżowemi. — To poetyczne odkrycie nowego świata i to zbyt prozaiczne nawracanie nowego 'udu przez bezczeszczących godność i świętość religji mnichów oślepionych chucią złota i cielesności, gdzie później Jezuici będą zakładać swoje *Redukcye Paragwajskie*, co staną się najpierwszą przyczyną ich zguby.— I, że pominę tyle innych wypadków a zatrzymam się nad jedną seryą przeciwieństw: — to ustanowienie Inkwizycyi podłącej cel religji i to na odwrót wynalezienie druku, nieprzeparty i niezniszczony dowód wolności ducha człowieczego. Gdy w ciągu tych wypadków Jezuici weszli na widownią publicznego bytu, mógł poetyczny i pełny entuzyazmu Lojola w organizacyi swego zakonu zakładać cel szlachetny i zbawienny, ale następcy jego Lainez, Aquaviva i inni zrozumiawszy, że pod maską religijnej powagi nietrudno im opanować świat materyalny i jego wszystkie sprawy, zaczęli podług swego widzimisię, podług zasad swojej loiki i filozofji nastrajać wszystko na swoją korzyść. Poezyi w ich bycie nigdzie śladu niema, chyba że nazwiemy poezyą to ich uczucie miłości własnej, kiedy jenerał jezuicki z zakątka swego gabinetu w Rzymie na czele 20.000-nej legji rządził sprawami świata. Lecz takowa poezya zanadto oddycha egoizmem, fałszem, a prawdziwa poezya nigdy się do fałszu niemiesza. Nie bez tego, żeby wielu z nich niebyło dobrych i prawych, podług ludowego przysłowia: *i jezuita był kiedyś poczciwy.* Ale podają dzieje, że wielu z tych poczciwców,

z tych hołdowników poezyi poginęło w pod-ziemiach i na torturach jezuickich więzień. Otoż zjawili się Jezuici z celem niby bronienia katolicyzmu od niebezpieczeństw, jakiemi mu zagrażała Reforma — z celem, możemy rzec, sprawiedliwym, słusznym; ale środki użyte do tego celu były niechrześcjańskie, niekatolickie. Nietolerancya mogła być przypuszczona w czasach tylko barbarzyńskich i pogańskich, wówczas, kiedy nie było tak skutecznego jak dziś środka nauczenia, objaśnienia i przekonania. Sokrates w pogaństwie i tylu męczenników w pierwszych Chrześcjaństwa czasach, mogli być poświęcani na śmierć w myśli zniszczenia do szczętu nowej lecz spokojnej sekty Chrześcjan: ale gdy przytem i religja i filozofja czyniąc się tłumaczami indywidualnej woli i sumienia człowieka przekonywają, że ducha ludzkiego żadna siła ujarzmić nie jest w stanie, że nietylko za prawdę człowiek ze stałością na śmierć się poświęci, ale nawet pozoru prawdy i jawnego fałszu gotów jest bronić do upadłego; to przy rozprzestrzenieniu druku któż nie widzi, że nietolerancya jest nonsensem, jest najwyższą kontradykcyą (Przypis 3)? Któż nie czuje, że na dowód swej prawdy, kiedy ona rzeczywiście jest prawdą, potrzeba ducha łagodności, wytrwałości, wspaniałego przykładu, życia pełnego prawdy, a nie inkwizycyi, nie przelewu krwi, nie ognia, nie zajadłości, nie hypokryzyi i obłudy, jakich mnogie przykłady zostawili Jezuici? — Druk jestto obosieczny miecz ludzkości, będący w ręku złych i dobrych narzędziem najczynniejszém wzajemnej wojny, lecz skutek jego niemoże być wątpliwy, jeśli nie natychmiast to później, bo we dnie kieruje nim prawda, a w nocy tylko fałsz umie wykradać chwile użycia go na swoją korzyść. Dla czegoż takie piętno hańby dostał duch je-

zuityzmu od ludzkości? pytam się. Czyliżby usiłowania kilku historyków, kilku pisarzy, kilku wreszcie władców, mogły wpłynąć tak dalece na massy, aby ogólnym i powszechnym ku nim przejąć wstrętem bez żadnej gruntownej podstawy?— Ja sumiennie i bezstronnie zapytuję siebie i znajduję odpowiedź, że ludzkość dla tego tak się oburzyła, że widziała się obrażoną w najdelikatniejszém, najświętszém i najestetyczniejszém swojego ducha uczuciu, mianowicie w tej poezyi religijnej, która jest jej wiarą i żywotem nieśmiertelnym. Ta poezya prawdziwa dopiero zaczęła przychodzić do siebie, kiedy uwolniła się od tyrańskich uścisków Jezuity, kiedy ten zakon szczęściem został przepędzony! — Tak jest! bo Jezuita był znawcą piękności — i jak dziewice ziemskie musiały nieraz ulegać jego intrygom i jego wpływowi, tak się pokusił on zdobyć i podbić sobie ową niebiańską dziewicę-poezyę. Zamknął ją przed obliczem świata i ukrywał w cieniu starając się ją dla siebie tylko zniewolić. Ale w témto właśnie ślizki krok uczynił i wpadł w przygotowaną przez się łapkę, bo zaufany w siłach swoich niepojął, że nie przemoże i niezdoła brudem swoich chuci naruszyć czystości jej istnienia; że będąc sługą fałszu nie może stać się jej kochankiem. Niepojął, że dziewica ta jest Chrześcijanką a nie Muzułmanką, że nieznosi żadnych haremów i niewoli, ale lubi odkrywać światłe swe oblicze wszystkim, którzy ją poznać pragną, aby oblewać ich dusze promieniem piękna i dobra, jak to jej Chrystus przy ochrzczeniu i wyswobodzeniu na świat zalecił. Pokonała przeto ta zwycięzka zawsze dziewica wroga i trup jego oddała na pogardę światu.

Dzisiaj znowu powiadają, że czy upior, czy potomek tego ducha jezuickiego zaczyna podnosić głowę? Polip więc ten, ta Lerneńska hydra niedość zgniecioną

została maczugą ducha czasu? — Nie to! — Piękna Poezya jest tutaj wiecznie obecną i w nasze czasy liczba jej zwolenników prawie co chwila się zwiększa; a gdy, co niedaj Boże! przyjdzie jej jeszcze kiedy spotkać się z tym duchem fałszu, w samą porę będzie umiała błysnąć straszydłu tarczą Meduzy, aby niepokusił się znowu tchnąć na nią nieczystym swoim oddechem.

Taki tedy charakter estetyczno-filozoficzny nie formy ale samej treści odznacza poezyę dzisiejszych czasów. Zrozumianą ona dziś została jako konieczna i nieoddzielna istota ducha ludzkiego, albowiem owo uczucie ciągłego pragnienia jakiegoś nieopisanego dobra i piękna, właściwe każdemu nieupośledzonemu zupełnie człowiekowi, jest tą poezyą. I w tymto właśnie punkcie mylili się i mylą dotąd ci, którzy poezyę za jakiś odrębny fakt, za jakąś szczególną professyę uważają. Tacy bardzo często nazywają poezyą to, co nigdy nią nie było, znajdują tam, gdzie jej niema (Przypis 4). Poezya bowiem jest to w najwyższym stopniu uczucie prawdy i sprawiedliwości rozciągnione na całe życie, na wszystkie prawe czyny człowieka. Wszelkie kłamstwo przeto, blichtr, pochlebstwo, blask zwodniczy, wszelki odcień poniżenia się, niegodziwości i t. p. nie może mieć w żaden sposób przystępu do poezyi. Żeby się materyalnie wyrazić, jest to najpiękniejsza, najdelikatniejsza, a razem i najkapryśniejsza z eterycznych dziewic myśli ludzkiej. Najmniejszy odcień brudu ją zraża i odpędza. Chwyta się ona dusz i chwil najczystszych, jest ciągłą towarzyszką prostoty i najpowolniejszą sługą prawdy. A zatem należycie pojęta, jest jak ów flogiston Eulera, zapełniająca wszędzie przestwór duchowości ludzkiej, i rozumiem P. Edgara *Quineta*, kiedy gdzieś mówi, że przeznaczeniem poezyi w przyszłości

jest ogarnąć wszystkie dziedziny filozofji. Bo też i prawdziwa filozofja dzisiejsza wylęgła z chrystyanizmu niczém inném nie jest, tylko objawem poezyi prawdy, a nie powiem, że jest samą prawdą. Samą rzeczywistą prawdą jest czyn, który poezya czyli filozofja obserwuje, ocenia i zapisuje w archiwiczny pamiętnik ludzkości. Ten zaś czyn znowu o tyle będzie miał więcej pierwiastku bozkiego, o tyle będzie trwalszy, o ile więcej będzie miał w sobie piękna i dobra. Ztąd łatwo zrozumieć, co znaczy stosunek teoryi z praktyką, słowa z czynem i w jakich terminach zbliżają się one do tożsamości, do syntezy. Lecz jest najwyższe Słowo żywotne, które stworzyło świat wszechrzeczy; to Słowo jest najwyższą, nie pojętą dla ludzi Prawdą. My zaś posiadamy tylko świadomość sądu i czucia w nader ciasnych granicach zamkniętą. Sąd oparty na czynach dotykalnych, wyrozumowanych, oczywiste i bardzo blizkie widzi granice swej donośności. Czucie oparte na przeczuciu sięga niezmiernie dalej po za granice rozumu. Rzecz widoczna, że w granicach rozumowych obie te własności człowieka powinny jednocześnie i razem postępować i jedna drugą wspierać, bo bez tego każde zosobna wpada na straszną drogę bezładu a zatem fałszu. Po za granicami zaś rozumowémi jedno tylko przeczucie buja po niezmiernych przestworach myśli, i rozumie się, że tu żadnego towarzysza mieć niemoże. W granicach rozumowych tylko słowo może się przyoblec w ciało ziemskie w proporcyi do człowieka. Rachunek więc, racya, doświadczalność, mają bardzo szczupłe granice, aby ztąd można było wyprowadzać prawa o celach przyszłości wszech-świata. Gdy nadto wiemy, że są ilości myśli duchowych wcale niepoddające się rachunkowi i wymierności; to czémże się okażą systemata

filozoficzne pozbawione jednej z tych dwóch własności nieodmiennych w ludzkości, to jest, uczucia, które zwykle wypędzane bywało z filozofji do poezyi? Część życia ludzkiego, w której rodzi się uczucie, podpadała wprawdzie pod kwestye filozofji w tym peryodzie życia człowieczego, ale uczucie to prawie wszędzie i zawsze miało początek, wzrost i cel w ciele a nie w duchu. Systemata tedy filozoficzno-sceptyczne materyalnego wieku XVIII napoiły i przesiąkły témi zasadami ludzkość. Poezya tam nic niemiała do roboty, ba owszem miała i bardzo wiele, ale jakże zwrócić prąd ducha czasu! Gdybyśmy i my wówczas żyli, wszyscybyśmy musieli ulegać temu prądowi. Doktryny bowiem, pochlebiające i podbechtujące skłonne zawsze i bez tego do złego, ciało człowieka zawsze się prędzej podobają człowiekowi, gdy one zwłaszcza utworzą opinję bardzo wygodną dla tych jego skłonności. Ale obok tych doktryn pochlebiających zmysłom, szumnie i hucznie żyjących na świecie, siedziała sobie w kątku cicho, pogardzona i wyszydzona w wielu miejscach, ascetyczna filozofja Chrystusa ze swoją starszą siostrą poezyą, czekając cierpliwie upamiętania się i ochłonienia z zawrotu. I cóż się okazało? że filozofja bez religji, bez poezyi, jest czczém słowem ludzkiém, że systemata na racyonalności samej tylko oparte są absurdami w praktycznem zastosowaniu, bez żadnego cementu zgody, miłości i celowości. Ten labirynt doktryn, jedne nad drugie śmieszniejszych, jasno okazał ubóstwo ducha ludzkiego i brak zupełny uczucia prawdziwej poezyi. Czcze i oschłe jest życie bez takiej poezyi. Z powodu braku zasiłków duchowych, lub z niedobranej właściwości pokarmów, cząstkowa ludzkość może uledz i poddać się nienormalnemu, niezdrowemu prądowi po-

stępu, ale prędzej czy później opatrzy się ona i policzy swoje szkody. Takie jest życie każdego człowieka, zawsze musi drogo okupywać doświadczenia. Zrozumiejmy tedy i słuchajmy głosu tej wydobytej z pierwiastku bozkiego poezyi opartej na religji i cnocie, abyśmy zdołali nietak często i nietak znakomicie błądzić, jak błądzimy; bo niebłądzić nie jest rzeczą ludzką.

„*Mamy latać? latajmyż ni górnie, ni nizko*" — to jest właściwa strefa dla ducha ludzkiego.

Należy zatem właściwą poezyę odłączyć od innych sztuk pięknych, które w pewnym stopniu są objawem filozofji czynu, a nawet od samej poezyi słowa. Powtarzam, że każdy człowiek ma w pierwiastku złożoną w swej duszy tę iskrę prawdy, którą może w rozmaitym kształcie rozwijać. Wola w tém jego. Lecz jest gatunek ludzi czulszych, tkliwszych na wrażenia dobra i piękna, ci pochwytują wyłącznie i z zapałem to rozbudzanie się iskry poezyi i poświęcają się niektórzy na kapłaństwo prawdzie. Ci czują piękno i dobro w natchnieniu i chwytają za jaki materyał dla objawienia ducha i objawiają myśl poezyi w słowie, w kamieniu, w dźwięku, w obrazie i t. p. Co innego więc jest objaw poezyi, a co innego czyn poezyi. I ażeby skutek z tego objawu był płodny dla ludzkości, powinien czyn zgadzać się z zasadą. Poeci i sztukmistrze są właśnie promotorami tego estetycznego ukształcenia, które ma ludzkość zachęcać i przyprowadzać do czynów prawdy. Każdy uczony, znakomity pisarz, artysta, będzie o tyle lepszym i korzystniejszym nauczycielem, o ile na prawdziwszym pierwiastku oparł swoje zasady. Te zasady winny wypływać ze żrzódła poezyi, a ludzkość w czasie koniecznie musi odróżnić fałsz od prawdy i nadać sankcyą trwałości takowym zasadom.

Poezya więc jest uniwersalną; — przyjmuje do swego składu wszędzie i na każdém miejscu prawdę. Poezya nie w samej tylko mowie i sztuce człowieka spoczywa, nie w poemacie jakim się objawia. Wszelkie czyny dobre są poezyą. Poezya czynu jest wzorem, jest kartą, z której oko mistrza zdejmuje kopją lub pisze *memento* dla ludzkości (Przypis 5).

Tu bardzo ważna nastręcza się uwaga, która każdego myślącego, obserwującego zdarzenia w świecie ducha, musi boleśnie zastanowić. Trzeba tu bowiem słów kilka powiedzieć o tém nieporządném i tak sprzeczném z zasadami estetycznémi życiu wielu artystów. Takowe fałszowanie prawdy w ludziach niepospolitych przez swe zdolności boleśnie i tém boleśniej obraża, że oni będąc od samej natury przeznaczeni na kapłanów w świątyni poezyi, tak dalece zapominają o tém swojém powołaniu, że wprost czynami moralnymi życia okłamują i depcą ideę piękna i dobra, którą przejawili w dziełach swoich. Co zdaje się być niepowinno u ludzi wyższém uczuciem i pojęciem obdarzonych. Tłumaczenie się tu namiętnościami bujnémi nietylko niewymawia, ale bardziej jeszcze potępia, bo namiętności zkierowane rozumną wolą na drogę prawą nikogo nieobrażą, owszem pięknością zapału każdemu się podobają.

Ilużto artystów nierządne i nieporządne życie prowadzi! I któż potem więcej od nich na zawód życia, na przeciwności losu narzeka? Ktoż boleśniej, mocniej, dotkliwiej potrafi czuć obrażoną prawdę, jak nie artysta? — Tymczasem on sam jest zdrajcą tej prześlicznej kochanki swojej poezyi, której wzniosłém uczuciem dobra wierność niegdyś ślubował, a potem w najbezecniejszą prozę zła się ponurzył! Jakiż on sam przez

się i w sobie wyradza chaos przeciwności, do znoszenia których on właśnie był talentem swoim przeznaczony! Fałsz! fałsz! i tém bardziej rażący, tém dotkliwszy, że sam dobrowolnie podaje broń szatanowi do zwyciężania siebie. Dla czegoż więc tak nieczęsto znajduje się harmonja czynu z umiłowaną teoryą, charakteru z przyrodzonémi zdolnościami człowieka? Nam tu łatwo będzie pojąć dla czego i dać odpowiedź panu Balzakowi i innym, którzy nad tą niezgodą się zastanawiali.

Pan Chateaubriand w *Genie du Christianisme* pisze: »*Autant l'harmonie des qualités et des mouvements* »*est visible dans le reste de la nature, autant la* »*désunion est frappante dans l'homme. Un choc per*»*petuel existe entre son entendement et son desir, entre* »*sa raison et son coeur.*«

Tęż samą myśl jeszcze dobitniej wyraża Balzak w swojej powieści *Modeste-Mignon:* wychodząc przecież z punktu uważania zmysłowo-racyonalnego, nieumie sobie zagadnionych fenomenów wytłumaczyć. Pisze on: »*Il est extremement rare de trouver un ac*»*cord entre le talent et le caractère. Les facultés* »*ne sont pas le resumé de l'homme. Cette separa*»*tion, dont les phénomènes étonnent, provient d'un* »*mystère inexploré, peut-être inexplorable. Le cer*»*veau, ses produits en tous genres, car dans les Arts* »*la main de l'homme continue sa cervelle, sont un* »*monde à part, qui fleurit sous le crâne, dans une* »*indépendance complète des sentimens, de ce qu'on* »*nomme les vertus du citoyen, du père de famille, de* »*l'homme privé. Ceci n'est pas cependant absolu.* »*Rien n'est absolu dans l'homme. Il est certain que* »*le debauché dissipera son talent, que le buveur le* »*depensera dans ses libations, sans que l'homme ver-*

»*tueux puisse se donner du talent par une honnète*
»*hygiène; mais il est aussi presque prouvé que Virgile,*
»*le peintre de l'amour, n'a jamais aimé Didon, et*
»*que Rousseau, le citoyen modèle, avait de l'orgueil*
»*à defrayer toute aristocratie. Néanmoins Michel-*
»*Ange et Raphaël ont offert l'heureux accord du gé-*
»*nie, de la forme et du caractère. Le talent chez*
»*les hommes est donc à peu-près quant au moral, ce*
»*qu'est la beauté chez les femmes — une promesse. Ad-*
»*mirons deux fois l'homme, chez qui le coeur et le*
»*caractère égalent en perfection le talent.*«

Do tych dwóch obserwacyj (których wielką liczbę ze znakomitych autorów możnaby przytoczyć) przydam jeszcze jedną naszego polskiego pisarza, autora *Kalejdoskopu*, przychodzącego niejako w pomoc moim myślom i tłumaczącego dogmatycznie to, co estetycznie tu rozważam, a co w gruncie na jedno wychodzi.

Pisze on: »Najświetniejsze ukształcenie natury ludz-
»kiej odmienić niezdoła, a obwarowanie siebie od do-
»godzenia namiętnościom, którym można uledz bez oba-
»wy kary, wypływa z nadprzyrodzonego stanu, w któ-
»rym nas umieściła wiara dana wprost od Boga. Mo-
»gą się jawić piękne systemata moralne, nawet za-
»stosowane do tych, których można zmusić do po-
»słuszeństwa, ale moralność praktyczna tych, któ-
»rych prawo ścigać niemoże, zawsze będzie wypadkiem
»excepcyonalnym tam, gdzie prawo Chrystusa jest nie-
»znane a tém bardziej gdzie jest zapoznane.«

Pięknie i głęboko! — Ostatnie to przytoczenie naszego autora jako jest wyższe rozległością i wagą, tak zarazem jest poniekąd rozwiązującém te niekoherencyą natury ludzkiej pomiędzy sercem a rozumem, pomiędzy zdolnościami a charakterem. — Właśnie teto przejęcie

się, przesiąknienie moralnością wypływające z praw Chrystusa jest najwyższą poezyą, o której piszemy, poezyą piękna i dobra, czyli poezyą prawdy. Ale musimy tu zwrócić uwagę na pierwszą myśl w wyrzeczoném zdaniu pana H. R., jakoby naturę ludzką niczém odmienić niemożna. Ta myśl wbrew się sprzeciwia całemu axiomatowi, bo my właśnie najświetniejsze ukształcenie za religijno-estetyczne uważamy. Gdyby takie ukształcenie niewydawało najlepszych owoców, to pocóż cały ten zachód około cywilizacyi pokoleń ludzkich?

Zastanawiając się nad naturą jednostki i nad naturą ogólnej naszej społeczności i opierając na pewnikach wydobytych z praw Bozkich i ludzkich, upatrujemy możność podniesienia jednostki, a następnie i społeczności do przejęcia się uczuciem estetyczno-religijném, do złagodzenia i poprawienia swych obyczajów, słowem, możność do postępu w prawdzie. Lecz ażeby dojść do widocznej przewagi takowego postępu, potrzeba za rzecz najpierwszą mieć dobrą wolę wszystkich ku temu. Że pospolity i niewiele rozumiejący człowiek ślepo idzie za namiętnościami i swą wolę ku posłudze złego obraca, to niedziw; ale że człek oświecony, obdarzony rozumem i zdolnościami, artysta-poeta z takim zapędem, z taką niepowściągnioną zaciekłością rzuca się na posługacza brudnym namiętnościom, to to właśnie boli i zdumiewa! Taki tedy poeta, artysta, filozof, jest to pseudo-poeta, pseudo-artysta, pseudo-filozof. Nie jeden szuler, nie jeden pijak, nie jeden rozpustnik mógłby zostać uczciwym i genjalnym człowiekiem, jak powiada Balzak, gdyby zdołał nad sobą, nad pożądliwością swego ciała mieć moc duszy. Lecz tej mocy duszy nieotrzyma, jak przez łaskę Boga.

Przynajmniej te Artykuły w Gwiaździe nie [illegible] –
Ale mara [illegible] krytyzmu zawsze okropna

Otoż, ponieważ taki pseudo-poeta, pseudo-filozof (już niemówię o indywiduach innych rodzajów) musiał być obdarzony tą łaską Boga pobudzającą go do dobrego, nawet bez żadnej swojej zasługi, wprost tylko przez zasługi Chrystusa, a nieumiał z niej korzystać; odtrącił więc samochcąc poezyę prawdy, a tém głębiej zwalał się w błocie szatańswa, im więcej duch jego zapowiadał korzyści w poranku jego niepokalanej służby królowej Piękna. O! czyż nie należy ubolewać i gorącémi łzami płakać nad tymi, co przeznaczeni na świeczników w błędnej pielgrzymce tego świata, pogasili swoje pochodnie w błocie nieprawości i nieraz umyślnie nawet starali się poprowadzić ludzkość krzywą drogą! — *Przyszédł Pan, i znalazł światła pogaszone a stróże śpiące.* Ciężko im przyjdzie odpowiedzieć przed Panem. Słuchajmy wszyscy tego wewnętrznego głosu sumienia, słuchajmy i czujmy, że ludzkość pragnie, łaknie, i prosi o Dobro, prosi Boga, a szatan temu na świecie przeszkadza. Kto niesłucha Boga, ten szatanowi służy; bo wolna jest wola ludzka i Bóg jej niekrępuje.

Ażeby tedy społeczność wdrożyć do zamiłowania Dobra, ażeby skierować jej pojedyncze wole w tę normalną stronę poezyi, należy *a priori* cały tryb wychowania młodych pokoleń na tej zasadzie oprzeć. I łatwo pojąć, jakby takowy postęp ku Dobremu przy pomocy Boga się rozszerzał.

Takowato myśl przewodniczyła wielkiemu Czackiemu w utworzeniu ducha szkoły Krzemienieckiej. I onto był jednym z tych, którzy pochodnię daną im od Boga nieponurzyli do steku nieprawości i niekłamali czynem naprzeciw ulubionej teoryi, niekłamali zdolnościami naprzeciw swemu charakterowi.

Czacki byłto wielki poeta czynu!

Jeżeli tedy znakomitszą charakterystyką ducha Krzemieńczanów było, jak wielu uważa, pewne namaszczenie poetyczne, to znamie to w pewnym stopniu jest zaszczytem, jest niezawodną rękojmią skłonności ducha ku pięknemu i dobremu. Wiadomo, że Czacki nielubił ostentacyjnej a pustej poezyi swojego czasu, ale uwielbiał wzniosłą i prawdziwą poezyę Rasyna, Kornela i innych podobnych. Powodzenie zaś pięknych pism Felińskiego w odradzającej się ojczystej literaturze mogło niejednego zapalić niejaką emulacyą i chętką odznaczenia się, ale żeby to było wyłącznym celem i dążeniem powszechnego ducha szkoły, to jest wielką przesadą. Niech więc niemylą się tak grubo ci, którzy mizerne wierszokletwo poczytują wyłącznem a ulubionem zatrudnieniem rozmarzonych umysłów uczniów Krzemienieckich. Nie—tak niejest. Poezya ducha Krzemieńczan rozlewała się na wszystkie gałęzie i oddziały prac i nauk ścisłych. Kto był w Krzemieńcu, a pojął jego ducha i wtajemniczył się w życie, żeby tak rzec, prywatne uczniów jego, ten mógł zrozumieć całą wzniosłość emulacyi, cały ten szlachetny zapał do nauk, który ogarniał ucznia Krzemienieckiego prowadzonego światłą i dzielną nauką jego professorów. Możnaż było przypuścić nawet, aby u nas znaleźli się tacy, co na wielkie dzieło nieśmiertelnego Czackiego potwarczo targnąć się ośmielą? To postępek arcy brzydki i nikczemny! Z takiém zaprzeczeniem objawionej widomej zasługi, z taką niewdzięcznością nikt inny nie mógł wystąpić, tylko duch jezuityzmu, duch przeciwny wszelkim szlachetnym trudom, wszelkiej użyteczności. Za cóżby przydeptany ten duch tak zażarcie mścił się nad uschłą już latoroślą winnicy domowej? Oto za to, że duch jej był antypodycznie

przeciwny jego duchowi, że duch ten Krzemieniecki był właśnie częścią tego powszechnego oburzonej ludzkości ducha, który na podobieństwo ugwiazdżonej Najświętszej Dziewicy, tam na placu przed kościołem Krzemienieckim stojącej, potężną nogę oparł na gardle przewróconego węża. Oto rzeczywisty symbol prawdy! Oto jest prawdziwy tryumf Poezyi religijnej!

Niegdyś wychodząc ordynkami po modlitwie z kościoła do nauk codziennych, widywaliśmy w kącie pod dzwonami jakiś obraz z czarną gruppą Jezuitów. Kościoł był pojezuicki. Takowe zalokowanie obrazu, usuwając go z nawy kościoła, wytłumaczyła później historya, jako emblemat wygnania Jezuitów z łona tego kościoła, którego mogąc zostać podporą i ozdobą, skalali się przeniewierstwem i zdradą naprzeciw ludzkości. Stoją oni i dotąd, jak to z faktów widzimy, u drzwi tego kościoła i niemogąc otwarcie przeciw wyraźnemu brzmieniu najwyższych rozkazów postępować, starają się swoim obyczajem nurtować pociemku a cichaczem w rozmaitych warstwach społeczności. Ale gdzie tylko jawniejszy występ ich się okaże, wszędy zciągają na się krzyk dziatwy słonecznej brzydzącej się ptakiem cienia i nocy. Napróżnoby łudzili korzyściami, obietnicami, pokorą swoją i użytkiem w nowém swém przejawieniu się; kto się raz tak okropnie oszukał na swoim opiekunie, nauczycielu i kapłanie, ten nigdy mu już wiary swej na straż nieodda, ten i na najszczersze nawet jego upewnienia głuchym będzie.

Gdyby Jezuici, przy niezaprzeczonej zdolności swego zakonu; przy takiém potężném owładaniu całym narodem, w powszechném wychowywaniu młodych pokoleń byli prawdziwymi kapłanami prawdy, to jest, gdyby myśl ich kierująca tém wychowaniem była wierną sługą owej poezyi, o której piszemy, o, wtedyby na wdzię-

czność i uwielbienie w potomności zasłużyli! wtedy pewno nienadeszłyby wsród nas Augustowskie rozpasane czasy! Ale jakaż może być estetyka przy chytrości, przy hypokryzyi, przy rozpowszechnieniu jakby owego *kantu* zarażającego wyższe warstwy społeczeństw angielskich, a który w najznakomitszej dozie istnieje i w naszych wyższych warstwach pod mianem *jezuityzmu*?

Otoż więc ten duch Krzemieńca był najprzeciwniejszy duchowi jezuityzmu, i dążność ta jego poetyczna zapowiadała wielkie zamiłowanie prawdy i przyszły postęp w moralném ukształceniu.

Niechaj tedy wychowanie będzie estetyczno-religijne, niechaj w skutek tego tworzy się opinja coraz światlejsza, coraz zdrowsza i coraz poprawniejsza w towarzystwach, niechaj niepoklaskują młodzieży w jej dziwacznych wybrykach nazywając brudy i nierządy poezyą, niechaj każdy występek przeciw moralności, słuszności, uczciwości i t. p. niebędzie tolerowany w społeczeństwie, ale owszem surowo przez publiczną opinję wytknięty; tym sposobem człowiek coraz zgodniejszym z sobą zostanie, coraz będzie rozsądniejszym w pięciu się do cacka tak nazwanego *szczęścia;* oceniając słusznie bieg rzeczy ludzkich coraz będzie się stawał zdrowszym na ciele i umyśle, a przez to właśnie przyjdzie do przekonania, że walka z sobą, z popędami cielesnymi przygotowuje do zdobycia owego wieńca poezyi, który jest jedyną osłodą doczesnego tu bytu i jedyną zasługą dla osiągnienia oczekiwanego w wieczności szczęścia. Przez to człowiek udarowany od Boga zdolnościami, użyje ich na dobro bliźnich i nieprzedstawi tego smutnego rozbratu talentu z charakterem, poezyi z czynem.

Jeżeli w tém, co poprzedziło, niepotrafiłem dostatecznie rozjaśnić gruntu mej myśli w należytém pojmowaniu poezyi, więc przypisać to należy słabości moich dowodów i rozwlekłości postrzeżeń, a nie samej istocie zawartej w tém prawdy. Bo wieleby ci przyszło Dołęgo natrudzić się czytaniem tej gawędy, gdybym z zawisłościami i wynikami z niej pochodzącémi chciał wchodzić w rachunek; ale konice końcem przebrałbym miarę dyskrecyi twojej, o którą i teraz prosić już muszę. Muszę teraz kangurowymi susami zbliżać się do głównego przedmiotu pisma, do rozbioru artykułów Norwida, opuszczając i pomijając nasuwające się przedmioty, z którymi, może Bóg da, spotkam się w innych moich gawędkach.

Zwracam się tedy do początku i w szeregu rozwojowym znakomitych pisarzy polskich uważam z p. autorem Kalejdoskopu *zjawisko zupełnie nowe*, ale wcale niepodzielam jego obawy, *aby to, niebyło ostatnim jego wysiłkiem*. Albowiem czuję, jak można przy pomocy Boga przyprowadzić społeczeństwo do jędrności zdrowia duchowego i cieleśnego. Ta tedy nowość, jeśli potrafiłem się dać zrozumieć, jest to odrodzenie się poetyczne, jest to utworzenie stylu odpowiedniego duchowi czasu. Piętno poezyi nowszej polskiej, objawionej w prozie czy w rymach, jest pewny swobodny Mickiewiczowski wdzięk doskonale harmonizujący przyrodę ducha z pięknością języka. Ten ponapoleoński okres naszej literatury rozkrywa estetycznemu badaczowi bogatsze od Kalifornijskich pokłady skarbów poezyi narodowej. Z głębokiém poznaniem prawdy wyrzekł autor Kalejdoskopu, że *zywioł poetyczny jest szczególną iścizną słowiańskiego pokolenia*, a ten żywioł, tę poezyę, jak pokazaliśmy, nieuważamy za jakiś objaw jednostronny, albo *nieloi-*

czny, ale za objaw powszechny, za samo jądro bytu naszego we wszystkich rozgałęzieniach. Przedstawiając niżej artykuły Norwida mamy zamiar okazać, że w wyrażeniu poezyi słowa, będącego tłumaczem usposobień uczucia, nieznamy nic wyższego w poezyach francuzkiej, niemieckiej i angielskiej, tych najwyżej ucywilizowanych Europy narodów. Proszę jednakże niesądzić, że tu biorę do porównania w obszernym rozmiarze dzieła poetyczne tych narodów; nasze pod tym względem, rozumie się, niewytrzymają porównania, — bo też Faust będąc najwyższym wyrazem umysłowego racyonalizmu w krainie sztuki poezyi słowa, jak Don-Żuan Mozarta najwyższym wyrazem sensualnego materyalizmu w krainie sztuki muzykalnej, stanęli u Niemców na końcowych biegunach ich umysłowości. Dramata też Szekspira jak wiadomo niepospolitą siłą i prawdą odrysowane, zostały dla pokoleń klassyczną wskazówką sztuki upersonifikowania przejawów ludzkości. Poezye Dantego zadziwiają niepospolitą rozległością objęcia. Nie! chociaż mamy *Iridyona*, *Komedyę niebozką* i inne arcydzieła, ale z wyżej wspomnionémi w zawody iść niemyślimy. Idzie nam tylko o dowód, że fizyonomja naszej estetycznej piękności ducha umiała się tak szczęśliwie przejawić w garści wyrazów, że szlachetność jej rysów i jej wdzięk jest, żeby tak rzec, słodszego smaku i czyściejszej próby, niż u innych. To objawiły dzieła znakomitych naszych pisarzy w rozleglejszych i wspaniałych obrysach, co drobne utwory C. Norwida w szczuplutkim domowym kąteczku.

PRZYPISY DO LISTU III.

1.

Byłem razu jednego w towarzystwie znakomitych zdolności człowieka, który tak z urodzenia i dostatków, jakoteż z miejsca zajmowanego w społeczeństwie, do wyższej należał arystokracyi. W rozmowie, jaką miał ze mną, objawił on na zasadzie tych słów Chrystusa »*bądźcie jako dzieci*« zdanie, że w dzisiejszym stanie oświaty im człowiek jest uczeńszy, im większe ma znaczenie i powagę, tém snadniej przybiera wszystkie cechy naturalnej prostoty, stając się jak dziecie szczérym, swobodnym, łatwym i towarzyskim. Niezaprzeczyłem temu bynajmniej, może być to prawdą; ale zdaje mi się, że do takiego stanu ujmującej naturalności dochodzi tylko człowiek w najwyższym stopniu sprawiedliwy, a wcale nie faryzeusz jaki; sądzę też, że to, co się nam podoba w naturalném usposobieniu dziecka, może być do twarzy dojrzałemu mężczyznie w pewnych tylko chwilach towarzyskiej zabawy, a nie zawsze. A cożby oznaczał taki pozór dziecięcy w człowieku, którego dusza obciążona różnego rodzaju niesprawiedliwościami; który, jak dziecko, lubiąc jedynie bawić się, ma za nic wszystkie obowiązki moralne i żyje prawdziwie po dziecinnemu bez żadnej dla kraju korzyści? Wszakże człowiek estetycznie ukształcony, będąc także naiwnym i pełnym naturalnego wdzięku w swojém postępowaniu, dalekim jest od popełnienia jakiegokolwiek nonsensu, dzieciństwa, a zawsze stara się uczynić zadość moralnym swoim obowiązkom? Zwracam tu szczególniej uwagę na ową pretensyę do *infantyzmu*, która tak często postrzegać się daje w starych kobietach wyższego towarzystwa: — te minoderye dziecinne, to przybieranie ruchów i gestów niewinniątkom tylko właściwych, to wyszukane szczebiotanie, to trzepotanie się

motylkowate — jakże to wszystko prześlicznie odbija przy perukach, przy zębach wstawionych, albo otwartych fórteczkach zębowych! Niejestżeto godne razem śmiechu i litości błazeństwo? Nawet młodszym a dojrzałym już kobietom nieprzystoi wcale to małpowanie dziecinnych obyczajów. Tyleto śmieszności wynika właśnie z błędnych teoryj światowego wychowania. Nastaję więc na to, że aby pozbyć się wszelkich dziwactw kompromittujących nas w oczach dobrze wychowanych ludzi, potrzeba zmienić obyczaje, potrzeba oprzeć kurs wychowania młodzieży na tych estetycznych zasadach, które same jedne zdolne są wprowadzić w towarzystwa miły a przyzwoity ton, wyborny gust i takt postępowania szlachetny. — Aby się przekonać, jakto brak pojęcia poezyi, o której piszę, krzywi i szpeci obyczaje, dosyć jest spojrzeć na tryb postępowania wielu indywiduów w towarzystwach tak zwanych dobrego tonu. Komuż niezdarzyło się ocenić zblizka tę pańską manierę obyczajową, która zależy na jakiejś *dezinwolturze* w całej postawie, na przybieraniu najzaniedbańszych poz, na rozwalaniu się, rozpieraniu, zadzieraniu nóg, głośném ziewaniu i t. d., i to szczególniej w obec indywiduów acz szlachetnych, ale na niższym szczeblu towarzystwa zostających? Potrzebaż dowodzić, jak to wszystko cuchnie zabytkiem barbarzyńskiej ciemnoty i sprzeciwia się najmocniej duchowi chrześcjańskiej cywilizacyi? Wszakże w poufałych nawet towarzystwach samych mężczyzn delikatność i grzeczność powinny być obowiązujące. Niemówiąc już o prostych a nieukształconych naszych towarzystwach, które w śmiesznych pretensyach do wyższej oświaty nader dziwacznie karykaturują swoje obyczaje, niemówiąc o tém, cośmy winni kobietom, tak snadnie przyjmującym wrażenia od zewnętrznego tonu naszych postępków; jakże ten ton pogardliwy, to traktowanie z góry uboższych braci swoich źle odpowiada najprostszym pojęciom o prawdziwej zacności człowieka! Zdaje się, że ci panowie przez próżną tylko dumę chcą się odróżnić tą głu-

pią manierą od naszej szlachty poczciwej, myśląc, że ona nieśmiałaby w ich przytomności postąpić nieobyczajnie. Ależ prawidła moralności są jedne i zarówno obowiązują człowieka w każdym stanie! Smutnato zaiste, że najprostsze nawet zadania nauki moralnej w tak wielkiém u nas zaniedbaniu, zkąd coraz większa idzie demoralizacya, coraz większe zepsucie obyczajów. Że ominę mnóstwo przykładów praktykujących się w naszych towarzystwach nieprzyzwoitości, jakże się wam wyda ten rys junackiego wyzwolenia się z pod surowych przepisów domowej Etyki, kiedyto gołowąsy jeszcze a pełen już romansowego usposobienia wyrostek, spotkawszy się z życzliwą przestrogą poważnego wiekiem i doświadczeniem męża za swoje niedość skromne znajdowanie się w towarzystwie kobiet, pocznie z tego względu drwić sobie całą gębą z poczciwca odsyłając jego morały do kazalnicy, albo xiążki poczynającej się od słów: *gdy się sparzysz od ognia!?..* Śliczny, porywający serce czułego człowieka jest widok pięknie ukształconego młodzieńca: taki widok naturalnie wywołuje z duszy życzenie — oby wszystkie nasze młode latorostki rozwijać się mogły pod wpływem tych dobroczynnych promieni, którymi jaśnieje głębokie uczucie poezyi! — Bo tylko wyższy, estetyczny kierunek ducha, tylko poezya może zaszczepić to zamiłowanie czystości obyczajów, które jest znamieniem silnego i jędrnego życia. Estetyczną świeci w mych oczach pięknością to uszanowanie, jakie młodź spartańska miała dla starców. Najgorsze mam wyobrażenie o młodzieńcu, który sędziwych ludzi jakiegobądź stanu śmie traktować dumném wejrzeniem albo lekkimi żarty. Wieleby o tém wypadło mówić, ale już i tak niejedne zapewne nożyce gotowe są szczęknąć zarzutem: — a zkądżeto waści ubrdało się występować z nauczką? czy niezamierzyłeś uczęstować nas nowym traktatem moralnym z tematów dawno już zużytych? — A czemuż nie? *Pourquoi pas*? — odpowiadam, jak *Dumourier* podobnież strofującemu go Zgromadzeniu Narodo-

wemu Francuzkiemu odpowiedział, — czemu nie? kiedy tego potrzebujecie, kiedy uganiając się za saméml fraszkami, żyjąc po dziecinnemu, zapominacie o tém, co powinno być głównem zatrudnieniem waszego życia? Czyliż, jak słusznie wyrzekł Redaktor *Gwiazdy* w apostrofie swojej do koteryi tygodnikowej, lecąc nawet w przepaść, kiedy wam kto zbawczą podaje rękę, pytać się jeszcze będziecie o patent, o prawo do tego? — *Risum teneatis amici*. — Mili panowie i panie, panicze i panny! z powodu odziedziczonych przez was darów fortuny i pewnych attrybutów rodu, które was stawią na wyższym stopniu w świecie towarzyskim, bardzo naturalnie poczuwacie się do obowiązku dawania z siebie przykładu dobrego smaku i tonu w towarzyskiém życiu. Nie sądźcie przeto, że niżsi od was majątkiem i znaczeniem nie są zdolni ocenić waszego postępowania, albo nie w stanie podnieść się do nabycia tego estetycznego gustu, którym tak często fałszywie się szczycicie. Już na to macie dostateczną odpowiedź w *Ramotkach* dowcipnego Au. Wi., gdzie Szczepan, syn trębacza z pod fary Poznańskiej, tak pociesznie oszukuje panią Prezesowę z Kozery odgrywając rolę hr. Ademara Firleja. Usłuchajcie więc zdrowej rady i dajcie pokój tym dzikim pretensyom do wyższości, do ostentacyi. Upewniamy was, że to są głupstwa, pobudzające częstokroć do śmiechu i litości tych, których wy za istoty niższego rzędu, za gmin nieokrzesany uważacie. Zastanówcie się przecie nad prawdziwém znaczeniem dobrego wychowania; ono będąc wypadkiem prostych przepisów chrześcjańskiej moralności, prowadzi przez ścisłe ich wykonywanie do wyłącznego zamiłowania w rzeczach tego, co nazywamy najszlachetniejszym elementem ducha, poezyą, do poznania prawd estetycznych, które z kolei wpływając na massy tworzą delikatne uczucie przyzwoitości, czystszy gust, wznioślejsze wyobrażenia i sprawiedliwą opinję.

Szanowny autorze Ramot i Ramotek! ty chirurgu rodowitej naszej filozofji, coś tak dosadnie potrafił oddać wiele śmieszności naszych towarzystw, do ciebie zwracam się myślą w tém miejscu, mając przed sobą jeden z tych obrazków, które mistrzowskie twe pióro tak żywo dagerotypować umie, a który tu przed miejscową farą świeżo przez nowych *Kukasińskich* przedstawionym został. Będzie to próbka owego przykładu, jaki lepiej uposażeni ludzie powinni dawać z siebie niższym, uboższym braciom.— Jest więc, jak wiemy, kościoł farny. Jest familja Kukasińskich ze wszystkimi attrybutami Ichmościów, a pryncypalnie, z powozem wzdłuż (*à la longuite*, jak tu po sroczemu mówią) zaprzężonym, do którego niebraknie furmana potężnie i bardzo gęsto z bicza palącego, nie braknie i lokaja wygalonowanego od stóp do głowy, braknie tylko... ale to zobaczymy niżej. Otož, aby zrozumieć czego braknie, trzeba nam naprzód wiedzieć, że sam pan Kukasiński jest tu już teściem i przybył do kościoła z córką i zięciem, mężczyzną co się zowie krzepkim, barczystym. Pani Kukasińskiej tu niema, ale jest na jej miejscu potężnie otyła i ruchliwa niepospolicie blizka jej krewna pani Pukawińska, która tu razem przybyła do kościoła z dwoma dorodnymi synami. Potrzeba wiedzieć i to jeszcze, że sam pan Kukasiński kiedy siądzie do spuszczonego kocza, kiedy zimową porą włoży na się szopy a latem nowy burnus przy nieodmiennym zimą i latem kapeluszu, kiedy konie jego, których wielkim jest amatorem i znawcą, wyciągną się przed nim w długi, pompatyczny *szwarc*, i kiedy przy palnięciu z bicza spojrzy na poziom z gloryą swojej dostojności, wówczas nic niewidzi równego sobie, zdaje mu się, że jest Guliwerem pomiędzy Lilliputami. Akcyę tedy rozpoczynają młodzi Pukawińscy przed wejściem, a kończą starzy po wyjściu z kościoła w następujący sposób. Panowie Pukawińscy wiedzą, że pan zięć jest bardzo zazdrośny, jeden z nich przeto powziął zamiar albo go wyleczyć z tej wady swoim kosztem, al-

bo przynajmniej naśmiać się dowoli z min zazdrośnika. Tym końcem przy wejściu do kościoła zaczyna podsuwać się do Jejmości, szeptać jej w uszko, uśmiechać się poglądając na męża i t. d. Pan mąż pogroził palcem wietrznikowi upominając, aby było zachowane *decorum*. W takiémto usposobieniu wchodzą do kościoła. Ale i tam arcy pobożne intencye nieopuszczają panów Pukawińskich, bo to się zchylają do kapelusza żony, to przyjmują, to podają jej xiążki, to szepcząc uśmiechają się, słowem, że do ostatniego kresu niecierpliwości przyprowadzają pana zięcia. Kiedy więc skończyło się nabożeństwo on zaraz po wyjściu z kościoła, niewiele myśląc, pali w policzek najwinniejszemu z Pukawińskich. Tak drażliwa improwizacya niemogła nieobudzić ducha odwetu, obaj tedy bracia łączą się, aby wspólnemi siły uderzyć na pana zięcia; ale ten zmiarkowawszy, że może zatrudno mu będzie rozprawić się razem z obydwoma, otwiera horacyuszowski kurs na cmentarzu dla rozdzielenia braci i tym sposobem naprzód młodszemu zapaśnikowi, co go już doganiał, spuszcza na twarz potężne uderzenie, które w zapale biegu powstrzymać go nieco musiało, a potém tuż nadbiegającego podobnież częstuje. Kiedy zaś, połączeni już uczuciem jednej zniewagi, bracia Pukawińscy razem na niego z całą siłą natarli, on, nie wiele myśląc, bierze obudwóch za kołnierze od strony karku i zbliża ich pokilkakroć dla pocałowania się po bratersku, tylko to pocałowanie odbywa się łbami z repetycyami, jak gdyby im mówił: *pax*, *pax vobiscum!* W tém atoli szamotaniu się pan zięć straciwszy równowagę wywraca się i pociąga do wspólnego upadku swoich adwersarzy. Stało się to właśnie, kiedy pani Pukawińska, rozjątrzona do żywego wyrządzoną swoim synalom zniewagą, spieszyła na obronę ich, o ile jej ciężar tułowu dozwalał; — zmęczona, zasapana, zaledwie stanęła w groźnej postaci przed panem zięciem z wymierzonym na głowę jego parasolikiem, on, niewiele myśląc, powstawszy raźnie, wita naszą Jejmość barbarzyń-

skim w okrągłe oblicze cmokiem, od którego aż czépek jej stanął na bakier. Na takie *horrendum* niedelikatności, niemy dotąd świadek agitującej się sceny i niemieszający się do niczego, pan Kukasiński w ostatnim już kłopocie umyślił powagą swoją położyć koniec temu skandalowi; przybywa więc mierzonym krokiem i dalejże na pana zięcia z reflexyą i morałami! Cóż powiecie? Zwycięzki dotąd pan zięć, któremu wiadomo, że nie ten pochwałę zyskuje, kto dobrze zaczyna, ale kto dobrze kończy, aby uzupełnić swój tryumf salutuje i pana teścia zamaszyście po swojemu, to jest w papę *ut supra*. Potrzeba być tak wielkim człowiekiem, jakim czuł się w swojém rozumieniu pan Kukasiński, aby się niezderutować bynajmniej tą drobną przygodą. Po tak niemoralnym odwecie on najspokojniej dobywa z burnusa fular i pompatycznie go z potrząsaniem rozwijając ociera naprzód oblicze swoje nieco spocone, potem kapelusz trochę po spadnięciu na ziemię opylony, następnie dostaje z kieszeni grzebyk, poprawia nim rozpierzchnione nieco włosy, nakłada kapelusz i, jak gdyby chwalebnego czynu dokonał, wsiada tryumfalnie do swego powozu, gdzie podparłszy się w boki i przybrawszy według zwyczaju dumne wejrzenie, aby niém uczęstować pełzające het tam gdzieś po ziemi maluczkie istoty, rozkazuje woźnicy paląc z bicza ruszać w całej potędze swego majestatu. — Malarze! Poeci! o wy Apellesy i Homery! przybądźcie tu na miłość Boga i sprobujcie przedstawić tę scenę w żywym wizerunku! Ale jestże to rzeczą podobną? Ktożby potrafił oddać pęzlem albo piórem ten np. szyderczo-litościwy uśmiech w spokojnej twarzy starego wieśniaka; ten znowu serdeczny, co się nazywa, całą gębą śmiech młodego parobka, albo to również naiwne chociaż wstydliwością tłumione chychotanie i szeptanie wieśniaczek wyszłych razem z kościoła i gromadnie przypatrujących się temu budującemu widowisku? — Bo było tam wszystkiego, był kapłan z krzyżem godzący zwaśnionych, były przeprosiny, rozczulenia, padania do nóg i t. d. i t. d. — A co?

czyż jeszcze nieodgadliście, czego tym wszystkim Ichmościom, szumnie paradującym w koczu, brakuje? hę?.... Czegoż, jeśli nie — *szelek*, ale nie na podtrzymywanie odzieży, na którą parę łokci sukna bez czegoś brać się zwykło, ale raczej zasłony, którąby moralną ich brzydotę i nicość umysłową okrywać mogła (1). Notabene, nasz pan Kukasiński, typ niepośledni rasy Dorobkowiczów, będąc dawniej ekonomem, miał zwyczaj znajdować się na polu pomiędzy żeńcami albo kosarzami w eleganckim kapeluszyku, w trzewikach i pąsowych pończochach. Możnaby tu przytoczyć mnóstwo o nim anegdot jedne nad drugie pociesżniejszych, jak np że on musi dla każdego sąsiada i nowo przybywającego do jego domu choć raz być chorym, aby mieć pretext sprezentowania się przed nim w swoim jedwabnym szlafroku, w swojej mycce i pantoflach wyszywanych *sieczką*: — mówię możnaby, ale pora już dać pokój tym dziecińswom. — Otóż wracając do głównej treści tego przypisku konkludujemy, że opisana przez nas dopiero ręczna szermierka, a której podobnych nieraz i nie w jedném miejscu byliśmy świadkami, dowodzi najdostateczniej, że umysły w stanie naturalnego czyli dziecinnego niedołęztwa utrzymywane, zdolne są popełniać same tylko głupstwa i śmieszności wszelkiego rodzaju. Dawnoby już nam pora wyjść z tego hańbiącego stanu; wyjść zaś niepodobna inaczej, jak przez obostrzenie publicznej i domowej edukacyi ścisłém wykonywaniem prawideł chrześcijańskiej moralności, oraz wszczepienie w umysły kształcącej się młodzieży tego estetycznego gustu, który uszlachetniając wyobraźnię i skłonności prowadzi do zamiłowania jedynie przedmiotów i czynów, godnych rozumnej istoty.

---

(1) *Dla kogo znaczenie tych szelek jest zagadką, niechaj odczyta* Ramoty i Ramotki *p. Au. Wi.*

(*Aut.*)

2.

Pan Filaret *Chasles* oceniając krytycznie dzisiejszy romans obyczajowy w Anglji, powiada, że on przybrał obecnie charakter czysto-satyryczny, a to w celu oddziaływania szerzącemu się coraz bardziej rozwolnieniu obyczajów w wyższej arystokracyi angielskiej. Nowym i znakomitym w tym rodzaju pisarzem jest p. Thackeray, posiadający w wysokim stopniu dar zchwytywania zdarzeń na gorącym uczynku. W dziele jego pod tytułem *Vanity Fair* (Teatr próżności), rozbieranėm przez p. *Chasles*, pełno jest postrzeżeń tchnących żywą prawdą. Naprzykład, przedstawiając niedawno uszlachconą i zbogaconą familję Osbornów powiada: »Stary Osborn, jako czujący potę» gę swoich pieniędzy, obchodzi się po grubjańsku ze wszystki» mi. W charakterze Francuza jest, bić czołem samemu so» bie, Anglik zaś hołduje uszlachconemu imieniowi. Osborno» wie francuzcy czczą swoje szlachectwo w pieniądzach, i ma» ją słuszność, bo któż z nas nie zna szacunku dla tej potęgi?«— A dalej, niby cytując jakiegoś angielskiego filozofa, mówi dowcipnie w ten sposób: »Pewnego razu trzy małe dziewczynki » z gminu bawiły się na ulicy, a odzież ich podziurawiona i » zbłocona smutny przedstawiała widok. — Marysiu! krzyczy je» dna z nich, chodźno, Zosia znalazła *penny!* — Natychmiast » Marysia i oznajmicielka rzucają swe zabawy i biegną do Zosi. » Zosia więc ma już swój dwór, każe sobie obydwóm dziew» czynkom assystować; bije pochlebnice, które dają się i po» zwalają bić; potėm idzie z niemi dumnie do przekupki pierni» ków i obdarza łaskami dwie swoje małe niewolnice, które » ślepa fortuna świeżo zaprzęgła do jej wozu. « — Cóż? — nic prawdziwszego! — Otóż ten p. Thackeray całą dzielnością swego talentu powstaje na ów *kant* angielski, który pozornie błyszcząc barwą religijną kryje w swėm wnętrzu same plugastwo. Dla zrozumienia, czėm jest właściwie ten *kant*, daje-

my tu z dokładnego w tej mierze sprawozdania wspomnionego francuzkiego krytyka następny wyciąg. — »Cette horreur de l'hypocrisie est commune à beaucoup d'écrivains anglais maintenant en vogue, notamment: Thackeray, Dickens, Carlyle, Curer-Bell. Dans tous leurs ouvrages, la citadelle britannique du *cant* est attaquée de front. Qu'est ce que le *cant*? Byron en a parlé beaucoup. Ce n'est pas le calvinisme, ce n'est pas l'hypocrisie, ni la religion, ni l'affectation, ni la pruderie, ni l'anglicanisme, ni le puritanisme, ni la regularité; c'est un peu de tout cela. Personne n'a dit à quel point les hommes de Cromwell ont formulé definitivement l'Angleterre. C'etaient eux qui *cantaient* (cantabant) — chantaient nasalement leurs vieux hymnes de Rous et leurs chansons bibliques. Le *cant*, c'est-à-dire l'apparence exterieure d'une sainteté souvent menteuse, a créé tout un monde d'habitudes, qui ne sont pas seulement anglaises, mais dont la trace se retrouve encore vivante à Genève, comme à Glasgow, à Boston comme à Lausanne, partout, ou l'institution calviniste a pris racine. Le dogme de la damnation predéstinée, la redoutable exageration du péché originel, la croyance au mal comme maître souverain de l'humanité, doctrine sombre de Cromwell et de Knox, formule desesperée d'un christianisme tombé dans l'excès de son principe, est la base profonde de ce vaste ensemble d'idées et de coutumes, auquel se rattachent la litterature, la politique et les moeurs d'une portion notable des races septentrionales depuis le XVI-e siècle. — Que l'on refléchisse, que Jansenius était du nord de la France, qu'il s'appelait Jansen, ou plutôt Jeanson, le fils de Jean; que l'on veuille se rappeler, que le midi, l'Italie et l'Espagne adoptait les données contraires — liberté mondaine, joie amoureuse, art sensuel, facilité des moeurs, grace élegante. A proprement parler, il y a eu deux protestantismes: celui qui éxagerait le principe chretien, et celui qui éxagerait le principe païen de l'indulgence ici-bas, du bien vi-

vre et de la volupté — c'est celui qui maintenant nous pousse, nous entraine et nous perd. — Shakespeare se revoltait contre le *cant* aussi que Fielding, Shéridan, Snollett, Byron, qui l'ont écrasé. Si le *cant* a trouvé des defenseurs puissans de Foe, Richardson, Burke, même Wordsworth, qui ont combattu pour cette sévérité minutieuse du jansenisme calviniste, leur prise d'armes ne l'a pas sauvé; aujourd'hui tous les romanciers de valeur marchent dans la même voie que Fielding; tels sont Dickens et Thackeray. ***L'Angleterre non seulement souffre ces libres critiques, mais elle y applaudit, et elle a raison. Un peuple qui est sûr de sa force, entend la vérité, et il a le courage de se la dire à lui même.***«

3.

W tém miejscu przypominam sobie rozmowę, jaką miałem z pewnym panem, wkrótce po powrocie jego z pielgrzymki do ziemi Ś. Rozmowa właśnie była o tolerancyi i nietolerancyi. Za tą ostatnią mocno obstawał Pielgrzym naganiając to napastowanie Jezuitów, które nazywał modą czasu. »Bo to, mówił, ze wszech stron krzyczą: jezuici! jezuici! a niewiedzą wcale, co to za zakon i ile on dobrego uczynił!« Zręcznie potém skierowawszy rozmowę do Krzemieńca, co już wyraźniej do mnie się stosowało, mówił, że z tej olbrzymiej góry urodziła się tylko drobna mysz; że wszyscy prawie z Krzemieńca pochodzący pełni są niczém nieusprawiedliwionej zarozumiałości i t. d.— Jak ten pan skromnie i bez uniesienia mię attakował, tak też mu spokojnie odpór stawiłem; a niewynurzając zupełnie myśli moich, postanowiłem tylko później kiedyś publicznie okazać według mojego przekonania, jak są bezzasadne i razem koteryjną złością tchnące te wszystkie zarzuty! Ale gdy oto szanowny pan Karol Kaczkowski, zmuszony do przyjęcia na siebie obrony

Krzemieńca, z taką godnością i tak umiejętnie ten trud wypełnia; mnie przeto, szczycącemu się tém prawdziwie, żem był uczniem tej szlachetnej szkoły i uczestniczył we wszystkich elementach jej moralno-umysłowego życia, mnie niepozostaje tutaj nic więcej, jak wyrzec z głębi duszy przeniknionej wiarą, że na naszej stronie jest święta prawda. Muszę też przyznać się, że niemało mię zastanowiła analogiczność obrony jezuityzmu i napastowania Krzemieńca przez tego pana z podobnymże czynem Żegoty Kostrowca, który także bronił jezuitów, powstawał na Krzemieniec i odbył pielgrzymkę do Ziemi Ś.... — Jużto o tolerancyi, której ten pan z tak świętego, przypominającego nieobjętą miłość, miejsca niewyniósł, niebyło co gadać. Na pamiątkę odbytej pielgrzymki wyniósł on ztamtąd co innego, wyniósł z Jerozolimy tabaczkę, którą uprzejmie częstuje wiernych; wyniósł potężne kije z Góry Oliwnej i rozmaite drobnostki; ale co najważniejsza, wyniósł odznaczający go dzisiaj pomiędzy nami strój muzułmański! Niewiem, czy to odróżnienie się strojem, przypominającym wrogów naszej Ś. wiary, uważać trzeba za skutek pokory, albo pychy i zarozumiałości; wiem tylko, że często czytam w Tomaszu à Kempis te słowa: »*Choroba mało kogo poprawia, jak pielgrzymka mało kogo uświęca.*« — i błogosławię z całego serca owej tak zwanej *zarozumiałości* krzemienieckiej, nieżycząc nikomu przyodziewać się w tę jezuicką *skromność*, której najprzewrotniejszy nawet adwokat z Krzemieńca za uchyleniem poły broniłby się nieodważył. Nie przymawiam ja tu bynajmniej temu panu, którego przyjemna fizys zaleca się pewnym wyrazem ascetycznej pobożności, ani powtarzam twierdzącym sposobem, co mi wiadomo z ludzkich o nim sądów; moim zamiarem jest tylko powiedzieć kilka słów tym, którzy mają całkiem fałszywe wyobrażenie o zarozumiałości.

Tak tu jest upowszechnione mniemanie o zarozumiałości Krzemieńczanów, które jeszcze nabyło się podczas exystencyi

Uniwersytetu Wileńskiego, że i ja, *quorum minima pars fui*, muszę doznawać nieprzyjemnych jego skutków. Ale niech nigdy miłosierdzia Bozkiego niedostąpię (spowiadam ci się najsumienniej Dołęgo!), jeżeli mam acz najmniejszą skłonność do tego nadymania się, które jędyczej tylko naturze zdaje się być właściwém. Aż nadto znam siebie i słabość natury ludzkiej, abym mógł grzeszyć dumą i wysokiém o sobie rozumieniem. *O vanitas vanitatis!* Podobno, mili moi panowie, wielu z was niema zdrowego o rzeczach wyobrażenia, kiedy tak grubo w swych sądach błądzicie! Pokochajcie Poezyę, zapalcie w sercach waszych uczucie miłości ku temu, co dobre i piękne, bądźcie mówię ludźmi czynu, a niezawodnie wszystko wam przedstawi się w innéin świetle. — Ależ czyż ludzkie siły zdołają powrócić wody do ich źródła? Albożto niewiesz Dołęgo, kogo u nas pospolicie nazywają zarozumiałym? Kto podaje rękę biednej rodzinie naprzeciw dumnemu bogaczowi, — zarozumiały. Kto nieuchyla czoła przed hardym wzrokiem możnych fanfaronów, — zarozumiały. Kto śmiało objawia zdania swoje oparte na nauce i sumiennéin przekonaniu, — zarozumiały. Kto waży się choćby najgrzeczniej zaprzeczyć jawnemu kłamstwu albo bezsensowi jakiej jaśnie wielmożnej figury, — zarozumiały. Kto mając na duszy jakąś troskę, zmartwienie, czy też będąc zakłopotanym myślą wymagającą kilku chwil samotności, przyjmuje gościa jakby ze ściśniętém sercem i niema dla niego uśmiechającej się twarzy, albo jeszcze gorzej, niezwierzy mu się w swoim kłopocie czy umartwieniu, a niezwierzy dla tego, bo pewnym jest, że go zrozumieć i ocenić niepotrafi, — zarozumiały. Tymczasem ci, co tak radzi są szafować zarozumiałością na rzecz prostodusznych swych braci, czémżeto zwykle znaczą postępki swoje, jeżeli nie chytrością, obłudą i nikczemnémi pochlebstwy? Ach! któż stosami niezłoży dowodów na ten zbyt nizki stopień oświecenia większej części naszych towarzystw! Ale ty mię pojmujesz Dołęgo, tak jak ja pojąłem

ciebie w estetycznym duchu i z serca przejętego najżywszą sympatyą przyklasnąłem tym zasadom, które cię, pomimo........, na stopniu subalterna utrzymują. Cześć wszelkim czynom dowodzącym pokory i małego o sobie rozumienia! cześć skromnym życzeniom, abnegacyi i prawdziwie chrześcjańskiemu zamiłowaniu poczciwych trudów! Nieprawe, skażone powierzchownèm tylko ukształceniem umysły przypisują zarozumiałość każdemu, kto śmie obstawać za słusznością bez względu na osoby i przywileje. Przebaczysz mi Dołęgo, że cię tak długo doskonale ci wiadomemi rzeczami zajmując przytoczę tu jeszcze jeden przykład tego rodzaju.

Byłem pewnego razu zatrudniony w domie pani Podkomorzynej, w apartamencie przyległym temu, w którym następna odbyła się scena. Jakiś chorowity, urywany głos odpowiadał płynnemu i donośnemu głosowi p. Podkomorzynej. Szło o sprawę pieniężną. Pani P. namawiała szlachcica, aby ustąpił co ze swoich pretensyj pewnemu panu, bo inaczej nic *niewskóra*. Pretensye szlachcica były sprawiedliwe, ale pan, z którym miał interes, był obywatelem, to jest posiadaczem dóbr nieruchomych, miał obszerne rodowe i towarzyskie stosunki, a co najważniejsza, był ozdobiony krzyżem Ś. Włodzimierza. Na tymto ostatnim argumencie szczególnie opierała pani P. swoje wymagania, mówiąc, że szlachcic pójdzie z kwitkiem, gdy zechce poszukiwać swoich pretensyj. Nieposądzam ja Podkomorzynę, aby chciała krzywdy starego, ale ona z domem tego pana, z którym szlachcic miał sprawę, w nader przyjaznych żyje stosunkach, a jakto powiadają, ręka rękę myje; chciała więc tu zapewne dokazać wpływem swoim tego tylko, aby i *wilk był syty i koza cała*. Szlachcic opierał się na słuszności, na sprawiedliwości swojej sprawy; pani P. mówiła mu: »Co Wacanu przyszło dzisiaj odwoływać się do sprawiedliwości? — dzisiaj śmieją się z tego słowa. Powiadam Wacanu, że dzisiaj taki pan postawi na stole butelkę szampańskiego, to ona daleko więcej

znaczyć będzie, niż Wacana jakie tam sto rubli! *Gdybyś był Tyszkiewiczem* (miejscowe wyobrażenie największego bogactwa), to niemówię; ale w Wacana stanie, honorem ręczę, że wszystko przegrasz i z ostatniego się wyzujesz, jeżeli przy swojém upierać się będziesz! Ustąp, ustąp ze swojej pretensyi, a na sprawiedliwość się niespuszczaj!»— Szlachcic nieustępował, owszem mocno obstawał przy słuszności tego, co mu się należy; mówił, że i on potrafi znaleźć takie osoby, co podniosą głos za nim, za świętą sprawiedliwością; wreszcie kiedy pani P. stanowczo, tonem szczérej perswazyi powiedziała, że niema na świecie sprawiedliwości, on drżącym ale silnym zawołał głosem: »Kiedy już sprawiedliwość nieistnieje na ziemi, to niechże i ja z nią ginę razem, i niechaj dzieci moje giną, ale wierzę w nią jak w Boga i dla tego dopóki żyję, nikomu nieustąpię krwawo zapracowanego grosza!« — Na takie słowa ażem się zatrząsł cały z zachwycenia. — Dobrze mówisz! — krzyknąłem zerwawszy się z miejsca i pobiegłem do sali zobaczyć nieznajomego mówcę. Byłto sąsiad szlachcic. Chory siedział na krześle, przed nim stała pani P. usiłując pośrednictwo swoje przyprowadzić do skutku. Zbliżyłem się i wziąwszy za rękę poczciwego starca:— Nieznałem dotąd pana, rzekłem, ale te słowa szczytne, że gotów jest zginąć za sprawiedliwość, przejęły mię tak wielkim dla niego szacunkiem, że śmiem mu się przedstawić aby, wyrazić całe moje współczucie ku jego położeniu. Nieznam pana sprawy, ale to jest pewna, że panowie dzisiaj są bardzo rozumni i że po większej części takiemi chodzą drogami w życiu swojém, aby łatwo było rozminąć się ze sprawiedliwością; zdaje mi się przeto, że lepiej będzie dla pana ustąpić coś, aby resztę przynajmniej zatrzymać. Piękneto wprawdzie przedsięwzięcie poświęcić wszystko dla sprawiedliwości, ależ dzieci szanowny panie! — dzieciom, oprócz wspomnienia pięknego czynu pana, nic więcejby niepozostało. — Pani P. nie do smaku jakoś było to moje wdanie się, niby potwierdzała, co mówi-

łem, niby nie i — wyszła, ale wzrokiem swym najwyraźniej mi powiedziała: *zarozumiały!* — I owszem, jestem nim według waszego słownika!

Ach, Dołęgo! Kiedyśto ludzie skutkiem gruntowniejszej oświaty przyjść muszą do tego przekonania, że niemamy prawa chlubić się czémkolwiek, bo nic niemamy w duchu i w czynach dobrego, coby naszém było. Dobro mamy od Boga i dla Boga. Złości są prywatne, indywidualne; dobro powszechne, do całej ludzkości należy. Człowieku! ta twoja nauka, którą posiadasz; te talenta i zdolności, które cię zdobią, — i na cóż to wszystko? Czyliż dla lichej tylko wystawy? parady? Kogożto chcesz próżnością swoją oszukiwać? — Ach! bez gruntownego przejęcia się zasadami Chrystusowej nauki, bez umiłowania przedmiotów i czynów świecących niebieskim wdziękiem Poezyi, wiecznie tylko oszukiwać będziemy samych siebie! Usiłujmy więc zejść na tę zbawienną drogę, mówiąc każdodziennie z autorem xiąg *o naśladowaniu Chrystusa:* ,,Podaj Panie w usta moje słowa prawdy i stałości, a język chytrości odwróć odemnie. Ty jesteś, który w mgnieniu oka tak wznosisz pokorny umysł, że więcej pozna wiekuistej prawdy w jednej chwili, aniżeli drugi po dziesięciu latach szkolnej nauki i mozołów. Ty nauczasz bez szumu wyrazów, bez zamętu zdań, bez chełpliwości, bez sporu rozumowań — nauczasz gardzić rzeczami ziemskiemi, unikać zaszczytów, niegorszyć się zgorszeniem i w Tobie jedynym całą pokładać nadzieję."

4.

Nie od rzeczy będzie dać tutaj jaki przykład fałszywego pojmowania poezyi, czyli brania za poezyę to, co nią nie jest.

Przychodzi mi na myśl jeden lekarz z professyi, lubiący zajmować się nadobną literaturą a szczególniej tłumaczeniem po-

ezyj (wierszy) z obcych języków. Ten lekarz (Doktor medycyny i chirurgji) pewnego razu, gdy pacyent jego, do którego był sprowadzony, leżał na śmiertelném łożu, znajdował się na balu w sąsiedzkim domu. Niechżeby balował sobie, to jest, robił to, co się zwykle robi na balu, prawił kobietom puste komplementa, jadł, pił, grał, tańczył, — ale mało tego; on oto wstawszy od preferansa zbliża się do grona z samych jasnych panów złożonego i tam winszuje naprzód staremu hrabi N. rumieńców i humoru, a potém ni ztąd ni zowąd zchodzi do poezyi i dawaj deklamować swoje wierszydła! Trzebaż było widzieć jego pseudo-dramatyczne gestykulacye i wszelkie usiłowania ku sprawieniu effektu na otaczających! Ale gdzietam! nic komiczniejszego nad mimikę oczu, brwi, ust, twarzy i całej postawy starego hrabi, którą on starał się niejako wtórować tej lekarsko-poetycznej extazyi! Tém wyraźnie dowodził, że drwił sobie z jego deklamacyi, i widoczne to było aż nadto, że pan deklamator sam siebie oszukiwał zdobywając się na zapał i uniesienia, których w swém sercu nieposiadał. Trud daremny! Dawno już powiedziano, że Muza nieprzychodzi na zawołanie nawet pośród ciszy, a cóż dopiero w takiém miejscu! Ruszyłem ramionami, bo niewiem, czy który z tych panów rozumiał, co to poezya: chociaż Doktór był zapewne w duchu przekonany, że do świetnej prozy tego balu niemało dodał blasku swoją tak zwaną poezyą.

Albo naprzykład, czyż nie są parodyą dobrego smaku i poezyi owe rozmaite błyskotki i cacka kosztowne, które, naśladując tylko zagraniczne dziwactwa, rozrzucają się tam i sam bezładnie w salonie albo budoarze, jak w jakim norymbergskim sklepie? Bo trudno bardzo, przy skłonności do zbytku i próżnej wystawy, mieć prawdziwą ideę piękna; trudno przedstawić w pewnej formie to, co się niepojmuje. Na to potrzeba uczucia estetycznego, które nienabywa się niestety za pieniądze! A ta mniemana pańska poezya, to pstrokata suknia poliszynela, która

pod względem chyba komiczności swojej zasługuje na jakąś uwagę. — Widziałem pewną panią, już niemłodą, we własnym jej gabinecie, zarzuconym tém mnóstwem galanteryjnych fraszek, które według mnie są wyrazem bezcelowości życia. Na pięknym mahoniowym stole leżały w największym nieładzie keepsaki, albumy i rozmaite żurnały; na nizkich sofach miękkie perskie kobierce; na ścianach malowidła i ryciny w pięknych oprawach; piękne wiedeńskie piano; w pięknej szafie biblioteka, słowem, nic niebrakowało do wygód i przyjemności życia; a jednakże ta pani była okropnie znudzoną i trapiła się, jakby tę czczość, co ją otaczała zewsząd, zaludnić, ożywić! Alboż niewiecie, jakieto osobliwsze pretensye i dziwactwa napadają te przesycone zmysłowém życiem panie, którym o to tylko chodzi, aby *zabijać czas*, aby oddawać się coraz nowym *rozrywkom* i *zabawom*? Pamiętają one, że w młodości swojej doznawały nieraz silnych wzruszeń czytając utwory wielkich poetów, że czuły mimowolny popęd do pięknego i dobrego; wiedzą więc, że poezya tworzy niejako cuda rodząc wzruszenia. A im strasznie potrzeba wzruszeń! A kiedy już się przesyciły wszelkiego rodzaju i barwy (od białej aż do czarnej) wzruszeniami, kiedy nic dla nich niepozostało nowego, ciekawego, ponętnego, kiedy intrygi, bale, kokieterya, mody, *rendez-vous* i wszelkie zmysłowe uciechy całkiem zobojętniały, kiedy wreszcie zajrzał im w oczy ze zwierciadła straszliwy wróg marnie spędzonej młodości (jak go Francuzi nazywają) — *l'âge de retour*; wówczas rade są one znowu utulić się pod skrzydła opiekunki swoich lat niewinnych, pod skrzydła poezyi. A ta niewczesna skrucha, komuż niewiadomo, jakieto częstokroć wyradza potwory przeistaczając je w dewotki, te prawdziwe plagi konfessyonałów i towarzystw! Ale pani, o której tu mowa, niebędąc jeszcze skończoną dewotką, chciała niejako gwałtem zmusić poezyę, aby ją bawiła, wzruszała, i w tym celu zwróciła się do mnie żądając, abym się przed nią wywnętrzył z myśli moich o poezyi,

a nawet dał poznać w przykładzie, jak moc i piękność poezyi do mojej duszy przemawia. Cóż ja począć miałem w tém najkrytyczniejszém położeniu — ja, co czułem, że patetyczność moja, gdybym się na nią w tej chwili jakim cudem mógł zdobyć, byłaby niegodną swego celu? co byłem przekonany, że traktować z tą panią *serio* o poezyi, byłoby to jedno, co rzucać *perły*... Zbywałem pytania ladajakimi kommunałami, a w duchu rzekłem sobie: — Dam się ja wam kiedyś we znaki za to niegodne pojmowanie Piękna, za prostytuowanie Poezyi! — to jest, rozumiałem przez to, że gdy się wzmogę w siły ducha, wówczas złączywszy się ściśle z pokrewnym duchem niewieściego piękna, przyjdę do tego niebotycznego monumentu słowiańskiej Estetyki, wokoło którego stoją na straży godni przedstawiciele cnót narodowych, i po prostu, po swojemu wytoczę przed nimi wielki, straszliwy proces wszystkich mych cierpień i męczarni, żądając sprawiedliwego wyroku na moich tyranów, na tych, co mię na każdym kroku pod hasłem Poezyi katowali nikczemnémi jej karykaturami i brzydkim fałszem!... Dołęgo! do nas, do naszych czasów należy pracować około utrzymania narodowego charakteru w rodzimej jego zacności, trwajmy więc w rozpoczętym zawodzie z wiarą żadnémi przeciwnościami niezachwianą, że Bóg, ten przedwieczny Ojciec i Orędownik prawdziwej poezyi, nagrodzi z czasem truda nasze pożądanym owocem.

Przychodzi mi jeszcze na myśl ten ujemny stan duszy, któremu człowiek podpada częstokroć, kiedy nieoceni należycie siebie i okoliczności, w jakich się znajduje. Nie jednemu zapewne zdarzało się być namawianym, proszonym, aby opowiedział co, czy też zaśpiewał, zagrał, słowem, zrobił to, co jest w jego mocy; a tu jak natoż nieczuł w sobie usposobienia do tego. Czyto pospolity czy uczony, artysta czy rzemieślnik, słowem, każdy człowiek w swoim obrębie miewa owe chwile dodatniego i ujemnego usposobienia. Aby rzecz jaka pożądany sprawiła effekt, czyli, aby była dobrze wykonaną, potrzeba sto-

sowną do tego obierać porę, to jest, czuć w sobie usposobienie. Axiomat ten jest właśnie wypadkiem dobrego pojmowania poezyi, a rozciąga się do wszystkich oddziałów czynności ludzkich. Przypomni sobie każdy, jak np. w pewnym czasie łatwo mu było przejąć się całą pięknością szczytnej jakiej poezyi i przelać to swoje uczucie w drugich głosem dobrze zastosowanym; gdy inną razą silił się obudzić w sobie zapał do tejże poezyi i niemógł tego dokazać. Tam znowu dyssertacya jakaś naukowa czy potoczna udała ci się wybornie i byłeś z siebie zupełnie kontent; gdy tutaj oto w gronie dysputujących idzie ci ciężko jakoś, niezręcznie, jak gdybyś był nieukiem. Albo, niedawno będąc w jedném dobraném towarzystwie aniś się spostrzegł, jak kilka godzin upłynęło; w grze, w tańcu, czy w rozmowie wszystko szło tobie jak z płatka; gdy dzisiaj oto wśród tychże samych osób może się zdawać patrzącemu na ciebie z boku, żeś człowiek, jakto mówią, ani do tańca ani do rożańca; — i tak dalej, i po tysiąckroć i tak dalej. To się właśnie stosuje i do Poezyi, która strasznie rozkazów nielubi i nigdy nieprzychodzi na zawołanie. Dla tego ja tych, co nieoceniwszy swego usposobienia, albo towarzystwa, w którém się znajdują, porywają się do deklamowania swoich albo cudzych utworów, nazywam pseudopoetami, bo oni nierozumieją godności poezyi, niepojmują świętego jej celu. Tacy wyrwawszy się nie w porę, częstokroć rzecz szczytną, utwor genjuszu degradują do znaczenia pospolitej ramoty i tym sposobem do rozkrzewienia tylko fałszywych wyobrażeń i złego smaku przykładają się. Cożto za utrapienie dla człowieka znającego się na rzeczy, patrzeć, jakto na tych wieczorach *quasi*-literackich pan deklamator sadzi się na wszystkie tempa aby się popisać, a tu wena, jak zaklęte widmo, nieprzychodzi! Ktożby z takiej ręki przyjął poezyę do duszy? I gdzie tam, poezya? — to istne kuglarstwo! — Pan Au. Wi. dobrze nam przedstawił tę stronę salonów literackich, bo też nienależy *bawić się* w takie rzeczy. Grzechem tu jest zarozu-

miałość, a szczerość jedyną rękojmią powodzenia. Żeby zaś te chwile pogodne, jasne, sprzyjające wzniosłym uczuciom, były częstsze, niby pod ręką; żeby je umieć wywoływać — to znowu co innego. O! toby być mogło, ale do tego wiele potrzeba! Zresztą, kto jest jakimkolwiek psychologiem, ten potrafi sam zdobyć się na hygieniczne środki i przepisać sobie choć kulawą receptę dla poprawienia humoru i zdrowia; a jeśli nie, to niechaj się zaznajomi z Makrobiotyką Hufelanda, albo uda się do owej pani w gabinecie z prośbą, aby raczyła wyspowiadać się przed nim z głównych zatrudnień swego życia i powiedzieć, dla czego jej dzisiaj tak nudno, tak wszystko zobojętniało, obmierzło na tym świecie? — Innych nieznam środków.

5.

Poezya jest wszędzie, jest równie w wielkim jak i w drobnym czynie. Widzę ją w bycie najuboższego człowieka, który wesoło nucąc przy ciężkiej pracy poprzestaje na grubej strawie. Kiedy np. patrzę, jak hoża wiejska dziewczyna zręcznie a ochoczo odbywa codzienne swe domowe zatrudnienia; jak skrzętnie doi swoją krówkę; jak zgrabnie wyciąga wodę z krynicy i potém lekko ją niesie na swém ramieniu wesoło przyśpiewując; jak troskliwie pielęgnuje starą swą matkę i czuje się szczęśliwą, gdy na pochwałę jej, na pieszczotę zasłuży; jak znowu rzeźwo biegając po łące lub ogródku stroi się w różnobarwne kwiaty; to znajduję w tém wszystkiém niewypowiedziany powab, znajduję coś tak nadobnego, pięknego, urzekającego, że niemogę niczém innem nazwać, jak poezyą. A ty, co wątpić zdajesz się o mocy i szczerości tego błogiego, najczystszego uczucia, ty moralny i wysoce ukształcony człowieku, nieżżymaj się na ten rys naiwny i nieodsyłaj mię do mędrca, który wyrzekł: »*O cnoto! ileż ty kosztujesz!*« — bo naprzód, te słowa,

jeżeli pojmujesz bozkość poezyi, są niegodne ciebie; a potem, zobacz sam, jak oto domorosły pan czy panicz, ten uprzywilejowany smakosz domowego piękna, ocenia te poetyczne wdzięki hożej dziewczyny i wynurza wzniosłe swe uczucia śpiewając tryolet: »*Najweselsza róża w wiośnie* i t. d. Patrz, jak mu przyklaskują rówiennicy i stare bezzębe wilczyska; jak opiewają rymodzieje i pochlebnie doń uśmiechają się stare i młode różnego oblicza niektóre kobiety! I otoż człowiek *comme il faut*, bohatér szczęśliwy, marzący na łożu usłaném myrtowymi wianuszkami o jutrzejszych trudach, o coraz nowych podbojach, aby z czasem syt wieku i chwały mógł wyrzec z Horacyuszem: *et haec olim meminisse juvabit!* — Ale jestże to poezya? pytam. Uchowaj Boże! Będzie to poezya pogańska, epikurejska, francuzka z przeszłego wieku, jakakolwiek zresztą, zawsze tylko powierzchowna, ale nie wewnętrzna, nie chrześcjańska, nie nasza! Wara ci wzniosły, poetyczny duchu od tego brudzenia i psucia bozkich rzeczy, abyś będąc powołanym do pielęgnowania cnót narodowych mógł z godnością a skutecznie zalecać tę główną zasadę dobrych obyczajów: *Co tobie nie miło drugiemu nie czyń;* abyś mając obowiązek estetycznego kształcenia swojej społeczności pamiętał o tém, że *in corpore sano mens sana*, — pamiętał, że zdrowie, siła i dzielność równie pojedyńczego jak i zbiorowego ciała zależy na powściąganiu nieprawych żądz i skłonności, na życiu skromném, trzeźwém, porządném, obostrzoném świętymi przepisami religji i moralności!

Jeszcze, jako żywy przykład fałszowania poezyi, przedstawiam tutaj te nasze subtelne, francuzkiémi pachnidłami przesiękłe panny i panie, które przewróciwszy w swych głowach do góry nogami wyobrażenia o rzeczach, starają się wmówić *par force*, że bladość twarzy znamionuje wdzięk niepospolity, że to jest właśnie nie prosta, gminna, ale estetyczna, patrycyuszowska piękność; że rumieniec jest cechą prostactwa, że

skromność w postawie, a wstyd i nieśmiałość w oczach nieoznacza dobrego wychowania, ani taktu, ani tonu przyzwoitego. Bo na czémżeto dzisiaj ten ton i to wychowanie dobre w tym modnym świecie zależy? Widzimy niestety, że na niczém więcej, jak tylko na uwolnieniu się od wszelkiego przymusu, *żeny*, na przybraniu heroicznej śmiałości w obcowaniu z mężczyznami, na małpowaniu wreszcie we wszystkiém złém nieszczęsnej mody zagranicznej, która na istne bakchantki, na waryatki płoche kobiety nasze przerabia. Niedosyć bowiem dla nich oblewać się pachnidłami, teraz zaczynają podkurzać siebie pachitosami, cygarami, fajkami, a to jedynie, aby się odróżnić od prostactwa, aby zaimponować tym nieokrzesanym profanom; niedość im na dostojnej nazwie chrześcjańskiej niewiasty, na zdrożnych tytułach elegantek, kokietek, dziś się im podobało nazywać *lwicami*. Jakie lwy, takie lwice! A są tam jeszcze i tygrysice i jędyczki i gąski, ale najwięcej podobno małp! I te wszystkie potwory niewieście myślą sobie, że to poezya? że to coś stosownego, przyzwoitego, już niemówię pięknego?— Cha, cha, cha! moje wy wszystkie modne różnego gatunku panie, ta wasza poezya prościuteńko do najciemniejszego pana Lucypera, do zwierzchnika i opiekuna złych duchów prowadzi. Kto was chwali, ten duszę swoją djabłu zapisał, a kto was naśladuje, ten się wyłączył z szeregu istot rozumnych, ten niewart zwać się człowiekiem!!! O liczmany niewieście! z jakichżeto źrzódeł ta wasza nieludzka moralność, ta zwierzęca poezya wynikła!? Ach! serce się ściska, rwą się piersi z bolu, gdy pomyślisz o tej gromadce niezepsutych jeszcze naszych niewiast, ale narażonych na zepsucie przez wdanie się w towarzyską zażyłość z témi modnémi damami! Przykłady próżności tak są zaraźliwe, zwłaszcza u nas! W oczach tych naiwnych, prostodusznych istot sąto najlepsze wzory wyższego czucia i smaku, które naśladować należy. Ach! broń ciebie Boże szlachetna Polko od takiego towarzystwa, a tém bardziej od przejęcia się jego czuciem

i smakiem! Wieszże ty, dla czego te modne panie tak wyśmiewają twój rumieniec, ten najpiękniejszy kwiat twojego zdrowia i twojej niewinności? — Oto, bo same już ani rumieńca zdrowia ani rumieńca wstydu niemają, bo chcą, abyś i ty coprędzej stała się podobną do nich *samicą!* Albož to ich co kosztuje? — to rzecz tak naturalna, tak zgodna z duchem czasu: *socyalizować się*, *egalizować się!* — Zacna matko! pilnuj, przestrzegaj i odprowadzaj twoją córkę od tej zarazy. Niech twoja dusza na widok monstrualności tej piekielnej mody nabiera takiej odwagi, jaką masz w chwili bronienia twego dziecka od strasznego jakiego niebezpieczeństwa. Depc złoto, mitry i honory, gdy pod niemi ukrywa się zdradziecki wąż hańby twojej rodziny! Jeśli masz w sobie choć kroplę owej czystej prawdziwej krwi starożytnych Słowian, to pojmiesz, czém jest i co znaczy hańba twojego dziecka! Oby cię Bóg błogosławił w potomne czasy! obyś choć w dzieciach twoich przyszła do głębokiego przekonania, że po tysiąckroć lepszą jest śmierć, niż taka hańba!...

Ale aby przedstawić nasuwające się na myśl przykłady ciągłego profanowania i fałszowania poezyi, trzebaby przesypać przez ręce cały świat rzeczy ludzkich. Może już i tak nadużyłem twojej cierpliwości szanowny Dolęgo? tego się lękam i proszę, abyś mi wybaczył łaskawie.

***NB. List IV** o* Cypryanie Norwidzie, *zupełnie przygotowany do druku, dla braku miejsca odkładamy do następnego numeru.*

KONIEC.

RACHUNEK (*).

Odbito N. 4-go Gwiazdy, złożonego z 23¼ arkuszy, exemplarzy .... 1,050.

	Rub.	Kop.
	Srebrem.	
Na to, podług wyliczenia i kwitów Zarządzającego drukarnią Glücksbergowską w Kijowie Wacława Kalinowskiego, a mianowicie: —		
— 50 ryz papieru drukowego (na 1,000 exemplarzy) po 3 rub. sr.	150	—
— 2 ryz i 7 liber pięknego papieru (na 50 exemplarzy) po 4 rub. 50 kop. sr.	10	57½
— Papier na okładki i wydrukowanie ich...	9	—
— 23¼ arkuszy druku po 8. rub. sr......	186	—
— Papier na 1,000 biletów prenumeracyjnych i wydrukowanie.........................	4	50
— Oprawę należnych Komitetowi Cenzury exemp.	1	60
— Broszurowanie 1,040 exempl. po 3 kop. sr.	31	20
— wyłożono kosztu.......	392	87½
Do tego dodawszy wydatek na korrespondencyę redaktorską od d. 25 Lipca 1848 po 25 Września 1849 roku	18	93
wypada, że wydanie N. 4 Gwiazdy kosztuje ogółem..........................	411	80½

(*) Dla uzupełnienia rachunku umieszczonego w poprzedniczej naszej xiążce notujemy tutaj, że przesyłka zaprenumerowanych exemplarzy N. 3 Gwiazdy do Lipowca, Czerkas, Żytomierza, Zasławia, Starego Konstantynowa, Kamieńca, Hajsyna, Tulczyna, Grodna, Wilna, Odessy, Petersburga, Orenburga, Groźnej, Piatyhorska, Kutajsa, Tyflisu, Anapy i Kurhana kosztowała nas 41 rub. 97 kop. srebrem.

Zaprenumerowano N. 4 Gwiazdy:

	Exemplarzy
w *Kijowie*, u P. Felixa Kozłowskiego i u Wydawcy.	33
w *Berdyczowie*, u P. Grzegorza Lubeckiego . . .	25
w okolicy *Bohusławia*, u P. Ludwika Raczyńskiego.	10
w *Czerkasach*, u PP. Leonarda Lisickiego i Franciszka Zanickiego.	25
w okolicy *Radomyśla*, u P. Zenona Fisch'a.	12
w okolicy *Zasławia*, u P. Szymona Konopackiego.	20
w *Staro-Konstantynowie*, u P. Franciszka Olszewskiego	10
w *Kamieńcu Podolskim*, u P. Romana Popławskiego	20
w *Bałcie*, u P. Wincentego Wicherskiego	20
w *Wilnie*, u P. Jana Kazimierza Wilczyńskiego.	20
w *Grodnie*, u P. Alberta Danileckiego	20
w *Wiłkomierzu*, u P. Edmunda Sroczyńskiego.	20
w *Mohylowie*, u P. Róży Rabczewskiej	20
w *Witebsku*, u P. Alexego Maleckiego.	16
w *Odessie*, u PP. Karola Kaczkowskiego i Floryana Krasowskiego	32
w *Chersonie*, u P. Juliana Włodkowskiego	5
Ogółem.	308
Tym sposobem summa exemplarzy 1,050 zredukowaną została do	742
Od tych odjąwszy 42 exemplarzy, które przeznaczamy na honoraria niektórym Kollektorom i dla uboższej młodzieży kształcącej się w krajowych Uniwersytetach, oraz 10 exemplarzy należnych Komitetowi Cenzury i archivum drukarni, razem	52
pozostaje do sprzedania na rzecz naszej redakcyi . .	690

SPIS ARTYKUŁÓW

w Numerze 4-m Gwiazdy zawartych.

E R R A T A.

Str. 148	wiersz ostatni:	ciagle	— czytaj —	ciągłe.
— 156	— — 8	Sulkaa	— —	Sułoka.
— 205	— — 26	Cale	— — —	Całe.
— 230	— — 23	rodzinego	— —	rodzinnego.
— 232	— — 22	żeniby	— — —	że niby.
— 232	— — 29	pojmnję	— —	pojmuję.
— 289	— — 16	sympatuzuję	—	sympatyzuję.

NOWE DZIEŁA

NAKŁADOWE

ZNAJDUJĄCE SIĘ U TEOFILA GLÜCKSBERGA.
